

Witold Gutkowski

Życie w ciekawych czasach



...śmierć oglądałem częściej niż coś do jedzenia...



It is my great honor and privilege
to announce the opening of the
21st International Congress...

**Składam serdeczne podziękowania
Zarządowi Gliwickiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej
oraz Przewodniczącemu Zarządu
Panu Profesorowi Arkadiuszowi Mężykowi
za wydanie moich wspomnień
i Pani Mgr Ewie Opoce
za korektę wydawniczą tekstu.**

Spis treści

Wstęp

1. Dzieciństwo	8
2. Wybuch wojny – ewakuacja	17
3. Szkoła i tajne komplety	20
4. Praca i kursy szkoleniowe	23
5. Codzienne życie okupacyjne	25
6. Getto	27
7. Szare Szeregi	29
8. Powstanie	36
9. Giną najbliżsi	41
10. Niewola	46
11. U Andersa	55
12. Nareszcie w domu	78
13. Studia u Wawelberga i na Politechnice Warszawskiej	83
14. Rodzina i dom	89
15. Asystentura	95
16. Doktorat i stypendium na Uniwersytecie Moskiewskim	101
17. Przechodzę do Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN	111
18. Ameryka, Ameryka!	113
19. Zamiast na Zachód, na Wschód	127
20. Z powrotem w IPPT	129
21. Wydział IV Nauk Technicznych PAN	132
22. Gdańsk 80, negocjacje z Solidarnością	139
23. Japonia przez ZSRR	142
24. Instytut Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego oraz zagadka upadku masztu radiowego w Gąbinie	150
25. Życie rodzinne	155
26. Ameryka, Ameryka 2	160
27. Trochę o działalności międzynarodowej i podróżach z tym związanych ...	166
28. Koniec PRL	177

29. Początek III RP	179
30. ZBOWiD, Światowy Związek Żołnierzy AK, Szare Szeregi.....	182
31. Modelowanie w mechanice, PTMTiS	186
32. ICTAM04, czyli Międzynarodowy Kongres Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej w Warszawie w 2004 roku.....	189
33. Moja przygoda z IPN	199
34. Zakończenie i krótkie CV	201

Wstęp

Podczas rodzinnych i koleżeńskich spotkań rozmowy schodzą nieraz na wspomnienia. Wielokrotnie mnie pytano: „Dlaczego tego nie opiszesz”? Przymierzałem się wielokrotnie, ale zawsze coś innego mnie absorbowało. Ostatecznie przekonał mnie mój przyjaciel, Wojciech Marcinkiewicz. Wojtek napisał piękną książkę „Szare Szeregi na Ochocie”. Pisząc, wielokrotnie zapraszał mnie do napisania wspomnień o moim udziale w Szarych Szeregach i w Powstaniu Warszawskim. Nie bardzo mogłem się do tego zabrać, gdyż w tym czasie byłem bardzo zaangażowany w organizację międzynarodowego kongresu, o czym piszę w jednym z ostatnich rozdziałów. Wreszcie któregoś dnia Wojtek zadzwonił i powiedział, że za dwa tygodnie oddaje książkę do druku i jeżeli do tego czasu nie napiszę, to ukaże się ona bez moich wspomnień. To mnie ostatecznie zmobilizowało. Byłem jednym z drużynowych na Ochocie i czułbym się nieswojo, gdybym nic nie napisał. Napisanym tekstem zainteresowało się kilka osób spośród rodziny i przyjaciół, zachęcając mnie do dalszego pisania, A więc próbuję.

Jedna z głównych trudności w pisaniu wspomnień, szczególnie z lat odległych, polega na tym, że w głowie przenikają się przeżycia własne z informacjami pochodzącymi z opowiadań innych, z lektury i filmów. Na to nakłada się wiek piszącego, a to może mieć z kolei wpływ na swego rodzaju „powiększenie” pamięci własnej. Bodaj Mark Twain zauważył, że z wiekiem ludzie pamiętają coraz lepiej wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca! Jeszcze gorzej o piszących pamiętniki wyrażał się Boy – Żeleński, mówiąc: „ Człowiek przystępuje do pisania pamiętników z nieodpartej potrzeby szczerości. Po czym łże jak najęty”. Aby, możliwie jak najlepiej, ustrzec się przed wspomnianymi zniekształceniami i łganiem, postanowiłem opisywać głównie te zdarzenia, które zachowały się w mej wizualnej i słyszalnej pamięci. Innymi słowy, jeżeli je niejako widzę, przymykając oczy. Zwalnia mnie to, w pewnym stopniu, od pisania tych wspomnień z zachowaniem historycznej poprawności. Jednym słowem, piszę to, co zapamiętałem, nie korygując mej pamięci źródłami historycznymi. Czasem korzystam z informacji od bliskich mi osób, co do których mam pewność, że są wiarygodne.

To, co piszę, nie jest więc jeszcze jednym przyczynkiem do historii, jest raczej ilustracją do napisanej już przez wielu historii ostatnich parudziesięciu lat.

Nie jestem osobą medialną, a więc mało kogo obchodzą moje sprawy rodzinne. Ograniczę się jedynie do przedstawienia kilku podstawowych informacji rodzinnych, co pozwoli lepiej widzieć tło moich wspomnień.

Mój kuzyn, Kazik Gutkowski, ostatnie lata swego życia poświęcił opracowaniu genealogii rodziny Gutkowskich. Początkowo, szczególnie gdy dość znacznie cofał się w czasie, podchodziłem do wyników Jego dociekań dość sceptycznie. Ostatecznie, gdy napisał książkę „Rawicze Gutkowsky z Gutkowicz”, potraktowałem ją poważnie, gdyż miała swe podłoże w dociekaniach, publikowanych w „Rocznikach Polskiego Towarzystwa Heraldycznego”. Z książki dowiadujemy się, że początek gałęzi, z której wywodzą się Rawicze Gutkowsky sięga XII wieku. Ja ograniczę się jedynie do przedstawienia osób mi najbliższych.

Mój Tata, Tadeusz Gutkowski (1881 – 1962) urodził się w miejscowości Moskwa, w dzisiejszym województwie łódzkim. Spowodowało to poważne perturbacje przy

wypisywaniu w latach pięćdziesiątych dowodu osobistego. Trudno bowiem było urzędnikom napisać jako miejsce urodzenia „Moskwa, Polska” !

Tata ukończył studia w Paryżu, między innymi w Institut d'Optique. Przez wiele lat przed wojną był jednym z dwóch inżynierów optyków w Polsce. W czasie pobytu we Francji ożenił się z moją Mamą, Francuzką, Esterą Gutkowską z domu Bourdeau (1891 – 1951). W 1923 roku przenieśli się do Warszawy. Tata przez szereg lat był nauczycielem matematyki, a następnie od lat trzydziestych do końca życia (z wyjątkiem czasu wojny) był związany z przemysłem optycznym.

W 1924 urodziła się moja starsza siostra, Wanda, w 1926 siostra Halina i w 1928 ja.

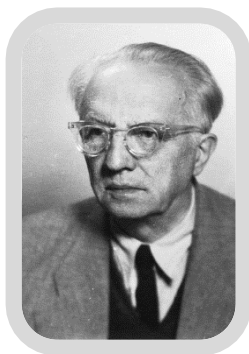
Wanda, zamężna z Olgierdem Leszkiewicz-Zienowicz-Olpińskim, ukończyła dwa fakultety – fizykę i Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego. Większość życia poświęciła na wychowanie czwórki dzieci: Marii, Zofii, Wojciecha i Katarzyny. Kasia, od dzieciństwa dotknięta chorobą reumatyczną, zmarła na początku 2005 roku.

Halina, niestety, tragicznie zakończyła życie, nie ukończywszy osiemnastu lat. Zginęła ostatniego dnia Powstania Warszawskiego na Żoliborzu. Była sanitariuszką. Jest pochowana na Cmentarzu Powstańczym na Warszawskiej Woli. Na odwrocie Jej, chyba ostatniego, przedwojennego zdjęcia Mama napisała: *Halina Gutkowska née le 15 décembre 1926 tombée a son poste le 30 septembre 1944 elle était infirmière de la Croix Rouge. (Halina Gutkowska urodzona 15 grudnia 1926 padła na swym posterunku 30 września 1944 była sanitariuszką Czerwonego Krzyża)*

W 1952 roku pobraliśmy się z Jadwigą Gutkowską, z domu Borkowską (1927 – 2003). Jadzia ukończyła studia i uzyskała doktorat z mikrobiologii na Uniwersytecie Warszawskim. Całe życie zawodowe przepracowała w Laboratorium Szpitala Pediatrycznego na ul. Działdowskiej w Warszawie. Wychowaliśmy z powodzeniem dwoje dzieci - Krystynę i Grzegorza. Krysia ukończyła fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po kilku latach pracy w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN, gdzie uzyskała doktorat, wyjechała do USA. Obecnie pracuje w Amylin Pharmaceuticals Inc., w jednej z firm farmaceutycznych, prowadząc między innymi badania nad lekami przeciw cukrzycy. Mają z mężem, Jakubem Tatarkiewiczem, dwoje, dziś dorosłych, dzieci: Jadwigę i Ksawerego.

Grzegorz ukończył studia rolnicze na SGGW w Warszawie i informatyczne w USA. Po kilku latach pracy, w różnych firmach finansowych, założył własną, działającą z dużym powodzeniem, firmę informatyczną pod nazwą „Just 5 Clicks”. Mają z żoną, Moniką Gutkowską, córkę Katarzynę i wnuczki Ashley, Kayla i Natalie. Mieszkają w pięknej rezydencji, niedaleko Chicago.

W 1984 ożeniłem się po raz drugi. Pobraliśmy się z Marią Błońską (z domu Kowalczyk). Marylka przez szereg lat pracowała w administracji różnych instytucji, w tym PAN. Po uzyskaniu stopnia magistra geografii na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczęła pracę jako nauczycielka w liceum ogólnokształcącym, bardzo dobrze dając sobie radę w trudnych sprawach wychowawczych. Wspólnie z Marylką wychowywaliśmy jej córkę, Agnieszkę Błońską. Agnieszka otrzymała stopień magistra ze stosowanych nauk społecznych na Uniwersytecie Warszawskim. Poświęciła się jednak swojej pasji – teatrowi. Od kilku lat przebywa w Anglii, gdzie ukończyła Szkołę Teatru Fizycznego oraz reżyserię. Obecnie pracuje jako aktorka i reżyser zarówno w Anglii, jak i w Polsce.



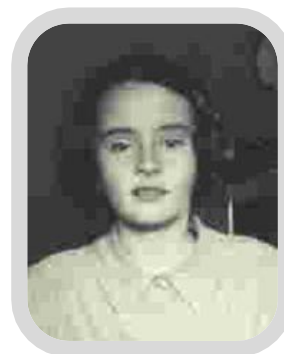
Tadeusz Gutkowski



Estera Gutkowska



Wanda Gutkowska



Halina Gutkowska



Jadwiga Gutkowska



Krystyna Tatarkiewicz



Grzegorz Gutkowski



Maria Błońska-Gutkowska



Agnieszka Błońska



A to ja, autor tej opowieści

1. Dzieciństwo

Dom

Domek Rodziców przy ul. Sułkowskiego 49 na warszawskim Żoliborzu. Pierwsze wspomnienie łączy się z dzieciennym pokojem. Po obu stronach mojego łóżeczka stoją dwa łóżka moich sióstr. Blżej drzwi i okna szafa, stoliki i krzesła. Nad łózkami cztery kolorowe obrazki, na które często spoglądałam. Po kilku latach, gdy nauczyłem się czytać, dowiedziałem się, że to „*Pory roku*” (*Wiosna, Lato, Jesień i Zima*) Zofii Stryjeńskiej.

Obok pokoju dzieciennego pokój Rodziców. Asystuję Mamie, gdy ścieli łóżka. Stojąc na poręczach łóżka, odkręcam i zakręcam mosiężne kulki umieszczone w jego plecach. Mama próbuje uczyć mnie francuskich wierszyków. Zapamiętałem chyba tylko pierwsze słowa wiersza La Fontaine'a „*La cigale et la fourmi*”.

Również na piętrze znajduje się łazienka, a w głębi korytarza tajemniczy strych, do którego chyba bałem się chodzić. Dopiero po kilku latach, gdy podrosłem, na strychu Rodzice zorganizowali mi mój samodzielny pokój z biurkiem. Bardzo lubiłem tam przebywać - bawić się i odrabiać lekcje.

Z piętra schodziło się drewnianymi schodami do przedpokoju, którego ściany to prawie same drzwi. Główny pokój składał się z dwóch części, jadalnej i czegoś w rodzaju saloniku. W głównej części stały meble wykonane z jasnego dębu przez stolarzy z Kołbieli. Najważniejszy mebel to duży rozsuwany stół. Na nim się jadło, odrabiano lekcje, lepiło łańcuchy przed Bożym Narodzeniem. Pod ścianami stały dwa kredensy. Obok jednego z nich powieszono były dwa talerze z portretami Napoleona i Józefiny. Niestety, ta ostatnia nie miała szczęścia. Pewnego dnia gosposia, zamiatając, uderzyła w Józefinę końcem kija od szczotki i talerz się rozleciał. Umebłowanie pokoju uzupełniał wysoki, ciężarkowy zegar, wybijający godziny.

W głębi dużego pokoju salonik. Stolik, tapczan i pianino. Nie dane mi już było uczyć się grać przed wojną. Samodzielnie tylko nauczyłem się wystukiwać jednym palcem „włazł kotek na płotek i mruga”. Koło tapczanu było radio. Początkowo, pewnie przywiezione z zagranicy, radio na 110 voltów. Dlatego było połączone szeregowo z wielką żarówką, która zawsze świeciła, gdy radio grało. To światło ułatwiało Mamie niekończące się cerowanie skarpetek całej rodziny. Z czasem pojawiło się duże normalne radio. Chętnie słuchałem słuchowisk dla dzieci, z których najbardziej utrwalił mi się Wujcio Radiowy, Henryk Ładosz, ojciec późniejszego mojego, szkolnego kolegi. Tapczan i radio sąsiadowały z oknem, na którego parapet przynoszono co rano „Gazetę Polską”.

Obok dużego pokoju znajdował się gabinet Taty. Olbrzymie biurko (w każdym razie takie robiło na mnie wrażenie), zavalone książkami. Przyznam szczerze, że nie widziałem Taty pracującego przy nim, choćby dlatego, że nie było na nim wolnego od książek miejsca. Pod ścianami półki do sufitu, wypełnione książkami, głównie fachowymi, więc nie szukałem tam niczego ciekawego. Natomiast „jaskinią skarbów” były szuflady biurka. Było tam pełno rozlicznych drobiazgów, głównie pochodzących z czasów, gdy Tata był nauczycielem fizyki. Najciekawsza w tych skarbach była gliniana buteleczka z rtęcią. Chętnie ją wylewałem na kawałek papieru i obserwowałem zachowanie się „żywego srebra”.

Na jednej ze ścian wisiał portret Piłsudskiego. W tym czasie postać ta nic mi nie mówiła.

Z centralnego korytarza były jeszcze drzwi do toalety, zwanej wtedy klozetem, do sionki wyjściowej i do kuchni. Gotowało się na gazie, a zmywanie odbywało się w zlewie, gdzie nalewana była z garnka gorąca woda. Płukanie odbywało się w misce z wodą. W kuchni była lodówka, ale nie taka, jaką znamy dzisiaj. Z jednej strony był głęboki pojemnik, wyłożony blachą, gdzie wkładało się lód. Sąsiadował on bezpośrednio z samą szafką, gdzie przechowywało się produkty. Szafka miała jednak bardzo ograniczoną pojemność. Do lodówki był, oczywiście, potrzebny lód, ale skąd się go brało, nie wiem. Wiem tylko, że zimą nad brzegiem Wisły rąbano lód rzeczny i transportowano gdzieś, gdzie był przechowywany. Dokładnie taką lodówkę, jaką opisałem, widziałem ostatnio w muzeum Przypkowskich w Jędrzejowie. Występowała tam jako antyk. I ja się tak poczułem.

Za kuchnią była spiżarka i mały pokój dla służącej. Przez dłuższy czas piwnica była dla mnie otoczona jakąś tajemnicą i miałem nieco stracha sam tam przebywać. W piwnicy była węglowa kuchnia i pralnia, gdzie raz na tydzień przyjeżdżała z Pragi Pani Lodzia – praczka. Panią Lodzię widziałem nieraz jak przychodziła poobijana, z siniakami.

W oddzielnym pomieszczeniu był kocioł centralnego ogrzewania opalany koksem. Raz do roku Mama jeździła do gazowni, na Kredytową, kupować koks. Zabierała mnie ze sobą, a to było o tyle interesujące, o ile kończyło się w kawiarni Lardellego na Wierzbowej.

Dom był otoczony ogrodem o powierzchni około 500 metrów kwadratowych. Były z niego dwa wyjścia na ul. Sułkowskiego i Tucholską. Ponieważ obie ulice są na nieco różnych poziomach to i ogród był dwupoziomowy. Szpaler malin przy części płotu, dwie wspaniałe tuje i dwie klipsy, wielka śliwa i oczywiście róże i inne kwiatki, zewnętrzny parkan pokryty dzikim winem, to w skrócie obraz ogrodu, wspaniałego terenu do zabaw. Niezapomniane są zabawy w chowanego, po zmroku. Frajdą było, kryjąc się, zaszywać się w gęstwinie dzikiego winna, czy w gałęziach rozłożystych tui.

Z czasem pojawiło się moje zainteresowanie samą przyrodą ogrodu, sadzeniem roślinek, pieleniem, przekopywaniem i innymi tego rodzaju zajęciami.

Żoliborz- moja najbliższa okolica

Pierwsze zapisy w mej pamięci dotyczą terenów na wschód od domu. W tym czasie od ulicy Sułkowskiego po wał przeciwpowodziowy nad Wisłą rozciągały się łąki z licznymi rozlewiskami. Na łąkach pasły się krowy, które nieraz zachodziły do nieogrodzonych ogrodów. Z czasem tereny te zostały zabudowane licznymi, nowoczesnymi domami wzdłuż ulic Dygasińskiego, Promyka i Święckiego. Zabudowa zakończyła się na ulicy Promyka. Po jej przeciwnej stronie rozciągał się świeżo założony park.

Na Sułkowskiego, po drugiej stronie ulicy, nieco dalej był sklep spożywczy Niemojewskich. Jak podrosłem, byłem tam często wysyłany. Mama wypisywała w zeszyciku, co mam przynieść, a w sklepie, w odpowiednim miejscu, wpisywano cenę zakupu. Chyba raz na miesiąc następowało rozliczenie, ale to już bez mego udziału. Nie był to chyba handel na tzw. „krechę”, niemniej jednak nieraz, gdy coś chciałem, słyszałem odpowiedź: „po pierwszym”.

Od północy Żoliborz kończył się na ul. Potockiej. Dalej był Marymont. Początkowo widziałem go poprzez gołębie. Widać na Marymoncie mieszkali wielbiciel tych ptaków, gdyż można było obserwować liczne ich stada kołujące na horyzoncie. Szczególnie urzekały mnie to, gdy

niebo było pokryte ciemnymi chmurami i gołębie były raz widziane jako czarne ptaki, raz jako białe – w zależności od kierunku lotu.

Na Marymont dotarłem nieco później. Tata miał tam jakiś interes w małym warsztacie i szliśmy ulicą Marii Kazimierzy. Ulica była zabudowana głównie starymi drewnianymi domami, które dziś pewnie nazwalibyśmy slumsami. Wzdłuż ulicy ciągnęły się ścieki brudnej wody.

Jak wspominałem, od wschodu dom nasz graniczył z ulicą Tucholską. Po przeciwnej stronie, na jej końcu, mieszkała siostra Ojca, Ciocia Mania – Maria Tatarska. Uwielbiałem jej męża, Wujka Władka, który w tym czasie był już chyba na emeryturze. Palił papierosy z gilz nabijanych tytoniem za pomocą specjalnej maszynki. Wujek czasem pozwalał mi trochę ponabijać, a ja to bardzo lubiłem robić.

W salonie znajdował się duży stół, wokół którego siedzieli zaproszeni goście, głównie rodzina. Kręcąc się wokół tego stołu lub nabijając gilzy tytoniem przy sąsiednim stoliku, słuchałem jednym uchem rozmów dorosłych. Większość mnie nie interesowała, bo ich nie rozumiałem. Niemniej utrwaliły mi się w pamięci trzy, powtarzające się, tematy dyskusji: ceny, dzisiejsza młodzież i wojna 20. roku z bolszewikami. Ceny wiadomo, zawsze są dobrym tematem do rozmów. W tym wypadku padały ceny czegoś tam w kopiejkach przed laty, a teraz, lepiej nie mówić! Dyskusje o młodzieży wynikały stąd, że wiele osób w rodzinie było nauczycielami. Rozmowy o roku dwudziestym były pochodną uczestnictwa czterech mężczyzn w tej wojnie. Jeden z nich, syn wujostwa Tatarskich, Bohdan, zmarł w tym czasie na zapalenie płuc.

Tatarscy mieli piękny ogród, którego blask poważnie przygaś, gdy w sąsiedztwie wybudowano długi, kilkupiętrowy, blok mieszkalny, czołem stojący do ulicy Mickiewicza. Dom na owe czasy był nowoczesny, ale budowany tradycyjnie. W górę rusztowań koźlarze nosili na specjalnych nosiłkach cegły. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężka to była robota, ale wyobrażałem sobie, że bardzo ciężka.

Idąc na południe, wzdłuż Tucholskiej, a następnie Mickiewicza, dochodziło się, można powiedzieć, do centrum Żoliborza, placu Wilsona. Tu zbiegają się ulice Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Tu na placu znajdowały się chyba najważniejsze sklepy. W domu Mickiewicza 27 mieściła się drogeria Begera, sklep z owocami i kwiatami Płatka, Bata i, dla mnie ważny, sklep techniczny Zdziarskich. W nim, gdy trochę podrosłem i rozpocząłem majsterkowanie, kupowałem sklejkę, balsę i podstawowe narzędzia. Po przeciwnej stronie, na rogu placu Wilsona i Krasińskiego, była apteka Fabickich, gdzie oprócz leków przeprowadzano różne analizy. Utrwaliło mi się to w pamięci, gdyż w pewnym okresie, miałem jakieś kłopoty z nerkami i tam nosiło się mocz do analizy.

No i oczywiście samochody. Nie było ich wiele na ulicach, jedyny ich punkt koncentracji to postój taksówek na Mickiewicza, przy wjeździe na pl. Wilsona od strony Warszawy. Można tam było popatrzeć na Buicki, duże Polskie Fiaty, Ople, Skody i inne marki znane po dziś dzień. Piszę „od strony Warszawy”, ponieważ w tym czasie nie mówiło się „jadę do miasta”, czy „jadę do śródmieścia”. Jechało się do Warszawy.

W niedzielę często chodziliśmy z Tatą na spacer. Początkowo bliżej po uliczkach Dolnego Żoliborza, parku Żeromskiego, a z czasem dalej do Cytadeli, nawet jeszcze dalej, wzdłuż wału przeciwpowodziowego, do Kamedułów na Bielanych. Pod Cytadelą, nad Wisłą, zetknąłem się chyba po raz pierwszy z autentyczną biedą. Zauważyłem mianowicie lepiankę,

na pół wpuszczoną w ziemię, w której mieszkali ludzie. Musiało to zrobić na mnie wrażenie, bo widok ten mam przed oczami po dzień dzisiejszy.

Od zachodu Żoliborz był ograniczony dzisiejszą ulicą Popiełuszki. Za domem ul. Krasińskiego 20 rozpościerały się „laski i piaski”, zwane często półkoloniami. Tam się chodziło w poszukiwaniu jaszczurek wśród krzaków i kijanek w małych sadzawkach.

Od południa granice dzielnicy wyznaczał tor kolejowy, przechodzący przez Dworzec Gdański. W tym czasie wszystkie pojazdy, w tym tramwaje, jadąc z Warszawy lub do Warszawy, jechały pod torem kolejowym. Jezdnia siłą rzeczy znacznie się obniżała, co stwarzało poważne kłopoty przy większych ulewach. Mam w pamięci zdjęcie umieszczone w gazecie, pokazujące zalany tramwaj i ledwo widoczny dach samochodu osobowego. Gdy byłem chyba w klasie czwartej czy piątej, zbudowano, dzisiaj istniejący, wiadukt nad torami. Z kolegami byliśmy często „inspektorami” tej budowy, przyglądając się jej i komentując.

Gry i zabawy

Zabawa w dom, to była, można powiedzieć, podstawowa zabawa, niezależnie od pory roku. Latem w ogrodzie, zimą w domu. Miałem dwie siostry, a na dodatek w sąsiednich domach były same dziewczynki. Stąd głównie zabawa w dom, a nie chłopięce pif! paf! Pierwszych kolegów miałem dopiero jak poszedłem do przedszkola.

W trakcie gdy dorastałem, Tata kupował mi przeróżne zabawki techniczne. Wyjeżdżał za granicę, więc część z nich była godna pozazdroszczenia. Była więc maszyna parowa, w której paliło się spirytusowym palniczką, woda się gotowała, a para poruszała poprzez tłoki różne kółka. Niezapomniany był samochód ze skręcanymi kołami! Można go było prowadzić po zaznaczonych uliczkach w pokoju. Miało to swoje przyszłe korzyści. Nigdy, przy nauce jazdy, nie miałem problemu, w którą stronę kręcić kierownicą, jadąc do tyłu.

Gdzieś bodajże od siedmiu lat miałem rower, rzecz na te czasy niezbyt powszechna. Dostałem go właściwie na rehabilitację. Pewnego czerwcowego popołudnia, gdy najadłem się pierogów z jagodami, zaczął boleć mnie brzuch. Szybko przyszedł pan doktor, orzekł ślepą kışkę i że trzeba operować, co zrobiono jeszcze tej samej nocy. Po tym leżałem tydzień w szpitalu i kolejny tydzień w domu. Cała korzyść z tej chirurgicznej przygody polegała na tym, że pan doktor kazał mi kupić rower! Jak się po latach dowiedziałem, jazda na rowerze miała przeciwdziałać pooperacyjnemu zrostom. Szybko polubiłem jazdę na rowerze, co mi zostało po dziś dzień. Ponieważ uliczki dolnego Żoliborza były pokryte „kocimi łbami”, na jazdy wybieraliśmy się często na Żoliborz oficerski, to znaczy w okolice ul. Śmiałej, gdzie można było ostro popedałować po gładkiej, asfaltowej nawierzchni.

W ostatnich latach przed wojną chodziliśmy z Tatą na strzelnicę. Mieściła się ona w forcie sąsiadującym obecnie z wiaduktem nad Dworcem Gdańskim. Schodziło się w dół po stromych schodkach, gdzie znajdowała się strzelnica. Strzelałem chyba nie z normalnego karabinu wojskowego, ale z czegoś mniejszego. Niemniej jednak strzelanie było ważne, bo można było „wystrzelać” odznakę strzelecką. I mnie się to udało! Pewnej niedzieli wyniki mego strzelania zakwalifikowały się do srebrnej odznaki strzeleckiej. Mój ojciec był tak z tego dumny, że postanowił natychmiast kupić stosowne odznaczenie. Kłopot polegał jednak na tym, że była niedziela i wszystko było pozamykane. Tata jednak uparcie poszukiwał i znalazł na pl. Krasińskich sklep, w którego gablotce zobaczyliśmy utęsknioną odznakę. Był tam umieszczony adres sprzedawcy, który był Żydem. Po krótkich namowach poszedł z nami do sklepu dokonać ważnej dla nas transakcji. Po chwili miałem na piersi odznakę, z której byłem

bardzo dumny. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek później, w przyszłości, jakiegokolwiek odznaczenie tak mnie podbudowało.

Nie mogę oczywiście nie wspomnieć o pierwszym w życiu filmie. Był to film „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków” (Disneya). Niezapomniane wrażenie! Kolorowy film rysunkowy, który oglądałem z otwartą buzią.

Przedszkole

W wieku bodaj trzech, czterech lat zacząłem uczęszczać do przedszkola. Należało ono, podobnie jak i szkoła, do Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Towarzystwo stanowiło element całej ówczesnej społeczności tworzącej i zamieszkującej Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. Używając dzisiejszego słownictwa, Towarzystwo było społeczną instytucją niedochodową.

Początkowo przedszkole razem ze szkołą znajdowały się na I kolonii WSM, to znaczy na dzisiejszej ul. Krasińskiego 10. Wejście było od pl. Wilsona, z tym, że dzisiaj budynek ten jest odmieniony przez wbudowanie weń kina „Wisła”. Zresztą, prawdę mówiąc, nie jest to w całości stary, przedwojenny budynek, który uległ zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego.

Po jakimś czasie został wybudowany dla przedszkola nowy budynek przy ul. Suzina. Budynek ten zresztą istnieje i pełni swą funkcję po dziś dzień. W przeprowadzkowym pochodzie niosłem jakiś drobiazg i wielki balon.

Przedszkole to było beztroskie życie. Gry, zabawy i różne zorganizowane zajęcia. Prawdę mówiąc, „beztroskie życie” to chyba pojęcie dorosłych. Kilkuletnie dziecko traktuje zapewne wszystko sposób naturalny. Ewentualnie z wiekiem nabywa porównań, mogących określić, co odczuwało w danym czasie. Pamiętam więc szczególnie dwie panie: panią Donię Działońską i panią Marię Wieman. Pani Donia była bodajże opiekunką całego przedszkola, czy może tylko naszej grupy. Wspaniale dawała sobie z nami radę, przyczyniając się do „beztroskiego życia”. No, może największy kłopot miała z własnym synkiem Rysiem, moim bliskim kolegą, również w czasach szkolnych. Pani Maria Wieman to postać szczególna. Uczyła nas tańca i śpiewu, a robiła to tak wspaniale, że wszyscy to bardzo lubiliśmy. Pani Maria była związana z RTPD-owskim przedszkolem na lata. Jeszcze po wojnie w tym samym budynku, w latach pięćdziesiątych, opiekowała się w przedszkolu Krysią i Grzesiem. W pierwszym roku szkolnym, w 1939 roku, już po wejściu Niemców, uczyła nas początków niemieckiego. Pewnie nie było to łatwe, więc uczyła nas przez śpiew – *O Tannenbaum, o Tannenbau, wie grun sind deine Blätter*”!

Szkoła

Kończę sześć lat, jest rok 1934, idę do szkoły. Wracam więc do budynku I kolonii, przy placu Wilsona. Po schodach wchodziłem do szatni. Tu na wieszaku mam swój fartuch i worek, w którym znajdują się kapcie, zakładane na czas pobytu w szkole. Fartuch w jednakowym dla wszystkich uczniów kolorze jasnoniebieskim. Porządku pilnował zawsze czujny pan Bobeszko (mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem nazwisko), jako że chłopaki to chłopaki, zawsze im coś do głowy może strzelić. Z szatni szedłem do klasy. Jasne ławki dla około dwudziestu uczennic i uczniów. Jasna podłoga i w ogóle przyjemna atmosfera. Będąc w RTPD odbierałem to pewnie jako coś naturalnego. Przymioty szkoły RTPD poznałem dopiero przez porównanie, gdy już w czasie okupacji poszedłem do szkoły publicznej,

bodajże nr 168 przy ul. Felińskiego. Naszą szkołę Niemcy zamknęli jako jedną z pierwszych, umieszczając w jej budynku wermachtowski oddział.

W szkole publicznej, chyba dwa razy tylu uczniów w klasie, czarne ławki, czarna podłoga, czarne fartuchy z białymi kołnierzykami. Jednym słowem - atmosfera dla mnie przytłaczająca. Całe szczęście, że niedługo tam uczęszczałem. Środowisko RTPD zorganizowało tajne komplety, ale o tym nieco później.

W klasie szkoły podstawowej nie tylko przyjemne otoczenie – ławki, podłoga okna itp. - to również ważne, a nawet ważniejsze: przyjaźń nauczycieli. Naszą wychowawczynią była pani Anielka Wesołowska. Część z nas, w tym ja, mówiliśmy do niej po imieniu. Nie potrafię dziś powiedzieć, według jakiego klucza mówiono do niej per „pani” lub per „ty”.

W szkole, poza normalnymi lekcjami z poszczególnych przedmiotów, dbano o bardziej ogólny nasz rozwój. Uczyliśmy się więc różnych rzeczy praktycznych. W pierwszej, czy może w drugiej klasie robiliśmy śmietanę i masło. W czwartej klasie uczyliśmy się trochę stolarki. Zrobiłem wtedy podstawkę do czytania książki, w pozycji odpowiednio nachylonej. W piątej klasie przyszła kolej na roboty z metalem. Pamiętam, że dorabiałem kluczyk do swojego biurka. W szóstej klasie, czego już nie doczekałem ze względu na wybuch wojny, uczniowie zapoznawali się z zasadami działania samochodu i w szczególności jego silnika. Z zazdrością zaglądałem do sali, gdzie był eksponowany, odpowiednio przygotowany, silnik.

W przerwach pomiędzy lekcjami wychodziliśmy na salę gimnastyczną. Taką typową salę z drabinkami i innym sprzętem gimnastycznym. Można było robić, co się chciało. Chłopcy oczywiście mocowali się i przewracali po podłodze. To było dozwolone, dopóki walka nie miała charakteru agresywnego. Tego pilnowali wychowawcy.

Poza klasą

Na terenie pomiędzy III i V kolonią szkoła miała obszerny ogród. Dziś jest to teren w większości zabetonowany. Poza grządkami z różnymi roślinami mieliśmy mały zwierzynek. Ja jakiś czas opiekowałem się lisem. Miał sporą klatkę z kawałkiem powyginanego, suchego drzewa, po którym mógł skakać. Lis nie jadł świeżego mięsa, więc należało mu dawać padlinę. Do jej przygotowania służył olbrzymi garnek, wkopany w ziemię, gdzie wkładało się świeże mięso. Dopiero po jakimś czasie, gdy już nabrało mocno smakowitego dla lisa zapachu, nakładałem mu je w miskę. Oprócz mięsa jadał również jajka, ale tym razem świeże. Lubilem patrzeć jak wyjada z nich środek, z minimalnym naruszeniem całości skorupki. Po zjedzeniu środka zostawało coś w rodzaju wydmuszki z otworkami od kłów. Z lisem byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Wchodziłem bez przeszkód do jego klatki, którą musiałem sprzątać.

Gdzieś, chyba na dzisiejszych Piaskach, szkoła miała swoją działkę. Na wiosnę chodziliśmy sadzić tam kartofle. Prawdziwa frajda była jednak jesienią przy kopaniu kartofli, a głównie przy ich pieczeniu. Ta chrupiąca skórka z zapachem ogniska do dziś jest obecna w mej smakowej pamięci.

Szkoła organizowała wycieczki. Pamiętam dwie, jedną statkiem do Ciechocinka i drugą, bodajże w 39 roku, do Puszczy Białowieskiej.

Była oczywiście i piłka nożna. To już zabawa we własnym zakresie, poza organizacją szkolną. Mecze pomiędzy klasami odbywały się na „dołku”, w zagłębieniu terenu pomiędzy drugą i trzecią kolonią WSM. Dziś znajduje się tam szkoła.

Zdrowie

Szkoła bardzo dbała o nasze zdrowie. Chodziliśmy na badania kontrolne do poradni na V kolonię, na Słowackiego. Była to chyba jedna z pierwszych w Polsce poradni zdrowego dziecka. Prowadził ją znany ze swej działalności lekarsko – społecznej dr Aleksander Landy. Chodziliśmy tam nie tylko na badania, ale również na naświetlania lampami i zabiegi stomatologiczne. Te ostatnie dokonywane na mlecznych zębach były również czymś nowym. Powszechne było zdanie, że nie ma sensu leczyć „mleczników”, bo i tak zaraz wypadną.

Dbłość o zdrowie to również hartowanie ciała. Aby to przybliżyć, opiszę jedno z ćwiczeń gimnastycznych pod kierunkiem pana Jasia Wesołowskiego. Była zima, chyba ta ostatnia przed wojną. Na dworze lekki mróz. Jesteśmy ubrani w normalne kostiumy gimnastyczne, to znaczy granatowe majtki i białe podkoszulki. Pan Jasio wyprowadził nas bosych, w takim stroju, na podwórko. Tam krótki bieg po podwórku, chwila zabawy śnieżkami i powrót do budynku. Jeszcze czuję, jak parzy mnie podłoga w bose stopy po powrocie ze śniegu. Na zakończenie biegiem do umywalni, gdzie po prysznicu przyszło dech zapierające polewanie z hydrantu z zimną wodą!



Rodzinny dom, tu się urodziłem i tu mieszkaliśmy do 1942 roku



Halina, Wanda i ja w ogrodzie



Na sankach na ul. Tucholskiej



Kawalerzysta



Halina



Wanda



Odrabiamy lekcje



z Mamą



z Haliną



Wakacje w Batorowie



Świadectwo urodzenia i chrztu

2. Wybuch wojny - ewakuacja

Jest piątek, pierwszy września. Piękna słoneczna pogoda. Jeżdżę na swoim rowerku po ogrodzie. Dochodzą mnie nieznane mi odgłosy. Wkrótce nauczyłem się, że to wybuchy bomb. Docierały do mnie słuchy o wojnie. Wprawdzie dorośli nie mówili o tym przy dzieciach, ale plakaty w rodzaju „silni, zwarci, gotowi” oddziaływały na moją wyobraźnię, 11- letniego chłopca. W radiu tajemnicze komunikaty: „uwaga, uwaga nadchodzi, koma” i tu jakieś liczby. Nie rozpoczną się szkolne zajęcia w poniedziałek.

Niedziela, 3 września. Pogoda dalej piękna. Dziś urodziny Mamy, jest uroczyście, do tego dobre wiadomości. Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę!

Niestety, czym dalej, tym gorzej. We wtorek Ojciec przyjeżdża z pracy już w południe i mówi o ewakuacji. Ostatnie kilka lat przed wojną Tata był dyrektorem niedużej fabryki optycznej. O ile wiem, w znacznej mierze produkowała ona na rzecz wojska: lunety, celowniki i inny sprzęt optyczny. Jej produkcja wojskowa zapewne zdecydowała o ewakuacji.

W domu szybkie pakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, w tym zimowych, choć jeszcze pełnia lata. Kłopot z transportem, bo mamy dojechać na Dworzec Wschodni. Wreszcie Tata upolował furmankę, która właśnie przywiozła komuś węgiel.

Pożegnanie u Tatarskich. Wujek Władek ma zaopiekować się naszym domem. Biedny Tomi, roczny jamniczek, uwiązany, skomle niesamowicie, jakby wyczuwał rozstanie i to na zawsze. Mam łzy w oczach, gdy się z nim żegnam.

Jedziemy przez most Kierbedzia na Dworzec Wschodni. Tam schodzi nam niemal do rana, zanim nasz pociąg był gotów do drogi. W pociągu była załoga fabryczna i sporo sprzętu produkcyjnego. Całość miała umożliwić produkcję z dala od wroga.

Jedziemy, oczywiście, w kierunku na wschód. Mnie głównie interesują pociągi. Szczególnie lubię patrzeć na nalewanie wody do lokomotywy. Pompa w postaci wysokiej, jakby potężnej laski, obracała się wokół pionowej osi i jej gardziel nadchodziła nad lokomotywę, łykającą niesamowitą ilość wody.

Nie przypominam sobie większych przygód po drodze. Co najmniej raz pociąg zatrzymał się i schowaliśmy się w lesie przed nadlatującymi samolotami. Zestawienie: las, a w nim odgłos samolotu pozostał w mojej świadomości po dziś dzień. Jeżeli jestem w lesie i akurat leci samolot, natychmiast przypomina mi się ten moment z wrześniowej ewakuacji. Tu powinienem dodać, że takie skojarzenie mam tylko z dźwiękiem samolotu klasycznego, nie odrzutowego.

Mijamy Rejowiec i dojeżdżamy do Lwowa. Jest noc i widać wielkie jasne płomienie. Ktoś mówi, że to pali się fabryka wódek Baczewskiego. Wreszcie, chyba po tygodniu, jesteśmy na miejscu, to znaczy w miejscu, gdzie fabryka miała podjąć produkcję. Miejsce tym jest Zdobunów, nieduże miasteczko, blisko Równego i przedwojennej granicy z ZSRR. Zostajemy zakwaterowani w prywatnym mieszkaniu bardzo miłych ludzi. Tym bardziej miłych, że mają syna w zbliżonym do mego wieku. Szybko zaprzyjaźniliśmy się, bawiąc się głównie w schronie przeciwlotniczym wybudowanym w ogrodzie. Tam można było, oczywiście w tajemnicy, spróbować dorosłego życia i zapalić papieroska. Znajomość z Jankiem (nie mam pewności, czy miał tak rzeczywiście na imię) zaowocowała jeszcze

czymś bardzo ważnym. Otóż w sąsiednim domu znajdowała się piekarnia, a syn piekarza był bliskim kolegą Janka. Tym samym stał się moim kolegą i zaopatrywał mnie w chleb. Z chlebem były kłopoty. Ludzie już w nocy ustawiali się w kolejkę do porannego wypieku. Taka więc znajomość była bardzo cenna. Było to pierwsze w moim życiu (i niestety nie ostatnie) wykorzystanie znajomości dla zdobycia żywności. A chleb? Boże, co to był za chleb. Ten zapach, ta chrupiąca skórka! Nic tak wspaniałego wcześniej nie jadłem.

17 września Armia Czerwona wkracza do Polski. Moją uwagę zwracają ciężarówki z jakimiś dziwnymi znakami. Utkwiła mi w pamięci pisana cyrylicą litera G – taka jakaś dziwna, jakby szubienica. O wznowianiu produkcji przez fabrykę nie ma mowy. Na bocznicach stoją wagony towarowe z maszynami produkcyjnymi. Ojciec, jak się potem dowiedziałem, uzyskał już od nowej władzy zezwolenie na rozpuszczenie całej załogi. Teraz każdy decydował sam, co chce robić. Rodzice, z kilkoma Tatami współpracownikami, decydują się na powrót do domu, do Warszawy.

Jedziemy, czym się da. Nie ma oczywiście rozkładowych pociągów. Pamiętam, że siedzę w rogu odkrytej węglarki i strasznie boli mnie brzuch. Pewnie od nadmiaru czosnku, do którego jedzenia, dla celów higienicznych, ktoś nas namówił.

Pociągami dojeżdżamy, przez Sarny i Pińsk, do Brześcia. Most na Bugu chyba zniszczony, bo przeprawiamy się przez rzekę promem. Jesteśmy w Terespolu, gdzie moją uwagę zwracają niezliczone ilości dużych puszek i beczek ogórków konserwowych wyprodukowanych przez miejscową fabrykę, ale niesprzedanych.

Rozpoczynamy furmankową podróż do Warszawy. Ojciec wynajmował furmankę na kolejne etapy podróży. Pierwszy kończy się w Białej Podlaskiej. Po drodze kończy się strefa radziecka i zaczyna niemiecka. Na drodze pierwsi wermachtowcy. Mieszkamy w żydowskim domu. Wyjeżdżamy w sobotę, więc gospodarz nie bierze zapłaty za nocleg do rąk, tylko, otwierając szufladę, prosi, aby do niej włożyć pieniądze.

Drugi etap kończy się w Siedlcach. Nocujemy u kolejarskiej rodziny. Jest chłopiec w moim wieku, więc szybko, na jeden wieczór, zaprzyjaźniamy się. Rano pewnie była zaplanowana podróż pociągiem. Siedzimy w towarowym pociągu, jest wczesny ranek, czwartego października – urodziny Wandy - i pada deszcz ze śniegiem. Coś z tym pociągiem nie wyszło i dalej jedziemy furmanką. W Kałuszyńsku widzę pierwsze wyraźne ślady wojny. Oczodoły, zamiast okien, spalonych domów ze sterczącymi, opalonymi kominami.

Do Warszawy wjeżdżamy ulicą Grochowską. Wreszcie Żoliborz. Jesteśmy w domu! Dom stoi, jedynie z jednej strony powypadały szyby. W sąsiedni dom trafił artyleryjski pocisk, wywalając w ścianie olbrzymią dziurę. Dzięki wujkowi Tatarskiemu wszystko ocalało, nawet mały składzik z koksem w ogrodzie. Pewnie rodzice myśleli o możliwych kłopotach z opałem, skoro go tam nagromadzili. Dla mnie jednak najważniejszy był mój ukochany Tomi, który przepadł bez wieści. Nie wiem, co się z nim stało i jakoś nic nie mogłem się o nim dowiedzieć. Jeszcze przez kilka tygodni chodziłem po okolicy, z nadzieją, że go znajdę.

Jedną z pierwszych czynności, jaką wykonał Tata, było „rozliczenie się” z Piłsudskim. Ojciec wszedł do swego gabinetu, zdjął ze ściany portret Marszałka i rąbnął nim o ziemię. Jeszcze nie bardzo wiedziałem, w czym rzecz, ale sam fakt „egzekucji” zapadł mi w pamięć.

Zaczęło się życie w okupowanej Warszawie. Pętla niedostatku i grozy zaciskała się powoli, by osiągnąć szczyt w latach 1943 - 1944. Zerwał ją wybuch Powstania.

Szybko dorośleję, pomimo że ledwo we wrześniu skończyłem jedenaście lat. Pomagam przy szkleniu wytłuczonych szyb. Ponieważ nie ma służącej, obejmuję funkcję palacza CO. Na dotychczasowym placyku zabaw, od strony Sułkowskiego, zakładam grządkę z warzywami.

Dotychczas razem z Haliną byliśmy „Tadkami niejadkami”. Teraz zjadam wszystko, co dostanę. Jakoś utrwalił mi się talerz z ubitymi ziemniakami i buraczkami, a wszystko polane słoniną ze skwarkami. Jakie to było dobre! A jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie chciałbym na to spojrzeć.

Jakiś czas jestem jedynym „mężczyzną” w domu. Ojciec musi się ukrywać. Fabryka, którą kierował przed wojną, pod Niemcami zaczyna funkcjonować. Jeden z byłych wicedyrektorów okazał się volksdeutschem. Ponieważ przed wojną Ojciec wyprowadził fabrykę z jakichś tarapatów, zaczęto go szukać, aby dalej nią kierował. Chcąc tego uniknąć wyjechał poza Warszawę, a myśmy drżeli przy każdym przejeżdżającym, po godzinie policyjnej, samochodzie.

3. Szkoła i tajne komplety

Wracam do szkoły. Jestem w szóstej klasie. RTPD, jako praktyczna szkoła, wprowadza naukę niemieckiego. Roli tej podjęła się niezapomniana Pani Maria Wieman. Pewnie zdając sobie sprawę z naszej niechęci do tego języka, uczy go nas poprzez śpiew. I tak po dziś dzień z jej nauki najlepiej zapamiętałem „O, Tanennbaum, o, Tanennbaum wie grün sind deine Blätter”. Dodatkowo mogliśmy się nauczyć od samych Niemców, którzy przechodząc przez plac Wilsona śpiewali swoje „Heili heilla”.

Nauka w ulubionej szkole nie trwała długo. Niemcy zamykają ją, a w budynku szkoły, na placu Wilsona lokują jakąś swoją jednostkę wojskową. Idę więc do państwowej szkoły nr 148 (a może 168) na Felińskiego. Przechodzę wstrząs. Ponura szkoła i tłoczno, już zresztą o tym mówiłem, więc nie będę powtarzał. Na koniec roku spotkała mnie jeszcze w tej szkole nowa przygoda. Aby uzyskać świadectwo ukończenia klasy, muszę przynieść karteczkę ze spowiedzi! A ja chodziłem do szkoły bez religii i nie miałem pojęcia jak do tego podejść. Wreszcie zaryzykowałem i poszedłem. Co gadałem, nie pamiętam, pamiętam tylko, że ksiądz spytał mnie: „A biłeś się z chłopakami?”. W sumie jakoś wybrnąłem i karteczkę dostałem.

Gdzieś za rok czy dwa miałem jeszcze jedno z spotkanie z religią. Wojna spowodował, iż wiele ludzi zbliżyło się do Boga. Między innymi moja stryjenka Janina Gutkowska, której syn Janusz znalazł się w Anglii, ale od którego przez dłuższy czas nie mieli wiadomości. Chyba pod jej wpływem i moja Mama zaczęła uczęszczać do kościoła. Stryjenka Janka namówiła moją Mamę i mnie, abym zaczął się uczyć religii. Znała księdza profesora Kwiecińskiego, który zgodził się mnie uczyć. Wielokrotnie odwiedzałem tego niezwykle sympatycznego księdza, z którym odbywałem długie rozmowy. Na drodze jego misji stał mój zatwardziały racjonalizm. Wszystko chciałem zrozumieć, w tym aksjomaty wiary. A z tym miałem kłopot. I tak jakoś spotkania wygasły i po dziś dzień pozostałem, podobnie jak mój ojciec i dziadek (wiem ze słyszenia, bo nigdy go nie znałem) agnostykiem. Zdążyłem chyba jeszcze służyć, raz czy dwa, do mszy. Zapewne na mój stosunek do religii w tym czasie miał napis na kłamrach niemieckich żołnierz - „Gott mit uns”

W 1940 nauczyciele i pracownicy RTPD tworzą tajne komplety gimnazjalne. Oczywiście, komplety są odpłatne. Jest to w naszym domu znaczne obciążenie, ale Ojciec wyznaje zasadę, że można nie dojeść, ale trzeba się uczyć. Nasz komplet I klasy liczy około 8 uczniów. Piszę, około, bo zmieniał się jego skład. Przez dłuższy czas w kompletach uczestniczyli: Wiosna Lipszyc, Szarek Próchnik, Wojtek Jankowski, Krzysztof Ładosz (syn przedwojennego „wujcia radiowego” Henryka Ładosza), Stefan Puławski, Stefan Zajac, Zbyszek Czajka i Dobrek Ochęduszek (Paschalis), no i ja. Ze względów konspiracyjnych lekcje odbywały się w różnych mieszkaniach. Wymagało to szczególnych zabiegów pani Feli Zelcer, organizatorki kompletów, gdyż należało zawiadamiać nauczycieli, gdzie, kiedy i która klasa ma lekcje.

Mieliśmy wspaniałych nauczycieli. Początkowo polskiego uczyła nas pani Nitschowa. Z jej nauk korzystam po dziś dzień. Wypracowania należało pisać w ujęciu: wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Trzeba było pisać jasno i przejrzysto. Zbyt często używane po sobie te same słowa były zaznaczane czerwonymi obwódkami. Po jakimś czasie naszym nauczycielem od polskiego został Jerzy Kreczmar. Jego pasją było czytanie nam różnych utworów scenicznych. W każdym razie tak go zapamiętałem. Pewnego razu mieliśmy lekcję w lokalu

administracji na parterze budynku IV kolonii WSM (ul. Krasińskiego 18). Było ciepło, więc okno było otwarte. Profesor Kreczmar czytał nam „Cyda” Corneille’a. Stopniował fabułę utworu, aż doszedł do znanego zawołania: „Ojciec Jemeny lży rodzica!”. Zrobił to z taką pasją jakby grał w teatrze. Wykrzyknął to tak głośno, że było to zapewne słychać na całym podwórku. My aż żeśmy się pokulili ze strachu, że zdradzone zostaną nasze komplety. Szczęśliwie jakoś nic się nie stało.

Historii uczył nas, do czasu choroby, Adam Próchnik, działacz PPS. Po wojnie nazwano jego imieniem zakłady odzieżowe w Łodzi. Lekcje, a właściwie ich konspekty, miał zapisane na odwrocie niemieckiego Bekanntmachungu. Były to duże płachty papieru, najczęściej różowego koloru, na którym ogłaszano różne informacje, między innymi o rozstrzelaniu zakładników. Profesor Próchnik składał ten arkusz i wkładał do kieszeni.

Francuskiego uczyła nas pani Liberowa, żona Zdzisława Libery, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Matematyki i fizyki, poprzez rozwiązywanie nieskończonej liczby zadań, nauczała nas prof. Ringmanowa, w tym czasie już dobrze starsza pani. Znajomość licznych zadań przydała mi się po kilku latach, gdy zawędrowałem, w II Korpusie, do liceum.

I tak w czasie okupacji ukończyłem cztery klasy gimnazjum i uzyskałem małą maturę. Uczyliśmy się w systemie przedwojennej szkoły: cztery klasy gimnazjum, zakończone małą maturą i potem liceum, zakończone maturą.

Oczywiście nauka na kompletach była jednym z elementów okupacyjnego życia. Przeplatana była pracą i od 1942 roku, po wstąpieniu do Szarych Szeregów, działalnością w harcerstwie. W rzeczywistości nie była to zwykła szkoła z ławkami, salami szkolnymi i klasami po dwudziestu i więcej uczniów. Nie mieliśmy więc tej uczniowskiej frajdy i szkolnych wspomnień wyrażanych często wspólnymi klasowymi zdjęciami. Jedyne zdjęcie, jakie się uchowało, to fotografia kilkorga z nas w czasie przerwy na Bielanych, koło domu państwa Lipszyców. Nie mamy też koleżeńskich spotkań. Stefan Puławski i Dobrek Ochęduszko zginęli w czasie Powstania, Szarek Próchnik (syn Adama Próchnika) przepadł bez wieści. Nikt nie wiedział nic o jego losie, zapewne również zginął w czasie Powstania. Stefan Zając został po wojnie w Anglii. Krzysiek Ładosz został po wojnie oficerem marynarki.

Starsza ode mnie o cztery lata Wanda uczyła się też na kompletach, ale w starszej klasie.

Halina nie miała predyspozycji do nauki gimnazjalnej. Ojciec skierował ją do szkoły handlowej. Była to bardzo rozsądna decyzja. Pamiętam jak Halina angażowała się, w czasie praktyki, w urządzenie wystawy sklepu i jego wnętrza, przy Mickiewicza 34. Miała drugą oryginalną praktykę. Była to praktyka u Wedla na Grochowskiej. Produkowano tam niedostępne wyroby czekoladowe, pewnie tylko dla Niemców. Czasem narzekała, że mdli ją już przebywanie tyle godzin w pomieszczeniach z zapachem czekolady. Jedyna korzyść dla mnie z tej praktyki wynikała z nielicznych czekoladowych deputatów, jakie Halina dostawała w fabryce.



W przerwie pomiędzy lekcjami na Bielanych, u Państwa Lipszyców.
Siostry Lipszyc – Jadwiga i Wisna, w środku Wojtek Jankowski



Gramy w siatkówkę, w środku Stefan Puławski



Maria Sokołowska, moja Matka Chrzestna,
porucznik AK, pseudonim „Wawerska

4. Praca i kursy szkoleniowe

Stopniowo powiększała się bieda. W 1940 roku Rodzice sprzedali dom i przenieśliśmy się na II kolonię WSM, na plac Wilsona, do domu, w którym była i dalej jest apteka. Domek kupił pan Ekiert, przedwojenny właściciel małego sklepiku spożywczego na Mickiewicza 30. W czasie wojny widocznie dorobił się na szmuglowaniu żywności do Warszawy.

Trzeba było myśleć nie tylko o nauce, ale i skąd wziąć jedzenie. Pierwsza próba, zresztą nieudana, polegała na handlowaniu chlebem. Jeździłem na rowerze, na Pragę, przez most Kierbedzia, do piekarni po razowy chleb. Przywoziłem go na rowerowym bagażniku do sklepu na ul. Gdańskiej. Trwało to jakiś czas, ale chyba niezbyt długi. Skończyło się na składaniu niesprzedanego chleba na stole w pokoju, gdzie powoli pleśniał.

Drugie podejście do „businessu” polegało na produkcji „dulcyny”, słodzika używanego w normalnych czasach przez diabetyków, niemogących korzystać z cukru. W czasie okupacji cukru nie było, albo był bardzo drogi, stąd pomysł na produkcję wszelkich słodzików. Przepis na „dulcynę” Tata kupił czy dostał od kogoś znajomego. Początkowo wziął się za to sam, ale jakoś mu nie szło. Wymagało to wielogodzinnych procesów w szklanych kolbach, a potem krystalizowania i pakowania w małe paczuszki. Zacząłem Tacie pomagać, ale wkrótce przejąłem produkcję w całości. Jakiś czas przynosiło to niewielkie pieniądze, ale i ta „przygoda” zarobkowa skończyła się. Z tego, co można było się domyślić, wygrała prężniejsza od nas konkurencja.

Chyba było to w 1941, kiedy zacząłem pracować w Ośrodku Ogrodniczym Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Spółdzielnia miała pola, leżące mniej więcej w miejscu dzisiejszego osiedla Piaski. Tam, na sporym terenie, rozpoczęto produkcję pomidorów. Na wiosnę szykowało się teren, wyznaczając miejsca sadzenia palikami, które potem służyły pomidorowym krzakom za podparcie. W maju, po piętnastym, a więc po Trzech Ogrodnikach, odbywało się sadzenie samych roślinek. Potem nawożenie i usuwanie zbędnych pędów. Wreszcie przychodziło lato i zbieranie pomidorów. Oczywiście, największa frajda, że można było się ich najeść do woli. Wczesną wiosną i jesienią można było zarobić na ręcznym przekopywaniu kawałków ziemi. O ile pamiętam, to pracowaliśmy na akord. Stawki uleciały mi z głowy. Pamiętam jedynie, że poza wynagrodzeniem dostawaliśmy coś w rodzaju drugiego śniadania. Zwykle był to chleb z białym serem.

Na jesieni, bywało, jeździliśmy do Lasku Bielańskiego grabić liście. Służyły one do tak zwanego zimnego kompostu, na którego bazie zakładano na wiosnę okna szklarniowe. Opiekował się tam nami pan Stanisław Skorupski, znakomity ogrodnik. W 1939 brał udział w obronie Warszawy właśnie w Lasku Bielańskim. Pokazywał nam pozycje polskie i niemieckie i przedstawiał przebieg walk.

Zimą prace polowe i ogrodowe oczywiście ustawały. Był to czas na dodatkowe zajęcia organizowane przez środowisko WSM. Brałem udział w dwóch zajęciach. Jedne to były kursy ogrodnicze. Lubilem prace w ogrodzie i chętnie uczyłem się. Nawet po powrocie do kraju w 1947 roku zastanawiałem się, jakie wybrać studia – inżynierskie na Politechnice, czy ogrodnicze w SGGW.

Drugie zajęcia to nauka stolarki. Naszym mistrzem i nauczycielem był Igor Newerly. Pan Newerly, znany jako autor wspaniałych książek, był mniej znany jako stolarz. Robił piękne meble, a jednocześnie uczył nas podstaw stolarki: mocowania elementów, strugania, klejenia

itp. Był bardzo uczulony na nazewnictwo narzędzi. Jeżeli ktoś powiedział „hebel” zamiast „strug”, to miał kłopoty.

Po zimie miałem jeszcze jedno zajęcie - uprawianie własnej działki. Dostaliśmy ją w miejscu, gdzie dziś schodzi się ulica Krasińskiego z Wisłostradą. Dawniej był to pusty teren podzielony w czasie wojny na działki. Nasza miała formalnie 500 metrów kwadratowych. W rzeczywistości była znacznie większa. Znajdowała się na skraju dawnego wysypiska śmieci. Udało mi się dołączyć część tego niczyjego terenu do naszej działki. Ze względu na to, że pochodziła ona z terenu dawnego wysypiska, miała bardzo dobrą glebę. Na działce sadiłem wszelkiego rodzaju warzywa, w tym kartofle i pomidory. W tych czasach o kwiatkach, czy ozdobnych krzewach nikt nie myślał.

Po powstaniu w getcie Niemcy praktycznie wyburzyli cały teren tej dzielnicy. Gruz z rozwalonych domów zaczęli wywozić nad Wisłę, właśnie w rejonie, gdzie była nasza działka i gdzie dziś jest park Kępy Potockiej. Zbudowali w tym celu wąskotorową kolejkę, która dowoziła gruz na ten teren. Obecny, zadrzewiony teren, pomiędzy Wisłostradą a jeziorkami jest posadowiony na gruzach getta. Po gruzowisku kręcili się ludzie, którzy twierdzili, że można znaleźć nieraz cenne skarby, zamurowane wcześniej przez Żydów w ich mieszkaniach.

5. Codzienne życie okupacyjne

Wcześniej opisałem moje wspomnienia związane niejako z odrębnymi elementami okupacyjnego życia. W rzeczywistości takiej odrębności nie było. Życie było przeplatane codzienną troską o przetrwanie, nauką, pracą i działalnością w Szarych Szeregach.

Podstawą bytu było oczywiście jedzenie. W domu gotowało się najczęściej krupnik, oczywiście jarski. W dużym garnku podgotowywało się ziemniaki z kaszą. Następnie cały garnek był umieszczany w wielkim pudle wypełnionym kulkami z papieru gazetowego i szczelnie zakrywany. Tak zupa „dochodziła” przy jednoczesnej oszczędności energii. Bywało, że korzystaliśmy z zupek RGO (Rada Główna Opiekuńcza), po którą chodziłem na I kolonię WSM. Wspomnieć oczywiście należy o chlebie na kartki, tak zwanym „bonowcu”, przypominającym często glinę. Kartki obejmowały również marmoladę, której podstawą nie były owoce, ale buraki.

Prąd elektryczny, a więc i oświetlenie elektryczne, był okresowo. W czasie, gdy go brakowało, do oświetlenia służyły śmierdzące karbidówki. W pojemniku był karbid, w połączeniu z wodą wytwarzał gaz, który, paląc się, dawał oświetlenie. Takie mniej więcej, jakie daje, lampa turystyczna.

Zimą problemem było ogrzewanie, a właściwie jego brak. Zapewne centralne ogrzewanie działało wyłącznie po to, aby rury nie popękały. Trzeba więc był dogrzewać się. W kuchni, poza kuchnią gazową, była płyta węglowa. W pokoju dostawiona „koza”, czyli mały piecyk z rurą wstawioną w wywietrznik. Drewno i węgiel były w piwnicy. To do mnie należało przynoszenie paliwa do domu. Robiłem to chętnie, albowiem w piwnicy znajdowały się kosze z książkami, które tam trafiły po przeprowadzce. Wśród nich chyba najciekawszą książką była gruba encyklopedia medyczna. Można było w niej zobaczyć dużo ciekawych rycin i przeczytać coś nieośmieszającego o tajemniczo brzmiącym „spazmie rozkoszy”.

Moja aktywność w harcerstwie Szarych Szeregów powodowała, iż często podróżowałem po Warszawie. Właśnie wtedy poznawałem rodzinne miasto, poszczególne ulice, place, ich wzajemne położenia. Podróże te były związane z pewnym ryzykiem. Były łapanki na mieście, były pojedyncze zatrzymywania przez niemieckie patrole. O ile w 39, czy 40 roku wyglądałem raczej na dziecko, to w 44 r. byłem 16-letnim chłopcem, a takimi Niemcy już się interesowali. Pewnego razu, gdy wracałem do domu i tramwaj wjeżdżał na plac Inwalidów, ktoś krzyknął „łapanka”! Rzeczywiście, przy zbliżającym się przystanku stały budy z Niemcami penetrującymi stojący tramwaj. W ułamku sekundy decyzja – skakać i uciekać. I tak zrobiłem z kilkoma osobami znajdującymi się bliżej wyjścia. Udało się, ale było to ryzykowne. Mogło się skończyć strzelaniem do nas. Innym razem sprawa wyglądała znacznie groźniej. Już jako drużynowy wracałem z Pragi ze szkolenia jednej z sekcji. Szkolenie dotyczyło niemieckiego pistoletu parabellum. Pistolet był dość długi, więc nie w pełni ukrywał się w kieszeni spodni. Oczywiście, miałem kurtkę, która zasłaniała wystającą część pistoletu. Stałem na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej, czekając na tramwaj na Żoliborz. Z jakiegoś powodu kurtka się rozchyliła i część rękojeści pistoletu stała się widoczna. Po drugiej stronie ulicy, pod katedrą, stało dwóch Niemców. Zauważyłem, że jeden z nich zwrócił drugiemu na mnie uwagę, pokazując palcem i jednocześnie wskazując kieszeń. Zaczęli się przymierzać do przekroczenia ulicy. Na moje szczęście z przystanku, na którym stałem, ruszył tramwaj, do którego wskoczyłem w biegu. Pojechałem zresztą nie tam, gdzie chciałem, ale unikałem nadchodzącego niebezpieczeństwa. Jak się uspokoiłem,

pojawiła się u mnie wątpliwość, czy rzeczywiście to ja byłem przedmiotem zainteresowania wspomnianych Niemców.

Druga połowa 1943 i 1944 to wzmożona walka AK przeciwko Niemcom. Niemcy reagowali licznymi egzekucjami ulicznymi. Pewnego dnia znalazłem się na rogu Miodowej i Senatorskiej, właśnie niedługo po egzekucji. Ciał ofiar już nie było. Jedynie ekipa porządkowa zmywała z jezdni i chodnika krew. Z zawieszanej na latarni szczekaczki rozlegała się skoczna muzyka. Na ścianie domu na Senatorskiej umieszczona jest tablica, upamiętniająca to tragiczne, jedno z licznych w Warszawie, zdarzeń.

Mroki wojny rozjaśniały, jak iskierki, krążące powiedzenia i anegdoty. Dodawały otuchy i choć na chwilę wywoływały wesołość. Na początku wojny, na przedwiośniu, mówiono: *„Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”*. Ale były i dowcipne powiedzenia, a właściwie całe wierszyki w rodzaju: *„Już sam Ghandi w Honolulu wstąpił w poczet polskich królów i na wiosnę, dając słowo, zjedzie z armią kolorową”*. Albo, wzajemna wymiana depeesz pomiędzy przywódcami Rzeszy i Włoch Mussoliniego. Po porażce w wojnie z Grekami, Mussolini telegramuje do Hitlera : *„Tutto perduto, Greco bandito. Stop. Mussolini Finito”*. Z kolei, minister spraw zagranicznych Rzeszy, po klęsce pod Stalingradem, telegrafuje do swojego włoskiego partnera: *„Hrabia Ciano, Milano. Stop, ale nam wlano, Stop, von Ribbentrop”*.

W tramwaju uliczni artyści śpiewali swoje utwory. Można było usłyszeć balladę o 1 września. Oto kilka słów początkowych: *„Dnia pierwszego września roku pamiętnego napadł wróg na Polskę z nieba wysokiego”*.

W 1944 roku wraz ze zbliżającym się frontem wschodnim pojawiały się nad Warszawą rosyjskie bombowce. W czasie jednego z nalotów bardzo uszkodzony został przez bombę dom znajomych moich Rodziców przy ul. Śmiałej.

W tym czasie obowiązywało zaciemnienie, a w domach pełniono dyżury mające na celu utrzymanie zaciemnionych okien. Padały więc ze strony dyżurujących okrzyki : *„Drugie piętro światło zgasić!”* Bombardowanie i łapanki znalazły odzwierciedlenie w piosence śpiewanej w tramwajach: *„Siekiera motyka bimber szklanka w nocy nalot w dzień łapanka...”*.

Ważną rolę w utrzymywaniu ducha odgrywała podziemna prasa. Biuletyn Informacyjny i powielaczowe wiadomości przynosiłem regularnie od mojej matki chrzestnej Maniusi, Marii Sokołowskiej, która mieszkała na Mickiewicza 25. W prasie tej można było zawsze znaleźć coś, co podtrzymywało na duchu. Sukcesy aliantów na Zachodzie, czy Armii Czerwonej na Wschodzie.

Manusia, o czym mogłem dowiedzieć się dopiero po wojnie, była porucznikiem AK. Była współpracownicą Aleksandra Kamińskiego w tworzeniu organizacji „Wawer”. Nazwa organizacji powstała po jednej z pierwszych egzekucji w Warszawie w Wawrze, jeszcze w 1939. Manusia była sekretarzem tej tajnej organizacji i jednocześnie dowódcą grupy kobiecej. Jednocześnie z działalnością w „Wawrze” Manusia prowadziła tajne nauczanie w 132. szkole podstawowej na Żoliborzu.

6. Getto

Do czasu wojny, jako jedenastoletni chłopiec, nie miałem jakiegoś specjalnego rozróżnienia Polaków pochodzenia żydowskiego od innych rodaków. Jedyne, co ich w mojej świadomości wyróżniało, to wygląd zewnętrzny. Z Żoliborza jechało się do Warszawy przez ogólnie pojęte Nalewki. Ubiory Żydów zwracały moją uwagę. Był taki kawałek trasy, gdzie tramwaj niemal ocierał się o boisko szkolne, gdzie bawiły się żydowskie dzieci. Siatka odgradzająca boisko była zaledwie kilka centymetrów od wagonu, można było więc dobrze przyglądać się, co się tam dzieje. Dzieciaki jak to dzieciaki, w coś tam się bawiły i biegały. Zwracały jednak moją uwagę ich stroje: chałaty, mycki i z boku głów zwisające pejsy. Oczywiście i atmosfera ulicy znacznie różniła się od tego, do czego byłem przyzwyczajony na Żoliborzu. Ruch, gwar, liczne sklepy i sklepiki oraz zatłoczone chodniki.

Ojciec miał wielu znajomych Żydów. Skąd pochodziły te znajomości, nie wiem. Utrwaliła mi się znajomość z państwem Kahanów. Pan Kahan był właścicielem piekarni na Nalewkach. Jeździliśmy tam czasem w niedzielę po chrupiące kajzerki i wspaniałe jagodzianki. Panowie rozmawiali, a ja miałem okazję przyglądać się wielkiej kadzi, gdzie olbrzymia mechaniczna „ręka” mieszała ciasto. Po tym zachodziliśmy gdzieś na podwórko, na zaplecze jakiegoś sklepu, aby kupić wspaniałego, pińczowskiego sera. Twardy, jakby zasuszony, biały ser, krojony naciągniętym w ramce drutem.

Państwa Kahanów widzieliśmy ostatni raz jeszcze przed utworzeniem getta, w ich domu. Nie jestem nawet pewien, czy nie przed przymusem zakładania opasek z gwiazdą Dawida. Niemcy nakazali przymusowe szczepienia przeciw tyfusowi i właśnie syn pana Kahana, lekarz, nas zaszczepił. Po tym nic już o nich nie słyszeliśmy, ani bezpośrednio, ani pośrednio. Nie ma wątpliwości, że podzielili tragiczny los wszystkich warszawskich Żydów.

Na jesieni 1939 roku Niemcy nakazali wszystkim osobom pochodzenia żydowskiego nosić na ramieniu opaski z gwiazdą Dawida. Nastąpił niezrozumiały dla mnie podział. W mej dziecięcej głowie istniał, jak zapewne u wszystkich dzieci, podział na dobrych i złych. Dlaczego nastąpił inny podział? Dlaczego nagle część osób została napiętnowana, a część zniknęła, ukrywając się? Zniknął jeden z moich najbliższych kolegów, Rysiek Działoński. Spotkaliśmy się dopiero po wojnie, którą przeżył w jakimś klasztorze.

Następuje kolejny etap niemieckiego, ludobójczego planu. Wszyscy Żydzi zmuszeni są przenieść się do getta - wydzielonej części miasta ogrodzonej drutem kolczastym. Tramwaj z Żoliborza do śródmieścia jedzie ul. Bonifraterską. Tory są po stronie wewnętrznej getta, dlatego przy przekraczaniu jego granic na stopniach tramwaju stają granatowi policjanci. Mają zapewne pilnować, aby nikt i nic z tramwaju nie przedostawało się do zakazanej dzielnicy.

Dwa wydarzenia z tego okresu szczególnie utkwily mi w pamięci. W getcie zapanował głód, w każdym razie dla części ludności. Ludzie umierają na ulicach. Widzę dwukołowy wózek, na który wrzucane są zwłoki zmarłych. Sama skóra i kości. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem ludzkie zwłoki.

Drugie wydarzenie miało miejsce w bramie wjazdowej do getta od strony Żoliborza. Dziś jest tam pomnik, przedstawiający miejsce wywózki Żydów. W bramie stoi niemiecki żandarm i kilku żydowskich policjantów, rosyjskich mężczyzn, w kapeluszach, z gwiazdami Dawida i długimi pałami. Jeden z policjantów okładał właśnie żydowskie dziecko, które pewnie próbowało przekroczyć bramę. Niemiecki żandarm przygląda się temu z rozbawioną miną.

Kolejny etap w zacieśnianiu getta to budowanie muru. Na Bonifraterskiej, którą jeżdżę z Żoliborza, mur powstał pomiędzy gettem a torowiskiem tramwajowym. Tak więc, jadąc tramwajem, znacznie mniej widziałem, co się tam dzieje.

Z czasem obserwujemy grupowanie ludzi i ich wyprowadzanie poza obszar getta. Z wiaduktu nad dworcem gdańskim widać ludzi ładowanych do wagonów towarowych. Nie bardzo wiem, co się dzieje. Wreszcie przychodzi kwiecień 43 i zaczyna się walka pomiędzy zamkniętymi w getcie Żydami i niemiecką żandarmerią. Słychać strzały, widać pierwsze pożary. Na Bonifraterskiej, po aryjskiej stronie, pojawiają się szaulisi. Tak nazywano łotewskie grupy współpracujące z Niemcami. Uzbrojeni po zęby, bacznie obserwują domy w getcie.

Rozpoczęło się to, co Niemcy nazwali „ostatecznym rozwiązaniem”. Wywożenie ostatnich Żydów i walka z tymi, którzy postanowili się bronić. Getto płonie. Dym i smród spalenizny dochodzą nawet do naszego mieszkania na placu Wilsona.

Getta już nie ma. Ludzie bądź wywiezieni, bądź zabici. Domy spalone, a te, co się zachowały, zostają niszczone. Niemcy budują kolejkę wywożącą z terenów getta gruz na Żoliborz. Obecna Kępa Potocka i Wisłostrada od Krasińskiego w kierunku Bielani leżą na wywiezionym z getta gruzie. Obserwowałem to, mając działkę właśnie na pograniczu tego wysypiska.

7. Szare Szeregi

Zanim przejdę do wspomnień o Szarych Szeregach, przytoczę moją notę biograficzną, zamieszczoną we wspomnianej na wstępie książce mego przyjaciela, Wojciecha Marcinkiewicza *"Szare Szeregi na Ochocie"*.

Witold Gutkowski pseudonim „Vis”

Nota biograficzna

Ur. 13.09.1928 w Warszawie. Ojciec Tadeusz, matka Estera z domu Bourdeau

Ojciec docent, inżynier optyk, matka bez zawodu.

Wykształcenie wyższe, profesor zwyczajny dr inż. mechanik. Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Członek Europejskiej Akademii Nauk Przewodniczący Komitetu Mechaniki PAN. Prezydent 21. Międzynarodowego Kongresu Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej (Warszawa 2004)

Wstąpił do Szarych Szeregów w listopadzie 1942. Hufiec TK, następnie OC. Członek organizacji Wawer. Przyjmujący i odbierający przysięgę Iwo Rygiel „Bogusław”

W końcowym okresie 1943 przeniesiony do drużyny OC 100 dowodzonej przez „Orlika” Wiesława Perlikowskiego. Zostaje sekcyjnym 110.

Stopień harcerski – wywiadowca.

Akcje wawerskie: malowanie „Polska Zwycięży”, „Pawiak pomścimy” i kotwice, akcje kinowe.

Szkolenie wojskowe: sklepy, Boernerowo, Filtry, Sonda.

Kolportaż: Biuletyn Informacyjny, Rzeczpospolita.

Służba wywiadowcza: opis terenu Ochoty.

Stopnie: lipiec 1944 - st. strzelec

 sierpień 1944 - kapral

Po śmierci „Orlika” (18 maja 1944) „Vis” zostaje dowódcą drużyny OC 100

Powstanie rozpoczyna w zgrupowaniu „Chrobry I), browarze Haberbuscha. Walki na Woli.

Przejście na Stare Miasto. Pasaż Simonsa, Długa. Przejście kanałami do Śródmieścia. Po krótkim okresie przejście z „Radosławem” na Czerniaków. Na końcu Okrąg 2 i Wilanowska do Solca.

Ranny jeden raz w rękę na ul. Wroniej – 6 sierpnia, przy odpieraniu ataku czołgów.

Do niewoli dostał się 24 września 1944 r. Stalag XB następnie AG XVII C

A oto co zapamiętałem z tych ważnych w moim życiu wydarzeń

Jest pewnie koniec 40. roku lub wiosna 41. Jadę na rowerze ulicą Promyka na Żoliborzu, gdzie mieszkałem od urodzenia. Moją uwagę zwróciła nieduża karteczka, z maszynowym drukiem, naklejona na latarni. A na niej napisane: „Nur für Deutsche”. Dało mi to do myślenia, że coś się dzieje ważnego, a ja jestem poza tą działalnością.

Pierwszą osobą, z którą rozmawiałem o działalności podziemnej, był mój szkolny kolega Zbyszek Szewczyk z IV kolonii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu. Nie potrafię jednak odtworzyć w pamięci, w jaki sposób od tego momentu znalazłem się w Szarych Szeregach na Ochocie.

Wczesne poranne wyprawy na Ochotę i malowanie napisów, między innymi „Polska zwycięży”, „Pawiak pomścimy” czy „Deutschland kaputt”, to podstawowa działalność naszej sekcji. Dwóch stało na ochronnych czatach, a kilku malowało. Poza farbą i pędzlem, z czasem unowocześniliśmy technikę. Miałem płytkie tekturowe pudło wyłożone watą lub

czymś innym chłonnym płyn. Na wierzchu był materiał. Na to wszystko wlewało się odpowiedni tusz. W drugiej ręce trzymałem deszczułkę z naklejoną kotwicą, wykonaną z porowatej gumy. Łącznie dawało to technikę stempla. Pamiętam szczególnie nasz wypad na „stemplowanie” budynku Zachęty. Niemcy świeżo odnowili budynek, który nazywali „Kulturhaus”, nadając mu biały kolor. Wspaniałe tło dla naszej kotwicy. Jeden z nas odwracał uwagę strażnika przy wejściu do budynku. Reszta stawiała od strony ul. Królewskiej kotwicę koło kotwicy. Wyglądało to wspaniale, acz niedługo, bo Niemcy, chyba następnego dnia, zamalowali nasze dzieło.

Jedną z poważniejszych akcji było wtargnięcie do kina „Uciecha” i zniszczenie aparatury projekcyjnej. Chodzenie do kina, w którym przed filmem wyświetlano niemiecką propagandę, było uważane za rzecz naganną. Niemniej jednak byli ludzie, którzy, pomimo napisów „same świny siedzą w kinie”, chodzili tam. Ta akcja była poważniejsza, z drużynowym Orlikiem (Wiesław Perlikowski) na czele. W trakcie seansu zostały podłożone pod drzwi wyjściowe odpowiednie kliny, uniemożliwiające otwarcie od środka. Następnie weszliśmy do bramy, z której było wejście do maszynowni. Ja stałem w bramie przy ulicy, obserwując „przedpole”. Orlik, bodajże z Sępem (Tadeusz Skudlarski), weszli do pomieszczenia, gdzie rozpoczęli niszczenie aparatury. Mój ojciec, inżynier optyk, udzielił mi wcześniej instrukcji jak niszczyć projektory, aby nie nadawały się do użytku. Należało więc w pierwszej kolejności rozbijać szklane części optyki.

Na koniec akcji przełożyli przez okienko projekcyjne wąż przeciwpożarowy, otwierając oczywiście hydrant jak najmocniej. Nietrudno sobie wyobrazić, co działo się na widowni, bez światła i w strugach wody. Oczywiście, po wykonaniu zadania szybko się ulotniliśmy. Niemniej po chwili znaleźliśmy się ponownie pod kinem jako gapie. Było sporo polskiej policji, przyjechał wóz z Niemcami i oczywiście ulica pełna ciekawskich.

Niezależnie od akcji, o których wspomniałem, systematycznie spotykaliśmy się na zbiórkach, poświęconych głównie szkoleniu. Częstym miejscem naszych zbiórek było moje mieszkanie na placu Wilsona, w budynku nad apteką. Mieszkalem z rodzicami na piątym piętrze. Do mieszkania dochodziło się dość ruchliwą klatką schodową, co pozwalało zachować konspiracyjny charakter zbiórek. Drugim częstym miejscem zbiórek było mieszkanie Wichra na ulicy Żabiej 5.

Jedna ze zbiórek miała się odbyć w domku letniskowym Gerarda, pod Warszawą. Byliśmy umówieni w kościele, przy stacji wąskotorówki. Po mszy mieliśmy iść razem do Gerarda domu. Jednakże w czasie mszy Niemcy zorganizowali łapankę. Padły strzały chyba wewnątrz kościoła i kto mógł, uciekał. Z Gerardem uciekliśmy przez zakrystię. Niestety, z oddali zauważyliśmy zbliżających się Niemców, a ja miałem przy sobie dwie trefne rzeczy. Mały pistolet „szóstkę” i tajną prasę. Szybkim ruchem wyrzuciłem pistolet gdzieś na bok, ale biuletyny zostały w wewnętrznej kieszeni kurtki. Niemcy dobiegli, było oczywiście „Hände hoch” i obmacywanie. Zapewne jakiś nieuświadomiony wermachtowiec nie zainteresował się papierami, które miałem przy sobie. Wsadzili nas na „budę” i ruszyli. Moją jedyną myślą wtedy było oczywiście jak pozbyć się trefnej prasy. Ujechaliśmy kawałek i „buda” zatrzymała się przy grupie Niemców. Jeden z nich w cywilu, prawdopodobnie dowódca całej akcji, zapytał tych, co nas przywieźli, czy byliśmy rewidowani. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, zapytał nas, co tu robimy. Gerard odpowiedział, że ma tu dom, a mnie zaprosił na niedzielę. Pewnie dlatego, że nie wyglądaliśmy podejrzanie, dostaliśmy po kopniaku na pożegnanie. Trzeba pamiętać, że mieliśmy wtedy po około 15 lat i widocznie w naszych chłopięcych strojach nie wzbudzaliśmy podejrzeń.

Gdy nas wieziono na „budzie”, znajomy Gerarda zauważył go. Szybko poszła wiadomość do jego rodziny na Brzeską, że jesteśmy aresztowani. Nie muszę opisywać radości rodziców Gerarda, gdy znaleźliśmy się u nich po paru godzinach. Odczekawszy kilka godzin po łapance, poszliśmy szukać porzuconego pistoletu. Zajęło nam to trochę czasu. Już prawie zwątpiliśmy w znalezienie go, gdy zauważyłem odbłask metalu pod olbrzymim liściem chwastu porastającego brzeg drogi.

Na zbiórkach była musztra – w prawo zwrot, w tył zwrot itd. Do tego podstawowe szkolenie strzeleckie i obsługa telefonu polowego, byliśmy przeznaczeni do łączności. Karabin na zbiórki przenosiliśmy ukryty w pęku palików, jakich używało się do podpierania krzaków pomidorowych. Pewnego razu miałem przykrą przygodę, bo karabin wysunął się i upadł na chodnik. Całe szczęście, że było już ciemno i pusto.

Dowództwo harcurskie dbało nie tylko o szkolenie wojskowe, zwracało również uwagę na podtrzymywanie tradycji kulturalnych. Mieliśmy więc spotkania z druhnami, z którymi przygotowaliśmy spektakl do „Ślubów panieńskich” Fredry. Nie przypominam sobie jednak, aby ten spektakl był gdziekolwiek zrealizowany.

Było i trochę działalności, powiedzmy szczerze, samowolnej, chyba nawet zakazanej przez dowództwo AK. Chodziliśmy wieczorami, w kilku, po mieście, polując na samotnych Niemców z pistoletami. Dwóch szło z tyłu, dwóch wyprzedzało Niemca i gwałtownym zwrotem do tyłu, „prosiło” w sposób zdecydowany – Hände hoch! Wielkich zdobyczy nie było, ale przybyło w ten sposób kilka pistoletów w tym słynna „Janette”. Niemiec, właściciel tego pistoletu szedł z kobietą, która w momencie napadu na Nowogrodzką, po prostu uciekła. Rozbrojony Niemiec już po wszystkim, gdy szybko się oddaliliśmy, wołał za swoją towarzyszką: „Janette! Janette!”

W maju 1944 nasza drużyna OC 100 poniosła niepowetowaną stratę. Zginął Orlik, nasz drużynowy. Nie tylko drużynowy, ale druh, kolega i przyjaciel, w pełni oddany sprawom drużyny i Polski. Zginął w centrum Warszawy w nierównej walce, osaczony przez liczne oddziały niemieckie. Szedł Alejami Ujazdowskimi z bronią, gdy patrol niemiecki chciał go wylegitymować.

Mnie przypadło objęcie dowództwa drużyny OC 100 po śmierci Orlika. Był to krótki, dwumiesięczny okres przed wybuchem Powstania. Wspominam go jako okres bardzo dobrej współpracy z poszczególnymi sekcjami. Orlik pozostawił drużynę w bardzo dobrym stanie, z niezwykle sprawnymi sekcyjnymi, z których, prawdę mówiąc, każdy mógł zająć jego miejsce jako drużynowy. Dla mnie „setka” pozostanie na zawsze w pamięci jako drużyna, w której wiodącą rolę grali jej zastępowi, moi serdeczni Przyjaciele. Tom (Roland Parole) – zastęp 120; Pozorny (Gerard Niewiadomski) – zastęp 130; Kubuś (Wojciech Marcinkiewicz) - zastęp 140; Wichura (Czesław Motowski) – zastęp 150 i Generał (Miroslaw Biernacki) – zastęp 160. Na końcu tego rozdziału zamieszczam kilka zdjęć bliskich mi druhów. Większość pochodzi ze zbiorów Wojtka Marcinkiewicza.



„Bogusław”, Iwo Rygiel
Dowódca hufca GS



„Orlik”, Wiesław Perlikowski
Dowódca drużyny OC 100



„Vis”, Witold Gutkowski
Dowódca sekcji 110,
drużynowy OC 100



„Pozorny”, Gerard Niewiadomski
Dowódca sekcji 120



„Tom”, Roland Parole
Dowódca sekcji 130



„Kubuś”, Wojciech Marcinkiewicz
Dowódca sekcji 140



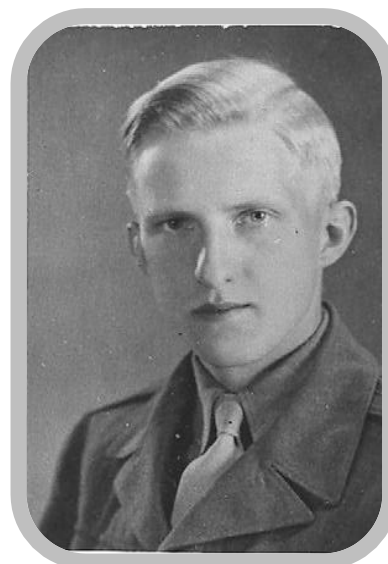
„General”, Mirosław Biernacki
Dowódca sekcji 160,
drużynowy OC 100



„Młot”, Jerzy Zakrzewski
Seksja 120



„Kuna”, Bogusław Zadrożny
Sekcja 120



„Kajtek”, Kajetan Zieliński
Sekcja 160



„Pimpek”, Janusz Słyk
Sekcja 120



„Dobry”, Zdzisław Dobrzyński
Sekcja 140



„Jur”, Stefan Pastewka
Sekcja 140



„Zbyszek”, Zbigniew Kałużyński,
Sekcja 160

8. Powstanie

Niewiele pamiętam z niezwykle ważnych dni poprzedzających Powstanie. Wszystko, co wiem, to albo usłyszałem albo przeczytałem. Zgodnie z zapowiedzią na wstępie, wspominam tylko to, co bezpośrednio zapadło w mą pamięć. Przechodzę więc do Powstania.

Wola

Wtorek rano, 1 sierpnia. W domu pakowanie plecaka i przygotowania do wyjazdu z domu. Mama szykuje płatki owsiane prażone na cukrze, które stanowiły główne pożywienie w najbliższych dniach. Ja oponuję co do ich ilości, twierdząc, że przecież idę na trzy dni. Niemców wykurzymy i wracam do domu. Około drugiej po południu spotykam się z zastępem Toma na terenie stacji pomp, na Towarowej. Stamtąd mieliśmy się udać na miejsce zbiórki całej drużyny na Niemcewicza. Niestety, Powstanie wybucha przed czasem i praktycznie jesteśmy odcięci od własnego dowództwa. Wysyłam Tadka (Tadeusz Kozłowski) na zwiady, aby się zorientował o możliwościach przejścia na Ochotę. Niestety, Tadzio gdzieś utknął i nie mógł do nas wrócić, pozostał na Śródmieściu. Tymczasem sytuacja na stacji pomp znacznie się skomplikowała. Pod wieczór Niemcy opanowali Towarową i nie było mowy o wykorzystaniu tej drogi. Gospodarz stacji, mieszkający tam z rodziną, naciska na nas, abyśmy stamtąd wyszli, ponieważ narażamy jego rodzinę. Pozostaje więc ewentualnie przedostanie się po ogrodzeniach gdzieś w kierunku Wroniej. Nad ranem, drugiego, podejmuję decyzję, aby wypróbować wydostać się na Wronią. Montujemy dostępny sprzęt łącznie z drabiną i ostrożnie wychylam się, podglądając, co dzieje się na Wroniej. Wielka radość! Na ulicy widać powstańców z opaskami, a więc są nasi! Okazuje się, że to oddziały „Chrobry I”. Zgłaszamy się do najbliższego dowódcy. Zostajemy zarejestrowani, ale jednocześnie spotyka mnie wielka przykrość. Odebrano mi mojego ukochanego visa. Pistolet z powrześniowych wykopów miał wżery po rdzy, ale był wspaniałym pistoletem. Zostajemy przydzieleni do plutonu por. Lisa i kompanii majora Sosny. Miejsce postoju – browar Haberbuscha, ul. Grzybowska. Miejsce do spania w olbrzymim magazynie na jęczmieniu.

Pierwsze dni mijają bez większych przygód. Obstawiamy barykady u wylotu Prostej i Łuckiej na Towarową. Dla nas prawdziwe walki zaczęły się bodaj w sobotę. 5 sierpnia skoro świt alarm! Niemcy atakują wzdłuż Wroniej od strony Al. Jerozolimskich. Maszerujemy na Wronią, gdzie mamy im to utrudnić, ale, niestety, mamy tylko butelki z benzyną. Dla mnie i Toma walka trwa krótko. Z nadchodzącego „tygrysa”, niemieckiego czołgu pada strzał, który nas unieszkodliwia. Jeden z odłamków przechodzi na wylot przez moją prawą dłoń. Drugi rani Toma, przechodząc przez prawe przedramię, szczęśliwie nie uszkadzając kości. Wycofujemy się, nie odczuwając specjalnego bólu. Dopiero jak sanitariuszki zlały nam rany wodą utlenioną, zaczął się piekielny ból, który towarzyszył nam przez pierwszy dzień.

Starówka

Zostajemy skierowani do szpitala na placu Bankowym, gdzie powinni nam udzielić lekarskiej pomocy. Niestety, na pl. Bankowym już nie ma prądu i rentgen nie działa. Zostajemy skierowani do szpitala na ul. Barokową, taką małą uliczkę pomiędzy ul. Długą i parkiem Krasińskich. Niedługo tam zagrzaliśmy miejsca. W czasie któregoś z naszych wyjść szpital został zniszczony bombami przez Niemców. Oddziały Chrobrego I broniły między innymi Pasażu Simonsa. Wskutek bombardowania stukasami większość przebywających tam

powstańców ginie. My tymczasem z Tomem jesteśmy ulokowani na Długiej 23. Budynek miał połączenie z Miodową 23. W przejściowej bramie był ustawiony olbrzymi dyrektorski fotel z wysokim oparciem, na którym siedzieliśmy nocą na zmianę, sprawdzając przechodzących ludzi. Sprawdzanie polegało na pytaniu o hasło, na które należało odpowiadać odzewem.

W tym czasie dopadło mnie silne rozwolnienie. Przy słabym odżywianiu i wcześniejszej utracie krwi to był problem. Gdy wstawałem z pozycji siedzącej lub leżącej, musiałem chwilę postać i na czymś się wesprzeć, aż znikną mi czarne plamy przed oczami. Drugi problem z tym związany był nie mniej kłopotliwy. Podwórka były w znacznej części cmentarzami. Połączenie nagłej potrzeby z decyzją, jak daleko to zrobić od grobu, było za każdym razem niezwykle trudne.

W tym czasie miały miejsce ciągłe ataki niemieckich samolotów i rakiet, popularnie zwanych szafami, gdyż, lecąc, wydawały odgłosy przesuwanej szafy. Tylko raz schroniliśmy się w piwnicy przy takim ataku. Było to w domu już od strony Miodowej. W obszernej piwnicy, w której była zlokalizowana normalna drukarnia, koczowały dziesiątki cywilnych osób. W czasie wybuchu zatrasnęły się drzwi wejściowe do piwnicy i było słychać walący się gruz. Powstała panika. Ludzie zaczęli krzyczeć, że jesteśmy zasypiani. Znalazła się jednak jedna przytomna osoba, która weszła po schodach do drzwi wejściowych do piwnicy, nacisnęła klamkę i swobodnie otworzyła drzwi, zatrzasknięte wcześniej podmuchem od wybuchu. Po tym wypadku powiedziałem sobie, że nigdy więcej nie zejść do żadnego schronu. I byłem w tym postanowieniu konsekwentny do końca Powstania.

Chyba był to ostatni dzień sierpnia, gdy podjęto próbę przebicia się górą do Śródmieścia. Nocą, w pobliżu Hipoteki (wtedy nie było tam wykopu trasy WZ), zebrali się setki powstańców. Niestety, przebicie udało się jedynie małej grupie. Niemcy, gdy zorientowali się, co się dzieje, oświetlili teren swymi słynnymi lampionami na spadochronach. Powstał niesłychany chaos, w trakcie którego zgubiliśmy się z Tomem. Spotkaliśmy się dopiero po wojnie. Tom trafił do Oświęcimia. Mnie się udało wydostać ze Starówki kanałami do Śródmieścia.

Kanałem do Śródmieścia

Wchodziliśmy do kanału, późną nocą, włazem na placu Krasińskich. Miałem z tym kłopot, albowiem prawa ręka była wciąż na temblaku, a schodzenie po klamrach wymagało dwóch rąk. Początkowo idziemy wyprostowani, kanał jest dość wysoki. Jest zupełnie ciemno, trzeba się trzymać jeden drugiego, gdyż w kanale są rozgałęzienia i można się zgubić. Nie można było powiedzieć ani słowa. Wody, raczej ścieków kanalizacyjnych, było gdzieś do pół łydki. W pewnym momencie uderzyłem się głową, ponieważ nagle wysokość kanału zmniejszyła się. Kilka razy o mało nie upadłem, zaplątawszy się w jakieś porzucone przedmioty. Są momenty, gdy idziemy pod stanowiskami niemieckimi i słychać ich pojazdy. To chyba Krakowskie Przedmieście. Nie muszę mówić, że skóra cierpnie. Oczywiście, nie mierzyłem czasu tej dramatycznej wędrówki (wcześniej zegarek zerwał mi z ręki, a czapkę z głowy, podmuch wybuchu jednej z „szaf”). Z późniejszych narracji dowiedziałem się, że trwało to ponad trzy godziny. Przejście od placu Krasińskich do Wareckiej przy Nowym Świecie trwało ponad trzy godziny! Wychodzimy więc przy Wareckiej. Ściślej rzecz biorąc, to nas raczej wyciągają niż wychodzimy o własnych siłach.

Odpoczynek w Śródmieściu

Wychodzimy do zupełnie innego świata. Całe domy, szyby w oknach, jest elektryczność! Pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, to zmienić opatrunek ręki. Wędrówka kanałem oraz ciągle podpieranie się o obślizgłe jego boki sprawiły, że opatrunek wyglądał niebezpiecznie zabrudzony. Dowiaduję się, że najbliższy punkt sanitarny jest na ulicy Boduena, chyba pod piątym. Rzeczywiście, punkt znajdował się w małym budyneczku na środku podwórka. Jest późna noc, więc moje dobijanie się do skutku trwa jakiś czas. Wreszcie otwiera drzwi jakaś rozespana niewiasta, która opryskliwie pyta, czego chcę. Na moją prośbę o opatrunek pyta, czy nie widzę wywieszonych na drzwiach godzin przyjęć. Było trochę nerwowo, ale w końcu zrobiono mi nowy opatrunek.

Chwilowo zostaliśmy zakwaterowani w kinie Palladium. Siedziałem w którymś z pierwszych rzędów na czerwonym fotelu. Potem przewędrowałem do hallu, gdzie siedziałem na miękkiej czerwonej kanapie. W czasie, gdy decydowano o naszych dalszych losach, zrobiłem z Palladium dwa wypady. Do Ciotki Heluni Chmielikowskiej na Śniadeckich. Trochę mnie podżywiła, dzieląc się swymi skromnymi zapasami. Ale co jeszcze ważniejsze, domyłem u niej nogi oblepione szlamem z kanału. A nie było to łatwe. Wymagało moczenia nóg niemal we wrzątku, z dodatkiem jakiegoś środka do prania, czy szarego mydła. Druga wyprawa miała za cel odszukanie Maniusi, mojej chrzestnej matki. Maniusia to Maria Sokołowska, siostra Mieczysława Sokołowskiego – Grzymały. Maniusia miała pseudonim „Wawerska”. Oficer AK, sekretarz organizacji „Wawer”, utworzonej przez Aleksandra Kamińskiego. W czasie Powstania pełniła rolę kolporterki VI Oddziału Sztabu KG AK. Było to chyba na ulicy Ks. Skorupki. Niezwykle się ucieszyła z tego spotkania, gdyż od początku Powstania nie miała ode mnie żadnej wiadomości.

Niedobitki ze Starówki, a więc żołnierzy Chrobrego I, Parasola, Zośki i innych zgromadzono na Nowogrodzkiej, lokując w prywatnych mieszkaniach, gdzie mieliśmy nieco odpocząć przed dalszymi rozkazami. Przebywałem u niezwykle sympatycznych państwa na Nowogrodzkiej 4a. Po miesięcznej przerwie spałem w normalnym łóżku, w normalnej czystej pościeli. Nie wiedziałem nigdy wcześniej, że to może być taka frajda. Nocą wypuszczaliśmy się do Instytutu Ociemniałych, a ściślej rzecz biorąc - do jego ogrodu. Chodziło o pomidory. W nocy nie można było jednak stwierdzić, który z nich jest dojrzały, a który zielony. W czasie naszego pobytu na Nowogrodzkiej miał miejsce nalot na kościół św. Aleksandra przy pl. Trzech Krzyży. Kościół legł w gruzach.

Czerniaków

Po paru dniach odpoczynku jesteśmy wysłani na Czerniaków dla wsparcia tam walczących. Sprawa pozornie prosta, ale trzeba przeskoczyć częściowo rozbity barykadę na rogu Nowego Świata i Książęcej. Barykada była pod stałym ostrzałem z budynku BGK przy Al. Jerozolimskich. Byłem pierwszy, który przeskakiwał tę przeszkodę. Po moim skoku zaczął się ostrzał z BKG. Wpadłem do narożnego sklepu, był to sklep herbaty i kawy Meinla. Na następnych kolegów czekałem długo. W każdym razie wydawało mi się, że wieki. Wreszcie wszyscy, pewnie ze dwadzieścia osób, szczęśliwie przeskoczyli ostrzeliwaną barykadę. Idziemy okopem wzdłuż ul. Książęcej do miejsca docelowego, jakim był duży gmach pod numerem drugim przy ul. Okrąg. Tam wśród rannych, zgromadzonych w piwnicach, spotykam Wichra, z mojej sekcji i drużyny, rannego w nogę. Niewiele mogę mu pomóc. Już w czasie naszego pobytu rozgorzały walki o ten gmach. Rozeszła się błyskawicznie wiadomość, że Niemcy kierują na budynek Goliata (mały czołg, napętniony

dynamitem i sterowany za pomocą kabli) i to akurat w to miejsce, gdzie leżeli ranni. Powstała wśród nich niesamowita panika. Ciężko ranni ludzie robili wszystko, aby się wyrwać z tego miejsca i przenieść się do drugiej strony budynku. Goliat zrobił swoje, eksplozja w końcu zmusiła nas do wycofania się z tego budynku. Ranni, niestety, zostali. Zaczęły się walki na ul. Wilanowskiej (dziś ul. Gwardzistów). Pojawiają się „berlingowcy”, prości żołnierze, w porównaniu z powstańcami czują się wyraźnie zagubieni w walkach w mieście. Niemcy nie wykorzystują już lotnictwa, gdyż nad niebem tej części Czerniakowa panują Rosjanie. Z kukuruźników zrzucają trochę żywności - suchary i... kaszę w potężnych garach. Powiało optymizmem, nadleciała bowiem armada amerykańskich samolotów ze zrzutami. Niestety, nic nam się nie dostało.

Jestem ponownie czynnym powstańcem. Dostaję do obsługi rkm, haftowaną torbę z taśmami pocisków i stanowisko bodajże na trzecim piętrze jednego z domów na Wilanowskiej, z widokiem w kierunku południowym.

W pewnym momencie zostaję wezwany z karabinem na parter. Sytuacja jest następująca. Duży pokój, otwarte okno i widok na zabarykadowane okno sąsiadującego budynek, chyba stróżówki. Tam są Niemcy, a moim zadaniem jest wykurzyć ich za pomocą kilku serii z pociskami zapalającymi. Aby to wykonać, na czworakach przesuwamy znajdujący się w pokoju fortepian. Teraz mam szybko ustawić swój rkm i oddać wspomniane serie. Wszystko szło dobrze do momentu strzelania. Z braku doświadczenia niewystarczająco zaparłem się przed odrzutem. W rezultacie tylko część pierwszej serii doszła do celu. Odrzut przewrócił mnie do tyłu i duża część serii poszła w sufit pokoju, w którym byliśmy. Jeszcze widzę przerażone miny dwóch powstańców, którzy stali po bokach okna. Drugie podejście udało się. Wprawdzie nic się nie zapaliło, ale wyglądało na to, że przeciwnik opuścił stróżówkę.

Wracam na swoje stanowiska na górze budynku. Tam po jakimś czasie czeka mnie następne zdarzenie. Z okna widzimy, że kilkaset metrów od nas pojawiło się działo szturmowe i dwa czołgi. Działo było ustawiane oczywiście w kierunku Wisły, gdzie pojawiały się dymy zasłonowe, zapowiadające desant. Niewiele myśląc, kieruję rkm w kierunku Niemców i oddaję kilka krótkich serii. Odległość była na tyle znaczna, że trudno było mówić o jakimś precyzyjnym trafieniu, jednak na tyle groźna, że Niemcy zdecydowali się na „odpowiedź”. Patrząc na ich reakcje, widzimy, że schowali się do czołgów, a jedna z luf kieruje się w naszą stronę. Błyskawicznie uciekamy na klatkę schodową, jak najdalej od tej strony budynku. Ledwie zdążyliśmy uciec z pokoju, w którym byliśmy, jak walnął tam czołgowy pocisk. Jeden wielki czerwony kurz wypełnił najbliższe otoczenie. Widać mury były ceglane. Jesteśmy cali obsypani tym pyłem. Parsknęliśmy śmiechem, bo wyglądaliśmy jak Indianie.

Ktoś nam mówi, że w sąsiednim domu, w piwnicy, jest oficer od Berlinga, który przez radiostację kieruje ogniem katiusz z prawobrzeżnej części Warszawy. Idziemy tam i na mapie Warszawy pokazujemy mu miejsce zgrupowania czołgów i działa szturmowego. Oficer jest w polskim mundurze, ale słabo mówi po polsku. Po naszej informacji nadał wiadomość przez radio. Po kilku minutach „zagrały” katiusze. Jaki był dokładnie skutek, trudno powiedzieć. Z naszych obserwacji wynikało, że jeden z czołgów uciekł. Czy działo i drugi czołg zostały uszkodzone, z takiej odległości nie można było ocenić.

Zbliża się chyba najgorsze. Mój rkm jest już bezużyteczny z powodu braku amunicji. Pojawiają się natomiast pepesze, niezwykle odporne na wszelkiego rodzaju zapalenia i zanieczyszczenia.

Odnoszę wrażenie, że dowództwo tego rejonu coraz mniej panuje nad sytuacją. U mnie, 16 - letniego chłopca, zaczyna pojawiać się pytanie - po co to wszystko? Zaczyna się jakby indywidualne szukanie ratunku. Kilku z nas wybiera się nad Wisłę, zobaczyć, jakie są możliwości przeprawy na prawą stronę. Zobaczyliśmy dosłownie makabrę. Niemcy oświetlali obszar przeprawy światłem na spadochronach, co czyniło noc jasną niemal jak dzień. Z wieżyczek na moście Poniatowskiego strzelali do wszystkiego, co się ruszało na rzece. Strzelali nawet do pojedynczych ludzi, którzy uczepieni jakichś przedmiotów próbowali przepłynąć Wisłę. Niestety, prąd rzeki spychał ich w kierunku mostu, co ułatwiało Niemcom celowanie. Przy brzegu na wpół zatopione łodzie berlingowców z dziesiątkami trafionych ciał. Zdecydowanie rezygnujemy z przeprawy.

Ostatni rozkaz, jaki pamiętam, polegał na konieczności opanowania okopu przy wale ul. Solec. W tym czasie Solec to ulica na wale przeciwpowodziowym. Rozkaz dostałem od kapitana z batalionu „Zośka”, który dowodził na tym odcinku. Był mi już znajomy. Widziałem go w szpitalu na Barokowej, na Starówce, gdzie trafiliśmy z Tomem. Do pomocy miałem grupkę berlingowców.

Pierwsze próby dotarcia do okopu nie powiodły się z powodu silnego ostrzału. Dłuższy czas leżymy plackiem pod olbrzymim drzewem, tuż przy wale. Drzewo to pozdrawiałem jeszcze wiele lat po wojnie. Zniknęło dopiero po przebudowie Solca. W końcu decyduję się pierwszy na skok. Dobiegam do okopu, nie wiedząc, co tam zastanę. W okopie słyszę jęki rannego, ale nawet nie wiem, kto to jest, jakiej narodowości. Długo czekam na pierwszego berlingowca. Wreszcie biegnie, ale w tym momencie dosięga go seria z karabinu maszynowego. Były w niej i pociski świetlne, bo widzę, jak jedna z nich trafia go w piersi. Pada na twarz i nieruchomieje. Nic nie wyszło z opanowania okopu. Udało mi się jakoś wycofać, ale inną drogą niż przybiegłem. Powrót tą samą drogą był, ze względu na ostrzał, niemożliwy

To już koniec. Powoli milkną strzały, ludzie gromadzą się grupkami w osłoniętych miejscach, czekając na najgorsze. Wielu powstańców klęczy i żarliwie modli się. Ile czasu to trwało, nie powiem, nawet w przybliżeniu.

9. Giną najbliżsi

Zdaję sobie sprawę z ułomności pisanych wspomnień. Ułomności wynikającej z braku tła i atmosfery czasów, których te wspomnienia sięgają. Tymczasem działo się to wszystko w czasach grozy i ludzkich nieszczęść. Łapanki, rozstrzeliwania zakładników, wywożenie do Oświęcimia i na roboty. Głód – chleb na kartki, zwany bonowcem, zupki z RGO i lampy karbidowe. Tragedia warszawskiego getta. Jednocześnie w tej sytuacji uczyliśmy się, często na tajnych kompletach. Dane mi było na tajnych kompletach ukończyć cztery klasy gimnazjum i uzyskać małą maturę.

Podobnie w czasie Powstania. Śmierć na każdym kroku, zniszczenia, dziesiątki rannych i zabitych. Brak jedzenia i wody, ciągle bombardowania i ostrzał z dział lub granatników. Wykorzystywanie ludności cywilnej jako tarcz. Palenie ludności w piwnicach. Przeżycia potwornych zniszczeń. A jednocześnie nadzieja na zwycięstwo, poświęcenia wielu powstańców, niepatrzących na grozę śmierci i kalectwa. Trudno więc nie wspomnieć o stratach wśród najbliższych.

Najbliższą mi i naszej rodziny ofiarą wojny była moja siostra **Halina Gutkowska**. Pełna życia, przystojna dziewczyna. W czasie okupacji chodziła do szkoły handlowej, odbywała praktyki w sklepach Społem i w fabryce Wedla. Ostatni raz widzieliśmy się 1 sierpnia, w dniu wybuchu Powstania. Nie było wylewnych pożegnań, przecież za trzy dni wykurzymy Niemców i wrócę do domu. Po wybuchu Powstania Halina została sanitariuszką w szpitalu przy ul. Krechowickiej. W ostatnim dniu walk na Żoliborzu, 30 września, niosąc pomoc rannemu, zginęła.

Na odwrotnej stronie Jej ostatniego, przedwojennego zdjęcia, Mama napisała: *Halina Gutkowska née le 15 décembre 1926 tombée a son poste le 30 septembre 1944, elle était infirmière de la Croix Rouge. (Halina Gutkowska urodzona 15 grudnia 1926 padła na swym posterunku 30 września 1944, była sanitariuszką Czerwonego Krzyża).*

Już we wrześniu 1939 Niemcy aresztują **Zygmunta Tatarskiego**, mojego ciotecznego brata (jego Matka i mój Ojciec to rodzeństwo). Zygmunt, obawiając się dywersji w firmie, którą kierował, zwolnił wszystkich ludzi w momencie wejścia Niemców. To było powodem aresztowania, a następnie wywiezienia jednym z pierwszych transportów do Oświęcimia. Wkrótce tam zmarł.

19 września Niemcy urządzili olbrzymią łapankę na Żoliborzu i na Ochocie. Pamiętam niemieckich żołnierzy na rogu Mickiewicza i Książna. Przechodziłem koło nich swobodnie, nie byłem, zapewne jako dziecko, w obszarze ich zainteresowania. W sieci łapanki wpadły dwie bliskie mi osoby. Na Żoliborzu mój ojciec chrzestny **Ludwik Sokołowski**, a na Ochocie **Mieczysław Sokołowski**, jego brat (Matką mego Ojca była Jadwiga z domu Sokołowska). Ludwik był inżynierem chemikiem, Mietek był majorem w Polskim Wojsku, przed wojną, między innymi w K.O.P. na pograniczu z ZSRR.

Obaj bracia znaleźli się razem w Oświęcimiu, gdzie umieszczono ich w bloku nr 11. Spali tam koło siebie na jednym sienniku. Niestety, Ludwik nie wytrzymał obozowego reżimu i po dwóch miesiącach, 3 grudnia, zmarł. Mietek, silniejszy i wysportowany, trwał dalej, aż przyszło niespodziewane uwolnienie.

Są dwie wersje tego uwolnienia. Po dziś dzień nie wiadomo, która rzeczywista. AK już w tym czasie miała jakieś tajne dojścia do Niemców, którzy za łapówki zobowiązywali się do

uwalniania wszelkich więźniów. Z takiej możliwości rzekomo skorzystał gen. Rowecki, który bezwzględnie chciał mieć majora Sokołowskiego w swych akowskich szeregach.

Druga możliwość pochodziła z zabiegów jego żony, Gudy, która pracowała jako kelnerka w kawiarni „Nur für Deutsche”. Spotkała tam Niemca, dr. Schulza, który, gdy dowiedział się, że jej mąż jest w Oświęcimiu, obiecał pomóc w uwolnieniu go. W tym celu zaniósł stosowne podanie do urzędu, w którym pracował Schulz. Pewnego dnia, gdy przyszła zapytać o losy podania, dowiedziała się, że dr. Schulza aresztowano za zbytnią pomoc Polakom. Niemniej jednak trzy tygodnie później, w marcu 41, Mietek, ledwie żywy, wrócił do Warszawy.

Jak wiadomo, z czasem został komendantem AK Obwodu Ochota pod pseudonimem „Grzymała”. Losy i historię Zgrupowania Ochota opisał pięknie i szczegółowo Józef Broniszewski, autor książki „Ochota 1939-1945”. Dotychczas nieznane są szczegóły śmierci Mieczysława Sokołowskiego. Zgrupowanie po wyjściu z Ochoty znalazło się w Lasach Chojnowskich. Stamtąd mieli udać się na pomoc powstańcom z Mokotowa. W nocy z 18 na 19 w natarciu na pałac Wilanowski Mietek, pułkownik „Grzymała”, został ciężko ranny. Zginął nad ranem dobito przez Niemców. We wspomnieniach jego żołnierzy nie ma jedynomyślności, co do okoliczności Jego śmierci. Nie mnie rozstrzygać te wątpliwości, więc o nich nie piszę.

18 maja 1944 nasza drużyna Szarych Szeregów OC 100 poniosła niepowetowaną stratę. Zginął **„Orlik” – Wiesław Perlikowski**, nasz drużynowy. Druh, kolega i przyjaciel, w pełni oddany sprawom drużyny i Polski. Zginął w centrum Warszawy na skrzyżowaniu Kruczej i Nowogrodzkiej. Niemiecki żandarm chciał go wylegitymować, a „Orlik” miał przy sobie broń. Po zastrzeleniu żandarma zaczęła się prawdziwa walka osamotnionego „Orlika” z całym oddziałem Niemców. Walka skończyła się, niestety, śmiercią naszego Drużynowego. Mnie przypadł zaszczyt objęcia po Nim dowództwa drużyny.

W czerwcu, w akcji kolejowej Związku Walki Młodych na linię białostocką, ginie **Jan Bida**, jeden z moich najbliższych kolegów szkolnych. Niefortunnie siadł w Markach do wagonu przeznaczonego dla Niemców, którzy zorientowali się, że Janek ma broń. Ucieczka i pościg za Nim skończyły się Jego tragiczną śmiercią, pomimo zaciętej obrony.

W nocy z 1 na 2 sierpnia, po naradzie nad dramatyczną sytuacją oddziałów powstańczych na Ochocie, ppłk „Grzymała” – Mieczysław Sokołowski podjął decyzję o wycofaniu się do lasów sękocińskich. Około drugiej nad ranem, 2 sierpnia, oddziały powstańcze opuściły Ochotę. Już rano część oddziału napotkała pod Pęcunami silny niemiecki ostrzał. Część powstańców tej grupy zginęła w walce. Część, po dostaniu się do niewoli, została rozstrzelana. Wszyscy spoczywają na wspólnym żołnierskim cmentarzu, koło dworku w Pęcinach. Znajduje się tam tablica upamiętniająca kilkudziesięciu powstańców. Zginęli tam: **Iwo Rygiel – „Bogusław”**, dowódca hufca, przed którym składałem harcerską przysięgę w 1942. Zginęli harcerze „setki” (OC 100): **Franciszek Napiecek – „Franek”** i **Zbigniew Urbanek – „Tadek”**. **Zygmunt Dworak – „Marysia”** został rozstrzelany po wzięciu go do niewoli. W końcu sierpnia ginie **Mirek Biernacki „Generał”**, dowódca „Kurzej Stopki”, rygla obrony od strony ul. Towarowej.

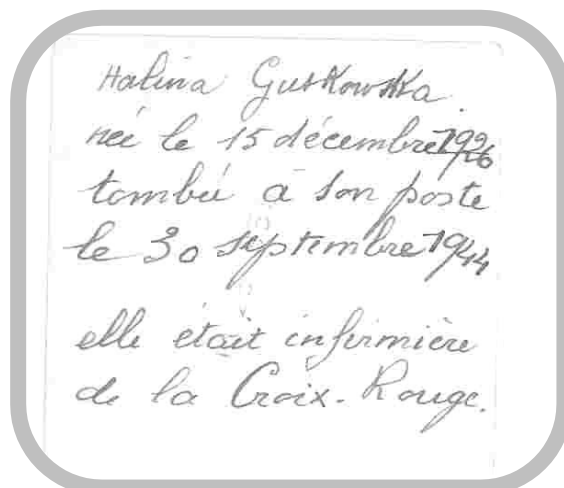
Całą epopeję walki, bardzo wnikliwie opisał Józef Broniszewski w już wcześniej wspomnianej książce „Ochota 1939 – 1945”. Liczne autentyczne relacje z tych walk zawarte są we wspomnieniach uczestników tych zdarzeń w przywołanej już książce Wojciecha Marcinkiewicza „Szare Szeregi na Ochocie”.

W czasie Powstania ginie trzech moich kolegów z tajnych kompletów. **Stefan Puławski**, żołnierz Batalionu Szturmowego AL., bardzo koleżeński, serdeczny przyjaciel. Zapalony

majsterkowicz i modelarz. Zginął w bunkrze na rogu Felińskiego i alei Wojska Polskiego. **Dobrek Ochęduszko**, niezwykle miły kolega i towarzysz licznych wypraw rowerowych, wspólnie z Wojtkiem Jankowskim. Dobrek zginął w bliżej nieznanych mi okolicznościach. **Szarek Próchnik**, syn Adama Próchnika, działacza PPS. Szarek po śmierci ojca przestał uczęszczać na komplety i zamieszkał w „Naszym Domu” na Bielanych. Po Powstaniu nikt go więcej nie widział.



Halina Gutkowska



Mama o śmierci Haliny na odwrocie zdjęcia



Ludwik Sokołowski



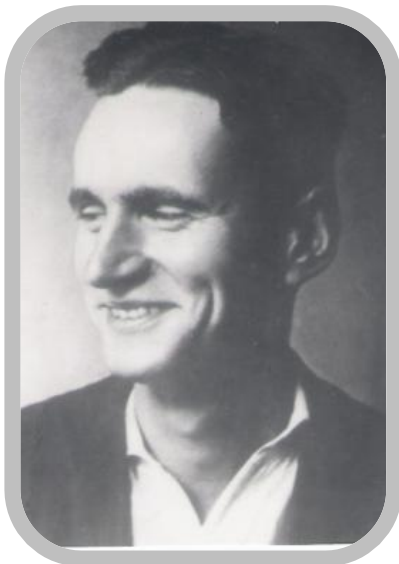
Mieczysław Sokołowski



Zygmunt Tatarski



Wiesław Perlikowski



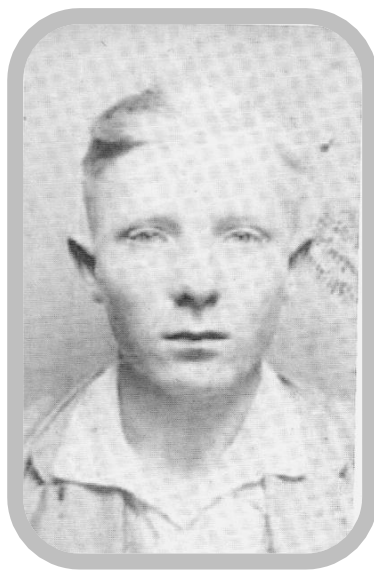
Iwo Rygiel



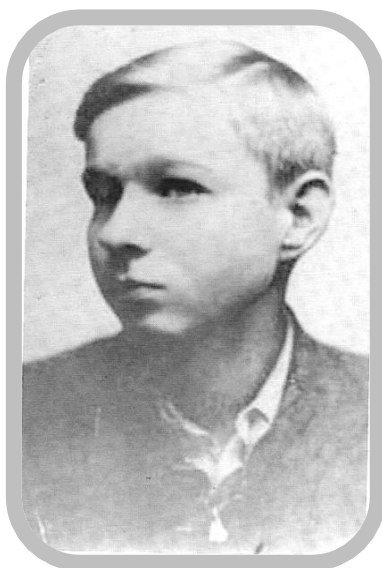
Stefan Puławski



Zbigniew Urbanek



Franciszek Napiecek



Zygmunt Dworak

10. Niewola

W drodze do obozów jenieckich

W końcu słyszymy nawoływania, aby wychodzić z rękami do góry. Nie miałem oczywiście przy sobie kalendarza, ale według danych PCK było to 27 września.

Otoczają nas Niemcy z bronią gotową do strzału. Wydaje mi się, że widziałem wśród nich SS Ukraińców. Idziemy, już w powiększonej do kilkudziesięciu osób grupie, stale z rękami do góry. Dwukrotnie jesteśmy ustawiani naprzeciw karabinu maszynowego. Jego obsługa zatacza łuk, jakby chciała sprawdzić czy wszystkich nas obejmie. Uczucie pełnego odrętwienia. Śmierć widziana na co dzień, widziana częściej niż coś do jedzenia, potworne zmęczenie i świadomość, że nie biorą jeńców - to skutek tego stanu. Nie wiem czy to było zastraszenie, czy zmiana decyzji, w każdym razie w końcu możemy opuścić ręce. Jesteśmy prowadzeni w kierunku alei Szucha.

Gdzieś na zapleczu Myśliwieckiej zatrzymują nas i ustawiają w szereg. Podchodzi Niemiec po cywilnemu i dokładnie patrzy w twarz każdego z jeńców. Wskazuje na dwóch, którym każą wyjść. Odprowadzają na bok. Słyszymy kilka strzałów, a odprowadzeni nie wracają. Nietrudno się domyśleć, że byli to Żydzi.

Cel tej części drogi to al. Szucha. Zgromadzeni jesteśmy na podwórzu. Widok niesamowity, cały budynek ma wszystkie szyby! Tylko na samej górze w jednym oknie mała dziurka w szybie, pewnie od jakiejś zabłąkanej kuli. Ciekawe, że przy takich przeżyciach ten fakt utknął mi tak w pamięci.

Na podwórzu al. Szucha dzielą ludzi na cywilów i wojskowych. Próbuję przedostać się do cywili, ale mi się to nie udaje. Dostajemy trochę szwedzkiego chleba i picie. Potem zbiórka w szereg i marsz. Idziemy w kierunku Rakowieckiej. Jeszcze na Szucha zawyły katiusze. Nasza obstawa, tym razem „blacharze” z żandarmerii polowej, krzyczą: halt! I sami padają na ziemię. A my stoimy, nam jest wszystko jedno, a może mamy doświadczenie i z odgłosu wiemy, że to nie w naszym kierunku. W każdym razie to była swego rodzaju przyjemność zobaczyć, że jednak i Niemcy czegoś się boją.

Rakowiecką i przez pola Mokotowskie zapędzają nas do kościoła św. Stanisława na Woli. Mam „komfortowe” miejsce siedzące. Spędzam noc w konfesjonale, większość musi się zadowolić leżeniem na kamiennej podłodze. Rano krótkie przesłuchanie. Niemiecki oficer pyta po polsku, co robiłem w czasie Powstania i czy strzelałem do Niemców. Oczywiście odpowiedziałem, że w Powstaniu brałem udział tylko przypadkowo i głównie zajmowałem się noszeniem wody. W czasie przesłuchania pada jedynie parę obelżywych słów na temat gen. Bora, któremu przypisali tę naszą poniewierkę. Nietrudno się domyślić, że nie dyskutowałem. Po przesłuchaniach grupę rzędu chyba stu, stu kilkudziesięciu osób, „blacharze” prowadzą Wolską na zachód. Mijamy kolejne miejscowości. Wszędzie ludzie starają się podejść i dać nam coś do jedzenia. „Blacharze” nie pozwalają, grożąc bronią.

W jednej z kolejnych miejscowości ktoś decyduje się na ucieczkę. Padają strzały, ale uciekinier szczęśliwie zniknął za domami. W następnej miejscowości kilkunastoletni chłopiec, z koszem pełnych pomidorów, daje znaki pytające, czy może podejść. „Blacharz” pozwala, ale gdy chłopiec jest blisko, jednym kopnięciem rzuca kosz na ziemię i łapie chłopca za kołnierz, wrzucając go do szeregu. W ten sposób liczba jeńców zgadzała się. Odbiór miał na „sztuki”, nie na nazwiska.

W końcu docieramy do małego obozu jenieckiego w Szymanowie. Są tam głównie Rosjanie, ale spotkałem małą grupkę jeńców z Żoliborza, wziętych do niewoli w klasztorze Zmartwychwstanek na Krasińskiego. Odnosiło się wrażenie, że „postanie” na dużej hali, w postaci słomy, rusza się. W każdym razie na następny dzień byliśmy już dokładnie zawszeni. Główny problem w obozie w Szymanowie jest związany z jedzeniem, nie dlatego, że go nie ma, ale dlatego, że nie ma jak jeść dostarczonej zupy. Znajduje się ona w cebraze, w którym mieści się kilkadziesiąt porcji. Rzecz w tym, że my nie mamy nic, ani łyżek ani menażek, ani jakichś innych naczyń, do których można by zupę rozlewać. Tak więc jedzenie odbywa się z chochli, towarzyszącej cebrowi. Pierwszy się parzy i jest popędzany przez następnych. Ostatni je zupę zimną. Na następny dzień Niemcy pozwalają księżom z Niepokalanowa dostarczyć nam litrowe puszki po konserwach i łyżki. Co za ulga! Obozowy czas mija na czekaniu na jedzenie i na wybijaniu wszy. Szczęśliwie pogoda jest ładna i można „polować”, siedząc na słońcu. I tak minęło około tygodnia.

Z kolei zostajemy przewiezieni do Skierniewic, na tereny należące do SGGW. Tam „zorganizowano” spanie w piwnicach przeznaczonych do przechowywania na zimę warzyw i owoców. Sama przyjemność. Dobrze, że nie trwało to zbyt długo, że dwa, trzy dni.

Teraz udajemy się w dłuższą podróż pociągami. Jesteśmy załadowani po kilkudziesięciu w jednym towarowym wagonie z zaryglowanymi drzwiami. Stosowne „naczynie” pełni rolę toalety. Siedzimy lub leżymy na gołej podłodze wagonu. Jedynie jak pociąg wjeżdża na rozjazdy szyn, wszyscy się zrywają i każdy chce zobaczyć, przez małe okienko, gdzie jesteśmy. Rozjazdy informowały, że jedziemy przez jakąś stację, ale jaką? Nawet dziś, jeżeli jadę pociągiem, szczególnie w nocy, stukot kół na rozjazdach przypomina mi tę jeniecką podróż. Mijamy Berlin. Wreszcie koniec podróży. Prowadzą nas jakimiś bocznymi drogami, koło ładnych domków otoczonych ogrodami, a w nich jabłonie pełne kolorowych owoców. Zjadłoby się, ale cóż. Jediną pociechą jest narastające buczenie. To leci nad Rzeszę eskadra alianckich bombowców. Lecą wysoko i aby utrudnić Niemcom celowanie z dział przeciwlotniczych, rzucają chmury kawałków srebrzystej folii.

Stalag XC

Jesteśmy już w obozie, Stalagu X C w Sandbostel, gdzieś pomiędzy Hamburgiem i Bremą. Na przywitanie kwarantanna z łaźnią. Rozebrani do golasa, w pierwszej kolejności pozbawiani jesteśmy wszelkiego, gdzie kto ma, owłosienia. Na pierwszym stanowisku włosy z głowy, na następnych reszta. Staje się na postumencie, wewnątrz małego ogrodzenia, gdzie spadają obcięte włosy. Strzygący, też jeniec, robi to szybko i nie bawi się w jakieś delikatne traktowanie. Kolejny etap to kąpiel. Idziemy pod prysznic, a wachman pilnuje, aby się nikt nie migał, bo woda dość gorąca. Teraz najmniej przyjemna część zabiegów kwarantanny. Pomimo strzyżenia mogły pozostać jajeczka wszy łonowych i dlatego genitalia i okolice odbytu zostają wypędzane jakimś płynem, po którym wyskakuje się do sufitu - tak piecze. Ostatni zabieg to zastrzyki. Było ich chyba ze trzy: w ramię, w udo i w pierś. Już można się ubrać.

W trakcie opisanych zabiegów nasze ubrania przechodziły dezynfekcje, osobno ubrania, osobno buty. Ubrania były dezynfekowane w tak wysokiej temperaturze, że skórzany pasek przy spodniach, po wzięciu go w rękę, zamieniał się w proszek. Teraz, można powiedzieć, pełnia szczęścia – przestało gryźć, wszy wybite! Do włożenia dostaję wojskową, niemiecką kurtkę, przefarbowaną na ciemny zielony kolor. Na plecach mam duże KG (Kriegs Gefangene). I jeszcze jedno, zdjęcie z nadanym mi numerem jenieckim 220923 X^B. Mam

raczej zadowoloną minę, to chyba dlatego, że pozbyłem się wszy, które dały mi się mocno we znaki.

Życie obozowe? Głównie polegało na czekaniu na jedzenie i myśleniu o jedzeniu. Rano jakieś ziółka, koło południa zupka, i potem po kromce chleba z odrobiną margaryny lub marmolady, jeśli to buraczane smarowidło można było tak nazwać. Zresztą w Sandbostel długo nie byłem.

Stalag XVIII C

Gdzieś w listopadzie część jeńców z tego obozu, w tym mnie, przewieziono do Stalagu XVIII C w Markt-Pongau, w dzisiejszej Austrii, około 60 kilometrów na zachód od Salzburga. Gdy przyjeżdżamy, a raczej nas przywożą w bydłowych wagonach, jest już zima. Zimno i głodno, ale jakie piękne widoki! Jestem pierwszy raz w życiu w górach zimą. Ostre słońce, piękne ośnieżone góry nad rzeką Salzach. Na szczycie jednej z nich krzyż, podobnie jak na naszym Giewoncie.

W baraku ciąg trzypiętrowych pryczy (mieszkam na trzecim piętrze), kilka stołów i ław. Do grzania służy piec, spełniający dodatkowo funkcję kuchni. Tu nakleja się plastry albo obierki kartofli. Tu można w puszcze lub menażce coś ugotować, jeśli coś masz. W dzień jako tako ciepło, po ścianach spływa skroplona para, która w nocy zamarza. Zaraz po przyjeździe nie mieliśmy z kolegą jeszcze miejsca na pryczy i spaliśmy na betonowej podłodze. Mieliśmy po jednym kocu. Problemem było, czy kłaść je na podłodze skąd „ciągnęło” zimnem i przykrywać się kurtkami, czy odwrotnie. Któregoś dnia zasnąłem tak blisko ściany, że w nocy przymarzły mi do niej włosy. Rano, żeby wstać, musiałem wołać pomocy. Najlepsze z tego wszystkiego, że nawet po tym nie tylko nie byłem przeziębiony, ale nawet nie kichnąłem. Najgorzej jednak znosiłem głód. Myśl o jedzeniu i myśl jak coś do jedzenia zdobyć, towarzyszyła mi bez przerwy. Wreszcie któregoś dnia znalazłem się w grupie skierowanej do pracy w magazynach wojskowych, poza obozem. Tam trafiliśmy na kaszę jaglaną. Ci, którzy przy tym byli, zawiązali u dołu nogawki i nasypali w nie kaszy. Oczywiście nie za dużo, tak by nie było tego widać. Przy powrocie bowiem do obozu byliśmy rewidowani, jednak nie na tyle dokładnie, aby zaglądać nam do nogawek. Kasza jaglana stanowiła dla kilku z nas podstawę Wigilii Bożego Narodzenia 1944, Wigilii najczarniejszej w moim życiu. Tylko nas kilku miało coś ekstra na wieczór, większość musiała się zadowolić codziennym, chudym wiktem obozowym.

Byli jednak wśród jeńców ludzie, którzy próbowali jakoś zorganizować zbiorowe życie. Jedną z inicjatyw polegała na utworzeniu chóru. Zebrało się kilkadziesiąt osób chętnych do śpiewania, w tym ja. Dyrygent wybrał jakąś powszechnie znana piosenkę i tak zaczęła się próba. Niestety, dyrygent wyłuskał jakieś fałsze. Aby je wyłonić, podzielił chór na pół i kazał śpiewać. W jednej z połówek dalej ktoś fałszuje, więc kierujący dzieli dalej i tak dochodzi, że tym fałszującym byłem ja. Tak skończyła się moja kariera śpiewacza.

Obóz był podzielony na oddzielne obszary otoczone drutem kolczastym, oddzielającym poszczególne nacje. Z jednej strony za sąsiadów mieliśmy Rosjan, a właściwie czerwonoarmistów. Ponieważ ZSRR nie uznawało konwencji genewskiej dotyczącej jeńców, nie było dla nich podziału na stalagi i oflagi. Wszyscy żołnierze i oficerowie przebywali w jednym obozie i w tych samych barakach. Wyjątek stanowili generałowie, których trzymano gdzie indziej. Odnosiłem wrażenie, że spośród innych nacji Rosjanie odczuwali trud obozu stosunkowo lżej. Co rano widziałem kilku jeńców, którzy wyskakiwali na dwór

i rozebrani do pasa nacierali się śniegiem, a następnie wycierali się koszulą, którą następnie zakładali. Z drugiego boku za sąsiadów mieliśmy Francuzów, którzy najwyraźniej gorzej znosili warunki obozowe, pomimo tego, że część z nich przebywała tam już dłużej. Pewnego razu zauważyłem dwóch Francuzów przy pompie. Jeden delikatnie pompował wodę małym strumieniem, a jego kolega obmywał się. Obmywał twarz to może przesada. Miał podniesiony kołnierz od palta, pęta w ustach i dwoma palcami obmywał sobie oczy. Z trzeciej strony byli początkowo Anglicy, a następnie Amerykanie. To od Anglików nauczyłem się pierwszego angielskiego słowa, stale dochodzącego do mnie zza drutów. Był to, znany nam dziś z amerykańskich filmów, przerywnik *fuck* we wszystkich odmianach.

Komando w Salzburgu

Co raz miały miejsce wyjazdy na komanda, to znaczy do pracy poza obozem na dłuższy czas, powiedzmy kilka tygodni. Przed wyjazdem obozowy doktor, w naszym przypadku Włoch, badał chętnych do wyjazdu i orzekał, czy są wystarczająco zdrowi do przewidzianej pracy. Do wyjazdu było sporo chętnych, bo dawało to szansę na lepsze odżywienie. Za każdym razem zgłaszałem się, ale lekarz odradzał mi, twierdząc, że przewidziana praca jest dla mnie za ciężka (ciągle miałem zabandażowaną i „zababraną” prawą dłoń, ranną w czasie Powstania). Wreszcie jest coś dla mnie! Praca polegająca na obsłudze koszar wojskowych w Salzburgu. Lekarz mówi – jedź, i pomoga dostać mi się do grupy może ze dwudziestu, trzydziestu jeńców, mających jechać na to komando.

W Salzburgu rzeczywiście trafiamy na teren koszar. Jesteśmy ulokowani w takim samym baraku (w każdym razie z wyglądu na zewnątrz), w jakich mieszkają żołnierze. Różnica tylko taka, że nasz barak jest ogrodzony drutem kolczastym. Siedzimy w baraku i czekamy na robotę. Jedzenie w porównaniu z obozem luksusowe. Dostaliśmy nawet po jabłku. Siedzimy, czekamy tak ze dwa, trzy dni i nic. Wreszcie zbiórka już na terenie koszar. Ustawieni w szeregu wyruszamy. Ale co to? Wychodzimy z terenu koszar! Idziemy, idziemy, coraz bardziej ciekawi i zaniepokojeni, co to ma być za robota. Wreszcie docieramy do kamieniołomów! W Salzburgu są niewysokie skaliste zbocza, w których Niemcy drążyli schrony, dziś są tam parkingi. Zostaję wyprowadzony na przodek, gdzie dostaję młot pneumatyczny, taki, jakiego drogowcy używają do rozbijania naprawianej jezdni. Włączyłem to ze dwa razy, ale czuję, że coś się dzieje złego z moją ręką. Czuję w niej silne pulsowanie. Odkładam więc młot i, podchodząc do wachmana, pokazuję na rękę, mówię: „Ich bin krank”. Niemiec coś tam warknął pod nosem, ale odesłał mnie do koszar, z przeznaczeniem na powrót do obozu.

Mieszane uczucia. Z jednej strony lepsze jedzenie, a to bardzo ważne, a z drugiej ciężka praca z niebezpiecznymi, być może, skutkami dla mojej ręki. Ale i tak już wyboru nie mam. Teraz procedura na zakwalifikowanie się do powrotu jest bardziej złożona. Najpierw idzie się do lekarza jenieckiego, a potem na zatwierdzenie jego decyzji do niemieckiego lekarza wojskowego. Pierwszą decyzję przechodzę bez kłopotu. Lekarzem jenieckim okazuje się być Francuz, z którym mogłem się porozumieć i wzbudzić nawet wzruszenie – tak marnie wyglądałem. Po tym idziemy – jest nas grupa, z różnych komand w podobnej do mojej sytuacji - do lekarza niemieckiego. Prowadzi nas brzegiem jezdni (broń Boże wejść na chodnik) mocno starszy wachman z długim karabinem, jeszcze z pierwszej wojny światowej. Wreszcie jesteśmy na miejscu, w wojskowym szpitalu. Podwójnie czyściutko, raz niemiecki, dwa szpital. Jestem wezwany przed oblicze oficera – lekarza, w każdym razie tak wynikało z trzaskania kopytami i słowami kierowanymi do niego. Wchodzę do pokoju i tu pełne zaskoczenie. Lekarz jest wprost zaskoczony i wzruszony moim widokiem. Coś mnie

wypytuje, ale ja nie wszystko rozumiem. Interesuje go, ile mam lat i skąd się wziąłem w niewoli. Na to mogłem odpowiedzieć moją łamaną niemczyzną. Ten pierwszy sympatyczny Niemiec od początku wojny każe mi zmienić opatrunek i wręcza mi torebkę leków. Była to witamina C w tabletkach do ssania. Właśnie te tabletki doprowadziły do ostatecznego wygojenia się ręki i możliwości zdjęcia bandaża. Decyzja jest jasna i jednoznaczna, wracam do obozu, do Markt Pongau.

Zostaję kucharzem!

A więc jestem na powrót w obozie. Po jakimś czasie poprawia się sytuacja jedzeniowa. Dotarły do nas, wreszcie, paczki z Czerwonego Krzyża. Są tam różne konserwy, papierosy, czekolada, mydło i może coś jeszcze, czego nie pamiętam. Wygłodzone bractwo wzięło się żwawo za jedzenie. Wielu jednak przesadziło, co skutkowało tłokiem w latrynie. Niektórzy spróbowali nawet mydła. Wszystkie opisy w paczce były po angielsku, którego praktycznie nikt z nas nie znał. Przekrój społeczny jeńców był bardzo zróżnicowany, z przewagą osób gorzej wykształconych. Niemniej jednak były i osoby o standardzie międzynarodowym – dwóch polskich tenisistów – Spychała i Tłoczyński. Jak opowiadali, byli przed wojną zapraszani przez króla szwedzkiego na rozgrywki tenisowe. Miał on chęć pograć z dobrymi tenisistami, a oni pozwalali mu nawet czasem wygrać.

Wprawdzie w paczkach nie było chleba, ale można było przehandlować z wachmanami papierosy na chleb. Papierosy stanowiły coś w rodzaju waluty, nawet pomiędzy jeńcami. Nałogowi palacze potrafili wszystko sprzedać, nawet chleb, za papierosy. W jednej z serii paczek znajdował się tytoń do fajek. Ciemny, bardzo drobno pokrojony. Ponieważ nie mieliśmy fajek, palono go w skrętach gazetowych jak papierosy. Kiedyś z kolegami zapaliliśmy takiego skręta, leżąc na pryzkach. Był tak diabelnie mocny, że po zaciągnięciu się, przez chwilę robiło się ciemno przed oczami.

Pewnego dnia znalazłem się w grupie, która chodziła do kuchni obierać kartofle. O ile poszczególne narodowości były od siebie oddzielone, o tyle kuchnia była wspólna. Wspólna w sensie takim, że była pod jednym dachem. Samo gotowanie było „suwerenne” i każda nacja robiła to wyłącznie dla swoich krajan. Do obierania kartofli przychodzili też Rosjanie. Wyróżniali się spośród innych tym, że śpiewali. Zasiadali wokół sterty kartofli i za chwilę „zapiewajło” rozpoczynał śpiew podchwycony przez resztę. Miło było słuchać.

Stało się dla mnie coś niesamowitego. Zostałem kucharzem, tym, który gotował dla wszystkich polskich jeńców! Jak się to stało, że doznałem takiego zaszczytu, nie wiem. Podobno poprzednich kucharzy „zdjęto” za jakieś przekręty, ale nie wiem jakie. Jakoby wtedy ktoś zasugerował, że najmłodszy to szansa na większą uczciwość. I tak padło na mnie, aczkolwiek nie wiem czy akurat ja byłem najmłodszym polskim jeńcem w Markt Pongau. Trudno powiedzieć, kto podjął tę decyzję. Polscy jeńcy mieli swych przedstawicieli, którzy odpowiadali przed Niemcami. Organizowali apele, ranne i wieczorne, liczyli jeńców itp.

Praca w kuchni całkowicie odmieniła moje obozowe życie. Jeszcze przed piątą rano, z zupełnych ciemnościach, przychodził do baraku wachman z psem, pięknym owczarkiem alzackim, budził mnie i zabierał do kuchni. Aby się tam dostać, trzeba było wyjść na drogę obozową, gdzie jeniec bez obstawy nie miał prawa się znaleźć pod żadnym pozorem.

Miałem do dyspozycji dwa kotły. Jeden mniejszy, do gotowania porannego płynu zwanego erzackawą i drugi, większy, do gotowania zupy, głównego posiłku jenieckiego. Stan polskiego obozu wynosił kilkuset jeńców, ale często wielu z nas znajdowało się na różnych komandach, tak jak to moje w Salzburgu i wtedy liczba „stołowników” obozowych spadała.

Dwie główne trudności były związane z kucharzeniem – jedna myślowa, a druga fizyczna. Myślowa polegała na żonglowaniu paliwem tak, aby w ramach otrzymanego węgla wszystko ugotować co trzeba. Tak więc po ugotowaniu porannych ziółek nie można było pozostawić paleniska i czekać aż się włożony węgiel wypali. Musiałem pozostały żar zalewać odrobiną wody. W ten sposób tworzyło się coś w rodzaju koksu, który dodawałem do kolejnych porcji paliwa.

Trudność fizyczna polegała na wylewaniu zupy z kotła za pomocą kilkilitrowej chochli. Po zupę przychodziło kilka dwójek z drewnianymi cebraми. Cebry miały ucha, przez których otwory przetykało się stosowny drąg. Umożliwiało to niesienie cebra na ramionach dwóch osób. Mój kłopot polegał na tym, aby ponalewać zupę tak, by w każdym kotle było dokładnie tyle samo kawałków kartofli, włókienek mięsa i ziarenek kaszy. Gdybym to robił nierówno, to miałbym kłopoty wieczorem, przy powrocie do macierzystego baraku. Stąd trudność fizyczna. Trzeba było dobrze mieszać zupę w kotle i w odpowiednim momencie napełniać chochlę, zawartość przenieść i wlać do cebra. Była to gimnastyka, która spowodowała, że po pewnym czasie miałem bicepsy jak Schwarzenegger.

Dwie, trzy godziny po zupie, z baraków przychodzili do kuchni po chleb, margarynę i smarowidło zwane marmoladą. Do baraków chleb był brany w bochenkach i dopiero tam następował podział na porcje. Była to cała procedura, przy której byli obecni „udziałowcy” danego bochenka. W ostatniej fazie, przed wyzwoleniem, bochenek, taki około 1,5 kg, był przydzielany dla siedmiu osób. Do sprawiedliwego podziału służyła zwykle waga. Ale nie taka waga z ciężarkami lub skalą. Był to poprzeczny patyk, na którego końcu wisiały sznureczki z zaostrzonymi patyczkami. Odcięte kawałki chleba porównywało się wagowo, poprzez wieszanie poszczególnych porcji na wadze. W razie nierówności dokonywało się stosownych korekt.

Szefem kuchni był niemiecki podoficer. Drugi sympatyczny Niemiec, którego spotkałem. Znał kilka języków, w tym na pewno angielski, francuski i trochę rosyjskiego. Dbał o nas, kucharzy, zdobywając dla nas dodatkowe porcje chleba i inne niedostępne „smakołyki”. Zastępca jego był wrzaskliwy, ale niegroźny podoficer niższego szczebla. Kiedyś na jego wrzaski, jeden z kucharzy, Belg, wytłumaczył mu, aby się uspokoił, bo wojna się kończy, a na takich, co tak krzyczą, czekają te kotły. Poskutkowało. Trzecią ważną, ale jednocześnie ponurą postacią był Iwan, Ukrainiec. Potężny chłop z gębą, jak to mówią Rosjanie, co to „kirpicza prosił”. Na głowie zawsze nosił taką gwardyjską czapkę ze szpicem na wierzchu. Jego ważność polegała na tym, że miał klucze od kartofli i od węgla, a więc od dwóch najważniejszych elementów kucharzenia. Trzeba było z nim żyć w zgodzie, bo inaczej potrafił robić różne utrudnienia. Bardzo nie lubił kucharzy z zachodnich państw, zwąc ich po prostu „jebane faszysty”. Od niego nauczyłem się podstawowych rosyjskich przekleństw, ponieważ na zwykłe słowa, powiedzmy „Iwan daj węgla”, nie reagował. Dopiero jak się powiedział: „Iwan, taka twoja.... daj węgla, odpowiadał: „co?”. Iwan źle skończył. Był niezwykle brutalny w stosunku do swoich współjeńców. Ponieważ Rosjanie nie byli objęci opieką Czerwonego Krzyża, panował wśród nich rzeczywisty głód. Starali się zdobywać wszystko co możliwe do zjedzenia, między innymi kartoflane obierki. Obierki, tylko podparzone na brzegu pieca, powodowały jakieś ciężkie schorzenia. Niemcy kazali więc skwapliwie pilnować, aby nie dostawały się w ręce jeńców. Stąd służalczość Iwana, który łał grubym kijem każdego, kto choćby próbował ukraść trochę obierek. Zaraz po kapitulacji Niemiec uwolnieni jeńcy rosyjscy załucki go kijami i wrzucili do rzeki.

Moim sąsiadem, po kotle, był Amerykanin. Około dwustu Amerykanów dostało się do niewoli wskutek niemieckiej, krótkiej, kontrofensywy. Pierwszy amerykański kucharz, z którym się zetknąłem, był potężnie zbudowanym, ponad dwumetrowej wysokości milczkiem. Zero kontaktu. Potem przyszedł drugi, nazywał się Blacky. Jakaś mieszanka włosko - hiszpańska, czy coś w tym rodzaju. Był rozmowny, z tym, że ja niewiele z tego, co mówił, rozumiałem, aczkolwiek wtrącając słowa włoskie, ze względu na moją znajomość francuskiego, były mi mniej obce.

Blacky miał na każdym palcu po dwa, trzy pierścionki. Próbowałem się dowiedzieć, po co mu tyle biżuterii. I wtedy dowiedziałem się makabrycznej historii. Na froncie zabitym żołnierzom obcinał bagnetem palce i zdejmował obrączki i inne pierścionki. Opowiadał dość obrazowo, pokazując rękami proces odcinania i, aby to było lepiej zrozumiałe, wspomagał odgłosem, coś w rodzaju „gli, gli”. Jeszcze się dowiedziałem, co powiedział z niejaką dumą, że jego brat jest gangsterem w Chicago. Po wyzwoleniu okazało się, że był wspaniałym jeźdźcem na koniu.

Liczebnie najwięcej było jeńców francuskich. Stąd w kuchni było kilku Francuzów, a jeden z nich był rzeczywistym kucharzem jednej z restauracji w Paryżu. Gotował więc dla niemieckiej wierchuszki kuchennej i dla jenieckich kucharzy. Na dnie wielkiego kotła smażył kotlety i frytki. Ponieważ już zaczynała się wiosna, na przykuchennym podwórku zbierał liście mlecza, z których robił sałatkę, polewaną roztopioną margaryną.

Co jakiś czas, około kilku tygodni, wyprowadzano nas kucharzy na spacer poza terenem obozu. Pewnego razu przekonaliśmy wachmana, aby poszedł z nami nieco w góry. Biedny wachman, dobrze starszy człowiek, z karabinem z pierwszej wojny światowej, miał trochę stracha w poruszaniu się po wąskich ścieżkach nad bardziej stromymi zboczami. W pewnym momencie, wszyscy szliśmy przodem, usłyszeliśmy: "Halt, halt!". Okazało się, że nasz opiekun w pewnym miejscu bał się przejść wzdłuż wąskiej ścieżki nad nieco bardziej spadzistym zboczem. Dopiero gdy wachman podał jednemu z nas koniec lufy swego karabinu, odważył się przejść.

Zbliżał się koniec wojny. My nie mieliśmy żadnych informacji, ale zauważyliśmy, że na niektórych domach pojawiły się narodowe flagi austriackie. Były jednak i przerwy w tej demonstracji narodowej odrębności. W pewnym momencie zauważyliśmy flagi ze swastyką, co rozumieliśmy jako niemieckie sukcesy na froncie. Trwało to jednak krótko i flagi austriackie wróciły na swoje miejsce.

Koniec wojny!

Coraz więcej Niemców z obstawy obozowej wkłada białe opaski. Niemniej obóz jest nadal pilnowany i jeńcy nie próbują wychodzić, widząc wachmanów w obozowej bramie. Jedynie my, funkcyjni, mieliśmy większą swobodę ruchu. Właśnie wybrałem się z jednym z Francuzów na górską wycieczkę. W momencie, gdy byliśmy stosunkowo wysoko i widzieliśmy obóz i dochodzącą do niego drogę z góry, usłyszeliśmy buczenie. Tuż nad szosą leciały dwa helikoptery, które zobaczyłem pierwszy raz w życiu. Zawisały nad przydrożnymi krzewami i zaroślami, jakby sprawdzając, czy coś się tam nie kryje. Tak doleciały do obozu i zawróciły. Kilka godzin potem pojawiły się ciężarówki z amerykańskimi żołnierzami, które zatrzymały się przy obozowej bramie. I to właśnie był dla nas koniec wojny. Bez walk, bez strzałów. Większość wojskowych Niemców gdzieś się ulotniła. Potem

spotykałem kilkakrotnie swego kuchennego szefa, niemieckiego podoficera. Został tłumaczem przy amerykańskiej komendzie miasta.

Już po wyzwoleniu w paru kolegów poszliśmy pobuszować po niemieckich, obozowych biurach. W jednym pomieszczeniu znaleźliśmy sporą stertę zdjęć wykonanych po przybyciu do obozu. Szukać, nie szukać swojego?. Aby wszystko przeszukać potrzeba by niemało godzin. Zastanawiając się nad tym, kopnąłem w stertę i ku memu zdziwieniu zobaczyłem jak moje zdjęcie wyskoczyło na wierzch!



Odnalezione zdjęcie



Obóz w Markt-Pongau. Jestem pierwszy z prawej



Nieśmiertelnik



Z nieśmiertelnikiem na przestrzelonej dłoni

11. U Andersa

A więc jesteście wolni!

Nie wszyscy jednak uwolnieni jeńcy wiedzieli, co zrobić z daną im wolnością. Amerykanie, Francuzi, Anglicy i Belgowie szybko wrócili do swoich. Pozostali Polacy, Rosjanie i Serbowie. My, Polacy, byliśmy niejako w zawieszeniu. Znakomita większość nie chciała wracać do Kraju. Nikt jednak nie proponował nam czegoś w zamian. Oferta wstąpienia do II Korpusu gen. Andersa przyszła znacznie później. Dla nas i Serbów rozstawiono wielkie wojskowe namioty na trawnikach przy blokach byłej komendantury wojskowej w Markt Pongau. Rosjanie szykowali się do powrotu. Na bocznicę stały wagony kolejowe ustrajane sierpami i młotami, portretami Lenina i Stalina, z czerwonymi flagami i rosyjskimi napisami, których treści można się było tylko domyślać. Biedni, myśleli, że ułatwi im to powrót do domu. Nie wiedzieli, co ich naprawdę czeka.

Dla mnie, podobnie jak i dla wielu moich kolegów, wolność to była przede wszystkim swoboda poruszania się. Chodziliśmy po górach, odwiedzaliśmy sąsiednie miasteczka. Liczne były wyprawy do Bischofshofen, niedaleko od obozu, gdzie szukaliśmy broni w dawnej fabryce uzbrojenia. Wielu z nas w krótkim czasie uzbroiło się w pistolety.

Miałem niemałe kłopoty z wyzwoleniem się od kucharzenia. Buntowałem się, gdy miałem cały dzień spędzać przy kotle, gdy inni korzystali ze swobody ruchu i pięknej pogody. Wreszcie jakoś się z tego uwolniłem. W jednej z pierwszych wypraw wypuściłem się do Salzburga. Nie kojarzyło mi się to miejsce najlepiej, ze względu na opisane wcześniej komando. Niemniej jednak nawet krótki „spacer” do wojskowego lekarza uwidoczniał mi piękno tego miasta Mozarta. Do Salzburga wracałem wielokrotnie. Uważałem i dalej je uważam za jedno z najpiękniejszych miast, jakie poznałem.

Jeszcze w obozie zaprzyjaźniłem się z kilkoma kolegami i mniej lub bardziej trzymaliśmy się razem. Było nas chyba sześciu czy siedmiu i chętnie spędzaliśmy razem czas, nie stroniąc od takich przyjemności jak alkohol. Takim wodzem grupy był Tadzio Makus. Był ode mnie pewnie co najmniej dwa razy starszy i miał zawsze oryginalne pomysły. Wtedy nie zastanawiałem się nad jego wykształceniem i, prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co robił w normalnym życiu.

W międzyczasie sprowadzono do Markt Pongau uwolnionych z oflagów polskich oficerów. Oficerów zawodowych, po prawie sześcioletniej niewoli, marzących o dowodzeniu i dyscyplinowaniu podległych im żołnierzy. Niestety, z tym mieli poważny kłopot, a my dobry ubaw. Zdyscyplinowanie hordy warszawskich cwaniaków, rozlokowanych w namiotach i rozrzuconych w terenie budynkach było zajęciem niewykonalnym. Tym bardziej, że poza brakiem podatności na dyscyplinę bractwo prześcigało się jak uprzykrzyć życie swoim „dowódcą”, zwanych powszechnie zupakami. Zawieszanie wiader z wodą przy wejściu, które się przechylały na wchodzącego. Ustawianie wszelkich przeszkód to stałe elementy naszej zabawy. Wielu z nas, w tym i mnie, trafiło się spędzić czas w żołnierskiej kozie. Była to bardziej atrakcja niż kara.

Minął maj i czerwiec. Kilka osób zdecydowało się na powrót do kraju, ściślej do Warszawy. Wśród nich był mój kolega z Żoliborza, którego poprosiłem, aby odnalazł moich rodziców i powiadomił o moim losie. Dobrze, że to zrobił. Rodzice mieli sprzeczne informacje o tym, co się ze mną stało. Ktoś nawet widział mój grób. Po otrzymaniu mego miejsca pobytu Wanda, moja siostra, napisała do mnie list, adresowany na Markt Pongau i wysłany przez Czerwony

Krzyż 10 października. List wędrował za mną wzdłuż całego włoskiego buta, aby mnie osiągnąć na samym jego południowym krańcu, w Alessano. Dowiedziałem się z niego o tragicznej śmierci Haliny, mojej siostry. Była sanitariuszką w powstańczym szpitalu na Żoliborzu, przy ul. Krechowieckiej. Zginęła ostatniego dnia Powstania na Żoliborzu, 30. września. Widziałem wiele nieszczęść, ludzi zabitych, rannych i zmasakrowanych. Trudno opisać, jak to przeżywałem. Teraz dowiedziałem się o śmierci kogoś mi bardzo bliskiego. To było znacznie trudniejsze. W jednej chwili wróciły wspomnienia z dzieciństwa, wspólne zabawy i widok jej, pełnej życia, osiemnastoletniej dziewczyny, w dniu, w którym się rozstawaliśmy, gdy szedłem na Powstanie.

Jedziemy do II Korpusu

Maj i czerwiec minęły na korzystaniu ze swobody i wolności. W lipcu przyjechali oficerowie z II Korpusu gen. Andersa, zachęcając do zaciągnięcia się w jego szeregi. Bez mała wszyscy zgłosili się. Jeszcze pierwszego sierpnia, w Markt Pongau, odbyła się zorganizowana rocznica wybuchu Powstania. Zainscenizowano rzeczywistą strzelaninę, na tle wysokiej skarpy, tak że w nią wpadały kule. Jak wspomniałem, wielu z nas uzbroiło się, a to była rzeczywista okazja, aby sobie patriotycznie postrzelać. Bodajże następnego dnia przyjechały po nas ciężarówki od Andersa. Wyjazdowi towarzyszyły wiwaty i serie wystrzałów. Opuszczaliśmy miejsce, gdzie spędziliśmy przymusowo ponad pół roku życia. Nasz głośny, szczególnie od wystrzałów, wyjazd, wystraszył poważnie miejscową ludność, która zniknęła z naszego pola widzenia. Euforia nie trwała długo. Gdzieś po drodze konwój zatrzymał się i zażądano od wszystkich zdania broni. Było sporo złorzeczenia na ograniczanie naszej zdobytej dopiero wolności, ale nie było wyjścia.

Pogoda jest piękna, więc i podróż ciekawa. Jedziemy przez Alpy, żegnając je, po przekroczeniu przełęczy Brennera. Teraz zjeżdżamy w dół w kierunku wschodniej strony. Wypatruję morza, które wreszcie pojawiło się na horyzoncie. Moje pierwsze spotkanie z morzem, ale jakoś nie zrobiło ono na mnie większego wrażenia.

Gdzieś, już chyba pod Ankoną, następuje przydzielanie poszczególnych osób do różnych oddziałów. W zasadzie jest swoboda wyboru. Wielu kolegów zgłasza się do komandosów i do czołgów. Przywódca naszej małej grupy, wspomniany wcześniej Tadzio Makus, śmieje się z tych frajerów, co pchają się do oddziałów frontowych. Powiada, że pewnie będzie wojna z Ruskimi i trzeba się bezpiecznie ulokować. Proponuje 67. linię oporu. Pytamy, co to jest, a on na to - kwatermistrzostwo! Niestety, do kwatermistrzostwa nie przyjmują, tam wakatów nie ma. Cóż robić? Trzeba znaleźć jakiś dostępny rodzaj broni, jak najdalej od frontu. Zapada decyzja. Zgłaszamy się do artylerii ciężkiej. Jednocześnie prosimy, że chcemy być razem. Nie wiem, czy przez przypadek, czy na wszelki wypadek, każdego z nas posłano do innego oddziału. Ja trafiłem do 10. Pułku Artylerii Ciężkiej.

10. Pułk Artylerii Ciężkiej

I tak zostałem artylerzystą, i to ciężkim. Jestem przydzielony do jednej z baterii 10PAC ulokowanej w starym klasztorным budynku, z pięć kilometrów od niedużego, typowego włoskiego miasteczka, Sant'Elpidio. Znajduje się ono kilka kilometrów od *Autostrady del Sole* i około 60 kilometrów od Ankony.

Po przybyciu do baterii byłem oglądany ze wszystkich stron. Byłem pierwszą osobą, która przyszła z AK, a więc z Polski. Pan ogniomistrz, szef baterii, wileński fryzjer żydowskiego pochodzenia wraz ze swym zastępcą, kresowym chłopem, postanowili sprawdzić, czy jestem oryginalnym partyzantem. Próby były dwie: strzelecka i alkoholowa. Poszli ze mną na

strzelnicę i kazali strzelać do celu. Kilka pierwszych razy spudłowałem, ponieważ układ muszki na celowniku w polskich karabinach i angielskich był inny. W końcu, gdy się zorientowałem na czym polega nieznany mi celownik, jakoś ten egzamin zdałem. Drugi polegał na piciu. Dostałem kieliszek napełniony czymś przezroczystym. Z min moich egzaminatorów wynioskowałem, iż spodziewają się ubawu. Wykazałem więc czujność. Całe szczęście, bo był to kieliszek czystego spirytusu. Wprawdzie nie zachłysnąłem się, ale mocno poczerwieniałem i, jak to się mówi, oczy wyszły mi na wierzch. W sumie zostałem zaakceptowany i tym samym udowodniłem, że nie jestem samozwańczym partyzantem.

Nie byłem nigdy w żadnej formacji wojskowej, ale wydawało mi się, że życie przebiegało tak trochę na luzie. Były oczywiście ćwiczenia, zbiórki i takie typowe dla wojska zajęcia. Ale nie było jakiejś przesadnej dyscypliny. Najnudniejsze były warty przy działach, potężnych ciężarówkach Mackach i oczywiście przy benzynie, najbardziej atrakcyjnym towarze na czarnym rynku. Działa i samochody stały gdzieś w winnicy, więc z końcem lata cały czas człowiek skubał winogrona. Oczywiście, najweselej było po zajęciach. Można było pójść do Sant' Elpidio, położonego ze cztery, pięć kilometrów od miejsca postoju. Już w samym miasteczku trzeba było wdrapać się po stromej ulicy, aby dojść do rynku, gdzie była winiarnia i jakiś sklepik. W tym czasie we Włoszech była raczej bieda i braki, więc niewiele można było kupić. Przeciwnie, Włosi chętnie kupowali od nas papierosy, których dostawaliśmy tyle, że tylko namiętny palacz mógł je wszystkie wypalić.

Z czasem jako podoficer (byłem kapralem) dostałem pozwolenie do mieszkania w mieście. Nietrudno było znaleźć pokój przy rynku, gdzie mieszkałem z kolegą.

Było też możliwe zamówienie jedzenia, innego niż wojskowe, u sąsiadującego z klasztorem contadina. Na zewnątrz ustawiał stół, na którym serwował, a właściwie jego żona, pieczonego kurczaka z sałatą i pomidorami. No i oczywiście wino. Ten zapach sałaty z oliwą i octem tak mi się utrwalił, że do dziś kojarzy mi się z tamtymi czasami. Właśnie tam, u contadina, zorganizowałem 13 września, dla kilku nowych kolegów, swoje 17. urodziny. To dojadanie u contadina było czymś, co różniło się zasadniczo od wstrętnej żołnierskiej kuchni, opartej na australijskich tłustych baranach i suszonych kartoflach bez jarzyn.

W niedzielę można było wypuścić się nieco dalej, do Maceraty, czy nawet do Ankony. Najgorzej było z pokonaniem około ośmiokilometrowego odcinka drogi między autostradą nad morzem i Sant'Elpidio. Podróże zwykle odbywaliśmy autostopem. Praktycznie każdy wojskowy samochód zatrzymywał się na prośbę stojącego przy drodze żołnierza. Na autostradzie tych samochodów było dużo, i polskie i angielskie. Gorzej było ze wspomnianym odcinkiem od morza do baterii. Tą drogą jeździły prawie wyłącznie wozy 10 PAC, a ich w niedzielny wieczór nie było dużo. Tak więc niedzielne eskapady kończyły się zwykle ośmiokilometrowym „spacerem” późną nocą, a nieraz i nad ranem, tak by zdążyć przed pobudką.

Skok do Rzymu

Raz pułk zorganizował wycieczkę do Rzymu, z czego oczywiście skwapliwie skorzystałem. Zwiedziłem co się tylko dało w dwa czy trzy dni.

W pułku jeden z kolegów poprosił mnie, abym, będąc w Rzymie, przesłał małą przesyłkę jego krewnemu, chyba wujkowi. Okazał się nim Kazimierz Papee, polski ambasador przy Watykanie. Pan ambasador zaprosił mnie na śniadanie do swojej rezydencji. Był to mój pierwszy w życiu i chyba ostatni posiłek w tak dostojnym towarzystwie. Po śniadaniu wsiedliśmy do lśniącej limuzyny z polską chorągiewką. Gdy wjeżdżaliśmy do Watykanu,

halabardnicy oddali nam, a właściwie ambasadorowi, stosowne honory. W pewnym miejscu samochód się zatrzymał, pan ambasador pięknie się ze mną pożegnał i powiedział, że mam dobrą okazję pooglądać Watykan od środka. Niestety, to się nie udało. Ponieważ byłem w mundurze, niemal natychmiast zbliżyli się do mnie halabardziści i orzekli, że wojskowym do Watykanu wstęp zabroniony i grzecznie odprowadzili mnie do granicy państwa Watykan. Tak więc byłem w Watykanie, papieża nie widziałem, ale za to kupiłem sobie odpust na godzinę śmierci. Gorzej, że gdzieś go zaprzepaściłem.

Poligon

Niedługo po przydzieleniu mnie do 10 PAC cały pułk wyjechał na manewry z ostrym strzelaniem. Poligonem były góry gdzieś w środkowej części Włoch. Ze względu na ostre strzelanie wokół poligonu rozmieszczono dwuosobowe patrole, mające uprzedzać miejscową ludność przed niebezpieczeństwem wkraczania na teren ćwiczeń. Jak mieli to robić, to ich sprawa. Zostałem dowódcą takiego dwuosobowego oddziału. Byłem powstańczym kapralem, a mój „podwładny” szeregowcem gdzieś z kresów Polski. Ciężarówka dowiozła nas do jakiejś biednej miejsciny, gdzie zostawiono nas samych sobie. Pierwsze wrażenie przykre, a nawet strachliwe. Na domach wymalowane sierpy i młoty i różne napisy w rodzaju „Tito con Italiani non si scherza!”. To reakcja na mające miejsce w tym czasie spory włosko - jugosłowiańskie o Triest. Zaczynamy szukać miejsca na noclegi, ale nie bardzo nas chcą gdzieś przyjąć. Wyraz twarzy trudno traktować jako przyjazny. Dopiero jakaś starsza kobieta udzieliła nam schronienia i nawet nakarmiła. Kłopot polegał na tym, że w sklepie nie chciano nam sprzedać chleba, a może go po prostu nie było.

Już wieczorem postanowiliśmy jeszcze trochę się przejść. Wychodzimy na drogę, ale noc wyjątkowo ciemna, na kilka kroków nic nie było widać. W pewnym momencie słyszymy, idących chyba w naszym kierunku, śpiewających ludzi. Nie mam złudzeń, to hymn włoskich komunistów.

„Avanti o popolo, alla riscossa,

Bandiera rossa, Bandiera rossa

Avanti o popolo, alla riscossa,

Bandiera rossa trionferà. Abbasso il Re, viva Stalin.. „.

Skóra na nas ścierpła, bo spotkanie z tym bractwem, w takich ciemnościach, mogłoby się przykro skończyć. Nie namyślając się długo, ze swego PM, oddaję krótką serię w powietrze. Zapada głębokie milczenie. Do tego dokładnie ciemna noc, co razem nie poprawia sytuacji, a jedynie ją zmienia. Wycofujemy się więc bezszelestnie do naszego domku, gdzie zakwaterowaliśmy. Na wszelki wypadek, w nocy, mamy broń w zasięgu ręki. Rankiem, niespodziewanie sytuacja zmieniła się na lepszą, a nawet na bardzo dobrą. Gdy wyszliśmy na patrol, wszyscy mówili do nas, jak do dobrych znajomych - „Buon giorno signori”. W sklepie znalazł się chleb i nawet ser.

Aby dotrzeć do jak największej liczby okolicznych mieszkańców, postanowiliśmy pójść do proboszcza miejscowej parafii. Korzystając z podobieństw włoskiego i francuskiego, wytłumaczyłem księdzu, o co chodzi, za co nam bardzo podziękował. Niezależnie od tego odwiedziliśmy okolicznych contadinów, ostrzegając ich przed niebezpieczeństwem na terenie poligonu.

W dniu, w którym miano nas zabrać z powrotem, przyjazd ciężarówki znacznie się opóźnia. Wreszcie są! Co za ulga. Otwierają się drzwi szoferki, z nich dosłownie wypada kompletnie pijany kierowca. Reszta bractwa też ma mocno w czubach. Kto ma więc prowadzić samochód – półtonową Dodge? Ponieważ tylko ja z moim współtowarzyszem niedoli

zapomnieliśmy się napić, los padł na mnie. Nigdy wcześniej nie prowadziłem samochodu, a na dodatek ciężarówki, nie biorąc pod uwagę samochodziku po podłodze pokoju. Prawdę mówiąc, nie byłem zupełnie zielony w prowadzeniu samochodów. Często lubiłem się przyglądać kierowcom, prowadzącym samochody, tak że pedały sprzęgła, gazu i hamulca nie były mi obce. Brakowało tylko tego „drobiazgu”, że nigdy nie robiłem tego samodzielnie. Całe szczęście, że ruch na drogach, szczególnie bocznych, był żaden, nie licząc bawołów, które niechętnie ustępowały miejsca. Zgrzytając skrzynią biegów i szarpiąc całym samochodem, jakoś dojechałem.

Na kolejnym poligonie awansowałem. Nie byłem obstawą na obrzeżach poligonu, ale artylerzystą z krwi i kości. Najpierw byłem przy obsłudze dział. Solidne urządzenie, mocno zakotwiczone w gruncie. Pociski o średnicy 5,5 cala podawane były przez dwie osoby na odpowiednich nosilkach. A jaki huk! Przy działach rozpięty był namiot, gdzie spaliśmy, aczkolwiek sen był często przerywany nocnym strzelaniem. Wreszcie dołączono mnie do grupy kierującej ogniem. Ostatecznie kapral nie jest od pociągania sznurka od działowego zamka. Ponieważ kierowanie ogniem, poza ogólną inteligencją, wymagało nieco wiedzy w zakresie rachunków, odpowiedzialny porucznik szybko się zorientował, że w rachunkach jestem niezły. Podobno moja pomoc przyczyniła się do dobrych wyników baterii. Początkowo byłem z tego dumny. Niestety, obróciło się to niejako przeciw mnie. Polegało to na tym, że dowództwo dywizjonu zażyczyło sobie, abym wstąpił na podchorążówkę. Tymczasem ja miałem inne zamiary. Właśnie na urlop do baterii przyjechał Jaś Wieczorek, uczeń kursów maturalnych przy II Korpusie i od niego dowiedziałem się, że coś takiego istnieje. Ponieważ miałem ukończoną małą maturę na kompletach, kursy maturalne, pokrywające program licealny, były dla mnie w sam raz. Ale tu zaczął się kłopot. Prosząc o wysłanie mnie na kursy maturalne, niejako sprzeciwiałem się dowódcy, co, jak wiadomo, w wojsku nie jest bardzo lubiane. Kosztowało mnie to trochę nerwów i rozmaitych zabiegów, polegających na stawaniu do raportu, ale w końcu udało się. Chyba mój argument, że lepiej, abym poszedł na podchorążówkę po maturze, zwyciężył. Ostatecznie mam zgodę na wyjazd do Alessano, na kursy maturalne! Formalnie jestem nadal w 10 PAC i po maturze powinienem wrócić do pułku. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej, w czasie gdy zrobiłem maturę, II Korpus rozwiązano. Zamiast wrócić do pułku, wróciłem do domu, do Warszawy.

Mój kochany Witku
Dowiedziałam się o Tobie od Karola
z Żoliborza. Nie miał pojęcia jak byłoby
stępną śmiercią dla po tej wiadomości. Ja już wiejąc
zł. Tadeusza, że żyjesz, nie z tego powodu.
Rodna Halina nie żyje. Była sanitariuszką
w szpitalu i kiedy mama chorowała odwiedziła nas
po nocnym dojeździe została zębata akawat pod
czas kąpieli w Żoliborzu. Nie możemy się
zgodzić z jej twierdzeniem. Przyjeżdżaj proszę,
nie obawiaj się niczego, będziemy chorować do domu
i nie będziemy tracić czasu. Wził tylko spory za-
per, jedźmy na drogę, bo podobał nam się Koto Wdka.
Ubiore się ciepło.
Catujemy się wspaniale bardzo
Warszawa 10.10.1945
Twoja Ciota
Adm. - Wistrowie 2m40.

Pierwszy list od Rodziny z wiadomością o śmierci Haliny

ENLISTED in P.R.C. on 13.12.46. ALLOTTED NR. 30057323	
(1) SOLDIER'S NAME and DESCRIPTION on ATTESTATION.	
Army Number	14.1611928/10
Surname (in capitals)	GUTKOWSKI
Christian Names (in full)	WITOLD
Date of Birth	13.9.1928
Trade on Enlistment	bez zawodu
Religious Denomination	without profession rym. Kat
Approved Society	
Membership No.	
Enlisted at	Caithorne On 13.12.46.
For the	Polish Recruitment Corps
* Regular Army * Supplementary Reserve * Territorial Army * Army Reserve Section D * Strike out those inapplicable.	
For	2 years with the Colours and 3 years in the Reserve
Signature of Soldier	Witold Gutkowski
Date	12.10.1945
DESCRIPTION ON ENLISTMENT.	
Height	5' 7 1/2 ins.
Weight	66 lbs.
Maximum Chest	38 ins.
Complexion	Light
Eyes	Blue
Hair	Blond
Distinctive Marks and Minor Defects	prasego podbruska
CONDITION ON TRANSFER TO RESERVE.	
Found fit for Defects or History of past illness which should be enquired into if called up for Service	
7/10/45. Warszawa	
Date	19
Initials of M.O. i/c.	Chish 6

Książeczka wojskowa



Naszywka na mundurze



Na dachu Bazyliki św. Piotra



W klubie żołnierza



Na poligonie, jestem drugi z prawej



Na poligonie w centrum Włoch

Kursy Maturalne Nr 1, Alessano, Apulla, Włochy

Szkoła

Zostałem więc uczniem w żołnierskim mundurze, lub, jak kto woli, żołnierzem z uczniowskim tornistrem. Moi Rodzice byliby ze mnie dumni. Szczególnie dla Taty uczenie się to najważniejsza rzecz w młodym wieku. Nawet w czasie okupacji twierdził, że można nie dojeść, ale trzeba znaleźć pieniądze na naukę. W tym wypadku na opłacenie tajnych kompletów. Jak silne musiało być wpojenie mi konieczności uczenia się, że ja, jako niespełna 17-letni chłopiec, tego popijając w żołnierskim środowisku, zabiegałem, a nawet mogę powiedzieć - walczyłem, o wysłanie mnie do szkoły. I tak „wylądowałem” w małej włoskiej mieścinie Alessano na końcu obcasa włoskiego buta, nieopodal większego miasta, stolicy prowincji Apulli, Lecce.

Początek kursów datuje się na styczeń 1944. Wiem o tym oczywiście z opowiadań. Ja w tym czasie tkwiłem z jenieckim obozie, a I Armia Wojska Polskiego wkraczała do Warszawy. Kursy, o oficjalnej nazwie „Kursy Maturalne Nr 1” miały podwójną strukturę: wojskową i szkolną. Dowódcą wojskowego garnizonu był pan ppłk Edmund Zimmer (część podanych tu informacji, szczególnie imion i nazwisk zaczerpnąłem z książki Michała Czartoryskiego „Na końcu włoskiego buta”). Przedwojenny oficer, dla którego dyscyplina wojskowa zdawała się być czymś znacznie ważniejszym niż jakieś tam nauczanie. Nie tkwiłem w wyższych sferach szkoły, ale wyczuwało się i obserwowało napięcia pomiędzy dowódcą garnizonu i dyrektorem szkoły. Pan pułkownik pilnował, aby zbiórka i marsz do szkoły były z pieśnią na ustach. Prowadziło to czasem do różnych humorystycznych sytuacji. Zwykle za szeregiem żołnierzy biegli mali, włoscy chłopcy, usiłując naśladować nasz śpiew. Lubiliśmy śpiewać „Ułani, ulani, malowane dzieci”, bo chłopcom, ze względu na brak we włoskim litery „ł”, wychodziło „ulani, ulani,„. Można powiedzieć, że był to prawidłowy przymiotnik, ale w godzinach wieczornych.

Płk Zimmer przestrzegał bardzo wymogów brytyjskiej armii (a byliśmy jej częścią) co do ubioru. Latem chodziło się w ciągu dnia w szortach i koszulkach z krótkim rękawem. Natomiast po godzinie 7 wieczór należało mieć spodnie z długimi nogawkami i koszule z długimi rękawami. Ten wymóg wynikał zapewne z pojawiania się po zachodzie słońca komarów, a jak wiadomo, brytyjskie imperium obejmowało w znacznej części obszary malaryczne. Pan pułkownik więc biegał po Alessano z dwuosobowym patrolem, szukając nieposłusznych w szortach. Wpadał też w tym celu do wojskowego klubu, gdzie siedziało bractwo, które tam przyszło znacznie wcześniej i nie miało chęci wracać do domu tylko po to, aby zmienić długość nogawek. Oczywiście, zwykle w klubie były osoby, które ostrzegały przed nadchodzącym „niebezpieczeństwem”, tak by niedoodziani mogli przysnąć tylnymi drzwiami.

W niedzielę, po mszy, wszyscy uczestnicy kursów zbierali się w przylegającym do kościoła budynku, chyba będącym domem parafialnym. Musieliśmy wysłuchać jakiegoś nudnego przemówienia któregoś z miejscowych lub zamiejscowych oficerów. Oczywiście, przed odczytem następowało meldowanie panu płk. Zimmerowi gotowości oddziału do wysłuchania odczytu. Na przywitanie pan pułkownik wołał standardowe „czołem żołnierze”, a wiara odpowiadała „czołem panie pułkowniku”. Była nas jednak grupka, która, zamiast wołać „czołem panie pułkowniku”, wołała „czołem stary przyku”. To wszystko zlewało się w jeden mało rozpoznawalny okrzyk, jak wszystkie tego rodzaju grupowe żołnierskie pozdrowienia. Ważne w nich jest zawsze tylko to, aby były głośne i wykrzyczane jednocześnie.

Dyrektorem Szkoły był pan kpt. dr Tadeusz Szela, niższy stopniem od pułkownika i stąd kompetencyjne kłopoty. Pan dyrektor Szela jak i pozostali nauczyciele to normalni ludzie, którzy przed wojną uczyli w normalnych cywilnych szkołach. Ich celem było nauczyć nas i doprowadzić do matury. Nic więc dziwnego, że uczniowie trzymali stronę dyrektora, dokuczając, jak mogli, dowódcy wojskowemu.

Do Alessano przyjechałem dobrze rozpuszczony pułkowym żołnierskim życiem. Skutki tego rozpuszczenia szybko odczułem. Dostałem z pierwszej klasówki z matematyki jakiś bardzo marny stopień. Coś pomiędzy dwóją i trójką. Dla mnie to był szok. Od początku, gdy zaczynałem się uczyć, z matematyki miałem same piątki. Był jeden wyjątek, chyba w drugiej klasie. Na klasówce mieliśmy napisać słownie daną, dużą, kilkucyfrową liczbę. Zrobiłem przy tym jakiś błąd i dostałem czwórkę. Dziś pewnie bym dostał papier dyslektyka, a raczej dyskalkula.

Po tej klasówkowej wpadce powiedziałem sobie – dość, bierz się do roboty. Na następnej klasówce dostałem czwórkę, a potem już same piątki. Nauczyciel matematyki, sympatyczny kapitan Jan Pisarek, uwierzył we mnie.

Z historii pamiętam głównie kółeczka. Przedmiotu tego uczył nas pan Alfons Mrowiec, dla którego najważniejsze w historii były daty. Te zwykłe, te ważniejsze w jednym kółeczku i te najważniejsze w dwóch kółeczkach. Nie będę ukrywał, że zapamiętałem tylko kółeczka. Ich zawartość jakoś mi umknęła.

Polskiego, a po jakimś czasie propedeutyki filozofii, uczył nas pan Józef Żelawski, przedwojenny aktor. Dowcipny, pełen temperamentu i pomysłów starszy pan. Z jego przesłań zapamiętałem dwa. Na lekcji polskiego dowiedziałem się od niego, że wszystko można zatańczyć. Dla udowodnienia tego przed całą klasą odtarńczył „Bogurodnicę”! Z propedeutyki filozofii dowiedziałem się, co to jest pornografia. Otóż naga rzeźba Wenus z Milo to nie pornografia. Pornografia to dopiero będzie wtedy, gdy założymy jej bikini. W tych czasach bardzo nieprzyzwoity, przez swoją szczupłość, kostium kąpielowy. Nie zawsze jednak miał poczucie humoru. Z każdej lekcji propedeutyki filozofii wyznaczony uczeń pisał sprawozdanie, które odczytywał na następnych zajęciach. Ze względu na dość nieuporządkowany sposób prowadzenia lekcji pisanie sprawozdania nie było łatwe. Pewnego razu jeden z kolegów napisał tylko jedno zdanie; „W czasie lekcji oparliśmy się na Kancie i skończyliśmy na Nietzschem”, co w wersji mówionej wyszło na „oparliśmy się na kancie i skończyliśmy na niczym”. Tu niestety profesorowi zabrakło poczucia humoru. Chłopak wyleciał z klasy. Tenże sam kolega - szkoda, że uszło mi z pamięci jego nazwisko - miał podobną przygodę z katechetą. Na lekcji religii kolega ten czymś się zajmował, nie zwracając uwagi na to, co mówi ksiądz. Ten w końcu się zdenerwował i mówi do ucznia. „Powiedz Kowalski (powiedzmy, że tak się nazywał), jakie jest jedenaste przykazanie!” Kowalski milczy, a ksiądz go popędza: „ No to jakie jest to przykazanie”. W końcu Kowalski woła: „Wiem, nie zadawaj głupich pytań bliźniemu swemu”. Skończyło się to raportem karnym.

Poza tym, szkoła jak to szkoła. Nie różniła się czymś specjalnym od normalnej szkoły. Lekcje, odrabianie lekcji, klasówki i tak dalej. Jeżeli coś się działo ciekawego to w chwilach wolnych od zajęć lekcyjnych. Czasem zdarzały się sytuacje specjalne. W Boże Ciało, czyli włoskie „Corpus Domini” zostałem wyznaczony do niesienia baldachimu nad księdzem. Zostało to utrwalone na zdjęciu, które dostałem z Alessano po bez mała 60 latach! Na zdjęciu trzymam drążek baldachimu i znajduję się po prawej stronie księdza.

Zakwaterowanie

Żołnierze – kursanci byli rozlokowani po kilku w prywatnych kwaterach. Ja, wraz z trzema kolegami, mieszkaliśmy przy wąskiej uliczce niedaleko centralnego placu miasta. Wchodziło się z ulicy na małe podwórko, a tam schodami na coś w rodzaju małego ganku, a z niego do naszego pokoju. Pokój, jak to w wojsku, był urządzony spartańsko - cztery łóżka i stół. Tu spaliśmy, tu jedliśmy i odrabialiśmy lekcje. Do pomocy wynajęliśmy sobie chłopca, dwunastoletniego Giovanniego. Miał sprzątać nasz pokój i robić zakupy. Robił to znacznie taniej niż gdybyśmy kupowali sami. Chodziło o to, że w sklepach i w witrynach były ceny dla nas. W rzeczywistości ceny dla miejscowych były znacznie niższe. Podstawowe zakupy to były pomidory i wino. Przynoszone z kuchni jedzenie, głównie obiad, nie nadawały się do jedzenia bez tych uzupełnień. Jak już wspomniałem, podstawą jedzenia była tłusta australijska baranina i odgrzewane, czy odparzane, suszone kartofle. Bez talerza sałatki pomidorowej i kieliszka wina nie dało się tego zjeść. Stać nas było na służącego, gdyż nasz żołd był, na lokalne warunki, całkiem pokaźny. Ponieważ byliśmy armią finansowaną przez Jego Królewską Mość Jerzego VI, nasze apanaże były w funtach angielskich. Ze względu jednak na bardzo słabą walutę, jaką był wtedy lir włoski, tych pieniędzy dostawaliśmy całkiem sporo. Mój żołd kaprała wynosił, na 10 dni, dwa tysiące czterysta lirów. Do tego mieliśmy opłacony wikt, opierunek i miejsce do spania. Dodatkowe dochody miałem ze sprzedaży części papierosów, których otrzymywaliśmy niemało, a które Włosi kupowali bardzo chętnie. Dla porównania, kierownik miejscowej poczty zarabiał pięć tysięcy lirów miesięcznie.

Na podwórku była studnia, skąd czerpaliśmy wodę do picia i mycia. W czasie silnych upałów wylewaliśmy na siebie wiadra zimnej wody. Studnia była również bardzo przydatna w drugi dzień Świąt Wielkiej Nocy, a ściślej w dzień śmigusa dyngusa. Biedni Włosi nie bardzo wiedzieli, o co chodzi i dlaczego leją na nich obficie wodę.

Poza tym, naprzeciw naszych drzwi, na dole, było coś w rodzaju parterowej przybudówki, w której mieszkała rzadko widywana Maria, samotna kobieta w wieku, jakby to powiedzieli żołnierze „poborowym”. Nie mieliśmy z nią bliższych kontaktów, aż do dnia, gdy chciał do niej wrócić Giovanni, potężny chłop, właśnie wypuszczony z więzienia. Przyszedł w nocy i energicznie dobijał się do drzwi Marii, żądając, by ta go wpuściła. Wobec stałej odmowy z jej strony, ruszył do szturmu i wywalił drzwi. W tym zamieszaniu Maria uciekła do nas, bo oczywiście nie spaliśmy i nawet próbowaliśmy towarzystwo uspokoić. Z nami Giovanni nie próbował walczyć, ale dalej wrzeszczał, używając słów, których nie rozumieliśmy, ale nie było wątpliwości, że nie były to zwroty literackie. W końcu zdecydowałem się pójść na posterunek karabinierów. Zbiegiem okoliczności była to noc przed referendum konstytucyjnym, w czasie którego Włosi mieli zdecydować, czy chcą monarchii czy republiki. Pomimo środka nocy, na ulicach coś się dzieje. Ktoś coś nalepia, ktoś coś zrywa. Wchodzę na posterunek karabinierów. Wsparty na stole śpi karabinier. Muszę go trochę poszturchać, aby go dobudzić. Wreszcie się zrywa i pierwsza rzecz, którą robi, to sprawdza czy ma pistolet. Swoją ograniczoną włoszczyzną tłumaczę mu, o co chodzi. Gdy zrozumiał, obudził swego kolegę i razem ruszyliśmy uspokajać Giovanniego. Giovanni jakby przeczuwał nadejście karabinierów i położył się w poprzek na jezdni wąskiej uliczki. Ponieważ był chłopem na schwał, więc zajmował prawie całą jej szerokość. Karabinierzy próbowali go przekonać, aby wstał, ale nic, żadne słowa nie skutkowały. Giovanni udawał albo śpiącego, albo pijanego. Jednakże karabinierzy nie dali się zwieść. Jeden z nich rozpiął rozporek i po prostu zaczął siusiać leżącemu na głowę. Metoda okazała się być skuteczna. Giovanni jak

raniona bestia zerwał się z wielkim wrzaskiem, pełnym przekleństw. Nie próbował jednak walczyć z karabinierami. W końcu poszedł z nimi potulnie.

Państwo Serio

Przez Jasia Wieczorka, o którym już wspomniałem, a który już był w Alessano zdomowiony, poznałem państwa Serio. Niezwykle sympatycznych ludzi, z którymi szybko się zaprzyjaźniłem, jeżeli tak można mówić o relacji pomiędzy niespełna osiemnastolatkiem i osobami znacznie ode mnie starszymi. Państwo Serio byli ludźmi gdzieś około sześćdziesiątki.

Pan Serio był właścicielem niedużej przetwórni tytoniu. Skupywał od okolicznych contadinów tytoń i poddawał go bliżej nieznanym mi obróbce, chyba fermentacyjnej. Następnie obrobiony już tytoń sprzedawał fabrykom papierosów. Pani Serio, jak to na włoskim południu, zajmowała się wyłącznie domem. Darzyła mnie dużą sympatią, oczywiście z wzajemnością i mogę powiedzieć, że niejako mi matkowała.

Państwo Serio mieli czworo dzieci. Najstarszy syn, Giuseppe, zginął na wojnie włosko-abisyńskiej (etiopskiej) w 1936 roku. W głównym pokoju domu, na stoliku, umieszczone było jego zdjęcie sporych rozmiarów, otoczone zawsze kwiatami. Najstarszą córką była Amelia, pełna wdzięku i energii, solidnie zbudowana trzydziestolatka. Kolejnym, według starszeństwa, był Antonio, włoski faszysta. Rzadko go widywałem, bo zawsze gdzieś chodził i politykował. Gdy byliśmy już gotowi do wyjazdu do Anglii, gdzie przerzucano cały II Korpus Andersa, Antonio poprosił mnie, abym przekazał angielskiemu faszystcie pozdrowienia od faszysty włoskiego. (*Witoldo, io ti prego di mandera un saluto da un fascisto italiano a un fascisto inglese*). Nie udało mi się spełnić życzenia Antonio. Nie spotkałem angielskiego faszysty, a prawdę mówiąc, wcale go nie szukałem. W czasie mego pobytu Antonio ożenił się z blond włoską Wandą. Skąd to słowiańskie imię u południowej Włoszki? Nie wiem. Po ślubie państwo młodzi rewizytowali gości weselnych, po czym Antonio, zostawiając żonę w domu, wychodził na wieczorne politykowanie z kolegami jak przed ślubem. Tamtejsze zwyczaje w stosunku do młodszych kobiet były dość rygorystyczne. Nie tylko, że siedziały w domach, to jeszcze nie mogły same wychodzić na miasto.

Najmłodszą córką była już zamężna Luba Betinotti. Jej mąż, Gino, niezwykle sympatyczny porucznik armii włoskiej często wyjeżdżał, stąd Luba kierowała część uczuć w moją stronę. Dziś to by się nazywało molestowanie nieletniego (jeszcze nie miałem 18 lat).

Wiele wolnych chwil, a nawet dni, spędzaliśmy z moim przyjacielem, Heniem Zacharewiczem, u państwa Serio. Bywaliśmy chyba co niedzielę na obiedzie, a często wieczorami prowadziliśmy łamaną włoszczyzną ciekawe rozmowy. Przynosiliśmy z kuchni biały pszenny chleb pieczony w prostokątnej formie. Pani Serio nalewała na talerze oliwę urozmaiconą marynowanymi oliwkami. Temu towarzyszyło oczywiście wino. Pan Serio opowiadał swoje wojenne przygody w czasie krótkiej wojny włosko – austriackiej. Większość czasu spędzali w okopach. W nocy zaprzyjaźniali się z Austriakami, a w dzień strzelali w powietrze. Zaprzyjaźnianie polegało na tym, że o zmroku Włosi wołali: Hans, mamy wino, macie kielbasę? Gdy się dogadali, wychodzili na spotkanie z okopów, siadali pod drzewem, popijając wspólnie włoskie wino i zagryzając austriacką kielbasą. O świcie byli z powrotem w swoich okopach. Niebezpiecznie było dopiero wtedy, gdy oficerowie zrywali ich do walki na bagnety. Pan Serio pokazywał na rękach i tułowiu liczne szramy po austriackich bagnetych.

Na Wielkanoc, chyba trzeciego dnia, wyjechaliśmy na Pasquarellę. To jakby początek wiosny. Kilka sąsiednich rodzin wyjechało, można powiedzieć dosłownie, w pole

z przygotowanym jedzeniem i oczywiście winem. Było to coś w rodzaju przedłużonego „śniadania na trawie”. Cały dzień w miłej atmosferze, w ruchu i na świeżym powietrzu.

W połowie lipca nastał czas rozstania z Alessano i jego mieszkańcami. Bardzo dobrze wspominam ten czas beztroski. To pierwszy, od wojny, czas wolny od grozy powstania, poniewierki obozu jenieckiego, czy nawet beznadziejności żołnierskiego życia w regularnym pułku. Można było się tu uczyć, nie dbać o wikt i opierunek i, co nie mniej ważne, spotkać ciekawych i życzliwych ludzi. Trudno się więc dziwić, że przy pożegnaniu było moc wzruszeń, a nawet łzy. Jedynie jeden z moich kolegów został w Alessano. Jasio Wieczorek ożenił się z uroczą Maryją. Małżeństwo to nie trwało jednak zbyt długo. Janka spotkałem po kilku latach w Warszawie, wyrażającego się o Włochach niezbyt pochlebnie.

Tłumy mieszkańców Alessano odprowadzały nas na dworzec, skąd pociągiem pojechaliśmy do Lecce. Byli i tacy, a wśród nich Amelia, Luba i Antonio, którzy pojechali z nami do Lecce, gdzie załadowano nas na samochody, które zawiozły nas do portu w Neapolu. To właśnie w czasie tego pożegnania Antonio, o czym już wspominałem, przekazał mi życzenie od włoskiego faszysty dla faszysty angielskiego.

W Neapolu zostaliśmy zaokrętowani na wojskowy okręt transportowy do przewożenia wojska. I rozpoczęła się podróż do Anglii.



Główna ulica w Alessano



Piknik na Wielkanoc



Z rodziną Seriów



Na pięć minut w cywilu



Niosę baldachim w Boże Ciało



Na Morzu Śródziemnym w drodze do Liverpoolu (jestem drugi z lewej)

Kursy Maturalne Nr 1, Cawthorne, Yorkshire, Anglia

W drodze do Anglii

Odplywamy więc z Neapolu w kierunku Liverpoolu. Okręt wojskowy nie kojarzy się z oglądanymi na filmach pasażerskimi cudami, z salami balowymi, basenami, barami. Atmosferę podróży oddaje spanie w olbrzymiej hali, czy jak to się nazywa po marynarzku, na kojach rozmieszczonych na sześciu piętrach! Sama przyjemność. Jeszcze pół biedy, gdy morze spokojne. Tak było na Morzu Śródziemnym. Piękna pogoda, morze jak lustro, tylko gdzieniegdzie wyskakiwały jakieś większe ryby. Dzień więc spędzaliśmy na pokładzie, wygrzewając się na słońcu. Ciekawe jednak, że były już osoby, które chorowały na morską chorobę, pomimo tego, że okręt sunął jak po stole. No, może było odczuwalne słabe drżenie, pochodzące z maszynowni.

Sielanka skończyła się po minięciu Gibraltaru i wydostaniu się na Zatokę Biskajską. Zaczęło się potężne bujanie z przelewaniem się fal przez pokład. Choćby dlatego nie można był tam przebywać. Chyba dla większości żołnierzy zaczęła się choroba morska. Bractwo leży w swych kojach, często z cytryną przy ustach, która podobno łagodzi skutki choroby. Mnie jakoś to ominęło. Wyrobiłem sobie własną „teorię” na ten temat. Polegała ona na tym, że tym większe są mdłości, im żołądek jest bardziej pusty. Dlatego jadłem, ile mogłem, a mogłem sporo, bo chorzy oddawali chętnie swe kupony kuchenne. Kuchnia znajdowała się w dolnej części okrętu koło maszynowni. Pobierało się tacę ze stosu, jak w barze samoobsługowym. Różnica była taka, że nie było talerzy, tylko taca miała wytłoczonych kilka zagłębień, do których kucharz wkładał odpowiednie potrawy. O ile przydatność takich tac była mało zrozumiana na Morzu Śródziemnym, o tyle na Biskajach była w pełni doceniona. Gdy szło się z taką tacą, przy dobrze kołyszącym się okręcie, trzeba było nie lada elastyczności, aby donieść cały obiad do stołu.

Wreszcie po kilku dniach jesteśmy w Liverpoolu. Jest odpływ, więc trapy wspinają się stromo z pokładu statku na portowe nabrzeże. To moje pierwsze spotkanie z tym zjawiskiem. Jest ono jeszcze lepiej widoczne następnego dnia rano, gdy schodzimy na ląd. Teraz trapy stromo spadają w kierunku lądu. Sądząc „na oko”, różnica pomiędzy poziomem morza rano i poprzedniego wieczora wynosi kilkanaście metrów.

Autobusami przewiezieni jesteśmy na dworzec kolejowy. W autobusie siedzę tuż za szybą, na pierwszym piętrze i nieco nerwowo trzymam się siedzenia. Wydaje mi się, że jedziemy dość szybko, a na dodatek lewostronny ruch stwarza wrażenie, iż lada moment dojdzie do kolizji.

Na dworcu umieszczono nas w osobowych wagonach, a przed odjazdem jeszcze nakarmiono. Do wagonów weszły umundurowane dziewczyny z pomocniczych formacji wojskowych. Częstują nas kanapkami, zwanymi tutaj sandwiczami. Do tego dostajemy kubki, do których nasze opiekunki nalewają kawy. Chciałem być uprzejmy i pochwalić się moją angielszczyzną, więc gdy kubek był prawie pełny powiedziałem do milej dziewczyny „thank you”, ale ona nic, tylko nalewa dalej, ja dalej „thank you”, aż kawa zaczęła się wylewać. Wtedy pouczyła mnie, że powinienem powiedzieć „no, thank you. Jeżeli mówię tylko „thank you”, to znaczy, że chcę jeszcze więcej. To była moja pierwsza lekcja angielskiego na terenie Anglii, opłacona blaniem mnie kawą. Ale zapamiętałem tę lekcję na zawsze.

Po kilku godzinach podróży pociągami wysiadamy w Barnsley (Yorkshire), niewielkim mieście w środkowej Anglii, kilkadziesiąt kilometrów od Manchesteru. Nie był to jednak cel naszej podróży. Załadowani ponownie w autobusy jedziemy około czterech mil do małej

miejsowości Cawthorne, a ściślej do dużego parku na jej skraju, noszącego nazwę Cannon Hall Camp. W pięknym parku, z kilkoma stawami, rozmieszczone zostały baraki dla wojska. Złośliwcy twierdzili, że przed nami mieszkali tu niemieccy jeńcy. Faktem jest, że nastąpiła niesamowita zmiana. Ze słonecznego Alessano przeniesiono nas do zupełnie innego środowiska.

Park był ogrodzony, ale z wolnym wejściem dla cywilów chętnych pospacerować w nim. I tu nastąpiło pierwsze zderzenie płk. Zimmera z władzą angielską. Pierwszą rzeczą, którą zrobił nasz szkolny wódz, było ustawienie w bramie parku żołnierza z karabinem. Dla cywilnych Anglików pełne zaskoczenie. Dotychczas chodzili tu swobodnie, a teraz broni im dostępu uzbrojony żołnierz! Nie wiem, kto interweniował, dość że po kilku godzinach przyjechał angielski oficer łącznikowy i kazał pułkownikowi zdjąć uzbrojoną wartę. W bramie pozostał jednak żołnierz, ale nieuzbrojony. Panu pułkownikowi, przedwojnemu oficerowi, pewnie nie mieściło się w głowie, że jednostka wojskowa może się mieścić na terenie, do którego każdy ma dostęp.

Skończyła się włoska beztraska. Koniec ze wspianiałym i tanim winem. Koniec z pachnącymi od słońca pomidorami. Koniec, co tu powiedzieć, z bardzo dobrą finansową pozycją wśród Włochów, dzięki niskiej wartości lira. Teraz te ileś tam szylingów angielskich miały dla nas niemal zerową wartość. Ktoś nawet próbował pędzić bimber, ale angielska policja szybko go zlokalizowała. Do tego, w Cawthorne, małej mieścinie, nie było co kupić do jedzenia, bo Anglicy mieli jeszcze kartki na podstawowe produkty żywnościowe. Jedyne dostępne jedzenie to *fish and chips*. Kłopot tylko polegał na tym, że trzeba było po nie wędrować dość daleko i stać w długim ogonku. Stąd stałe dyskusje na temat tego, czy człowiek jest bardziej głodny, leżąc na łóżku, czy wędrując tam i z powrotem po chipsy, o których zjedzeniu żołądek zapominał już po powrocie.

Po przyjeździe do Cannon Hall Camp zakwaterowano nas w barakach wojskowych, mieszczących po kilkudziesięciu żołnierzy. Skończyły się więc kilkuosobowe pokoje, do których byliśmy przyzwyczajeni w Alessano. Miało to i dodatnią stronę. Nastąpiła bliższa integracja całych klas. Nie tylko uczyliśmy się razem, ale i mieszkaliśmy razem. A to oznaczało u żołnierzy różne wspólne przeżycia. Jednym z naszych kolegów był Elias Friedman, który w ostatniej chwili uchwycił się przed śmiercią w jednym z obozów zagłady, gdzie nosił zwłoki do krematoryjnego pieca. Elias znał na pamięć wszystkie „Słówka” Boya. Po capstrzyku, gdy oficer dyżurny sprawdził, czy wszyscy są w łóżkach i zgasił światło, Elias zaczynał recytować Boya. Często towarzyszyły temu salwy śmiechu. To z kolei powodowało najście oficera dyżurnego, który, zaniepokojony hałasem, przychodził nas strofować. Nie bardzo mógł zrozumieć, co się dzieje, albowiem wszyscy byli w łóżkach i nie było śladów jakiegokolwiek rozróbny.

Szkoła szybko zaczęła działać normalnie. Szkoła jak to szkoła, nic nadzwyczajnego się nie działo. Praktycznie jedyną rozrywką były wypadki do Barnsley, gdzie można było pójść na potańcówkę lub do kina, gdzie wyświetlano głównie amerykańskie filmy, z których najlepiej zapamiętałem stepowanie. Dziś wydaje mi się, że we wszystkich filmach musiało być szybkie stepowanie i to głównie na szerokich schodach. W tym czasie można było się dowiedzieć, że jedna trzecia pożyczki amerykańskiej dla Wielkiej Brytanii szła na zakup amerykańskich filmów, a jedna trzecia na zakup amerykańskich papierosów. Na załączonym odcinku prasowym pokazana jest wizja angielskiego dziennikarza, dotycząca Anglii pod wpływem Ameryki.

Do „atrakcji” pobytu w Yorkshire należała niezwykle śnieżna zima 1946/47. Była to niewątpliwie zima stulecia, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie. Nas wożono do odśnieżania w wielu newralgicznych miejscach. Wystarczy powiedzieć, że na autostradzie było tyle śniegu, że całkowicie pokrywał samochody osobowe, których nie było widać. Były ofiary śmiertelne, wśród pasażerów aut, którzy prawdopodobnie chcieli przeczekać śnieżną nawałnicę. Wykopywaliśmy również tunel o ścianach wyższych od człowieka, aby umożliwić przeniesienie zmarłej osoby na cmentarz. Poniższe dwa zdjęcia tylko fragmentarycznie oddają obraz niezwyklej, jak na Anglię, zimy.



Gra w karty przy barakowym stole



Lekcja chemii



W kolejce po obiad



Kapral Jego Królewskiej Mości



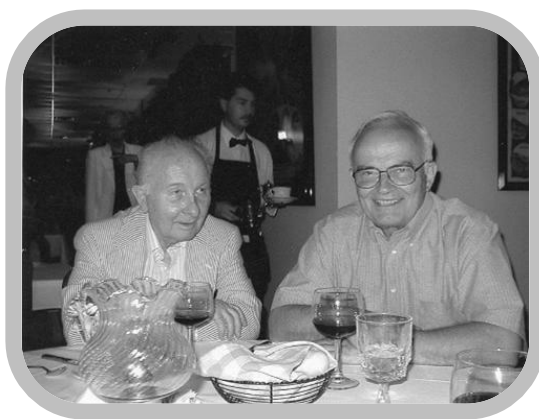
Walka ze śniegiem – czyli...



snow job



Z najbliższym kolegą
Leszkiem Werwickim



Z Leszkiem pół wieku później w Chicago



Przyjaźń
polsko-szkocka

Thompsonowie

Czasem chodziliśmy na piwo do pubu. Jedna z takich wizyt zaowocowała ciekawą i dłuższą znajomością. Siedzący koło mnie, przy kontuarze, Anglik zagadał do mnie i tak zaczęła się, mogę powiedzieć, nasza przyjaźń. Moim sąsiadem okazał się Frank Thompson, działacz związkowy górników. Hrabstwo Yorkshire, a szczególności okolice Barnsley, jest angielskim zagłębiem węglowym, stąd w pubach można ich było często spotkać. Jeżeli chodzi o Franka, to dodatkowym elementem naszego zapoznania się było to, iż był on katolikiem. Gdy dowiedział się, że i my jesteśmy katolikami, nasza rozmowa, trzeba przyznać dość kulawa, doprowadziła do tego, że Frank zaprosił nas do siebie do domu. Mówię nas, albowiem byłem z moim kolegą, Tadeuszem Ziółkowskim. Od tego momentu, co niedzielę, a czasem i cały weekend, byliśmy gośćmi państwa Thompsonów – Franka, jego żony Sheili i dwuletniej córki Wendy. Nieraz, w niedzielę, byliśmy z nimi na mszy, która miała miejsce w miejscowej szkole (Thompsonowie mieszkali kilka przystanków za Barnsley). Mszę odprawiał ksiądz, który na co dzień był górnikiem. Wielu uczestników mszy klęczało niemal przez cały czas jej trwania. Dziś wyobrażam sobie, że nasze wizyty musiały być dla nich niemalym obciążeniem. Nie tylko to, że podkarmianie kosztowało, ale i to, że jak już wspominałem, w tym czasie szereg produktów było na kartki. My ze swej strony zawsze przywoziliśmy ze sobą zaoszczędzone puszki z zagęszczonym mleczkiem, potrzebnym do puddingu.

Wielokrotnie byliśmy zapraszani przez rodziców Franka i rodziców Sheili którzy mieszkali w pobliżu. W czasie pierwszej wizyty u starszych państwa Thompsonów, gospodarz wziął do ręki krzesło, odwrócił je i pokazał mi metkę z napisem „Made in Poland, Radomsko”. Był to bardzo sympatyczny gest. Równie mili byli państwo Johns, rodzice Sheili. Pan Johns, emerytowany policjant, zwierzył mi się w tajemnicy, że od 25 lat jak był policjantem, pierwszy raz złamał prawo. Kupił na czarnym rynku indyka na święta. „Takie to czasy, mój drogi” – zakończył zwierzenie.

Po powrocie do kraju, przez wiele lat, wymienialiśmy między sobą świąteczne kartki. Potem skończyło się to niejako w naturalny sposób.

Ćwierć wieku po naszym rozstaniu, chyba w 1972 roku, byłem na konferencji w Nottingham i pomyślałem – a jak by tak odwiedzić Thompsonów? Ale jak ich znaleźć? Z pomocą przyszła mi miła „operator” telefoniczna, która, gdy się dowiedziała, o co chodzi, rzeczywiście zrobiła wszystko, aby odszukać mych dawnych przyjaciół. A rzecz pewnie nie była łatwa, jako że Thompsonów w Anglii nie ma. Jednak się udało! Usłyszałem uradowany głos Franka, który oczywiście zawołał, abym przyjechał. Nie było to łatwe, miałem bowiem cały plan podróży po Anglii, ale jakoś „skręciłem” dwa dni i pojechałem do Barnsley. Było to bardzo miłe spotkanie. Trochę żeśmy się pośmiali na temat jak się zmieniliśmy po ćwierćwieczu. Frank i Sheila, prawdę mówiąc, zmienili się niedużo. Oczywiście, nieco posiwiali, ale byli dalej pełni życia. Oczywiście najbardziej, nie do poznania, zmieniła się Wendy. Z dwuletniej dziewczynki wyrosła na dorosłą dwudziestosiedmioletnią kobietę, matkę dwojga dzieci. Niestety, rozwiedzioną. Poznałem jeszcze Petera, syna, którego jeszcze nie było na świecie, gdy byłem w Cawthorn.

Odwiedziliśmy starszych państwa Johnów, którzy mieszkali nieopodal w swego rodzaju domu opieki. Ściśle rzecz ujmując, mieszkali w samodzielnym, niewielkim mieszkaniu, sami wszystko robili. Opieka polegała między innymi na tym, że w wielu miejscach domku były sznureczki alarmowe. Jeżeli ktoś źle się poczuł, mógł pociągnąć za rączkę i w ten sposób

weszać pomoc. Takich domków było w szeregu kilka. Spotkanie dla mnie było smutne, bo pan Johns mnie w ogóle nie poznał, a pani Johns moja osoba coś tam przypominała.

Moja wizyta dla Franka miała jakieś znaczenie (w dalszym ciągu był górniczym związkowcem), bo zaprosił dziennikarza lokalnej gazety, który opisał moją wizytę i zrobił nam zdjęcie, które, niestety, nie uchowało mi się. Wieczorem zaprosili mnie do lokalnego klubu. Coś w rodzaju pubu, ale z restauracją, orkiestrą i tańcami. Tańczyłem z Wendy, którą poznałem, gdy miała dwa lata! W takich momentach odczuwa się ucieczkę czasu.

Wspominając Alessano i Barnsley, powinienem powiedzieć, że miałem prawdziwe szczęście poznać, w czasie powojennej tułaczki, tych wspaniałych ludzi, jakimi byli państwo Serio, Thompsonowie i Johnowie. Ich serdeczne przyjaźnie pozwoliły mi łatwiej przetrwać szarżę rozstania się z domem. A było to o tyle ważne, że miałem wtedy 17 – 18 lat. Jak czasem czytam o Anglikach, że są zimni i niedostępni, to z moich doświadczeń wynika, że nie jest to prawda. Przeciwnie, od Thompsonów i Johnów doznałem moc serdeczności i rodzinnego ciepła.

Spotkanie z Ojcem w Paryżu

Od początku mojego pobytu w Anglii miałem stały kontakt listowny z domem. Na początku 1947 roku dowiedziałem się od Taty, że wybiera się do Paryża na jakąś konferencję optyków. Jak już wspominałem, ukończył on paryski Instytut Optyki. Zacząłem się więc starać o pozwolenie na dwutygodniowy wyjazd do Paryża w czerwcu. Mieliśmy się spotkać u państwa Roux. Pan Lucien Roux był kolegą Taty ze studiów. Szczęśliwie udało mi się i w czerwcu spotkaliśmy się z Tatą. Nie muszę opisywać wrażeń z tego spotkania, są zrozumiałe. Nie widzieliśmy się przecież bez mała trzy lata. A w takim wieku, jakim byłem, to dużo. Najprzykrzejsze wspomnienie to relacje Taty ze śmierci Haliny. Ostatniego dnia Powstania! Nigdy wcześniej nie widziałem łez w oczach Ojca. Jeszcze drugi raz je widziałem, gdy już po powrocie pokazywał mi pukiel Haliny włosów. Poległych powstańców chowano na terenie żoliborskiego parku Żeromskiego. Przy ekshumacji, przed przeniesieniem zwłok na cmentarz powstańców na Woli, była Wanda. Miała ten trudny obowiązek - rozpoznać zwłoki siostry.

Po wyjeździe Taty do Warszawy byłem jeszcze kilka dni w Paryżu. Niezwykle sympatyczni państwo Roux mieli córkę, Jacqueline, w moim wieku, która oprowadziła mnie po najciekawszych miejscach Paryża. Były to trudne powojenne czasy, tak więc ówczesny Paryż to nie to samo miasto, które znamy z lat późniejszych. Jak było trudno Francuzom, to wystarczy powiedzieć, że mieli reglamentowane wino! Gdy przyjechałem do Paryża, jako cudzoziemiec dostałem kartki na wino, co bardzo ucieszyło moich gospodarzy.

Czas żegnać Paryż i wracać do Cawthorn. Wysiadam, po dość długiej podróży i kilku przesiadkach, w Barnsley. Jest późna godzina nocna, więc autobusu już nie ma. Decyduję się na taksówkę. Musiałem chwilę poczekać i limuzyna podjechała. Rzeczywiście limuzyna. Był to autentyczny Rolls-Royce, ze skórzanymi obiciami i rozsuwaną szybą dzielącą pasażera od kierowcy. W tym szczególnym wypadku kierowcą była młoda dziewczyna, bacznie przyglądająca się mi w lusterku, jako że jazda była nocna, a jak wiadomo, po żołnierzach wszystkiego się można spodziewać. Ja tymczasem rozparłem się jak panisko i czułem się przez pół godziny jak co najmniej angielski lord. Marzenia prysnęły, gdy dojechaliśmy do Cannon Hall Camp. Patrzę bowiem, a tu okna baraków rozświetlone. Co to może być?



Z Ojcem w Paryżu, u państwa Roux



Żołnierz Jego Królewskiej Mości

Matura

Okazało się, że przyspieszono termin matury, która miała się odbyć gdzieś jesienią. Tymczasem szykowało się wcześniejsze rozwiązanie II Korpusu i trzeba było zakończyć edukację wcześniej. Sprawa niebłaha, a więc zakuwamy dniami i nocami, by stanąć 14 lipca w szranki z Komisją Egzaminacyjną Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii. Okazuje się, że jestem bardzo dobry z matematyki, angielskiego i ćwiczeń cielesnych (to jeszcze te kucharskie mięśnie robią swoje). Najgorzej szło z polskim. Panu od polskiego podpadłem już wcześniej. Na jednej z lekcji, gdy była mowa o trylogii Sienkiewicza, odważyłem się nieco ją skrytykować. Otóż rzekłem, że w tej powieści to tylko się biją i piją, a nie wiadomo, z czego żyją. I od tego zaczęły się kłopoty z polskim, a właściwie z panem od polskiego. Dodatkowo w tekście wypracowania z polskiego, napisałem „literatóra”, co wołało o pomstę do nieba. Przed wojną za jeden błąd ortograficzny w wypracowaniu z polskiego można było oblać maturę. Na szczęście słowo to napisałem kilka razy poprawnie i jakoś mi to przeszło. Kłopot był jeszcze na ustnym. Zostałem zapytany o parnasizm i jakoś z tego wybrnąłem. Ubawiłem jednak wysoką Komisję czym innym. Zapytano mnie bowiem, skąd się wzięło pojęcie „parnasizm”. Dla mnie odpowiedź była prosta. Właśnie wróciłem z Paryża, gdzie odwiedziłem Mont Parnas. Nie miałem wątpliwości, że właśnie z tego paryskiego wzgórza wzięła się nazwa, o którą mnie pytano.

Matura przeszła szczęśliwie, teraz tylko spać, spać, spać. Trzeba odespać nieprzespane noce. Wreszcie którejś nocy budzę się już wyspany na amen. Kręcę się na łóżku i słyszę, że mój sąsiad Tadzio też nie śpi. Postanowiliśmy wyjść po cichu na nocny spacer. Poszliśmy w kierunku Cawthorn, ale nie uszliśmy daleko. Jak spod ziemi zjawił się Bobik, czyli policjant i pyta, co tu robimy o tej nocnej porze. Jak tu wytłumaczyć angielskiemu policjantowi, że właśnie zdaliśmy maturę, odespaliśmy to i wyszliśmy na spacer, bo dalej spać nie możemy. Coś mu tłumaczyliśmy naszą angielszczyzną, ale Bobik na wszelki wypadek polecił nam, abyśmy wrócili do obozu.

Decyzję podjąłem – wracam do Kraju

Trudne decyzje. Matura zdana, ale zaczyna się nie mniej ważny okres w życiu, a przede wszystkim – co dalej? Następuje demobilizacja polskiej armii w Anglii. Powstaje Korpus Osiedlenia i Rozmieszczenia, którego nazwa mówi sama za siebie. Polacy z centralnej

Polski, głównie warszawscy powstańcy, mieli w zasadzie dwa wyjścia. Zostać na Zachodzie lub wracać do kraju. Nasi koledzy, którzy tu przywędrowali z ZSSR, nie mieli wyboru. Po pierwsze z reguły pochodzili z Polski wschodniej, zajętej teraz przez Rosjan, a więc nie mieli do czego wracać, a po drugie - mieli przykre doświadczenia z łagrów i syberyjskiej czy kazachskiej tułaczki. Ja w zasadzie byłem zdecydowany na powrót do domu. Nie oznacza to, że nie obserwowałem tego, co się dzieje i jakie są inne możliwości. A dla przeciętnego żołnierza, a nawet i oficera były one bardzo ograniczone. Jedną z propozycji, jaką dostałem, było wstąpienie do Policji Palestyńskiej! W tym czasie cały obszar dzisiejszego Izraela i Palestyny był pod brytyjskim protektoratem. Był to czas, gdy Żydzi walczyli o swoje państwo. A więc było to strzelanie, zabijanie, wysadzanie w powietrze. Jednym słowem to, co dziś nazywa się terroryzmem. Właśnie ten terroryzm „żydowskich nacjonalistów” miała zwalczać wspomniana policja, do której zachęcano nas, abyśmy wstępowali. Alternatywą dla tego była propozycja pracy na trzecią zmianę w kopalniach węgla hrabstwa Yorkshire. Niektórzy maturzyści, szczególnie ci pochodzący ze wschodniej Polski, podjęli starania, aby dostać się na studia. Nie śledziłem ich dalszego losu. Sam, razem z liczną grupą kolegów, zgłosiłem się na powrót do Polski.

Zostaliśmy przewiezieni do obozu przejściowego koło Newcastle upon Tyne. Po drodze jednemu z kolegów zginęła część bagażu i poprosił mnie, abym z nim poszedł do angielskiego komendanta obozu, by mu pomógł odnaleźć cenne rzeczy. Efektem tej rozmowy było zatrzymanie mnie w biurze komendanta, szkockiego kapitana, którego dalej nazwę Kapitan. Otóż Kapitan, spostrzegłszy, że może się ze mną dogadać, powiedział krótko: „Nie mogę się tu z nikim z Polaków dogadać, będziesz ze mną pracował”. Przychodziłem więc codziennie do biura, w którym obok Kapitana i mnie siedział Sierżant, walijski podoficer odpowiedzialny za sorty mundurowe, pralnie i takie inne rzeczy. Mnie przypadło przygotowywanie listy płac. Zajęcie trywialnie proste, albowiem w tym czasie nie było jeszcze w pieniądzach systemu dziesiętnego. Dwanaście penów składało się na szylinga, a dwadzieścia szylingów na funta. Nietrudno sobie wyobrazić kłopoty w dodawaniu w słupkach, osobie, która w podświadomości miała system dziesiętny. Było niby jakieś angielskie liczydło, ale dla mnie jeszcze trudniejsze niż „na piechotę” przeliczanie penów na szylingi.

Wspólna praca Szkota, Walijszyka i Polaka przynosiła liczne *qui pro quo* językowe. Nie zdawałem sobie sprawy, że Szkot z Walijszykiem mogą mieć takie kłopoty w komunikowaniu się. Raz było tak zabawnie, że gdy Sierżant rzekł coś do Kapitana, ten zwrócił się do mnie z pytaniem: „Co on powiedział?” !

Praca z Kapitanem miała swój korzystny finał. W pewnym momencie w ramach demobilizacji otrzymywaliśmy cywilne ubranie. Ściślej rzecz biorąc, marynarkę i spodnie. Na ogół do siebie pasowały, ale nie stanowiły jednej całości jako garnitur. Kapitan był dla mnie tak wspaniałomyślny, że poszedł ze mną osobiście do magazynu i kazał wybrać mi cały garnitur. Ja już miałem dość przymierzania, a jemu dalej się coś nie podobało. W końcu zostałem „obdarzony” pięknym, granatowym garniturem w paski. Nie dość, że był ładny to jeszcze z jakiejś niesamowicie solidnej wełny. Nosilem go po powrocie wiele lat, a potem jeszcze Jadzia przerabiała go na różne postacie damskiej garderoby.

Poza ubraniami dostaliśmy jakieś niewielkie odprawy. Należało je jak najlepiej wydać, tak aby kupić coś, co w kraju daje najlepsze przełożenie. Tym czymś była skóra na zelówki. Większość kupowała albo gotowe wykrojone zelówki, albo całe arkusze skóry, z których

szyliśmy walizki. I ja taką walizkę sobie uszyłem. Rzeczywiście było za to parę złotych po powrocie.

Od matury do wyjazdu z Anglii minęło prawie pół roku. Tyle czasu trwały przenosiny do obozu przejściowego, demobilizacja i czekanie na transport. Wreszcie na początku grudnia 1947 roku zostajemy zaokrętowani w Glasgow. Rozpoczął się powrót do domu, do Kraju!

Wyływamy na Morze Północne, kierując się do Bałtyku. W pierwszej fazie podróży potwornie buja. Powszechnie daje się we znaki choroba morską. Mnie, jak i na Biskajach, ta przypadłość ominęła. Potem pogoda się poprawia i nawet możemy wychodzić na pokład, a tam głównie toczą się rozmowy, co nas czeka. Wprawdzie chyba wszyscy korespondowali z rodzinami i mieli jakiś obraz sytuacji w Kraju, ale propaganda części oficerów II Korpusu robiła swoje. „Jesteście zdrajcami, zobaczycie, że was zamkną” i temu podobne. Nie dawaliśmy temu wiary, ale jakaś część tego, co nam wmawiano, w umysłach została. Nie wszyscy mieli te same obawy. Jeden z kolegów miał obawę szczególną. Strasznie kłął. Jak mówił w dzień, to potrafił to opanować. Ale najgorzej, że kłął przez sen i był pełen niepokoju, co na to powie jego mama.

12. Nareszcie w domu!

Powrót

Wreszcie dopływamy do Gdyni. Jest 8 grudnia 1947 roku. Oczywiście wszyscy na pokładzie, a oczy wychodzą z ciekawości. Moje pierwsze spostrzeżenie - na brzegu sporo żołnierzy z karabinami. Jakoś człowiek, w Anglii, odzwyczaił się od widoku broni. Teraz ten widok, z tym, przed czym ostrzegali korpusowi oficerowie, jakoś się skojarzył. Obawy trwały krótko. Wysiedliśmy, stanęliśmy przed urzędnikami Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, popularnie zwanego PUR-em. Pstryknięto nam zdjęcie, dano stosowny dokument oraz zaświadczenie Ministerstwa Administracji Publicznej na „ulgowy przejazd w przedziale 3. pociągu udającego się do miejsca zamieszkania”. Złowrogie wróżby o wywózce na Syberię nie sprawdziły się. Mało tego, z racji pobytu w II Korpusie miałem swego rodzaju „dyspensę” wojskową. Miałem 20 lat i jeszcze przez szereg lat podlegałem służbie wojskowej. Tak więc co jakiś czas dostawałem wezwania do komisji poborowej. Po zgłoszeniu się i podaniu nazwiska, podoficer obsługujący komisję zaglądał w swoje papiery i pytał: „Byliście w II Korpusie?” Po mojej twierdzącej odpowiedzi dostawałem jednoznaczny rozkaz: „Do domu!”. W domyśle - nie chcemy takiego trefnego żołnierza. Ten „dystans” komisji poborowej do mojej osoby, z którego nie muszę się tłumaczyć, że byłem zadowolony, skończył się po znanych zmianach w kraju w 1956 roku.

W pociągu chyba większość to powstańcy, jak ja, wracający do domów. Z dworca ciężarówką, z kilkoma innymi osobami, jedziemy na Żoliborz. Oglądam ogromne zniszczenia. Wygląda to inaczej niż w czasie Powstania, gdy człowiek stopniowo obserwował postępującą zagładę miasta.

Wreszcie po trzech latach, czterech miesiącach i dziewięciu dniach jestem z powrotem w Domu, z którego wyszedłem na trzy dni!

Były to lata nietypowych lekcji i niecodziennych doznań

Nauczyłem się strzelać do ludzi i cieszyć się jak kogoś trafiłem.

Nauczyłem się tonów muzyki „szafy”, „katuszy” i granatnika (walnie tu, czy dalej).

Dowiedziałem się, że burzowiec może być niezłą drogą do wolności.

Doznałem upokorzenia klęski i pustki w głowie, stojąc z rękami do góry naprzeciw niemieckiego km.

Doznałem ohydztwa zawszczenia i rozkoszy odwszenia.

Nauczyłem się współżycia z gronem zamkniętych razem ludzi, o wszelkiej profesji i wieku.

Od szewca i tramwajarza, po profesora i mistrza Europy w tenisie.

Nigdy wcześniej, ani nigdy potem nie doznałem uczucia uporczywego głodu jak w obozie.

Cienka zupka w południe łagodziła go na chwilę.

Nauczyłem się gotować taką zupkę dla dwustu osób naraz.

Nauczyłem się komunikować z ludźmi, nie znając ich języków.

Spotkałem dwóch sympatycznych Niemców, którzy mi pomogli.

Spotkałem chicagowskiego gangstera, który szczylił się pierścionkami zerwanymi z palców nieboszczyków na froncie.

Doznałem uczucia szczęścia z odzyskanej wolności. To prawdziwa rozkosz móc pójść, gdzie się chce, zatrzymać się, gdzie się chce i wrócić, kiedy się chce.

Poznałem pierwszy raz w życiu piękno gór i morza.

Nauczyłem się celować z działa ciężkiego kalibru (szczęśliwie tylko na poligonie).

Nauczyłem się walczyć o swoje ważne interesy. Przez to trafiłem do liceum przy II Korpusie. Zasmakowałem we włoskim winie, czasem nawet za bardzo. Poznałem dwie wspaniałe rodziny: włoską i angielską, które mnie traktowały niemal jak syna i brata. Zaznałem wagi podejmowania decyzji (wracać, nie wracać). Doznałem szczęścia powrotu do Rodziny i Przyjaciół!

Jestem w Domu! Mamy nie zastałem, ale sąsiedzi dali mi się obmyć i ogolić. Niebawem Mama przysłała. Łzy radości z powitania i to, że jestem cały i zdrow. I łzy smutku po stracie Haliny. Minęło trzy lata, ale pamięć o Niej była ciągle obecna.

Rozmawiamy, pijąc herbatę, a Mama mi się jakoś dziwnie przygląda. Wreszcie mówi: „Powinieneś obmyć sobie twarz, bo wygląda jak brudna.” A to był świeżo ogolony zarost! Wyszedłem, jako „żółtodziób”, a wróciłem jako mężczyzna z zarostem.

Teraz Rodzice mieszkają w jednoizbowym mieszkaniu zrobionym z wnek pod dachem. W poprzednie, trzypokojowe mieszkanie na piątym piętrze, wałał pocisk i nie nadawało się do zamieszkania. Piszę „Rodzice”, ale w rzeczywistości mieszka tu Mama ze Stasiem Lisowskim. Tata jest w Jeleniej Górze, gdzie jest dyrektorem w poniemieckiej fabryce optycznej, czy szkła optycznego. Wanda jest w Cieszynie, gdzie wstąpiła do Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego. Tam poznała swego przyszłego męża, Olgierda Oleszkiewicz – Ziemowit - Olpińskiego.

Stasio Lisowski, w tym czasie chyba chłopiec dziesięcioletni, był synem pani Lisowskiej z Kopć pod Zagnańskiem. Po Powstaniu Niemcy wywozili wszystkich z Warszawy i rozmieszczali w różnych miejscach Kraju. Rodzice z Wandą trafili do niezwykle miłej pani Lisowskiej, wdowy, która „ciągnęła” całe gospodarstwo. I robiła to naprawdę nieźle. Jej dom to jedyna we wsi chałupa z podłogą z desek. Rodzice tak się zaprzyjaźnili z panią Lisowską, że potem przez wiele lat jeździli do niej na wakacje, a jej syn Staś mieszkał z nami w Warszawie, uczęszczając do szkoły.

W styczniu 1945 Ojciec wybrał się z Kopci do Warszawy na piechotę (ponad 150 km)! Chciał ratować, co się dało z naszego mieszkania. W znacznej mierze chodziło mu o jego cenne książki. Nocował u chłopów, czasem go ktoś podwiózł na furmance. Wreszcie dotarł do Warszawy po tej męczącej podróży w okresie wielkich mrozów. W Warszawie były zamrożone miejsca na Wiśle, które można było przejść na piechotę. Ojciec dotarł do Warszawy w opłakanym stanie, bez środków do życia i jeszcze na dodatek zawieszony. Na pomoc przyszedł mu Stanisław Tołowiński, prezes Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a kilka miesięcy później prezydent Warszawy.

Mieszkanie opuszczone po Powstaniu było częściowo splądrowane. Skradzione zostały wszystkie lekkie rzeczy, dające się wynieść uszkodzoną klatką schodową. Zniknęły, więc takie rzeczy jak część książek beletrystycznych, w tym „Trylogia” i inne ciekawe dla mnie książki. Najbardziej było mi żal dużej księgi z obrazami Matejki. Często do niej zaglądałem. Oczywiście książek fachowych nikt nie ruszył. Dzięki uszkodzonym schodom na klatce uratowały się przed szabrem meble.

Pierwsza rzecz, która starałem się zrobić, to jeszcze dostać się na studia. Niestety, żadne tłumaczenia o repatriacji nie pomogły. Był grudzień, a ja nie miałem formalnej matury, tylko maturę od Andersa. Jednym słowem pierwszą rzeczą, którą musiałem zrobić, była nostryfikacja matury nadanej mi przez „Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej

Brytanii”. Aby to zrobić, musiałem zdać dodatkowy egzamin – coś w rodzaju wiedzy o Polsce współczesnej. Ponieważ Polska współczesna jeszcze nie miała zbyt bogatej historii, zapytano mnie o odbudowę mostu Poniatowskiego. Nostryfikacja nie była więc trudna. Już 9 lutego 1948, a więc w dwa miesiące po powrocie do Kraju, na odwrocie mego dokumentu maturalnego z Anglii stwierdzono, że moje „świadcstwo jest równoważne ze świadectwem dojrzałości Państwowego Liceum Ogólnokształcącego typu matematyczno – fizycznego w Polsce”.

Jest luty, egzaminy wstępne na uczelnie dopiero we wrześniu i co tu robić? W pierwszej kolejności odwiedziłem swoich bliskich kolegów szkolnych i z kompletów. Dowiedziałem się smutnych wieści o śmierci wielu z nich. Już o tym wspominałem.

Niektórzy koledzy zachęcali mnie do dołączenia do ZWM (Związek Walki Młodych), ale atmosfera na Niegolewskiego, gdzie Związek się mieścił, nie odpowiadała mi. Było tam za dużo, jak dla mnie, jakiegoś ostentacyjnego zachowania, bez rzeczywistej działalności. Dałem sobie z tym spokój.

Zajęcie przyszło nieoczekiwanie i to zarobkowe. Ciągnąłem korzyści z tego, że zrobiłem maturę. Większość moich kolegów czekała matura w nadchodzących miesiącach. Jak wiadomo, słabością wielu uczniów jest matematyka i fizyka, z których byłem dobry. Zacząłem, więc udzielać korepetycji. Tak się to rozkręciło, że bliżej matury miałem do ośmiu lekcji dziennie. Nie było to zajęcie atrakcyjne, ani zbyt dochodowe, ale pozwalało przeżyć. Gdy moi, nieuzdolnieni matematycznie koledzy - uczniowie męczyli się nad rozwiązaniami zadań typu – pociąg z miasta A do miasta B - na papierze, ja starałem się rozwiązywać je w pamięci. Tak się wprawiłem, że znałem kwadraty wszystkich liczb od zera do stu i z powrotem.

Poza korepetycjami wziąłem się za czytanie. Szczęśliwie biblioteka publiczna w sąsiedniej klatce tego domu nie uległa zniszczeniu. Miałem więc łatwy dostęp do książek. Czytałem oczywiście najróżniejsze książki, najróżniejszych autorów. Najbardziej zapadły mi w pamięć powieści Ericha Remarque’a, Alexandra Dumasa, Selmy Lagerlöf i Sigrid Undset.

Letnia wycieczka

Pierwszą osobą, którą odwiedziłem po powrocie, był Wojtek Jankowski. Bliski kolega i przyjaciel jeszcze z przedszkolnych lat. Wojtek interesował się bardzo turystyką. Jeszcze w czasie okupacji zbierał przewodniki i mapy, planując przyszłe wycieczki. Pierwszą z nich zrealizowaliśmy latem 1948. Wojtek był pomysłodawcą i przewodnikiem naszej dwuosobowej wyprawy. Poniższy zapis oparty jest częściowo na mojej pamięci, ale w znacznym stopniu na wspomnieniach Wojtki.

Wyruszyliśmy w połowie lipca rejsowym statkiem do Sandomierza. Po drodze były przystanki. Na jednym z nich do statku podszedł chłop z koszem węgorki. Cumujący majtek zawołał: „Kapitan, węgorze są!” Na to z kapitańskiego mostku padło – „Maszyny stop! Po ile?” Odpowiedź – „po dwadzieścia!” Na to kapitan: „Całą parą naprzód!”

Podróż miała i inne przerwy. Zatrzymaliśmy się przed pontonowym mostem, czekając, aż saperzy, usuwając jeden ponton, pozwolą nam przepłynąć.

Wieczorem jesteśmy w Sandomierzu, więc nocujemy na statku. Wczesnym rankiem szukamy miejsca, żeby coś zjeść. Natrafiamy na małą, już otwartą, knajpkę. Jedliśmy jajecznicę, patrząc jak ze sznureczka robotników, idących do jakiejś lokalnej fabryczki, ktoś zatrzymywał się i wchodził do knajpki. Często, nawet nie mówiąc dzień dobry, sięgał po postawiony mu kieliszek wódki, wypijał ją i wychodził.

Ruszamy w piękne Góry Świętokrzyskie. Po naszej drodze, lub tuż obok, Klimontów, Konary, Iwaniska i Ujazd. W tym ostatnim ruiny zamku „Krzyżtopór” zniszczonego w czasie Potopu. Na nocę zachodziliśmy do napotkanych wsi. Szukaliśmy gospodarstw nie za bogatych i nie za biednych. Wszędzie nas przyjmowano bardzo gościnnie, oferując spanie na sianie i za grosze, a czasem nawet za darmo, jakiś posiłek, głównie złożony z mleka i jajek.

Po drodze w lesie wypatrujemy przedwojennych oznakowań szlaków turystycznych, umieszczonych na drzewach. Niestety, część tych drzew w czasie wojny została wycięta, co czasem prowadziło nas na bezdroża. Wreszcie wdrapujemy się jakąś taką mylną ścieżką na Święty Krzyż. Zwiedzamy klasztor benedyktynów, gdzie w czasie wojny było jedno z cięższych więzień. Nie trzeba było mieć dużo wyobraźni, napisy w celach dawały obraz bezmiernej męki ludzi tu więzionych, torturowanych i skazywanych na śmierć.

Doszliśmy do Świętej Katarzyny, a stamtąd wąskotorową kolejką pojechaliśmy do Zagnańska. Nie była to kolejka pasażerska, ale towarowa, wożąca rudę. Siadało się po prostu na rudzie i podziwiał wolno przesuwające się piękne widoki.

Z Zagnańska, już późnym popołudniem, wędrujemy kilka kilometrów przez las do wspomnianych wcześniej Kopci. Po trzech dniach odpoczynku u pani Lisowskiej, po 100 - kilometrowym marszu ruszamy w Beskidy. Z Zagnańska jedziemy do Krakowa, a stamtąd do Suchej Beskidzkiej. Kraków zrobił ogromne wrażenie. Po zniszczonej Warszawie, tu wszystko całe. Ale nie tylko całe, ale miasto tętniące życiem. Na Plantach brak siedzących miejsc na ławkach, a wieczorem fontanna podświetlona wielobarwnymi światłami. Inny świat!

Z Krakowa do Suchej jedziemy pociągiem, a w nim wagonem zwanym towosem. Wagon towarowy, przystosowany do przewożenia osób. Przystosowanie polegało na umieszczeniu w nim drewnianych ławek. Przypomniało to podróż do obozu jenieckiego po Powstaniu. Taki sam wagon towarowy. Jednak zasadnicza różnica polegała na tym, że w towosie drzwi były otwarte i były ławki, a w tym do niewoli drzwi były zaryglowane od zewnątrz i nie było ławek.

Z Suchej powędrowaliśmy do Zawoi, a następnie na Babią Górę. Schodząc w kierunku Krowiarek, napotykamy słupki graniczne pomiędzy Generalną Gubernią i Słowacją. Dalej, przez Turbacz, drogą na Czorsztyn, dochodzimy do Krościenka. Tu oczywiście wędrujemy po pięknych Pieninach.

Dla Wojtka, można rzec, to podróż sentymentalna. W szeregu wspomnianych miejsc spędzał z Rodzicami wakacje w ostatnich latach przed wojną. W swych pięknych wspomnieniach nawiązuje to tamtych czasów. Ja tu wszędzie jestem pierwszy raz i jestem pod urokiem piękna tych okolic. Mnie utrwaliły się niezniszczone miasta i wsie. Wszystkie mosty całe. Jakby wojna przeszła bokiem. To ciągle, niemal obsesyjne porównywanie wszystkiego ze zniszczoną Warszawą, do której czas wracać.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia

Wzrost Nr. 3
(zła wydrukowana w wieku od lat 14 do 50)

Zaświadczenie Nr 592328

Zaświadczam, że ob. hpr. Guthowski Witold
13.9.1928 r. Warszawa
(nazwisko, imię, data i miejsce urodzenia)

przyszedł do Polski z terytorium Anglii
i dnia 6 " XII 1945 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Gdynia-Port
Obecnie udaje się do Warszawy
(złoty adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 1945 r.
ob. Guthowski Witold ma pierwszeństwo i prawo
jedenorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do
Warszawy

Władze Państwowe i Samorządowe są prośbione o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazicielowi niniejszego.

UWAGA:
1. Okazicielowi niniejszego zaświadczenia obowiązany jest
zameldować się w Milicji Obywatelskiej w terminie
do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia
i do 3 dni po przyjeździe na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno
być wymienione w meldunku stałego pobytu - na
dowód osiedlenia.

Kierownik Punktu Przyjęcia
Gdynia-Port

Wydano d. 15 r. 1945

Ważne do dnia 15 r. 1945

300.000 - IX.45. - Druk. M. Rep. Pol. w Łodzi

Wzrost do pos. 32a instrukcji 1. Grzbiet dla PURa
2. Tył głowy dla grupy
3. Dla podróżnego lub przewodnika grupy

Ministerstwo Administracji Publicznej
Państwowy Urząd Repatriacyjny

ZAŚWIADCZENIE Nr 188868 : Gd.

na ulgowy przejazd osoby, przybywającej lub powracającej w ramach akcji
repatriacyjnej z krajów Europy Zachodniej i Południowej z krajów ZSRR,
oraz na uzyskanie ulgi na przewóz mienia, z kredytowaniem opłat na
rachunek PUR.

Ob. Guthowski Witold
legitymujący się jako repatriant dowodem pasz. U.R. Nr 592328
z dnia 1945 r. wydanym przez Anglię
przyszedł do Polski z terytorium Anglii
udaje się z grupą, osób, powracających w łącznej
ilości osób bagaz
słownie bagaz
od stacji Gdynia
do stacji Warszawa

1 ma prawo do:
1. jednorazowego przejazdu w klasie 3 pociągu, w którym dopuszczony jest przewóz
osób za opłatą, według tabeli T 75.
2. Przejazdu wraz z grupą, pociągiem specjalnym z obliczeniem przewoźnego według
stawki zł 3 gr 50 za osiokm.
3. Nadania przewozu mienia, jako przesyła zwyczajna wagonowa z obliczeniem prze-
woźnego za wagon według stawki 50 gr za 1 osiokm.
4. Nadania do przewozu mienia, jako przesyła drobna z obliczeniem prze-
woźnego według stawki klas I i II obniżone o 50%
5. Nadania do przewozu mienia, jako przesyła pospieszna z obliczeniem przewoźnego
według stawki klasy Pd obniżone o 50%
6. Nadania do przewozu mienia, jako przesyła pospieszna przyspieszona z oblicze-
niem przewoźnego według stawki Pd obniżona o 25%
7. Nadania do przewozu mienia, jako bagaż lub przesyła ekspresowa za opłatą we-
dług tabeli BE za zniżką 50%.

Niniejsze zaświadczenie jest ważne tylko z jednoczesnym okazaniem listu ewakuacyj-
nego (dla powracających z ZSRR) lub zaświadczenia Punktu Przyjęcia PUR (koloru
różowego) dla powracających z krajów Europy Zachodniej i Południowej.

Ważne do dnia 15 r. 1945
(najwyżej 14 dni od daty wystawienia)

Gdynia

(podpis podróżnego lub przewodnika) (podpis wystawcy)

PUNKT PRZYJĘCIA
Gdynia-Port
REPATRIACYJNY

Zaświadczenie, że przybyłem z terytorium Anglii.
W nagłówku jeszcze Rzeczpospolita Polska

Bilet z Gdyni do domu

STAROSTWO GRODZKIE
Pomocnik Starosty
ul. Mieszkowskiego Nr. 14/16
tel. 85-235

(Sezupel Urzędu)

L. Dz. 9-6/6432/47

WARSZAWA 32
RE 3018

681.

Wzrost 36
Warszawa, dnia 30.12 1945 r.

Do Ob. Guthowski Witold
w/m ul. Leszlińska 2

WEZWANIE

Na zasadzie art. 22 Rozp. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22.III.1928 r. o postępowaniu
administracyjnym (Dz. U. R. P. Nr 36 z 1928 r. poz. 341) wzywa się
Ob. Guthowskiego Witolda
do stawienia się w ul. Starostwa (pokoju Nr. 20)
dnia 1.1.1946 godz. 8 w sprawie świadczenia moralności

Stawiennictwo obowiązkowe

Winną niestawienia się bez usprawiedliwionej przyczyny ulega karze grzywny do zł 2.500,-
a w razie ponownego niestawienia się ulega karze grzywny do zł 5.000,- i może być doprowadzony do
urzędu przymusowo, zgodnie z art. 108 wyżej cytowanego Rozporz. i art. 1 ust. 1 dekretu z dn. 26.IV.48 r.
o podwyższeniu grzywn, kar pieniężnych, kar porządkowych i nawiązek (Dz. U. R. P. Nr 24, poz. 161).

(podpis) KIER. REF. PORZĄDKU - Rechtlik Jerzy

100.000 - 10.11.46 - 1271 - 20c 43

Wezwanie po świadectwo moralności

13. Studiuję u Wawelberga i na Politechnice Warszawskiej

Szkoła Inżynierska imienia Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda

Zaczynam studia

Koniec lata i trzeba myśleć o studiach. Zastanawiam się nad studiami inżynierskimi i biologiczno-ogrodniczymi. Te pierwsze wynikają chyba głównie z tradycji rodzinnych. Mój Tata i jego brat, stryj Eustachy, byli inżynierami i namawiali mnie na szkołę inżynierską Wawelberga. Dlaczego na nią, a nie na Politechnikę, dziś nie potrafię powiedzieć. Z drugiej strony praca w czasie okupacji w Ośrodku Ogrodniczym Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (WSM) wyrobiła we mnie zainteresowania biologią i ogrodnictwem. Tak więc poważnie myślałem o studiowaniu na SGGW. W końcu podjąłem decyzję - idę do Wawelberga.

Egzaminy wstępne poszły gładko. Jak wspominałem, udzielając korepetycji, przerabiałem wszystkie zadania z matematyki i fizyki wielokrotnie. Na egzaminie z matematyki potrzebowałem tylko tyle czasu, ile na samo pisanie. Po mniej więcej pół godziny wstałem i podchodzę do pilnującego, oddając egzamin. On pyta: „Rezygnuje pan?” - Ja mówię, że nie rezygnuję, tylko już skończyłem. Prowadzący przejrzał, co napisałem i posadził mnie w innym rzędzie, gdzie były inne zadania. Znowu po pół godziny byłem gotów i jako pierwszy skończyłem pisanie. Jednym słowem na korepetycjach nie tylko zarabiałem pieniądze.

Zostałem wpisany w poczet studentów pierwszego roku Wydziału Budowy Maszyn. Wydział mieścił się w budynku na rogu ulic Narbutta i Boboli. Jest nas na roku blisko setka studentów. Jesteśmy w bardzo zróżnicowanym wieku. Wojna zrobiła u wielu z nas lukę w kształceniu. Ponadto dopiero po wojnie, w nowych warunkach, niektórzy mogli podjąć studia. I tak najmłodszy z nas miał jakieś 18 lat, a najstarszy około czterdziestu. Te różnice nie przeszkodziły temu, że szybko się zżyliśmy i stanowiliśmy zgraną społeczność studencką. Na tyle zgraną, że po dziś dzień spotykamy się nieraz, aby powspominać i porozmawiać. Niestety, jest nas coraz mniej. Scalającą rolę naszego roku pełni niezastąpiony Tadeusz Boetzel. Ma spis wszystkich kolegów, adresy, telefony i, niestety, daty zgonów, tych, co odeszli.

Studiuję

W szkole były dzwonki na przerwy i na wykłady, rzecz nie do pomyślenia na Politechnice. Statut szkoły przewidywał obowiązkową obecność na wszystkich wykładach. Mówił on między innymi „(...) *samowolne opuszczanie zajęć jest niedopuszczalne*”. Miało to istotny wpływ na ogólny porządek. Po kilku latach, po wchłonięciu Wawelberga przez Politechnikę, poznałem zwyczaje prawdziwie akademickie. Początek i koniec wykładu zależał od zegarka i stopnia samoorganizowania się wykładowcy. Już na Politechnice prof. Jerzy Leyko, u którego prowadziłem ćwiczenia, dał mi prostą radę. „Panie Witoldzie, jak będzie pan ćwiczenia zaczynał o czasie, to studenci będą pana szanowali. Jak pan będzie je kończył o czasie, to będą pana lubili”. Bardzo dobra rada. Stosuję ją zawsze, jeśli kiedykolwiek i gdziekolwiek prowadziłem i prowadzę wykłady. Działała bardzo dobrze, między innymi w USA. Profesor dał mi jeszcze drugą cenną radę. Jeżeli na sali jest głośno i studenci rozmawiają, nie należy mówić: „Proszę państwa o spokój”, to nic nie daje. Należy powiedzieć, zwracając się do konkretnego studenta: „Panie Kowalski, proszę przestać rozmawiać”. Wtedy wszyscy milkną – nie tylko Kowalski..

Studia u Wawelberga miały charakter zawodowy. Chodziło zapewne o to, aby poza wiedzą teoretyczną nauczyć nas nieco wiedzy praktycznej. Dlatego też w Szkole były dość rozbudowane warsztaty i laboratoria. Był nawet, w dwóch kolejnych semestrach, wykład pt. „Warsztaty” po sześć godzin tygodniowo. Nauczyłem się tam podstaw prac ślusarskich, tokarskich, a nawet nauczyłem się praktycznego spawania. Korzyści z tego ujawniały się na praktykach studenckich. Dla tych z Wawelberga warsztat był czymś, co poznali. Dla kolegów z Politechniki jakąś trudną do ogarnięcia rzeczywistością.

Przewidując, że dyplomanci Szkoły będą pełnili kierownicze stanowiska na różnych szczeblach zarządzania, wykładano nam kalkulację przemysłową, ekonomikę i organizację przemysłu, rachunkowość i planowanie zakładów przemysłowych. Teraz na Politechnice to novum.

W studiach koncentrowałem się na przedmiotach ścisłych, a więc na matematyce, fizyce, mechanice i wytrzymałości materiałów. Resztę „odpuszczałem”, zadowolając się trójkami. Wspominam szczególnie mechanikę, której uczył nas prof. Jan Oderfeld, wspaniały pedagog. Dobrze mi szło z mechaniki, więc pewnego razu prof. Oderfeld zaproponował mi poprowadzenie lekcji, a właściwie czegoś w rodzaju seminarium. Mówiłem o krzywej łańcuchowej Bernoullego. Był to początek mojej przygody z mechaniką, z którą jestem związany do dziś. Na koniec drugiego roku, razem z Marianem Walczakiem, dostaliśmy na ostatnim egzaminie z mechaniki po piątce. Egzamin odbył się na Placu Trzech Krzyży tuż przy Nowym Świecie. Prof. Oderfeld był w tym czasie przewodniczącym Polskiego Komitetu Normalizacyjnego, który mieścił się właśnie w tym budynku. Siedzieliśmy wokół długiego stołu konferencyjnego i kolejno podchodziliśmy do Profesora, „zwierając” się z naszej wiedzy.

Atmosfera na uczelni

U Wawelberga, uczelni technicznej, wśród studentów nie dawało się odczuć jakiejś presji sytuacji politycznej. Na naszym roku było pewnie ze dwóch, trzech partyjnych. Nie mieli oni jednak wpływu na życie naszego roku. Byli w zasadzie sami dla siebie, odseparowani od reszty. Na przerwach rozmawiali głównie tylko między sobą.

Sytuacja polityczna dawała o sobie znać na wydziale lotniczym. Ze względu na wojskowy raczej charakter polskiego lotnictwa na studia byli dopuszczani tylko dobrze sprawdzeni, o odpowiednim pochodzeniu, studenci. Paradoks tej sytuacji polegał między innymi na tym, że ja, „andersowiec”, uczyłem na tym wydziale bez przeszkód. Pochodzenie studentów było tak ważne, że zaciągano tam osoby niemające żadnych zdolności ukierunkowanych na technikę. Przykładem takiej osoby był Wiesław Górnicki. Skierowany na wydział lotniczy, przeszedł katorgę uczenia się przedmiotów ścisłych. W końcu po niezaliczeniu pierwszego czy drugiego roku, przeniósł się na Uniwersytet Warszawski. Jak wiadomo, po ukończeniu studiów filologicznych został znanym dziennikarzem.

Pamiętam tylko jeden wypadek, kiedy służby bezpieczeństwa wkroczyły do akcji. Ktoś, zamknięty w ubikacji, napisał coś „wrogiego” na drzwiach. Czujne służby wyjęły drzwi i oddały do ekspertyzy grafologicznej, z jakim efektem, nie wiem. A właściwie z ubocznym efektem, w postaci powszechnej wesołości.

Mniej więcej w tym czasie zaczęto tworzyć wojskowe Kompanie Akademickie, które wkrótce przekształcono w Wojskową Akademię Techniczną. Kompania była tworzona ze studentów, których wzywano przed oblicze specjalnej, wojskowej komisji. Większość próbowała się

wybronić przed pójściem w „kamasze”. Niestety, na ogół próby takie kończyły się niepowodzeniem. Oryginalny pomysł na wykręcenie się od zaciągnięcia do kompanii znalazł jeden ze studentów. Przyszedł na wezwanie komisji i oświadczył, że jest bardzo wdzięczny za to, że proponuje mu się służbę w kompaniach. Komisja też wyraziła zadowolenie, że choć jeden z wezwanych nie tylko się nie broni, ale postanawia ochoczo wstąpić do akademickiej armii. W momencie, gdy ku zadowoleniu komisji wychodził, zapytał jeszcze skromnie: ”Ale mam nadzieję, iż to, że mam wujka w Ameryce, nie będzie przeszkodą, aby mnie przyjąć do wojska”. Oczywiście, nie przyjęto go.

Trochę działałem społecznie

Poza studiami i pracą asystencką byłem zaangażowany w działalność organizacyjną w uczelnianej organizacji ZMP. Byliśmy tam razem z Henrykiem Zorskim, moim kolegą szkolnym z okresu przedwojennego. Graliśmy razem w piłkę na „dołku” pomiędzy koloniami drugą i piątą. Henio był studentem, bodaj ostatniego roku, wydziału lotniczego. Dziś trudno mi powiedzieć dokładnie co robiliśmy w ZMP. Jedno mi się utrwaliło. W 1950 r. latem, z ramienia organizacji, zostałem kierownikiem brygad akademickich, budujących nowe akademiki. Do Warszawy zjeżdżali ochotnicy do pracy. Wśród nich spotkałem dwóch kolegów z liceum od Andersa.

Ochotnikom należało zapewnić spanie i pożywienie. Sprawy budowlane należały do fachowców. Była to, mówiąc dzisiejszym językiem, praca logistyczna, ale w bardziej złożonych warunkach niż dziś. Słaba komunikacja telefoniczna i trudności transportowe dawały się mocno we znaki. Pewnego dnia na Grochowie ochotnicy pochorowali się po spożyciu posiłku. Nie było to poważne zatrucie, ale awantura była solidna. Wkroczyła służba bezpieczeństwa, wszędzie w tych czasach węsząca sabotaż.

Praktyki

W czasie studiów odbyłem dwie praktyki. Pierwszą w 1949 w Jeleniej Górze. Latem, przez sześć tygodni, przebywałem w Dolnośląskiej Fabryce WYROBÓW METALOWYCH. Czego się najwięcej nauczyłem? Tego, jak wygląda życie w fabryce. Trudno było nabrać jakiejś technicznej wiedzy, ponieważ podobnie jak i na innych praktykach, praktykanci dla fabryki byli raczej kulą u nogi niż pomocą. Zwykle nie bardzo wiadano, co z nimi zrobić. Byli tacy koledzy, którzy przeleżeli całe sześć tygodni na przyfabrycznym podwórku, opalając się na słońcu. W pamięci natomiast pozostało piękno okolicznych gór, gdzie, jak tylko mogłem, wyrываłem się. Do tego zauważalne jeszcze pozostałości po Niemcach. Niemieckie napisy na domach, nawet śmietniczki na ulicach miasta miały jeszcze napis *Papier*.

Znacznie dłuższą praktykę odbyłem w Zakładach Przemysłowych Stowarzyszenia Mechaników Polskich w Pruszkowie. Była to sześciomiesięczna praktyka dyplomowa. Tam była dyscyplina, choćby zewnętrzna. Odbijanie karty o 6:30 przy wejściu (trzeba było zdążyć z Żoliborza!) i przy wyjściu o 14:30. I tu nie bardzo było wiadomo, co z nami robić, ale trafiły się dwa problemy, które zapamiętałem.

Z ZSRR przychodziły różne metody technologiczne i organizacyjne, które próbowano implementować w naszym przemyśle. Jedną z nich była metoda, chyba Kolesowa, ale na pewno jakiegoś ...owa. Polegała ona na tym, że brało się dwóch robotników wykonujących te same czynności. Jeden z nich wyrabiał normę z dobrą nawiązką, powiedzmy 200%, a drugi nie mógł wyrobić nawet 100%. Należało więc przeanalizować ruchy i organizację pracy tego dobrego i przenieść tę wiedzę do tego słabszego. Rzecz jednak w tym, że do

tego należało użyć stopera, aby dokładnie opisać każdy element procesu. Ale pokazanie się ze stoperem na warsztacie wywoływało wrogie reakcje robotników. Ze stoperem zwykle kojarzyły im się zmiany w normach, a tym samym zmniejszanie zarobków.

Dwóch praktykantów z Politechniki podeszło ze stoperem, bez żadnych wstępnych negocjacji, do przodującego tokarza i orzekło: „Będziemy pana mierzyć”. Na co tokarz powiedział: „Zaraz, tylko się wysram” i odszedł od tokarki. Na praktykantów za to posypały się różne śmieci, a nawet drobne odpady metalowe. I tak skończyła się ich implementacja metody Kolesowa, czy jak mu tam było.

Pomni tego doświadczenia, z moim przyjacielem ze studiów u Wawelberga, Stasiem Szymańskim, zabraliśmy się do dzieła bardziej psychologicznie. Mieliśmy porównać dwóch frezerów. Przez kilka dni chodziliśmy koło tego „dobrego” bez żadnego stopera, zachwalając jego dobrą organizację pracy na stanowisku. Potem, krok po kroku, opowiedzieliśmy mu o metodzie, przysięgając na wszystkie świętości, że nasze pomiary czasowe nie zostaną wykorzystane do zmiany norm. W końcu dopięliśmy swego i ze stoperem w rękę przeanalizowaliśmy ruch po ruchu pracę przodownika. Przeniesienie na słabeusza niewykonującego normy było już łatwiejsze. Mało tego, odnieśliśmy sukces. Młody chłopak, który nie mógł wykonać 100% normy, po naszym szkoleniu doszedł prawie do 130 %. Taki był zadowolony, że chciał nam stawiać wódkę. Ta przygoda nauczyła mnie jednego. Nic na siłę. Jeżeli chcesz coś przeprowadzić, co może dla zainteresowanego wydawać się niekorzystne – negocjuj i tłumacz, aż przekonasz. Metoda trudna i pracochłonna, ale ma jedną podstawową zaletę: jest bezkonfliktowa.

Drugie zadanie, jakie dostaliśmy ze Stasiem, polegało na tym, aby w procesie wytwarzania jednej z części do frezarek wyłapać błąd, który powodował, iż wiele z wytwarzanych części należało wybrakować. Kawałek metalu przechodził od stanowiska do stanowiska, aż dochodził moment, gdy stał się gotową częścią. Zaczynamy więc ze Stasiem oglądać poszczególne operacje i dość prędko doszliśmy do źródła brakoróbstwa. Otóż na jednym ze stanowisk robotnica wykonywała otwór, który miał wpływ na dalszy proces. W produkcji obrabiarek obowiązują szczególne rygory wykonawcze określone tolerancją wykonania. Dopuszczalne błędy mierzone są w tysięcznych milimetra. Aby więc otwór wykonać dokładnie, należało obrabianą część włożyć do skrzynki wiertniczej i obrabiać otwór, stosując precyzyjne tuleje i rozwiertaki. Gdy doszliśmy do tego stanowiska, zauważyliśmy, że tuleje są zawieszone na sznurku u góry wiertarki, a robotnica całą procedurę wykonuje bez elementarnych zasad precyzyjnej obróbki. Źle wykonany otwór miał wpływ na kolejny proces obróbczy i stąd na końcu liczne braki. Robotnica, chcąc wyrobić normę, po prostu upraszczała sobie pracę. Jak się okazało, była to kobieta zatrudniona po krótkim przeszkoleniu. Był to czas braku rąk do pracy i autobus fabryczny ściągał ludzi z okolicznych wsi, ludzi często tylko z wykształceniem podstawowym. Jednocześnie w fabryce pracowali przedwojenni fachowcy, którzy przed wojną, jak twierdzili, zarabiali na frezarkach do 600 złotych miesięcznie. Przyzwyczajeni do bezwzględnej dyscypliny technologicznej załamywali ręce nad tym, jak jakość obrabiarek, wytwarzanych przez fabrykę, dramatycznie spadała.

Jestem inżynierem!

Po trzech i pół latach studiów i praktyk, w dniu 16 lutego 1952 roku, zdałem egzamin dyplomowy z wynikiem dobrym i uzyskałem tym samym

DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

stopnia pierwszego z tytułem inżyniera mechanika.

Dyplom został wydany już przez Politechnikę Warszawską, która właśnie wchłonęła Szkołę Inżynierską im. Wawelberga i Rotwanda.

Studia magisterskie na Politechnice Warszawskiej

Studia inżynierskie ukończyłem u Wawelberga, ale ich koniec przypadł na włączenie Wawelberga do Politechniki Warszawskiej. Dyplom ukończenia studiów inżynierskich dostałem już na blankiecie Politechniki. Zaraz po dyplomie zgłosiłem się na studia magisterskie na Politechnice. Zostałem przyjęty na Wydział Mechaniczno – Konstrukcyjny, na pierwszy semestr 51/52.

Politechnika to było już zupełnie co innego niż Wawelberg. Nie wdając się w ocenę, który z systemów szkolenia był lepszy, mogę stwierdzić, że dla studiów inżynierskich Wawelberg był lepszy. Dla bardziej ogólnego wykształcenia niewątpliwie górowała Politechnika. Wysłuchałem wykładów wielu znanych i zasłużonych uczonych, że choćby wymienię profesorów: Witolda Pogorzelskiego, Wacława Moszyńskiego, czy Zenobiusza Klembowskiego.

Nie uczęszczałem na wszystkie wykłady i nieraz miałem kłopoty ze zrozumieniem, przez brak ciągłości. Pamiętam jeden z wykładów prof. Pogorzelskiego. Wykład zaczął od słów: „Niech będzie dana trójka liczb”. Tak mnie to zafrapowało, dlaczego trójka, a nie dwójka lub piątka, że straciłem kontakt z dalszą częścią wywodów Profesora. Jednak w sumie było nie najgorzej, ostateczny egzamin z matematyki zdałem na piątkę.

Profesor Klembowski był wspaniałym wykładowcą i przy tym dość oryginalną osobowością. Na wykładzie zapowiedział, że egzaminować będzie u siebie w domu (mieszkał na terenie Politechniki). Podszedłem więc na przerwie, grzecznie pytając, czy pozwoli do siebie zadzwonić i umówić się na egzamin. W odpowiedzi usłyszałem: „proszę pana, tym, że nie mam dzieci i telefonu, góruję nad innymi”. Trzeba było więc udać się do niego do domu. Pani profesorowa miała wielką księgę, do której należało wpisać, o co chodzi, a następnie przyjść za dzień lub dwa i dowiedzieć się o dacie i godzinie egzaminu.

Profesor Moszyński miał wspaniałą pamięć. Mój stryj Eustachy, który go znał, chciał zapytać Profesora o wyniki Gutkowskiego, bez podania imienia, mając mnie na myśli, bo akurat wtedy studiowałem. Na to Profesor Pogorzelski zapytał: Janusz, Kazimierz czy Witold? Janusz, mój dziewięć lat starszy kuzyn, studiował przed wojną, a Kazimierz studiował zaraz po wojnie.

Najdłużej zeszło mi z pracą dyplomową. Miałem zaprojektować nowoczesny żuraw portowy z ramionami skrzynkowymi. Pracę wykonywałem pod kierunkiem bardzo sympatycznego i rzeczowego Profesora Stanisława Króla, którego znałem jeszcze z Wawelberga. Lubilem wszelkie obliczenia, szczególnie wytrzymałościowe, ale dobijały mnie rysunki. Kreślenie było zawsze moją słabą, a nawet bardzo słabą stroną. W końcu, godząc jakoś zajęcia asystenckie i studenckie, pracę wymęczyłem i w dniu 30 grudnia 1954 roku złożyłem egzamin

dypłomowy z wynikiem dobrym. Tym samym otrzymałem 30 grudnia tego roku dyplom ukończenia studiów stopnia drugiego na Wydziale Mechaniczno Konstrukcyjnym, uzyskując tytuł inżyniera magistra mechanika .



U Wawelberga 1949



...i pół wieku później.
Pierwszy z prawej Tadeusz Boetzel



Prof. Jan Oderfeld w wieku bez mała 100 lat

14.Rodzina i dom

Pierwsze lata po powrocie

Jak już wspomniałem, po powrocie mieszkaliśmy w trójkę: Mama, ja i Staś Lisowski.

Mieszkanie było w zasadzie jednopokojowe, z wnęką pod dachem. Większość powierzchni mieszkania zajmowały łóżka. Gdy Tata przyjeżdżał z Jeleniej Góry, spaliśmy z nim na jednym łóżku. Ponieważ Ojciec zamierzał wrócić do Warszawy, zaczął starania w WSM o zmianę mieszkania. Przenieśliśmy się więc w 1949 roku z placu Wilsona na ul. Krasieńskiego 18, bodaj pod 233. Było to już prawdziwe, dwupokojowe mieszkanie z łazienką. Przeprowadzić się pomogli mi koledzy ze studiów. Moich dwóch imienników – Witek Konikowski, Witek Ehlert i Andrzej Wierciak.

Przejazdy z Żoliborza na Mokotów do uczelni zabierały sporo czasu. Jechałem z dwiema przesiadkami ponad godzinę. Były to różne środki lokomocji. Stare tramwaje, często obwieszane pasażerami i ciężarówkami – autobusy startujące z Placu Wilsona. Z czasem zastąpiły je pierwsze normalne autobusy, bodajże Chaussony. Czasochłonne przejazdy sprawiały, że byłem na uczelni przez cały dzień. Szczególnie później, gdy byłem jeszcze studentem, ale już asystentem, moje życie w ciągu tygodnia było maksymalnie obciążone. Poza zajęciami na uczelni musiałem przygotowywać się do ćwiczeń ze studentami. Byłem niejako mądrzejszy od studentów o tych kilka godzin przygotowań. W sumie spałem około czterech godzin dziennie, przysypiając na wykładach jako student.

Nie zawsze soboty i niedziele były wolne. Już jako asystent często jeździłem do akademika na dodatkowe konsultacje. Byli studenci pełni chęci do nauki, ale z takimi brakami, że wymagali dodatkowej pomocy.

Choroba i śmierć Mamy

Mama była coraz słabsza i gorzej się czuła. Trafiła do szpitala, a tam zapadł bezlitosny wyrok. Rak płuc w stanie na tyle zaawansowanym, że nie nadawał się do operacji. Mama więc wróciła do domu i powoli gasła. Całe szczęście w nieszczęściu, że objawy choroby były bezbolesne.

Do zajęć opisanych wyżej dochodziła opieka nad Mamą. Głównie to była sprawa posiłków. Mama nie miała chęci do jedzenia, A mnie ciągle się zdawało, że przy dobrym odżywianiu choroba ustąpi. Było to połączenie braku wiedzy o chorobie, i jak zwykle w przypadku osoby bardzo bliskiej, z nadzieją. Szykowałem posiłki jak najlepiej mogłem, z dostępnych składowych. Niestety, moje wysiłki nie przynosiły zamierzonych skutków. Brak apetytu był podstawą problemu. Robiłem różne wybiegi, aby przekonać Mamę do jedzenia. Jeden z nich działał jakiś czas. Podawałem na talerzu mniej jedzenia niż wiedziałem, że Mama zje. Wtedy prosiła o jeszcze. Byłem przekonany, że ilość spożytego jedzenia w dwóch częściach była większa niż uszczknięta z większej porcji.

W międzyczasie Ojciec i Wanda z mężem, Olgierdem, wrócili na stałe do Warszawy i w znacznym stopniu odciążyli mnie w moich opiekuńczych obowiązkach.

Niestety, choroba Mamy nieubłaganie czyniła spustoszenie. Zmarła we wrześniu 1951 roku. Było to popołudniu, gdy byłem na uczelni, a więc nie dane mi było być przy Jej śmierci.

Byłem za młody, a pewnie i zbyt zapędzony w bieżącym życiu, aby dłużej zastanawiać się nad przemijaniem i rolą matki w rodzinie. Dopiero dziś, gdy piszę te słowa, zastanawiam się nad rolą i losem matek, tak zwanych - niepracujących, w tym nad losem własnej Matki. Przyjechała, a ściślej przypłynęła z Ojcem z Francji i przez piętnaście lat do wojny zajmowała się dziećmi i domem. Wszystkie nasze dziecięce sukcesy i kłopoty były jej udziałem.

Racjonalne żywienie, wychowanie, w tym domowe problemy techniczne, były na jej głowie. Jednym słowem - pełny etat z nienormowanym czasem pracy, szczególnie gdy któreś z nas zachorowało. Zwykliśmy za dzieła uznawać wynalazki, powieści, obrazy czy dokonania naukowe. Tymczasem wychowanie kolejnego pokolenia wartościowych ludzi jest dziełem niedocenianym.

Zakładam rodzinę

W czerwcu 1950, w dniu Bożego Ciała, Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej zorganizował zebranie, którego celu nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że po zebraniu została zorganizowana potańcówka. Tam poznałem dwie studentki Uniwersytetu Warszawskiego: Jadzię Borkowską i Jankę Domańską. Jadzia studiowała biologię, a Janka polską filologię.

W 1952 roku z Jadzią pobraliśmy się. Trochę było problemów ze ślubem, bo Jadzia pochodziła ze wsi spod Siedlec. Normalnie wymagało to weseliska z całą pompą, na 200-300 osób. Jakoś udało mi się z tego wywinąć i ślub wzięliśmy w Warszawie w obecności kilku świadków. Pamiętam, że poszedłem do Kurii, prosząc o zwolnienie mnie od spowiedzi. Przyzwolenie takie dostałem bez kłopotów.

Zamieszkaliśmy razem na Krasińskiego. W mieszkaniu zrobiło się gęsto, więc Ojciec jeszcze raz wystąpił o dodatkowe lokum dla siebie. Otrzymał półtorapokojowe mieszkanie na Kole na ul. Obozowej. Tam przed wojną WSM budowała tanie mieszkania dla robotników. Jednak to my z Jadzią przenieśliśmy się na Koło. Mieszkanie skromne, ale własne. Był piec kaflowy, w którym trzeba było palić. Aby uniknąć najtrudniejszej czynności, jaką jest rozpalamie, doprowadziłem do paleniska rurkę podłączoną do kuchenki gazowej.

Na Kole urodziło się dwoje naszych dzieci: Krysia w 1953 i Grześ w 1956. W pierwszych miesiącach, po zakończonym urlopie macierzyńskim, pomagały nam siostry Jadzi, Krystyna i Zdzisława. Gdy dzieciaki nieco podrosły, zaczęły uczęszczać do żłobka. Trudniej było z Krysią, bo żłobek był aż przy sądach na Świerczewskiego i trzeba było ją wozić tramwajem. Z Grzesiem było już łatwiej, powstał nowy żłobek, kilka kroków od naszego mieszkania.

Bodajże w 1957 roku nadarzyła się okazja powrotu na Żoliborz. WSM, jako pierwsza spółdzielnia mieszkaniowa, uruchomiła system mieszkań lokatorskich. Oznaczało to konieczność wpłaty 10% wartości mieszkania przed wprowadzeniem się. Reszta spłat była rozłożona na wiele lat. Początkowo nie było chętnych, gdyż istniało powszechne przekonanie, że mieszkania dają za darmo. Razem z Ojcem i przy pomocy Rodziców Jadzi zdecydowaliśmy się na nowe mieszkanie. Był to lokal trzypokojowy na I Kolonii przy placu Wilsona. Pożyczka (nigdy z resztą nieoddana) od Rodziców Jadzi była zapisana nie w pieniądzech, ale w kwintalach żyta. To była waluta. Jak niewielkie było zainteresowanie tymi mieszkaniami, można wywnioskować z tego, że podanie złożyliśmy w kwietniu, a wprowadziliśmy się już w lipcu tego samego roku.

Pomimo niezłych wspomnień z Koła niezmiernie ucieszyłem się z powrotu na Żoliborz. Tu się urodziłem i wychowałem i cały czas mieszkalem, no, z przerwą popowstaniową. Dzieci poszły do tego samego, co ja, przedszkola na ul. Suzina. Przedszkole to było wybudowane w początku lat trzydziestych i tam wprowadzałem się, jako przedszkolak, do nowiutkiego budynku. Ale nie tylko budynek był ten sam, wśród wychowawców spotkałem niezapomnianą moją nauczycielkę od rytmiki i śpiewu, panią Marię Wieman. Była więc okazja do wspomnień i przypomnienia, jakim to ja byłem „ananasem”.

W międzyczasie na „dołku”, tam, gdzie w czasach szkolnych graliśmy w „nogę”, zbudowano nową szkołę powszechną. Mieści się ona na Krasińskiego, niemal naprzeciwko kościoła. Kryśka i Grześ chodzili właśnie do tej szkoły. Potem gimnazjum i studia. Ale to już im zostawię opisywanie wspomnień z tym związanych. Grzegorz już zapowiedział, że będzie pisał.

Z pieniędzmi i czasem jakoś sobie radziłem. Ja wprawdzie byłem jeszcze studentem kursu magisterskiego, ale jednocześnie asystentem, czy raczej zastępcą asystenta. Jadzia przez całe zawodowe życie pracowała w laboratorium szpitala dziecięcego na ul. Działdowskiej. Ja miałem tylko sztywne godziny, te wyznaczone przez ćwiczenia, które prowadziłem. Miałem więc sporo czasu, którym mogłem dysponować względnie dowolnie. Jadzia z kolei kończyła pracę około drugiej. W sumie nie było sytuacji, aby dzieci siedziały w żłobku czy przedszkolu długo po południu.

Z czasem sytuacja finansowa poprawiła się. Ja zostałem „panem magistrem inżynierem”, do normalnej pensji dochodziły pieniądze z prac zleconych, ale o tym potem. Sporo zaoszczędzaliśmy na wakacjach, które spędzaliśmy przez wiele lat w Radzikowie, pomagając Rodzicom Jadzi w sianokosach i żniwach.

Było na tyle lepiej, że kupiłem, na raty, piękny samochód marki „Syrena” 100, czy 101. Ze względu na jasnoniebieski kolor nazwałem samochód „błękitną strzałą”. „Kupiłem” to wielkie słowo, oznaczało ono stanie przez cały dzień w Motozbycie na Żeraniu. „Syrenka” nadawała się do jazdy, pod warunkiem, że trochę się człowiek na tym znał. Trzeba było wozic komplet kluczy i podstawowe części jak pasek klinowy, cewka zapłonowa, a nawet uszczelka pod głowicę. Ponieważ nie można było dostać innego samochodu i ten sprawiał sporo przyjemności.

Lata czterdzieste, pięćdziesiąte i sześćdziesiąte nie kojarzą mi się z większymi kłopotami żywnościowymi. Były oczywiście braki, raz większe raz mniejsze, ale nigdy takie jak w latach osiemdziesiątych. Prawdę mówiąc, w momentach, gdy Polacy lubią szczególnie dobrze zjeść, to znaczy w Boże Narodzenie i na Wielkanoc, myśmy wyjeżdżali do Radzikowa i mieliśmy zaopatrzenie z głowy. Mieliśmy tylko jeden obowiązek, dowieźć śledzie. Na miejscu były wspaniałości polskiej, wiejskiej kuchni, w wykonaniu pani Borkowskiej, mamy Jadzi. Takie „śniadanko” w pierwszy dzień Wielkiej Nocy trwało gdzieś od dziesiątej do późnego popołudnia. Nie muszę mówić, że jedzenie było wspaniałe, mocno cholesterolowe i silnie wspomagane wódką.

Poza pracą i domem życie przebiegało w kręgu kolegów i koleżanek ze studiów. Bardzo często widywaliśmy się z Janką i Marianem Walczakami. Janka to studentka, którą poznałem razem z Jadzią, a Marian to mój bliski kolega ze studiów u Wawelberga. Gdy jeszcze nie mieliśmy telewizora, chodziliśmy do nich na Kabaret Starszych Panów i na czwartkową Kobrę. Przyjaźniliśmy się z Heniem i Danusią Frąckiewiczami. Kontakty były

rzadsze, bo mieszkali w Płudach pod Warszawą. Z Heniem przez wiele lat pracowaliśmy razem na Politechnice.

Choroba i śmierć Ojca

Nie pamiętam Taty chorego, na tyle, by leżał. Przed wojną, gdy był zaziębiony, czy nawet zagrypiony, miał tylko jedno lekarstwo: gorąca herbata z rumem i cytryną. Po wojnie ograniczyło się to do gorącej herbaty.

Ojciec był człowiekiem pracy, wydawało się, że była ona dla niego najważniejsza, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, że były mu obojętne losy rodziny. Dłuższy czas po pierwszej wojnie był w Polsce jednym z dwóch inżynierów optyków. Ukończył w Paryżu *Institut d'Optique* i z tą dziedziną był związany niemal przez całe swoje zawodowe życie. Miał jeszcze drugą pasję: nauczanie. Przez wiele lat uczył w liceach matematyki i fizyki, między innymi na kompletach tajnego nauczania RTPD w czasie okupacji. Pamiętam Go piszącego nowe podręczniki z nowymi ideami nauczania podstawowego z matematyki.

Przed wojną przez kilka lat pracował w Instytucie Lotnictwa nad problemami zdjęć lotniczych. Kilka lat przed wojną, o czym już pisałem, został dyrektorem niedużej fabryczki, produkującej głównie wojskowe wyposażenie optyczne. Był konstruktorem celownika optycznego w jednym z polskich samolotów wojskowych produkowanych przed wojną.

Po wojnie, jak już wspomniałem, kierował przez kilka lat przedsiębiorstwem optycznym w Jeleniej Górze. Po powrocie do Warszawy pracował ponownie w Instytucie Lotnictwa, a następnie przez szereg lat kierował przemysłowym laboratorium optycznym. Przez kilka lat wykładał jako docent optykę na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Był aktywnym działaczem w Towarzystwie Szkół Świeckich. Przez kilka lat, chyba do początku lat pięćdziesiątych, był członkiem PZPR. Oddał legitymację partyjną, gdyż, mając kontakt z przemysłem, nie mógł się pogodzić z marnotrawstwem, pochodzącym z centralnego planowania

Latem 1962 był u pani Lisowskiej na Kopciach, gdzie po wojnie często spędzał wakacje. Stamtąd napisał mi list, że nie bardzo się czuje i chciałby wrócić do Warszawy. Pojechałem „Syrenką” i przywiozłem Go do Warszawy. Podstępnie sprowadziłem lekarza, który kazał natychmiast hospitalizację. Trudna dla Ojca decyzja, nigdy bowiem nie chorował.

Pierwszego sierpnia jedziemy do szpitala. Diagnoza chyba znana – rak prostaty. Nieleczony, rozwinął się do stanu, który spowodował śmierć Ojca już dwanaście dni później.

Potrzebowałem dystansu czasowego, aby się zastanowić nad Ojcem jako ojcem i człowiekiem. Pewnie nie jest to możliwe zaraz po śmierci bliskiej osoby. Tata utrwalił się w mej pamięci jako człowiek prawy, społecznie aktywny i pracowity. Wychował wraz z Mamą naszą trójkę na wartościowych ludzi. Jak już wspomniałem przy śmierci Mamy, fakt porządnego wychowania kolejnego pokolenia jest zwykle niedoceniany na równi z innymi osiągnięciami. O sobie samym mogę powiedzieć, że wpoił we mnie potrzebę uczenia się. Pamiętam w czasie okupacji dyskusje Ojca z Mamą na tematy finansowe: co pierwsze - jedzenie czy nauka (tajne komplety były płatne). Konieczność uczenia się miałem tak wbity w głowę, że zaowocowało to w czasie, gdy byłem u Andersa i walczyłem o to, by skończyć tam liceum. A decydowałem o tym sam, z dala od Rodziców, mając 17 lat.



Letnia wycieczka „Syrenką”



Ustalanie trasy



W Radzikowie, rodzinnej wsi Jadzi



Krysia i Grześ w Łazienkach



Wakacje w Karkonoszach



Ślub Maniusi, mojej Matki Chrzestnej,
w Domu Weterana



Radość Krysi.
Jedyne kolorowe zdjęcie z tamtych czasów
zachowało się dzięki Wojtkowi Jankowskiemu



Z Grzegorzem, pamiętnego października 56 roku

15. Asystentura

Pierwsza praca (za pieniądze)

Po celująco zdanym egzaminie z mechaniki u prof. Oderfelda zostaliśmy z Marianem zaproszeni do dziekana, który zaproponował nam prowadzenie ćwiczeń z mechaniki. Byliśmy już studentami trzeciego roku i mieliśmy prowadzić samodzielnie ćwiczenia na pierwszym i drugim roku. Był rok 1950 i powojenne straty w szeregach inteligencji dalej dawały o sobie znać. Stąd konieczność angażowania studentów do prowadzenia samodzielnych zajęć dydaktycznych.

Naszym szefem był prof. Franciszek Janik. Był on znany przede wszystkim ze zwycięstwa w 1938 roku w zawodach balonowych o puchar Gordona Bennetta. Ponadto był uznanym konstruktorem lotniczym. Dla prof. Janika, podobnie jak dla nas z Marianem, nauczanie było niewątpliwie nowym wyzwaniem.

Zostałem więc zastępcą asystenta z miesięczną pensją 550 złotych. I tak się zaczęła moja kariera zawodowa. Początkowo tylko w dydaktyce, ale po kilku latach również w nauce.



Konsultacje z mechaniki w akademiku

Po wchłonięciu Wawelberga przez Politechnikę dalej byłem asystentem u prof. Janika w tym samym budynku. Do naszego zespołu, w którym był wcześniej wspomniany Marian Walczak, dołączył Henio Frąckiewicz. Rok wcześniej był na drugim roku i był moim studentem. Po zdaniu bardzo dobrze mechaniki zaproponowano mu, podobnie jak nam wcześniej, prowadzenie ćwiczeń i objęcie posady zastępcy asystenta.

Asystentura w postaci tej, jaka była wtedy na wydziale, nie była zbyt ciekawym zajęciem: ćwiczenia, kolokwia, egzaminy. Jakoś instynktownie brakowało mi czegoś więcej. Jeszcze nie wiedziałem nic na temat pracy naukowej, ale same zajęcia dydaktyczne nie wystarczały

mi. Na dodatek kontakty wewnątrz katedry ograniczały się do wpisów do specjalnej książki korespondencyjnej. Ponieważ nikt nie miał telefonów, książka spełniała rolę takiego telefonu o opóźnionym działaniu. Prof. Janik wpisywał stosowne polecenia lub informacje, kiedy się spotkamy, co nie następowało zbyt często. Z kolei my odpowiadaliśmy pisemnie na polecenia i przekazywaliśmy swoje informacje.

Przenoszę się na Wydział Lotniczy

Po jakimś czasie Henio, który ukończył Wydział Lotniczy u Wawelberga, przeniósł się na Wydział Lotniczy Politechniki, na Nowowiejską. Po krótkim czasie namówił mnie, abym też tam przeszedł. Zrobiłem to bardzo chętnie, ku zmartwieniu prof. Janika, który musiał szukać nowych współpracowników.

Moi przełożeni

Byłem bardzo zadowolony ze zmiany środowiska. Przyłączyłem się do zespołu Katedry Wytrzymałości Materiałów i Konstrukcji kierowanej przez profesora Zbigniewa Brzoskę. Gdy zobaczyłem pierwszy raz Profesora, to myślałem, że to student, tak młodo wyglądał. Miał wtedy trzydzieści kilka lat. Zapamiętałem Go, zapewne jak większość jego studentów, jako wspaniałego wykładowcę i bardzo wymagającego egzaminatora, używającego stale przerywnika „znaczy się”. Kilukrotne zdawanie u niego statyki konstrukcji przestrzennych nie należało do rzadkości. Miał dużą wiedzę i do tego zacięcie inżynierskie, co ściągało do Katedry wiele ważkich zleceń.

Drugim profesorem w Katedrze był profesor Jerzy Leyko. To właśnie on, w początkowym okresie, był moim bezpośrednim przełożonym. Prowadził wykłady z mechaniki. Profesor miał głęboką wiedzę i był bardzo dobrze zorganizowany. Jego wykłady cieszyły się uznaniem ze względu na jasność przekazu dość trudnej dziedziny, jaką dla studentów jest mechanika. Jego skrypty z mechaniki stanowiły we wszystkich chyba polskich politechnikach podstawę nauczania przez wiele lat. Wspólnie z Heniem Frąckiewiczem prowadziliśmy ćwiczenia do wykładów prof. Leyki.

Praca w tej Katedrze wyglądała całkiem inaczej niż w poprzednim miejscu na Narbutta. Tu wszyscy byli w pracy codziennie, łączyła nas bowiem nie tylko dydaktyka, ale również prace zlecone, a po jakimś czasie i seminaria.

Na pomoc przyszli mi Koreańczycy

Jak już wspomniałem, początkowo prowadziłem ćwiczenia z mechaniki. Ponieważ robiłem to już któryś z rzędu rok, nie musiałem się do nich specjalnie przygotowywać. Raczej starałem się poszukiwać coraz to innych sposobów tłumaczenia tych samych problemów. Patrzałem na twarze studentów i gdy widziałem zamglone oczy, cofałem się i tłumaczyłem powtórnie, ciągle pytając, czy wszystko jasne. Widać, że pytałem o to dość często, bo po latach dowiedziałem się, już od byłych studentów, że miałem przezwisko „Jasne”.

Na ogół miałem dość bliski kontakt ze studentami i często rozmawiałem z nimi na przerwie. Któregoś razu, po kolejnym kolokwium, kiedy to postawiłem sporo dwój, zapytałem ich, co się dzieje, że nie są w stanie lepiej się przygotować. Stałem otoczony na korytarzy przez grupkę studentów, którzy wymieniali przeróżne przeciwności losu, uniemożliwiające im lepiej się przygotować. Już, już, prawie przycisnęli mnie do muru i byłem niemal gotów w to uwierzyć, gdy przypomniało mi się dwóch Koreańczyków. W tym czasie na polskich uczelniach, poza Chińczykami, studiowali również Koreańczycy z Korei Północnej. Otóż ci wspomniani dwaj Koreańczycy mieli z każdego kolokwium czwórki albo piątki. Sięgam więc

po argument, zdawało się nie do obalenia i pytam otaczających mnie studentów, jak to jest, że oni ledwie mówią i rozumieją po polsku, a zawsze mają dobre stopnie. Studenci zamilkli i wydawało się, że tym razem oni zostali przyparci do muru. Odezwał się tylko jeden i z rozbijającą szczerością wykrzyknął: „No tak, ale oni to zapierdalają!”. Rzeczywiście, argument nie do obalenia.

To, co najbardziej trapi w dydaktyce, w każdym razie ja miałem takie odczucie, to sprawdzanie kolokwii i egzaminów. Na roku było około dwustu studentów, więc gdy przychodził okres egzaminów, to „mieliśmy za swoje”.

Chcieli mnie wyrzucić z Politechniki

Studia magisterskie ukończyłem, już pracując na Politechnice. Po uzyskaniu dyplomu dostałem wezwanie przed komisję przydziału pracy. Nie mam pewności, czy dokładnie tak się nazywała. W każdym razie jej celem było kierować absolwentów do pracy, gdzie istniało zapotrzebowanie, a więc głównie na prowincję. W wypadkach absolwentów, mieszkańców Warszawy, zameldowanych na stałe w stolicy, sprawa była prosta - po prostu zostawiano ich na miejscach, na których pracowali. Mnie wydawało się, że spotkanie z komisją będzie zwykłą formalnością. Mam stałą pracę, mieszkam zameldowany w Warszawie, jestem już żonaty i dzieciaty, a więc byłem pewien, że dostanę przydział na Politechnikę Warszawską. Tymczasem, gdy stawilem się przed komisją, dostałem papier, na którym czarno na białym było napisane, że Politechnika Warszawska rezygnuje z mojej pracy. Żadnych argumentów. Dokumentu tego, który miałem podpisać, nie podpisałem.

Zacząłem więc walkę o pozostanie na Politechnice. Pierwsza rzecz to musiałem ustalić, skąd ten pomysł, dlaczego uczelnia rezygnuje ze mnie. Początek nie był trudny. Jednym z członków wspomnianej komisji przydziałów był mój były student, który wyleciał z roku między innymi przez oblaną mechanikę. Ponieważ studia mu nie wyszły, a miał dobrą pozycję partyjną, został kierownikiem, czy zastępcą kierownika działu kadr Politechniki.

Do spisku przeciw mnie dołączył drugi mój student. Był nim brat jednego z legendarnych oficerów, który zginął w bitwie pod Lenino. Braciszkowi wydawało się, że skoro ma znane nazwisko, powiązane z bohaterską śmiercią brata, a na dodatek jest członkiem partii, to może się w dowolnym miejscu dowolnie zachowywać. Wielokrotnie w czasie ćwiczeń zwracałem mu uwagę, aby nie rozmawiał, niestety, bez większego rezultatu. W końcu pewnego razu po kolejnej uwadze, która nie przyniosła skutku, zaprosiłem go do tablicy i dokładnie „przemaglowałem”. Wyszło na jaw, że nic nie umie, nawet mniej niż mogłem się spodziewać. To mi przysporzyło kolejnego „przychylnego”.

Trzeci mój „przyjaciół” był pracownikiem Katedry, w której pracowałem. Był jednocześnie działaczem partyjnym. Po 56 roku został pierwszym sekretarzem komitetu uczelnianego PZPR. Spięcie nastąpiło przy telefonie. Wówczas tylko nieliczne telefony miały wyjście na miasto. W Katedrze był tylko taki jeden telefon w sekretariacie. Pewnego razu, gdy obaj byliśmy w sekretariacie, „przyjaciół” chciał skorzystać z telefonu. Ale jak często bywało, gdy się podnosiło słuchawkę lub po nakręceniu numeru, słyszało się jakieś rozmowy. W związku z tym następowały bardziej lub mniej sympatyczne zdania typu „proszę się rozłączyć” z odpowiednimi dodatkami. Otóż „przyjaciół”, usłyszawszy w telefonie jakąś rozmowę, nie wysilał się na prośby o rozłączenie, ale po prostu wałnął - „proszę się rozłączyć, tu podsłuch!”. Oczywiście poskutkowało, ale z tego powodu mieliśmy dość ostrą wymianę zdań. I tak zyskałem trzeciego „przychylnego”.

Musiałem zacząć szybko i energicznie działać we własnej obronie, bo czas leciał i w końcu bym wylądował poza Politechniką, gdzieś poza Warszawą. Wiedziałem, że odwoływanie się od decyzji komisji do rektora nie ma sensu. I tak skierowałby to po „opinię” do komitetu zakładowego i nic by się nie zmieniło. Udałem się więc do „źródła”, a więc to tegoż komitetu. Tam spotkałem kolejnego mojego byłego studenta, jeszcze z czasów Wawelberga. Był nim inż. Mieczysław Derentowicz, w owym czasie jeden z sekretarzy komitetu uczelnianego. Nie wiem, czy z sympatii do mnie czy antypatii do wspomnianej trójki, stał mi się przychylny już bez cudzysłowu, a nawet Przychylny przez duże P. Pamiętał mnie jako asystenta, który wprawdzie nastawiał mu dużo dwój, ale również jako usilnie pomagającego słabszym, a chętnym do nauki studentom. Bywało, że godzinami, poza planem, przesiadywałem z nimi, nawet w akademiku, łątając dziury w ich wiadomościach, pozostałe po latach przerwy w nauce, spowodowanej wojną.

Niezależnie od interwencji w Komitecie Zakładowym PZPR, za czyjąś namową, nie pamiętam czyją, napisałem skargę do „Trybuny Ludu”. Ostatecznie nie wiem, która z interwencji zadziałała, czy może obie. W każdym razie Politechnika przyjęła mnie w swe ramiona, wycofując się z pierwotnej decyzji. Nie muszę mówić, ile kosztowało mnie to nerwów i jak po tym wszystkim odetchnąłem.

Prace zlecone

Sprężynki

Ważnym elementem pracy w Katedrze były prace zlecone. Przynosiły nie tylko pieniądze, ale i potrzebę pogłębiania wiedzy. Były oczywiście różne prace, takie bardziej intelektualne i przynoszące mniej pieniędzy i takie lekko ogłupiające, ale za to dające lepiej zarobić. Zacznę od tych ostatnich. Oto jeden z przykładów takiej pracy. To były, nazwane przez nas z Heniem, „sprężynki”. W Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego pod słabo zakamuflowaną nazwą produkowano różne rzeczy dla wojska. Aby zapewnić prawidłową kontrolę wykonania, międzyoperacyjne kontrole wykonywali wojskowi. Jednym z wytwarzanych elementów były sprężynki. Ponieważ były produkowane w prymitywny sposób na tokarce, ich własności sprężyste, a więc te, które stanowiły o ich użyteczności, miały bardzo rozrzucone wartości. Ich rozrzut był tak duży, że często znaczna część wytwarzanej partii nadawała się na złom. Wobec braku możliwości pomiarowych w fabryce zwrócono się do naszej Katedry ze zleceniem sortowania sprężynek na te dobre i na te zbrakowane. Pomiar był trywialnie prosty. Na biurku mieliśmy statyw z czujnikiem i szalkę do nakładania ciężarków. Sprężynkę nakładało się na statyw, obciążało znanymi ciężarkami i mierzyło odkształcenie. Ponieważ zasięg pracy sprężyn był w zakresie sprężystym, do każdej nich wystarczyły dwa punkty pomiarowe. Jako że pomiar był prosty, sprężynek dużo, dochód był całkiem niezły. Aż pewnego dnia panowie z WSK stwierdzili, że zlecanie ich zbyt drogo kosztuje i chcieliby sprawdzać sprężynki sami. Poprosili nas, abyśmy im pokazali, jak to robimy. Na nas z Heniem padł blady strach. Mamy stracić tak dojrą krowę? W związku z tym nasze proste urządzenie przenieśliśmy z biurka do laboratorium i przymocowaliśmy do maszyny wytrzymałościowej, która była jedynie ozdobą. Do tego podłączyliśmy baterijkę z lampką, która się zapalała, gdy czujnik był w kontakcie ze sprężynką. Panowie z WSK przyszli, obejrzel i stwierdzili, że tak skomplikowanego urządzenia nie dadzą rady u siebie zamontować. I tak jeszcze jakiś czas sprężynki dały nam lepiej żyć.

Autobus SAN H01

Gdzieś około połowy ubiegłego wieku powstały na świecie pierwsze autobusy o konstrukcjach samonośnych. Rzeczą polegała na tym, że wcześniej całe obciążenie autobusu przechodziło na koła poprzez sztywną ramę podwozia. Cała reszta karoserii miała jedynie osłaniać przed deszczem i wiatrem. Powstała więc myśl użycia karoserii jako konstrukcji nośnej. W Polsce na początku lat 50. w Sanockiej Fabryce Autobusów i Biurze Konstrukcyjnym Przemysłu Motoryzacyjnego (BKPMOT) powstała myśl zbudowania polskiego autobusu o konstrukcji samonośnej. Ponieważ zadanie było na te czasy niezwykle trudne od strony mechanicznej i obliczeniowej, pomysłodawcy zwrócili się do prof. Brzoski z propozycją wykonania takiego projektu. Zwrócenie się z taką propozycją na Wydział Lotniczy wynikało zapewne z tego, że od strony obliczeniowej samonośna konstrukcja autobusu niewiele różniła się od konstrukcji kadłuba samolotu.

Podjęliśmy się zadania ambitnego i bardzo trudnego. Trudności polegały między innymi na dwóch niewiadomych. Po pierwsze, jakie przyjąć obciążenia. Statycznie i przy założeniu, że wszystkie cztery koła symetrycznie spoczywają na podłożu, odpowiedź była prosta. Nie były natomiast znane obciążenia dynamiczne. Ponadto nie było wiadomo, jakim przyspieszeniom podlega autobus, jadąc po nierównej powierzchni. Szczególnie nie było wiadomo, jak będą rozmieszczone siły wewnętrzne w konstrukcji, wówczas gdy jedno koło, na wybojach, zawisnie w powietrzu. Dodatkowym utrudnieniem dla karoserii samonośnej był wymóg wojska, aby z tyłu był otwór umożliwiający wsuwanie noszy z rannymi. Czasy bowiem były zimnowojenne.

Należy pamiętać, że w latach 50. nie mieliśmy do dyspozycji komputerów, a jedynie liczydła zwane popularnie „kręciołkami”. Tak więc dyskusje, jak rozmieścić elementy nośne karoserii, trwały dość długo. Były one wspierane podglądaniem zachowania się modelu kartonowego o metrowej długości. W szczególności ważne było ustalenie, jak zachowuje się model pod wpływem skręcania, które odzwierciedlało jedno koło w powietrzu. W końcu doszliśmy do opisu zachowania się całej karoserii w postaci 23 równań z dwudziestoma trzema niewiadomymi. Był to problem sam w sobie. Rozwiązywanie tych równań za pomocą „kręciołki” trwało i trwało. Ostatecznie projekt powstał i jego prototyp wykonano w Sanockiej Fabryce Autobusów. Stosownie obciążony wytrzymał wielokilometrowe testy. Jedyny wypadek był spowodowany nieodpowiednią, za słabą, przednią oponą.

Po zakończeniu naszych prac i po udanych próbach, w BKPMocie, kilka osób zechciało cały splendor sukcesu oraz stosowne wynagrodzenie przejąć dla siebie. Aby móc opatentować nową wersję karoserii, dokonali szeregu „poprawek”, które skończyły się kląpą i wymagały kolejnej naszej interwencji. Dziś w Internecie można znaleźć historię tego modelu SANA. O naszym zespole, kierowanym przez prof. Zbigniewa Brzoskę, który stworzył model karoserii, nie ma tam ani słowa.

Junak

W 1956 roku w Szczecińskiej Fabryce Motocykli rozpoczęto produkcję polskiego motocykla Junak. Był to czterotakt o mocy 17 KM z czterobiegową skrzynią biegów. Na te czasy motocykl marzenie. Jednakże w pierwszych egzemplarzach, po kilku tysiącach przejechanych kilometrów, zaczęły pękać zmęczeniowo ramy w miejscu mocowania kierownicy. I tak zaczęła się nasza przygoda z Junakiem. Fabryka w Szczecinie szukała pomocy do rozwiązania zagadki pękającej rury i trafiła do naszej Katedry.

Prace nad Junakiem obejmowały dwa obszary badań. Pierwszy był związany bezpośrednio z pękaniem ramy. Należało przekonstruować wadliwy element i sprawdzić doświadczalnie prawdziwość otrzymanych wyników. Sprawdzaniu służyło stanowisko badawcze, na którym utwierdzono ramę motocykla. Tak zwany widelec połączono z mimośrodem obracającego się silnika. W ten sposób symulowano zmienne obciążenie w czasie jazdy. Eksperyment musiał biec dzień i noc przez dłuższy czas, aby można było się upewnić, że defekt zmęczeniowy został usunięty.

Druga część badań dotyczyła prób na drodze. Motocykle były obudowane aparaturą mierzącą wielkości obciążeń. Twórcą aparatury był Jacek Stupnicki, wówczas asystent, a po latach profesor i członek PAN. Trzeba pamiętać, że w tym czasie nie było dzisiejszej elektroniki, nie mówiąc o elementach pomiarowych. I tu trzeba wyrazić uznanie dla Jacka, który wyczyniał cuda, aby stworzyć układ pomiarowy, dający się zamocować na motocyklu. Było nas czterech prowadzących badania na drodze. Poza Jackiem i mną, jeszcze Stanisław Łukaszewicz (dziś w Kanadzie) i Jarek Sobieszczański (dziś w USA).

Dość uciążliwa była liczba kilometrów wymagana do przejechania rocznie. Umowa wymagała, aby każdy motocykl przejechał rocznie 12 tysięcy kilometrów. Taki przebieg dla samochodu to żaden kłopot. W przypadku motocykla, gdy wyłączy się okres zimy i złą pogodę latem, to zadanie dość uciążliwe. Miało to jednak i zaletę. „Ujeżdżając” Junaka, poznaliśmy z Jadzią niemal całą Polskę. Te kilometry można było bowiem przejechać głównie latem. Nie muszę mówić, że Junak wzbudzał powszechną ciekawość, jako że w tym czasie najpowszechniejszym środkiem lokomocji była WFM – ka.

Żuraw budowlany

Zakłady Maszyn Budowlanych im. Waryńskiego podjęły w latach 50. projekt, a następnie produkcję, nowoczesnego jak na te czasy, żurawia budowlanego. Katedra nasza została zaangażowana do wykonania obliczeń wytrzymałościowych poszczególnych elementów i całego żurawia.

Mnie przypadły w udziale obliczenia głównego słupa podtrzymującego całą konstrukcję. Słup był obciążany stosunkowo dużą siłą pionową, pochodzącą od podnoszonego ciężaru i od naciągu w linie, łączącej wysięgnik z przeciwwagą umieszczoną na wózku, umożliwiającym przemieszczanie całego urządzenia. Z tego powodu jednym z podstawowych pytań, na które należało odpowiedzieć było: czy słup, pod działaniem takiej dużej siły, nie ulegnie wyboczeniu. Nie było to zadanie trywialne i tak mnie wciągnęło, że poza zarobieniem pewnej liczby złotych, wynikających ze zlecenia, zrobiłem z tego doktorat.

16. Doktorat i stypendium na Uniwersytecie Moskiewskim

Biorę się za doktorat

Poza dydaktyką i pracami zleconymi zaczęliśmy myśleć poważniej o karierze naukowej, a więc na robieniu doktoratu. Używam liczby mnogiej, ponieważ poza mną myśleli o tym i inni koledzy – Henryk Frąckiewicz, Wojciech Szczepiński, Stanisław Łukaszewicz i Andrzej Jaworski. Naturalnie rzeczą oczywistą było to, że naszym promotorem powinien być nasz szef, czyli profesor Brzoska. Z tym jednak był pewien kłopot. Profesor Brzoska miał dość wygórowane wymagania co do rozprawy doktorskiej. Nie musi ona być długa, jak powiadał, ale wnosić coś istotnego, jak na przykład równania Schrödingera. Tak wysokie oczekiwania wobec naszych doktoratów nieco nas zmroziły, niemniej jednak każdy się wziął za jakiś temat, który go interesował. Jak już wspomniałem, mnie wciągnęła wieża kratowa, a ściślej - jej stateczność. Przy braku w owym czasie komputerów były dwie możliwości: albo zadanie trywialnie uprościć i sprowadzić do zwykłej belki, albo spróbować rozwiązać analitycznie jako układ regularnie zestawionych elementów prętowych. Szukając w literaturze, czy ktoś czegoś podobnego nie robił, natknąłem się na analityczne rozwiązanie płaskiego słupa kratowego. Rozwiązanie otrzymano poprzez równania różnicowe. Pomysł polegał na tym, że konstrukcja była regularna, a to umożliwiło zapisanie równania równowagi jednego powtarzalnego węzła. Podchwyciłem tę myśl i zacząłem przenosić ją na swoją wieżę. Natknąłem się jednak na zasadnicze trudności wynikające z dwóch powodów. Pierwszy z nich to przestrzenny charakter mojej wieży, co w zasadniczy sposób komplikowało problem. Drugi powód to fakt, iż mojej konstrukcji nie można było rozpatrywać jako kratownicy, a więc stosować założenia o przegubowych połączeniach prętów.

Stypendium na Uniwersytecie im. M.W. Łomonosowa w Moskwie

W czasie, gdy męczyłem się nad tymi równaniami, dostaliśmy z Heniem Frąckiewiczem półroczne stypendia do Moskiewskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa. Z punktu widzenia doktoratu ważne było, że mogłem tam skoncentrować się niemal całkowicie na moim problemie i wykonać doświadczenie, które miało istotny wpływ na dalszy przebieg mojej pracy. Można było bowiem podejrzewać nietypową postać odkształcania się konstrukcji.

Podróż i akademik

Jak już wspomniałem, w trakcie przygotowywania doktoratu dostaliśmy z Heniem Frąckiewiczem sześciomiesięczne stypendium na Uniwersytecie Moskiewskim. Jest początek stycznia 1960 roku. Jedziemy pociągiem, w dwuosobowym przedziale z umywalką. Dojeżdżamy do Terespoła i tu pierwszy kontakt z władzą radziecką. Przychodzi umundurowana dziewczyna i pyta: *Frukty u was jest?* Taka kontrola sanitarna, sprawdzająca, czy nie wwozi się chorych owoców. Za chwilę wpada wojskowy człowiek z długą latarką i głosem nieprzewidującym sprzeciwu ani pytań twardo rozkazuje: *Uchaditie w koridor!* Po naszym wyjściu, świecąc latarką, sprawdza wszystkie zakątki, czy aby się ktoś nie ukrył i chciał nieproszony wjechać do ZSRR. Po przekroczeniu granicy, pierwsze spotkanie, nieco miłsze, z rosyjską kuchnią. Poprosiliśmy o czarną kawę. Kawa była czarna, ale z dodatkiem cykorii i plasterka cytryny!

Bez mała po dobie wysiadamy na Dworcu Białoruskim i po pertraktacji z taksówkarzem jedziemy do hotelu „Ukraina”, gdzie zostaliśmy chwilowo zakwaterowani. Jeszcze się nie zdążyliśmy dobrze rozpakować, gdy dzwoni telefon. To propozycja od przedstawicielki najstarszego zawodu. Widać, że tej dziedziny nie udało się znacjonalizować.

Jedziemy na dół do restauracji coś zjeść. Wejście dla gości hotelowych jest osobne. Przez drzwi widać kolejkę osób czekających na wolne miejsce, których, prawdę mówiąc, jest sporo. Na dzień dobry zamawiamy czerwony kawior i wódeczkę. Przyjazd trzeba uczcić.

Po dwóch dniach przenosimy się do uniwersyteckiego akademika na Leninowskich Górach. Gmach uniwersytecki przypomina warszawski Pałac Kultury i Nauki. Jedynie w rogach ma znacznie wyższą zabudowę. Tam właśnie mieszczą się akademiki. Zostaje ulokowany w pokoju 1604 na szesnastym piętrze. Właściwie są to dwa niezależne pokoje, dla dwóch osób. Wchodzi się do tych pokoi na wprost z korytarzyka. Po jego bokach są wejścia, z jednej strony do łazienki, a z drugiej do ubikacji. Pokój jest solidny, wysoki. Ma wszystko co trzeba (w tych czasach), a w szczególności porządne miejsce do pracy – spory stół-biurko. Na ścianie powiesiłem sobie mapę ZSRR, chcąc bliżej popatrzeć na kraj, w którym się znalazłem. Mapa robi wrażenie ogromem Związku Radzieckiego, którego jest na pół ściany, a gdzieś na jego lewym końcu jakaś drobinka, nazwana Polską. Czasem mapa ta jeszcze dzisiaj mi się przypomina, gdy słucham dysput na tematy polsko – rosyjskie.

Moim sąsiadem jest Ahmed Efendiew

Przed rewolucją jego rodzinne nazwisko brzmiało Efendi. Sympatyczny Dagestańczyk z Machaczkały. Przyjechał do Moskwy z tamtejszego uniwersytetu, aby uzyskać stopień kandydata nauk z matematyki. Ahmed był dagestańskim patriotą i poza zajęciami uniwersyteckimi chodził do różnych bibliotek, szukając danych o historii Dagestanu. Był to czas po słynnym referacie Chruszczowa na zjeździe KPZR, czas pewnego zelżenia rygoru politycznego. Na korytarzu przy długim stole koło windy, gdzie najczęściej grano w szachy, wybuchały dyskusje, w czasie których studenci z republik nierosyjskich „dokładali” ruskim. Chodziło o panoszenie się ruskich w ich krajach, a głównie o wielką biedę, z jaką się spotkali po wojnie.

Ahmed był uczulony na rozróżnienie przymiotników „ruski” i „sowiecki”. My używaliśmy potocznie przymiotnika „ruski” dla wszystkich nacji Sojuszu. Ahmeda to uwierało. Kiedyś rozmawialiśmy o wojnie i ja użyłem zwrotu „ruska armia”. Ahmed mnie poprawił: nie ruska, ale sowiecka. Pamiętaj, że pierwszym, który zatknął sztandar zwycięstwa na Bramie Brandenburskiej, był Dagestańczyk, a nie Rosjanin. Do islamu miał stosunek raczej kpiący. Żartował ze swego wuja, który, jak to on mówił, uprawiał jeszcze *fizkulturę*, na dywaniku, w południe.

W akademiku

Na piętrze było stanowisko dyżurnego. Nie pamiętam, aby siedział tam kiedyś inny student niż Rosjanin. Moją uwagę zwróciły czasopisma z Polski. Na pulpicie dyżurnego rozkładana była poczta, tak że każdy, przechodząc, mógł zobaczyć, czy czegoś nie ma do niego. Moją uwagę zwracały dwa polskie czasopisma: „Kobieta i Życie” i „Przekrój”. Studentki najbardziej zaczytywały się w „Ploteczkach o paniach i panach”, o ile dobrze pamiętam tytuł rubryki na ostatniej stronie „Kobiety i Życia”. Pewnego jednak razu na pierwszej stronie okładki znalazła się Edyta Wojtczak, ówczesna spikerka telewizyjna. Cmokaniom ze strony męskiej części studentów nie było końca.

Na parterze i w suterynie była stołówka i sklepy, głównie żywnościowe. Do stołówki nie pałałem zbyt miłą. Od rana jedli jakieś befsztyki i rozgniecione kartofle mocno podlane tłuszczem. Ja jeszcze jakoś sobie dawałem radę, ale pięciu Hindusów - wegetarian, którzy dopiero co przyjechali, było naprawdę w kłopotach. Czasem były zabawne sytuacje językowe. Kiedyś przede mną w ogonku stał student z NRD. Widać jeszcze nie poznał tajników

rosyjskich nazw i na pytanie obsługującej, co chce, odpowiedział milcząco, pokazując palcem kanapkę. Na to usłyszał od bufetowej: „Pamiętajcie, to po rosyjsku nazywa się butterbrod”.

Z tego co pamiętam, sklep spożywczy był dobrze zaopatrzony w ryby. Na ladzie leżały różne, nawet wielkie ryby, których nazw nie znałem i nie zapamiętałem. W sklepie zaopatrywali się niektórzy studenci, głównie Chińczycy, którzy ciągle coś pichcili w kuchenkach na piekarnikach. O dostępie do sklepów kogoś z zewnątrz nie było mowy. Na teren uniwersytetu wchodziło się wyłącznie z przepustkami lub na zaproszenie któregoś z mieszkańców.

W kompleksie budynków połączonych wewnętrznie między sobą znajduje się główna część uniwersytetu. Jest tam praktycznie wszystko. Sale wykładowe, biblioteki, sklepy i restauracje. Jednym słowem, można było całymi tygodniami nie wychodzić na zewnątrz. Chyba że się zatęskniło za świeżym powietrzem. Kiedyś postanowiliśmy z Heniem trochę się przewietrzyć i przejść się trochę koło uniwersytetu. Niestety, wprawdzie było tylko 9 stopni mrozu, ale dął taki zimny wiatr, że po kilkuset metrach prędko wróciliśmy do budynku. Ale innym razem, aczkolwiek było chyba około minus dwudziestu stopni, ślizgaliśmy się na ślizgawce w samych swetrach bez czapek. Tym razem była piękna i bezwietrzna pogoda. Powietrze niemal stało w miejscu. Warto jeszcze dodać, że była to wyjątkowo mroźna zima, nawet jak na Moskwę, a na dodatek bardzo śnieżna. Chodziło się dosłownie tunelami, wyrobionymi przez odśnieżarki.

Aleksiej Antonowicz Iliuszyn

Naszym opiekunem naukowym był profesor Aleksiej Antonowicz Iliuszyn. Zwykle nazwisko to kojarzy się z konstruktorem słynnych samolotów „Il”, ale to nie ta osoba. Aleksiej Antonowicz to wybitny, o międzynarodowej renomie, uczony, głównie z teorii plastyczności. Był jednak bardziej wszechstronny. Miał spory udział w konstruowaniu radzieckich rakiet „katiusze”, o których wspominałem, pisząc o Powstaniu Warszawskim.

Profesor Iliuszyn imponował mi nie tylko swoją wiedzą, ale również podejściem do nauki i kulturą zachowania. Na pewnym seminarium profesor przedstawiał fragment jednej ze swych teorii. W czasie dyskusji zabrał głos prof. Leński, eksperymentator. Powiada tak: „Aleksieju Antonowiczu, ta pana krzywa odgina się nie w tę stronę, co w moim eksperymencie”. Na to profesor pogłaskał się po łysinie, popatrzał jeszcze raz na swoje wywody i po chwili odpowiedział: „Nada podumać”. Za dwa czy trzy tygodnie profesor przyszedł na seminarium, nawiązał do poprzednich wywodów i stwierdził, że rzeczywiście krzywa powinna odchyłać się jak w doświadczeniu Leńskiego. Nie zachowałem w pamięci istoty dyskutowanego problemu. Zachowałem natomiast łączenie przez Iliuszyna teorii z praktyką, potrzebę weryfikowania swoich rozwiązań teoretycznych eksperymentem, wykonanym we własnym gronie.

Kultura zachowania profesora była widoczna w czasie seminariów, kiedy to między innymi studenci brnili odpowiedników prac magisterskich. Recenzentami z reguły byli studenci po podstawowych studiach wyższych. Młodzi recenzenci byli bardzo wnikliwi i nieraz bardzo ostrzy. Iliuszyn potrafił tak pokierować dyskusją, że i magistranci i recenzenci byli usatysfakcjonowani.

Jego stosunek do łączenia teorii z doświadczeniem ujawnił się jeszcze raz w moim przypadku. Po zapoznaniu się czym się zajmuję i jakie mam podejrzenia co do postaci utraty stateczności mojej konstrukcji, stwierdził, że muszę sprawdzić to doświadczalnie. Trochę

mnie to przeraziło, albowiem pomyślałem, odnosząc do naszych rodzimych warunków, że w czasie mego kilkumiesięcznego pobytu nie jestem w stanie tego zrobić. Sprawa okazała się jednak stosunkowo prosta. Miałem sporządzić szkic eksperymentu i przekazać kierownikowi laboratorium. Po kilkunastu dniach otrzymałem wiadomość, że mogę przyjść do laboratorium i przeprowadzić doświadczenie. Przy maszynie wytrzymałościowej stał laborant, a na samej maszynie zamocowany model. Moja rola polegała na wydawaniu poleceń związanych w wielkościami obciążeń. To, o co obawiałem się, że będzie trwało miesiącami, zostało zrealizowane w ciągu kilku tygodni.

Akademia ku czci

Na terenie uniwersytetu odbywały się różne imprezy kulturalne – koncerty, występy teatralne, kina itp. Pewnego razu wybraliśmy się z Heniem na akademię ku czci. Dziś nie dam głowy, czy to była rocznica urodzin, czy śmierci i czyja. Istotna była atmosfera. Pompatyczne wystąpienia, pełne wielkich słów. Tak to nas śmieszyło, że gryźliśmy palce, żeby nie parsknąć śmiechem. Opisując to, przypomniałem sobie rosyjską anegdotę na temat akademii ku czci tow. Czubajewa, jednego z legendarnych przywódców Rewolucji. Otóż na tejże uroczystości przewodniczący akademii powiedział, że dzisiaj jest wyjątkowa okazja, gdyż w uroczystości uczestniczy pielęgniarka, obecna przy śmierci Czubajewa. I zaprosił ją na mównicę. A oto co powiedziała pielęgniarka. „Podeszłam do łóżka, na którym leżał pułkownik pod maską tlenową. Po chwili zaczął dawać mi znaki jakby chciał coś napisać. Podałam mu skrawek papieru i ołówek. Napisał coś szybko i zmarł.” Na to z sali padło pytanie: „Ale co on tam napisał?”. Gdy pielęgniarka orzekła, że jest niegramotna, przewodniczący akademii wziął od niej tę historyczną kartkę i na głos przeczytał, „ Zejdz k... z przewodu tlenowego”.

Urlop w Gruzji

Na koniec stypendium przyjechała do mnie Jadzia i wybraliśmy się na krótki urlop do Gruzji, a w szczególności do Suchumi nad Morze Czarne.

Podróż należało starannie zaplanować, podając wszystkie miasta, które chciało się odwiedzić. Miasta te zostały wpisane do paszportu i ten zapis stanowił podstawę do zakupu biletów. Jeżeli jechaliśmy pociągiem z Tbilisi do Suchumi, to na dworcu, przy kasie, musieliśmy pokazać paszporty z wpisanym Suchumi.

Jest koniec maja, ale w Moskwie zimno jak lichy. W zacienionych miejscach koło uniwersyteckiego gmachu leżały jeszcze resztki śniegu. W Tbilisi wysiadamy z samolotu jak do pieca. Piękna wiosenna pogoda, Piękny, ukwiecony bulwar Rustawelego. Po bulwarze spacerują młodzieńcy w białych koszulach i czarnych spodniach. Niektórzy trzymają w ręku różę. Inny świat! Dobra kuchnia i wspaniałe wino. Pewnym zaskoczeniem jest brak znajomości rosyjskiego u starszych, w każdym razie u tych, których spotkaliśmy. Zabawna była rozmowa z jednym z młodych ludzi. Gdy na pytanie, skąd jesteście, odpowiadamy, że z Polski, powiada – zaraz, zaraz, Polska? Ach! Drogosz! Pewnie nie wszyscy, szczególnie młodzi, wiedzą kto to był. Leszek Drogosz był jednym z naszych czołowych pięściarzy.

Po zwiedzeniu Tbilisi jedziemy do Mcchety, starej gruzińskiej stolicy, pełnej niezwykłych zabytków. Teraz kierujemy się do Suchumi, głównego celu naszej podróży. Piękne, ukwiecone miasto nad Morzem Czarnym. Mieszkamy w hotelu kategorii „lux”, bo tylko w takim mogą mieszkać cudzoziemcy. Cena 55 rubli za dobę, przy moim stypendium, wynoszącym 1100 rubli jest niemała. Piękny apartament, z balkonem, a właściwie tarasem i widokiem na błękitne morze. Jest tylko pewne „ale”. Po wejściu do łazienki zobaczyłem

w wannie szczura i to takiego raczej miczurinowskiego, a więc rozmiaru, którego bym się nie spodziewał. Na dodatek nie bardzo się przejął moim wejściem. Idę więc do etażowej, dyżurnej na piętrze i mówię, że w łazience jest szczur. A ona na to pyta mnie, skąd jestem. Powiadam, że z Polski, a na to słyszę - a u was w Polsce nie ma szczurów? Odpowiadam, że są i to ile, ale nigdy w hotelu kategorii lux. Rozmowa skończona, dyżurna gdzieś poszła, wróciła z jakimś człowiekiem i razem przyszli do naszej łazienki. Co tam robili, nie wiem, dość, że szczur więcej się nie pokazał.

Ja major zestrebiciel

Z Suchumi wybieramy się na wycieczkę nad jezioro Ritz. Piękne jezioro w górach, nad którym Stalin miał swoją willę. Jechaliśmy autobusikiem, kabrioletem, z otwartym dachem. Było nas kilkanaście osób, siedzących po trzy osoby w rzędzie. Na końcowych miejscach siedziało trzech rośliwych mężczyzn, z którymi za chwilę bliżej zaprzyjaźniliśmy się.

Nie pamiętam jak daleko było z Suchumi nad jezioro, pamiętam jednak, że po drodze było kilka przystanków. Na przystankach były pawiloniki o lekkiej konstrukcji, a w nich jedyna rzecz do kupienia to oranżada. Trzej wspomniani panowie, z tylnego siedzenia, zamówili oranżadę, rozlali ją do szklanek, uzupełniając do pełna płynem, który mieli ze sobą. Ponieważ dowiedzieli się, że jesteśmy z Polski, więc zaprosili mnie do wypicia za sowiecko-polską przyjaźń. Nie wypić za tak wzniosły cel nie wypadało. Nie muszę mówić, że dodatkiem do oranżady była wódka, jeżeli nie, sądząc z mocy, spirytus. W sumie dojechaliśmy nad jezioro w stanie silnie wskazującym.

Na miejscu było wspólne pływanie łódką po jeziorze, zakończone obiadem w restauracji, z tarasem wychodzącym w wodę i pięknymi widokami na jezioro i góry. W pewnym momencie ja z jednym z naszych nowych znajomych o imieniu Nikołaj wyszliśmy za potrzebą. Już wewnątrz budynku, w korytarzu, Nikołaj zatrzymał się i pyta mnie: Ty wiesz kto ja? Ja major zestrebiciel! (chyba odpowiednik naszego pilota z myśliwca). Mówiąc to, wyciąga legitymację z fotografią w mundurze. Wprawdzie byłem pod silnym wpływem procentów, ale o ile pamiętam, to przeszło mi szybko przez myśl, że wolałbym tego nie wiedzieć.

Obiad się skończył, wróciliśmy pod nasz hotel, gdzie nastąpiło miłe pożegnanie, z zapewnieniem naszych znajomych, że przyjdą nazajutrz o piątej po południu i przyniosą nam zdjęcia. Nie przyszli i nie dali znać o sobie. Na drugi dzień idziemy z Jadzią po ulicy, a ja patrzę, naprzeciw nam idzie Nikołaj w mundurze. Wyprzedzająco wołam: „Zdrastwuj Nikołaj”, ale Nikołaj nie zareagował, przeszedł koło nas, jakbyśmy byli powietrzem.

Czy ktoś chciał wysadzić Pałac Kultury?

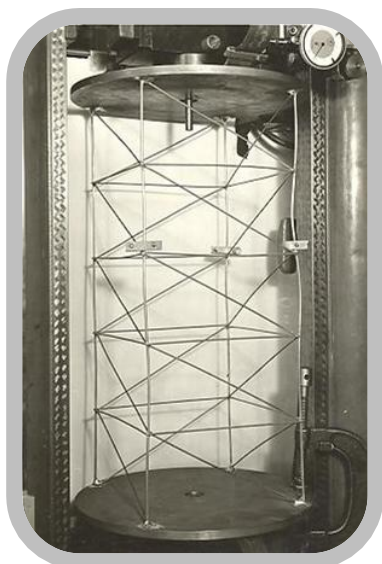
Czas wracać do Moskwy. Wsiadamy na statek „Gen. Nachimow” (to ten, co po iluś latach zatonął) i z Suchumi udajemy się na Krym. Z Symferopola jedziemy pociągiem. Ponieważ podróż trwa około doby, idę do konduktorki i pytam o wagon restauracyjny. Na moje naiwne pytanie reaguje ze zdziwieniem i mówi: jaki wagon restauracyjny? Pociąg jedzie tylko dobę. Całe szczęście, że drobny kapitalizm jeszcze całkiem nie zniknął. Na poszczególnych stacjach można było kupić coś do jedzenia od drobnych sprzedawców. Najbardziej utrwaliły mi się w pamięci piękne, czerwone, kwaszone jabłka sprzedawane przez skromną babinę, ubraną tradycyjnie w wielką chustę. Jabłka były kwaszone razem z kapustą - palce lizać.

W przedziale byliśmy z Jadzią sami. To chyba była zasada sprzedawania biletów „inostrącom”, w odrębnych przedziałach. W pewnym momencie do drzwi przedziału ktoś

zastukał. Wszedł mężczyzna i, przepaszając Jadzię, powiedział do mnie: „Zachaditie k'nam na piwo”. Skorzystałem z zaproszenia i poszedłem do sąsiedniego przedziału. Zawsze to jakieś nowe doświadczenie. Piwo okazało się być wódką. Do tego był pęczek rzodkiewek i pół bochenka chleba. Oczywiście wypiliśmy za polsko – ruską przyjaźń. Moi gospodarze wracali z urlopu na Krymie na Syberię. Dowiedziałem się, że pracując na Syberii, korzystali z dłuższych i to bezpłatnych urlopów na Morzem Czarnym. Mówię „na Syberii”, ponieważ nawet po moich kilkakrotnych pytaniach na temat, gdzie pracują, nie dostałem jasnej odpowiedzi. Jeden z nich jedynie zdradził tajemnicę, powiedziawszy, iż pracuje w fabryce chemicznej. Drugi twardo, nawet przy drugiej butelce (już bez chleba i rzodkiewek), niezmiennie odpowiadał na moje pytanie, gdzie pracuje, słowami: „Ja już ci mówiłem, ja pracuję w fabryce”. Nie chcąc ujawniać swoich bliższych danych osobowych, sami byli ciekawi, co dzieje się w Polsce. I w jednym pytaniu zawarta była chyba przyczyna zaproszenia mnie „na piwo”. Pytanie brzmiało: czy to prawda, że ktoś próbował wysadzić w powietrze Pałac Kultury i Nauki w Warszawie? Ciekawe, że nikt mnie o to nie pytał w Moskwie. Widać wielkość plotki była proporcjonalna do odległości, a może nawet kwadratu odległości, od miejsca, którego dotyczy i odwrotnie proporcjonalna do dostępu do niezależnej informacji. I tak z „syberyjskim kacem” zakończyła się nasza gruzińska wyprawa.



Przepustka na Wydział Mech-Mat



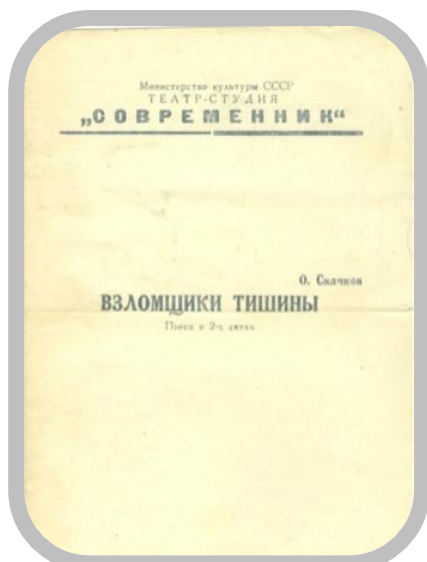
Експеримент в університетському лабораторіумі



Картка бібліотечна Бібліотеки ім. Горького



Перед Церквою Васи́ла Блґосла́вionedого



Program sztuki „Wzłomscziki Tiszyny” w Teatrze „Sovremiennik



Piękny, drogi hotel w pięknym Suchumi



Powrót do Warszawy LOTem

Kończę doktorat

Po powrocie z Moskwy wziąłem się solidnie do ostatecznego formułowania rozprawy. Musiałem jednak przejść przez barierę wymagań promotora, profesora Brzoski. Tu pojawiła się potrzeba pewnej taktyki. Pomyślałem sobie, że nie będę chodził na konsultacje, tylko sam napiszę pracę i w końcowej wersji pokażę promotorowi. Ryzyko było ogromne, wynikające choćby z techniki pisania prac w tym czasie. Prace pisało się na maszynie, na kalce technicznej. A to dlatego, że to umożliwiało powielanie, podobnie jak rysunki w biurach konstrukcyjnych. Jednak każdy błąd w pisaniu powodował, że należało albo daną stronę wyrzucić, albo wyskrobywać błąd żyłką, co często sprowadzało się do dziurawienia kalki. Nie muszę mówić, że najwięcej nerwów kosztował błąd pod koniec strony.

Kalki przekładałem kartkami zwykłego papieru i poprosiłem profesora, aby był łaskaw robić uwagi na nich, a nie na kalkach. Do tego dodałem, że wprowadzić nie są to równania Schrödingera, ale „odkryłem” ciekawą postać wyboczenia przestrzennej powłoki prętowej. Profesor pracę wziął i po niedługim czasie stwierdził: „Puszczam”! Zgodnie z przewidywaniami uwagi były na kilku pierwszych stronach, a reszta została nienaruszona, tak jak ją pierwotnie napisałem.

Prawdę mówiąc, był to w moim doktoracie moment najważniejszy, dlatego go zapamiętałem. Reszta już poszła jak z płatka. Dlatego nie pamiętam momentu obrony, czy zadawanych pytań. Tylko z dyplomu wiem, że odbyło się to 24 maja, roku pamiętnego 1961. Tytuł rozprawy brzmiał: ***Statyka i stateczność przyrzutowych powłok ramowo- kratowych***.

Żuraw budowlany i rakiety

Najciekawsze elementy pracy doktorskiej opublikowałem w „*Zeitschrift für Angewandte Mathematik und Mechanik*”. Wyeksponowana była tam otrzymana przeze mnie skrętno - giętna postać utraty stateczności. Po jakimś czasie otrzymałem ze Stanów Zjednoczonych zaproszenie na jakąś konferencję, poświęconą rakietom. Przyjąłem to jako pomyłkę, a nawet gdyby w tym zaproszeniu było jakieś uzasadnienie, to i tak nie było mowy o uczestnictwie w konferencji, choćby ze względu na kłopoty ze zgodą na wyjazd i kłopoty z dewizami.

W czasie mego pobytu w USA w 1967 roku (piszę o tym osobno), brałem udział między innymi w jednej z konferencji poświęconej konstrukcjom, która odbyła się na Uniwersytecie Stanowym Kolorado w Fort Collins. W czasie lunchu, po wygłoszonym referacie, siedziałem przy stole z jednym z amerykańskich uczestników. Zapytał mnie, czy to ja jestem autorem pracy w ZAMM. Gdy potwierdziłem, powiedział mi, że mój rysunek, a na nim postać utraty stateczności, zwróciła uwagę konstruktorów wież do odpalania rakiet. W tym czasie rakiety były wypuszczane wzdłuż prowadnic umieszczonych na zewnątrz, bądź wewnątrz takich kratowych wież. Nie ukrywam, że miło mi było to usłyszeć. Tym samym wyjaśniło się chyba wysłanie do mnie zaproszenia na konferencję raketową.

wherein

$$d_g = \frac{2P}{E} - \frac{4I_{gg}}{k^2(c_g - s_g)},$$

$$d_f = \frac{2P}{E} - \frac{4I_{ff}}{k^2(c_f - s_f)},$$

c_g, s_g and c_f, s_f as above.

Practically the solving of it gives us P_{cr1} equal EULER's value for solid bar of length k and hinged ends:

$$P_{cr,1} = \frac{\pi^2 E I_{gg}}{k^2} \quad \text{or} \quad P_{cr,1} = \frac{\pi^2 E I_{ff}}{k^2}.$$

It must be moreover that equations for P_{cr1} , P_{cr2} , P_{cr3} are only true in cases when all end conditions are fully satisfied. This means that for P_{cr1} they should be:

$$w_{a,1} \pm 0, \quad v_{a,1} = 0, \quad u_{a,1} = 0,$$

$$w_{b,1} = 0, \quad v_{b,1} \pm 0, \quad u_{b,1} \pm 0,$$

$$w_{c,1} \pm 0, \quad v_{c,1} = 0, \quad u_{c,1} = 0,$$

$$w_{d,1} = 0, \quad v_{d,1} \pm 0, \quad u_{d,1} \pm 0.$$

$$w_{a,1} \pm 0, \quad v_{a,1} = 0, \quad u_{a,1} = 0,$$

$$w_{b,1} = 0, \quad v_{b,1} \pm 0, \quad u_{b,1} \pm 0,$$

$$w_{c,1} \pm 0, \quad v_{c,1} = 0, \quad u_{c,1} = 0,$$

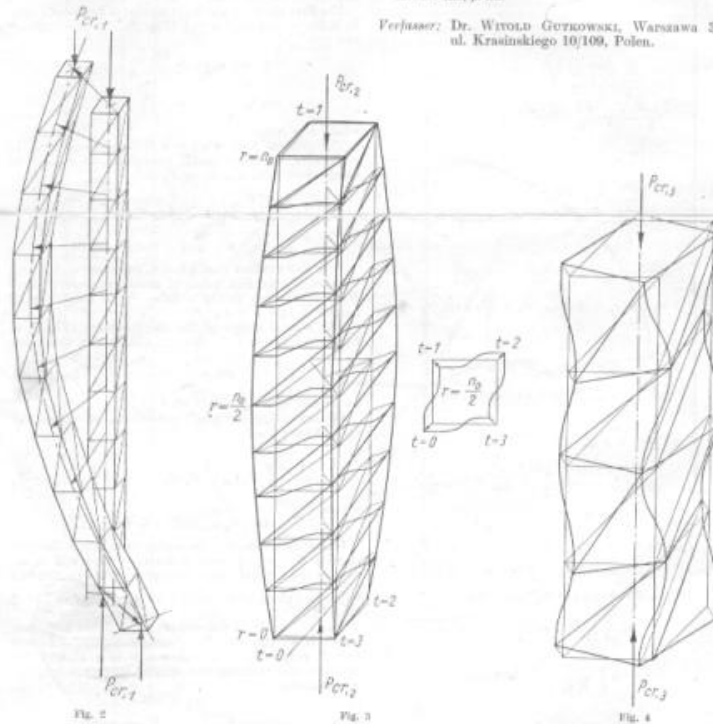
$$w_{d,1} = 0, \quad v_{d,1} \pm 0, \quad u_{d,1} \pm 0.$$

It is practically impossible to satisfy all such conditions. It can be proved easily that in the case of hinged ends strut four of the above mentioned final conditions ($w_{a,1} \pm 0$; $w_{b,1} \pm 0$; $v_{b,1} \pm 0$; $v_{d,1} \pm 0$) will not be fulfilled and P_{cr1} solved from (3) will be smaller than the real value. The exact fulfillment of end conditions is as in the classical shells much more complicated being also very laborious.

References

- [1] F. BLANCH, Buckling Strength of Metal Structures, New York 1952, McGraw-Hill.
- [2] W. GUTROWSKI, Statik und Stabilität von Prismatischen Rahmen-Lasten, Bulletin de l'Académie Polonaise des Sciences, Série des sciences techniques V, IX, p. 297 (1961).
- [3] W. GUTROWSKI, Structural Analysis and Stability of Prismatic Lattice Shells (in Polish), Rozprawy inżynierskie IX, p. 455 (1961).
- [4] R. SMITH, J. RATTENHORN, Die Knickstabilität von Fachwerken, ZAMM 5, p. 216 (1925).
- [5] S. TIMOSHENKO, Theory of Elastic Stability, New York 1929, McGraw-Hill, p. 490.

Verfasser: Dr. WITOLD GUTROWSKI, WARSZAWA 32, ul. Krasieńskiego 10/109, Polen.



17. Przechodzę do Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN

Po doktoracie

Jestem doktorem i co dalej? Intuicyjnie czułem to, z czym zapoznałem się po latach w Stanach. Po doktoracie muszę zmienić miejsce pracy, co w naszej sytuacji niekoniecznie oznacza zmianę uczelni. Na Lotniczym, zdawałem sobie sprawę, że będę wciąż pamiętany jako były student, „pan Witold”. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Wróciłem do profesora Janika, na Wydział Maszyn Roboczych i Pojazdów. I tam już byłem „panem doktorem”, a nie panem Witoldem. W tym czasie doktorów nie było dużo, była to więc niezbyt wysoka, ale istotna pozycja. Jednak czułem się nie najlepiej. Straciłem dobre środowisko i nawet zarobki pochodzące ze zleceń. Do tego dobijała mnie liczba godzin dydaktycznych. W tym czasie Politechnika otworzyła swoją filię w Płocku i do moich obowiązków „dołożono” zajęcia wyjazdowe w soboty, a nawet w niedziele.

Moje pierwsze seminarium

W tym czasie spotkałem dwóch moich kolegów, jeszcze ze szkolnych czasów, Henia Zorskiego i Romka Soleckiego. Obaj pracowali w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN. Henio, który prowadził seminaria, dowiedziawszy się, że właśnie zrobiłem doktorat, zaprosił mnie do przedstawienia mojej pracy. Było to moje pierwsze seminarium w życiu poza miejscem pracy.

Przygotowanie seminarium wymagało znacznie więcej pracy niż współczesny Power Point. Nie było jeszcze przezroczy, ani folii z odpowiednią aparaturą. Wzory i rysunki należało nanieść tuszem na duże arkusze brystolu. Na górnych ich krawędziach były umocowane drewniane listewki, do których z kolei mocowano sznurek do wieszania. Wszystkie arkusze wieszało się na specjalnym wieszaku. W trakcie prezentacji zdejmowało się je kolejno, tak jak dziś klika się, aby pokazać następne przeźrocze.

Sporządziłem godzinowy wykaz wszystkich swoich zajęć dydaktycznych łącznie z egzaminami, szykowaniem się do zajęć itd. Wyszło mi, że dydaktyce muszę poświęcić średnio 72 godziny tygodniowo, w tym wyjazdy do Płocka. Z tym wykazem poszedłem do Pana Rektora i powiedziałem, że nie mam szans rozwijać się i robić habilitacji i proszę go o zgodę na przejście do IPPT. Rozmowa nie była łatwa, otwartej zgody nie dostałem, ale nie było i otwartego sprzeciwu. W końcu przeszedłem do IPPT, zostając na pół etatu na Politechnice.

I tak w 1963 roku zostałem pracownikiem IPPT PAN i pozostałem nim, można powiedzieć *for ever*. Pracowałem formalnie do emerytury, ale jeszcze dziś mam tam swoje miejsce.

Habilitacja

Jestem więc w IPPT-cie i mam ambiwalentne uczucia. Niesamowita frajda, wynikająca z pełnej swobody działania i jednocześnie uczucie pustki po watach studentów, wykładach, kolokwiach, egzaminach itd. Muszę przyznać, że dydaktyki trochę mi brakowało. Mam na myśli to, co lubiłem, a więc sam proces uczenia, wykładania, bez otoczki w postaci egzaminów i kolokwiów.

Nie ma się co bawić w sentymenty i trzeba brać się za robotę, mam na myśli, za habilitację. Biorę udział w dwóch seminariach, a reszta czasu pozostaje na pracę własną. A seminaria były, i dalej są, bardzo istotne, oczywiście te, na których można się czegoś ciekawego

dowiedzieć. Będąc na seminarium fizyki kryształów, dowiedziałem się o siatce Bravais, stosowanej do geometrycznego opisu kryształów. To mi podsunęło myśl zastosowania tej siatki do opisu regularnych konstrukcji, nad którymi pracowałem.

Teraz przy pracy habilitacyjnej nie ma promotora i decyzja co do jej zakończenia zależy tylko ode mnie. W chwili wątpliwości, czy to jest, co powinno być, postanowiłem pójść do biblioteki i przejrzeć kilka prac habilitacyjnych. Dało mi to pewnego rodzaju układ odniesienia, pozwalający ocenić własną pracę. „Samotest” wypadł pomyślnie. Ostatecznie pracę redaguję, publikuję i rozpoczynam proces habilitacyjny.

Dalej normalna procedura, recenzenci i obrona. Wstyd się przyznać, ale nawet nie pamiętam nazwisk wszystkich recenzentów mojej pracy. Byli nimi na pewno: prof. Jerzy Mosakowski i prof. Jerzy Leyko. Termin rozprawy został wyznaczony na 24 czerwca, a więc na św. Jana. W związku z tym do typowej tremy przed obroną doszła niepewność, czy aby będzie kworum. W pokoleniu reprezentowanym przez ówczesnych członków rady była znacząca liczba Janów. Ponieważ w owym czasie posiedzenia rady rozpoczynały się o piątej po południu, moje obawy dotyczyły właśnie kworum. Obawy były płonne, wszyscy członkowie stawili się punktualnie. A była to rada złożona z samych znakomitości naukowych, że wspomnę choćby kilku profesorów: Witolda Nowackiego, Wacława Olszaka, Władysława Fiszdona, Sylwestra Kaliskiego i Stefana Ziembę. Obrona przeszła gładko (może w tym pomógł św. Jan?). Miałem kilka rzeczowych pytań, prof. Olszak nawet mnie pochwalił. Tak więc w dniu 24 czerwca, po dwóch latach i trzech miesiącach od rozpoczęcia pracy w IPPT, zostałem doktorem habilitowanym.

18. Ameryka, Ameryka!

Zostałem doktorem habilitowanym i co dalej? W owym czasie wielu pracowników wyjeżdżało za granicę, głównie do Stanów, na różne stypendia i kontrakty. Był to czas, gdy w Stanach pieniędzy na badania było w bród. I ja pomyślałem o tym, że należałoby postarać się o taki wyjazd. Propozycja przyszła niemal niespodziewanie. Wymieniałem korespondencję z prof. Donaldem Deanem z University of Delaware na temat prac nad mechaniką konstrukcji składanych z powtarzalnych elementów konstrukcji coraz częściej stosowanych na świecie. W którymś z listów prof. Dean zapytał, czy bym nie chciał przyjechać do niego na rok na tzw. sabbatical. Też pytanie!

Przygotowania i wyjazd

Załatwianie formalności

Do wyjazdu trzeba było załatwić cały szereg spraw. W pierwszej kolejności zgodę władz PAN. Z tym nie było najtrudniej, dzięki prof. Witoldowi Nowackiemu, który w tym czasie był sekretarzem naukowym. Zgoda na wyjazd w zasadzie rozwiązywała kolejne sprawy jak paszport, bilet i pieniądze. Pieniądze, wielka rzecz. W tym czasie, niezależnie, gdzie się jechało na zaproszenie, dostawało się na drogę 5 (słownie pięć) dolarów USA.

Najwięcej zachołu miałem z egzaminem z angielskiego. Prof. Dean znał mnie tylko korespondencyjnie, musiałem więc do dokumentów, niezbędnych do zatrudnienia mnie na amerykańskim uniwersytecie, dołączyć zaświadczenie o zdanym egzaminie z angielskiego w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. Z tego powodu miałem trochę stresu. Nigdy nie uczyłem się systematycznie angielskiego. Wprawdzie po wojnie byłem w Anglii i trochę mówiłem po angielsku, ale trudno powiedzieć, że znałem gramatykę. Obłożyłem się podręcznikami i gdy uznałem, że coś umiem, poszedłem do ambasady. I jakoś poszło. Dostałem stosowny certyfikat, który wysłałem do uniwersytetu.

Bombardowanie Hanoi wstrzymuje wyjazd

Miałem ustalony termin przyjazdu do Newark Delaware na początek sierpnia 1966. Tymczasem w czerwcu Amerykanie zbombardowali Hanoi i wszelkie kontakty naukowe ze Stanami zostały przerwane. Uczucie okropne. Tyle nadziei, tyle wysiłku i wszystko na nic. Prof. Witold Nowacki zapewniał mnie, że to zawieszenie minie i w styczniu wyjadę. Wierzyłem mu, ale co miałem wątpliwości, to miałem. Tym bardziej, że Gene Chesson, Department Chairman, pytał mnie kilkakrotnie listownie, czy na pewno przyjadę.

Na uniwersytecie

Wreszcie koniec kłopotów i w styczniu lecę! Przed odlotem udałem się do banku z naiwną myślą, że jak pokażę swój kontrakt, to będę mógł pożyczyć trochę gotówki. Na moje pytanie dostałem obcesową odpowiedź: „A skąd my wiemy, że pan nam odda?”

Lecę przez Londyn (w tym czasie nie było bezpośrednich lotów z Warszawy do Stanów) do Waszyngtonu, a następnie z lokalnego lotniska do Newark Delaware. Cały czas sprawdzam, czy mam te swoje pięć dolarów. Ma ktoś po mnie przyjechać na lotnisko, ale licho wie, co się może zdarzyć. Szczęśliwie na lotnisku czeka na mnie prof. Jerzy Moszyński. Wprawdzie jest z innego wydziału, ale mój chairman poprosił go, aby mnie odebrał, bo na pewno się ze mną dogada. Jerzy, którego dalej będę nazywał George, był podobnie jak ja w Powstaniu Warszawskim, a następnie po studiach w Anglii wyjechał do USA i ożenił się z Basią, Polką, która wywieziona w 1940, przewędrowała szlak syberyjsko – perski.

Przez kilka pierwszych dni mieszkałem w uniwersyteckim domu gościnnym. Ponieważ chciało mi się pić, zszedłem na dół do bufetu i dumnie wyciągając moje pięć dolców, poprosiłem o piwo. Dostałem coś ciemnego, więc pomyślałem, że podano mi ciemne piwo. Tymczasem było to największe świnstwo, jakie kiedykolwiek miałem w ustach. Było to tak zwane „root beer”. Okazało się, bowiem, że na terenie uniwersytetu nie można było podawać alkoholi. Nawet jak prezydent uniwersytetu wydawał przyjęcie, to serwowano tylko soft drinki.

Zaczynam pracę

Następnego dnia spotykam się Genem Chessonem, moim obecnym bossem. Gene mówi bardzo powoli i stara się to robić wyraźnie. Co chwila pyta, czy rozumiem. Dziwi mnie trochę, że sprowadzili mnie tu, abym wyładał, płacąc kilkanaście tysięcy dolarów i nie są pewni mego angielskiego. W końcu dostaję rozkład zajęć i zaczynam wykłady. Na początek „graduate students”, czyli magistranci i doktoranci. Tu kłopotów językowych prawie nie mam. Moi studenci to mieszanina różnych nacji o podobnych kłopotach językowych jak moje. Gorzej jest z tak zwanymi „undergraduate students”, których mam uczyć podstaw mechaniki. Tu mam do czynienia z prawdziwymi jankesami, nie mówiącymi, a bełkoczącymi. Starłem się mówić powoli i wyraźnie, co oddalało możliwe pytania. Jednakże w końcu pytanie padło, a ja nic nie rozumiem. Proszę więc pytającego, by je powtórzył. I znów nie rozumiem. Za trzecim razem, dla rozładowania atmosfery, powiadam do studenta: „Oh! If you could speak English”. Bractwo gruchnęło śmiechem, a ja wziąłem pytającego do tablicy i słowo po słowie odpowiedziałem mu na jego pytanie.

Mam samodzielny pokój, którego drzwi, tutejszym zwyczajem, powinny być otwarte. W pokoju obok siedzi Don Boyer, świeżo upieczony, w John Hopkins University, doktor. Szybko się zaprzyjaźniliśmy, a nasza przyjaźń trwa do dziś. Zapoznałem się również z dr Celiną Ugarte, najbliższą współpracowniczką Donalda Deana. Sam Donald kilka miesięcy przed moim przyjazdem przeniósł się do North Carolina University.

Pierwsza wypłata

Na uniwersytecie pensje wypłacano dwa razy w miesiącu. Sekretarka Gene’a wręczała kopertę, w której znajdowało się potwierdzenie wpłaty do banku. Żadnych wypłat w gotówce. Tak więc jedną z pierwszych czynności po przybyciu na uniwersytet było stwierdzenie, w którym banku chcę mieć konto. Karty kredytowe jeszcze chyba nie były bardzo powszechne. W każdym razie i tak bym nie miał szans na jej wyrobienie ze względu na chwilowy pobyt. Gotówkę brałem w banku, wypisując czek z wydanej mi książeczki czekowej. Czekami płaciłem również w sklepach. A sklepy w tym czasie przechodziły poważne zmiany. Znikały sklepy na main streetach, a powstawały olbrzymie *shopping centers*. Starsi mieli jednak dawne nawyki. Spodziewali się miłych uśmiechów od sprzedających. Kiedyś, w takim dużym markecie, w ogonku do kasy stał starszy pan. Kasjerką była młoda, z lekka naburmuszona dziewczyna, która obsłużyła go bez słowa. Odchodząc, starszy pan zapytał: „*Where is your smile, darling?*”

Mieszkanie i samochód

Po kilku dniach przeniósłem się do wynajętego mieszkania. Pomogli mi w tym doktoranci Donalda. Byli to Hindusi, którzy mieli nieco odmienny ode mnie gust. Ponadto koledzy na wydziale, wprawdzie nie mówili tego głośno, ale dawali do zrozumienia, że to nie miejsce dla profesora. Postanowiłem zmienić je na mieszkanie lepsze, bliżej uniwersytetu, ale bez mała dwa razy droższe. No cóż - *noblesse oblige*.

Mieszkanie było w dwupiętrowym budyńeczku, jakoś tam połączonym z uniwersytetem. Widać to chyba było na wstępie, kiedy powiedziano mi: *No kids, no pets, no instruments!* Był to, często spotykany w Stanach, rodzaj domu zbudowanego z drewna (nie z bali, czy desek, ale z deszczulek) i gipsu. Pewnego razu, wracając do domu, miałem kłopot, żeby otworzyć drzwi. Po prostu w jednym miejscu, akurat przy drzwiach, podłoga stańęła dęba i zrobiło się wzniesienie. Zadzwońilem do administratora, ale jakoś mnie zlekceważył. Kolejnym razem, gdy już naprawdę ledwie mogłem przecisnąć się przez drzwi, zadzwoniłem powtórnie do administratora. Powiedziałem, że jeżeli nie będę mógł już wcale wejść do mieszkania, to pójdę do motelu i wystawię mu za to rachunek. To zadziałało. Okazało się, że rury od centralnego ogrzewania były poprowadzone przy podłodze. Gdy w jednym miejscu powstała w nich nieszczelność, woda z centralnego zalała podłogę. Przy naprawie mogłem zobaczyć, że pod dywanem, który przykrywał podłogę od ściany do ściany, były deszczułki takie, jakie by się uzyskało z rozbicia skrzynki po pomarańcach. To one po namoknięciu spowodowały wybrzuszenie.

Mieszkanie miało podstawowe wyposażenie kuchenne, nie było w nim jednak żadnych mebli. Z tym nie było kłopotu, bo było kilka miejsc w okolicy, gdzie można było kupić, po względnie niskiej cenie, całkiem dobre meble. W transporcie pomógł mi mój nowy przyjaciel Don. Zobaczył, że nie mam radia, więc pożyczył mi Sharpa, mówiąc: „*Witold this is a fifty five dollar radio.*” W pierwszej chwili wewnątrznie się skrzywiłem i pomyślałem, dlaczego on to mówi. Potem, gdy zapoznałem się z amerykańskim praktycyzmem, zrozumiałem, co miało to oznaczać. Cokolwiek by się stało z radiem, to jego wartość została z góry określona przez wypożyczającego i przyjęta przez pożyczającego.

Gdy przyleciałem do Stanów, pomimo stycznia była piękna i ciepła pogoda. Przed lądowaniem w Waszyngtonie, jeszcze w samolocie, poinformowano, że temperatura na lotnisku wynosi 76 stopni – oczywiście Fahrenheita, czyli około 18 stopni Celsjusza. Moje pierwsze mieszkanie było odległe o jakiś kwadrans drogi od uniwersytetu, więc postanowiłem chodzić tam pieszo. Jednakże po kilku dniach pogoda się załamała, oziębilo się i zaczął padać obficie śnieg. Był to, jak tu nazywają, *snow storm*, paraliżujący kompletnie cały ruch samochodowy. O chodzeniu pieszo już nie było mowy. Pługi rozpychały śnieg tylko na środku jezdni. Pieszymi się nikt nie przejmował. To mnie zmusiło do oglądania się za kupnem samochodu. Za mało jeszcze znałem tu ludzi, żeby prosić o radę, więc musiałem decydować sam. Szukałem oczywiście w gazetach i w końcu kupiłem czarnego Forda Falcona za jedne 240 \$. Wkrótce miałem się przekonać, że nawala skrzynia biegów i zapasowe koło nie jest od tego samochodu. Naprawa skrzyni kosztowała mnie jeszcze 120 dolców, ale w sumie tym samochodem, bez kłopotów, przemierzyłem drogę ze wschodniego wybrzeża na zachodnie i z powrotem. Na koniec jeszcze sprzedałem Forda za 115 \$ swojemu hinduskiemu studentowi. Prawda jest jednak taka, że pod koniec samochód pożerał oleju niewiele mniej niż benzyny.

Powoli wyzbywam się kompleksów

Początkowe kompleksy językowe zaczynają zanikać. Jak słucham angielszczyzny licznych przybyszów do USA, to dochodzę pomału do wniosku, że nie jest ze mną tak źle. W szczególności dwa zdarzenia z udziałem Dona prawie wyleczyły mnie z moich obaw językowych. Jedziemy z Donem do Nowego Jorku. Po drodze Don miał coś do załatwienia w Filadelfii. Przy wyjeździe z miasta bierze benzynę i pyta sprzedającego, jak wyjechać na autostradę. Ten trzy razy powtarzał informację. Wyraźnie było widać, że Don ma kłopoty, żeby go zrozumieć. Myślę sobie, Don, chłopak z Pensylwanii od któregoś tam pokolenia ma

kłopoty ze zrozumieniem, to czym ja się przejmuję. Ale to jeszcze nic. Przyjeżdżamy do Nowego Jorku, spotykamy się Eileen, żoną Dona i po teatrze idziemy do restauracji. To, że ja mam kłopot w komunikowaniu się z kelnerem, to nic niezwykłego. Niezwykłe dla mnie było to, że również Don miał takie kłopoty, które skończyły się tym, że kelner kazał mu pokazać palcem w menu, czego chce! To był ostateczny koniec moich frustracji językowych. Oczywiście nie oznaczało to, że wszystko szło gładko. Na przykład rozmowa z Eileen, niezwykle sympatyczną mieszkanką Brooklynu, wymagała szczególnej koncentracji, a nawet odrobiny alkoholu.

Z czasem wyżyłem się kompleksów merytorycznych. Doszedłem do wniosku, że Bozia rozkłada wszędzie jednakowo mądrych i głupich.

Bigos party. Na uniwersytecie, podobnie jak w całych Stanach, przebywali ludzie różnych nacji. Władze uniwersyteckie organizowały różne imprezy mające na celu wzajemne poznanie się i, jak to się dziś mówi, integrowanie. Jedną z takich imprez był *international dinner*. Postanowiłem zaprezentować polską kuchnię, przygotowując bigos. Decyzja prosta, trochę więcej kłopotu z wykonaniem. Główny kłopot to znalezienie kapusty kwaszonej. Przyzwyczajony do tego, że u nas jest ona dostępna w każdym warzywniaku, myślałem, że równie łatwo dostanę ją tutaj. Rzeczywistość była bardziej brutalna. Szukałem, szukałem, aż wreszcie znalazłem w jakimś markecie kwaszoną kapustę w torebkach foliowych z napisem *kosher sauerkraut*. Kupiłem kilka torebek i po przyniesieniu do domu, spróbowałem. Jeden wielki kwas! Cytryna przy tej kapuście to sama słodycz. Jednakże nie poddawałem się i zacząłem obrabiać mój półprodukt, płucząc w wodzie i dodając sporo zwykłej, słodkiej kapusty. Potem oczywiście mięso, kielbasa (*Polish sausage*) i wszystkie inne niezbędne dodatki. Coś z tego wyszło, co odważyłem się wystawić na długim stole, gdzie poszczególne nacje wystawiały swoje potrawy. Kłopot jednak w tym, że bigos wizualnie nie wygląda najlepiej. Tymczasem inni, głównie z krajów azjatyckich, serwowali dania pięknie przyozdabiane zieleninami i nawet kwiatami. Trudno jednak w garnek z bigosem wetknąć różę. A więc stoję markotny, przy tym swoim garze, co chwilę podgrzewając, jako że zimny bigos to nic dobrego. Już myślałem, że będę go sam jadł, kiedy podeszła studentka i poprosiła troszkę na spróbowanie, twierdząc, że próbuje wszystkich dań. Za chwilę wróciła i nałożyła sobie kopsiasty talerz. Jedząc, cmokała i zachwalała, jakie to dobre, tak że moją potrawą zainteresowali się inni. W kilka minut mój garnek był pusty, a fani bigosu poprosili mnie, abym zorganizował *bigos party*.

Lekcje kapitalizmu

Lekcja pierwsza

Jadę do Nowego Jorku, tam podobno można kupić różne rzeczy znacznie taniej. Zatrzymuję się w Time Square Motel, gdzie mój uniwersytet ma ulgi. Zaraz obok hotelu jest zmechanizowany parking za "jedne" 3.5 USD za dobę. Wjeżdżam do hali, oddaję kluczyki, obsługujący wjeżdża do windy i tyle widzę mojego czarnego Forda.

Rano idę na śniadanie do pobliskiej restauracyjki, gdzie można zjeść taniej niż w hotelowej restauracji. Siadam, przychodzi kelner i kładzie przed mną menu, na którym szereg wydrukowanych cen jest skreślonych, a nad nimi ręcznie wypisane ceny niższe. Taka niby promocja. Tylko przy płaceniu, na rachunku wypisano ceny, te wyższe, nieskreślone. Wołam więc kelnera, pokazuję rachunek, tłumacząc, że rachunek nie zgadza się z cennikiem. Na to on odchodzi i za chwilę wraca z wydrukowanym cennikiem bez skreśleń, twierdząc, że rachunek jest wypisany prawidłowo.

Lekcja druga

Mam zamiar kupić elektryczną maszynkę do golenia Remingtona. Wiem, ile kosztuje w lokalnym sklepie w Newark. Wchodzę do jednego z licznych sklepów elektryczno – elektronicznych przy 42 Ulicy i pytam o golarkę. Słyszę cenę niższą o kilka dolarów od tej, którą znam. Bez namysłu kupuję. Tym „bez namysłu” daję znać sprzedającemu, że ma przed sobą frajera, na którym można by jeszcze zarobić. Sprzedający pyta mnie, czy nie kupiłbym aparatu fotograficznego. Rzeczywiście, chodził mi taki zamysł po głowie i pytam, czy ma Yashikę 500. Powiada: mam, jedne 144 dolary. Tłumaczę, że i tak nie mam przy sobie pieniędzy i kieruję się do wyjścia. A na to on: „Jak pan kupi teraz, w tym momencie, to sprzedam za 120 dolarów”. Pomyślałem sobie, że gdybym kierował się do wyjścia, kupując golarkę, to zapewne zapłaciłbym jeszcze kilka dolarów mniej. Tak łatwe obniżenie ceny po wykonaniu kilku kroków do wyjścia ze sklepu tak mnie zainteresowało, że odwiedziłem kilka sklepów pytając o Yashikę 500. Najwyższa cena wypisana na metce – 225 dolarów, ale jak dla pana sprzedam za 175. Najniższa 55 USD. Jak się dowiedziałem, to mówię – kupuję. Ale na to sprzedający: „Ten aparat jest w całym zestawie za 250 dolarów. W zestawie jest radio, magnetofon i chyba jeszcze coś.” Ja mówię, że potrzebuję tylko aparat fotograficzny. Na to sprzedający facet pyta: „A pan skąd?” Ja mówię, że z Warszawy. A on na to: „To co się pan zastanawia. Zatrzyma pan sobie aparat, a resztę pan sprzeda i jeszcze na tym zarobi.” Kilka dalszych sklepów miało ceny 77 dolarów. Była to cena dyskontowa, sklepy tamtejsze dużo sprzedawały i dostawały upust od hurtowników. Cena nominalna Yashiki 500, podana w Consumer Report, wydawany przez organizację „non profit”, wynosiła 110 USD. Aparatu nie kupiłem i dobrze. Mój zaprzyjaźniony fotograf uniwersytecki poradził mi, abym za te pieniądze dokupił sobie dodatkowy sprzęt do mojej NRD-owskiej lustrzanki Zeissa.

Lekcja trzecia

Pewnego razu odwiedziłem gmach ONZ i zajrzałem do sklepu z pamiątkami. Był to moment jego zamykania. Jakiś jegomość chciał coś kupić, ale sprzedająca twardo oświadczyła, że już zamknięte. Wtedy ze strony zainteresowanego pada zwrot, który w przyszłości wykorzystałem dwukrotnie: *If you take care of me, I will take care of you*. To taka bardziej elegancka forma naszego – *jak się da, to się da*, i w dodatku wypowiedziana głośno i publicznie.

Pierwszy raz wykorzystałem to magiczne zaklęcie, gdy, chcąc odebrać samochód z garażu, zastałem zamkniętą bramę. Walę dość energicznie, aż doczekałem się, że otworzyło się coś w rodzaju judasza w potężnej bramie. Ukazała się osoba, która rzekła: „*We are on strike!*” Nie pomogły moje prośby, że nie mam jak wrócić na uniwersytet. Poza mną jeszcze jeden jegomość chciał odzyskać samochód. Jakiś Amerykanin z Pensylwanii. Ponieważ i jego argumenty nie skutkowały, zaproponował, abym zadzwonił na policję. Poznał, że jestem obcokrajowcem i pomyślał, że może policja każe mi oddać samochód, a przy okazji i on dostanie. Zadzwoniłem więc do policji. Wkrótce przyjechał oficer policji i po uzyskaniu od nas informacji o co walczymy, udał się do garażu. Po jakimś czasie wyszedł i zapytał mnie, czy mam paszport dyplomatyczny. Jeżeli tak, to może zmusić garażowych do oddania mi samochodu. Inaczej, niestety, nie może pomóc. Na moje pytanie, ile taki strajk może trwać, odpowiedział, że kilka godzin, ale być może i kilka tygodni. Czarna rozpacz! Bez samochodu przez parę tygodni, przecież drugiego nie kupię. Poszedłem podłamani na miasto, cały czas kombinując, co tu zrobić. Postanowiłem pójść do garażu i wypróbować zaklęcie, którego nauczyłem się w sklepie ONZ. Poszedłem jak się ściemniło i nie było już większego ruchu. Stukam więc do bramy i ponownie słyszę, że strajkują. Na to wypowiedziałem „zaklęcie”.

Poskutkowało! Facet otworzył furtkę w bramie i kazał mi szybko wejść. Uruchomił windę i ściągnął mój samochód na dół. Otworzył bramę, wyjrzał, czy kogoś nie ma w pobliżu i kazał mi szybko wyjechać. Oczywiście pobrawszy za swoją uprzejmość stosowną sumkę w dolarach. Nie była ona miażdżąca, bo bym ją do dziś pamiętał.

Drugi raz „zakłęcie” przydało się w porcie, gdy wracaliśmy do Polski i mieliśmy nadać bagaż na statek. Załatwianie stosownych papierów w centrum Nowego Jorku i kłopoty komunikacyjne spowodowały, że w porcie byliśmy z Jadzią tuż przed czwartą, więc tuż przed końcem przyjmowania interesantów. Podeszedłem do okienka, w którym pokazał się mężczyzna i powiedział, że za kilka minut jest czwarta, a cała odprawa potrwa z pół godziny. On chętnie przyjmie, ale o ile zgodzi się Mike i tu pokazał na faceta w hali. Podchodzę więc do Mike’a i pytam, czy zechciałby przyjąć mój bagaż. A on na to, że nie ma nic przeciw temu, ale zdecydować musi John, o ten, tam, stoi w drugim końcu hali. Idę więc do Johna, a on na to, że on nie ma nic przeciw temu, ale zgodzić się musi Mike. Obaj robią wrażenie, że są wyraźnie w stanie wskazującym. Kółko się zamyka. Wracam do Mike’a i wygłaszam nauczone zakłęcie. Skutkuje! Dogadaliśmy się i nawet mile pogaworzyliśmy sobie. On zapytał, skąd jestem, a o sobie powiedział, że pochodzi z Czech. Zdanie bagażu tego dnia było dla nas ważne, bo mieliśmy wynająć samochód i odlot następnego wieczora.

Lekcja czwarta

Ta lekcja nie pochodzi z Nowego Jorku, ale z naszych dyskusji w czasie lunchu. Ponieważ w Faculty Club lunche charakteryzowały się wysoką formą i ceną, a marną treścią, chodziliśmy z Donem jeść na zewnątrz. Często dołączał do nas, wcześniej już wspomniany, George Moszyński. Kilkakrotnie wiercił Donowi dziurę w brzuchu za to, że kupił VW „garbusa”. W tym czasie były one bardzo w Stanach popularne. Kupowano je najczęściej jako drugi samochód w rodzinie. George, jako Polak, uważał, że od Niemców nie należy nic kupować. W końcu Don znudzony tymi uwagami wygłosił czwartą, brutalną, lekcję kapitalizmu, mówiąc: „George, gdybyś ty mi oferował parę rękawiczek w cenie niższej od tej, którą oferowałby mi mój rodzony ojciec, to rękawiczki kupiłbym od ciebie”.

Burzliwe lata 1967-1968

Jest to czas „zimnej wojny”. Wojna sześciodniowa pomiędzy Izraelem i krajami arabskimi, wojna w Wietnamie, stanowiąca w tym biednym kraju poligon wojenny pomiędzy ZSRR i USA. Wspominając wojnę na Bliskim Wschodzie, przypomniałem sobie anegdotę odpowiadającą na pytanie, dlaczego Arabowie przegrali z Izraelem. Otóż w tym czasie kraje arabskie korzystały z porad radzieckich doradców. W sprawie wojny rada była następująca. Należy wpuścić przeciwnika jak najdalej na swój teren i czekać na zimę.

Wojna w Wietnamie daje oczywiście znać o sobie szczególnie w Stanach. Ginie wielu żołnierzy, a oczekiwanego zwycięstwa nie widać. Poważnym szokiem w Stanach był bodaj pierwszy numer „Time’a” z kolorowymi zdjęciami. Były to fotografie wykonane w Sajgonie po napadzie Vietcongu na amerykańską ambasadę. Zdjęcia były czerwone od krwi, w której leżały zwłoki. Był to początek ruchów antywojennych i ruchów młodzieży hipisowskiej. Nie brakło również rozruchów na tle rasowym. W szeregu miast amerykańskich miały miejsce rozruchy murzyńskie, w czasie których dochodziło do wzniecania pożarów. W 1968 zostali zamordowani Robert Kennedy i Martin Luther King, charyzmatyczny przywódca murzyński.

Ta ogólna sytuacja ma oczywiście wpływ na to, co się dzieje na uniwersytecie. Sześciu studentów, którzy demonstrowali na zajęciach ze studium wojskowego swoją niechęć do wojny w Wietnamie, zostało natychmiast usuniętych z uczelni. Nie pomogły studenckie

protesty w postaci kocięj muzyki wykonywanej przez kilka nocy pod domem prezydenta uniwersytetu. Ale środowisko studenckie było podzielone. Nie było wśród studentów jednomyślności w sprawach takich jak wojna w Wietnamie.

Pewnego dnia miałem wykład w sali na parterze. Z okien było widać, kto przechodzi. W pewnej chwili dochodzi do nas wrzawa wynikająca z demonstracji studentów idących z transparentami. Większość z nich to długowłosi. Widząc to, jeden z moich słuchaczy zawołał: „Och! Idą do fryzjera!”. Wywołało to powszechną wesołość na sali, w której zasiadali klasycznie ostrzyżeni, przyszli inżynierowie. Ci długowłosi na zewnątrz to przeważnie studenci wydziałów humanistycznych.

Godzina policyjna (curfew)

Jak wspomniałem, był to czas rozruchów na tle rasowym. Silne rozruchy miały miejsce w Wilmington, większym mieście, około 15 mil od Newark. Wskutek rozruchów w Wilmington, w całym rejonie wspólnym administracyjnie, wprowadzono godzinę policyjną. Do rejonu tego należał też Newark. Godzina policyjna największe wrażenie zrobiła na Basi Moszyńskiej. Jurek zaprosił ją do restauracji na uroczysty obiad z okazji rocznicy ślubu, a tu masz, nie można jechać. Basia aż płakała, mówiąc, że uciekła przed ruskimi do Ameryki, żeby tu się doczekać godziny policyjnej.

Gwardia Narodowa idzie na mnie

Z ciekawości, aby zobaczyć, jak wyglądają rozruchy, pojechałem do Wilmington. Podobno nie było to zbyt bezpieczne. To, co zobaczyłem, przypomniało mi warszawskie getto. Wprawdzie nie było dzielnicy otoczonej murem, ale murzyńska część była otoczona posterunkami National Guard z karabinami maszynowymi.

Pewnego dnia, kilka minut przed wykładem, jestem już w sali. Sala znajdowała się na końcu korytarza, tak że przy otwartych drzwiach było widać cały korytarz. W pewnej chwili słyszę: łup, łup - wojskowy krok. Patrzę, a korytarzem idzie dwóch umundurowanych, w hełmach na głowach. Nie bardzo rozumiałem, co oni tu robią i dokąd idą. Gdy się zorientowałem, że kierują się do mojej sali, przyznaję, że zrobiło mi się trochę głupio. Wchodzą, a ja, gdy już są tuż przy mnie, poznaję swoich dwóch studentów. Przyszli usprawiedliwić się, że nie przyjdą na test, bo w związku z sytuacją w regionie zostali powołani do Gwardii Narodowej.

Valley View

Don zaprosił mnie do swoich rodziców, mieszkających gdzieś w centralnej Pensylwanii. Miejscowość, bo nie miasteczko, ma piękną nazwę Valley View. I rzeczywiście, widoki były piękne. Pola i lasy, w których było mnóstwo jeleni i innej zwierzyny. Zwierzęta było widać, gdy pojechaliśmy na bezkrwawe łowy. Świecąc szperaczem, widziało się liczne, świecące się oczy jeleni.

Rodzina Boyerów pochodziła z Alzacji, tak jak i inni mieszkańcy tej okolicy. Używali jeszcze jakiegoś języka sprzed wieków, który przywieźli z Europy. W znacznej części rodzina ta zajmowała się skupem bydła i rzeźnictwem. Tak też było przez jakiś czas z panem Boyerem. W tym czasie, gdy ja tam byłem, zmienił on już źródło swoich zarobków. Założył bowling, który był szeroko znany aż po Nowy Jork. Odbывały się tam zawody, czy konkursy bowlingowe. Sława bowlinga w Valley View pochodziła chyba między innymi od pani Boyer, która piekła wspaniałe pie'je o różnych smakach.

Powinienem dodać, że państwo Boyerowie to typowa amerykańska rodzina, mieszkająca daleko od wszelkich metropolii. Skromność, ciężka praca i rezerwa wobec różnych rozrywek.

U państwa Boyerów nie było alkoholu. Przed jedzeniem nie serwowano drinków. Zanim zasiedli do stołu, wszyscy brali się za ręce i powtarzali za gospodarzem modlitwę. Ale już u ich syna, Dona, modlitwę przed kolacją zastąpiły drinki.

W dniu, w którym tam byłem, nastąpiła awaria jednego z czterech automatów bowlingowych. Akurat zjechało sporo ludzi na jakieś zawody, więc brak jednego stanowiska spowodował dość nerwową atmosferę w rodzinie. Co robić? Poszliśmy z Donem popatrzeć, czy nie można by czegoś prędko zreperować. Okazało się, że pękła rurka wspierająca zgarniacz kręgli. Przyszło mi więc do głowy, aby do obu części rurki wstawić jakiś element łączący. W kacie stała szczotka z kijem bambusowym. Uciąłem kawałek kija i wetknąłem w końce złamanej rurki. Zadziałało! Zgarniacz kręgli wprawdzie chodził koślawo, ale spełniał swoją rolę. Zyskałem bardzo w oczach Boyerów. Gdy mnie chwalili, powiedziałem, że jestem przecież w USA, w kraju wynalazków.

Wyprawa na Zachód

W czerwcu przyleciała Jadzia. Załatwiłem jej pracę w szpitalu, w sąsiednim miasteczku. Pracowała w laboratorium szpitalnym, a więc robiła dokładnie to, co w Warszawie. Latem wypuściliśmy się na zachód Stanów. Kupiłem namiot i trochę sprzętu turystycznego potrzebnego w czasie pobytu w parkach narodowych. Wprawdzie były tam motele, ale zbyt dla nas drogie. Zresztą nie tylko dla nas, ale i dla Boyerów, którzy część wycieczki spędzili z nami, mieszkając we wspólnym namiocie.

Pierwszy etap to Chicago, gdzie odwiedziliśmy mojego przyjaciela Leszka Werwickiego. Z Leszkiem poznaliśmy się tuż po wojnie, gdy ja wyszedłem z obozu jenieckiego, a on z obozu koncentracyjnego. Po tym skok do Rapid City, w południowej Dakocie, gdzie byliśmy umówieni z Boyerami. Stamtąd wędrowaliśmy przez parki narodowe razem. Zaczęliśmy od Yellowstone, a skończyliśmy w Sequoia National Park. Zwykle myśląc o Stanach, myślałem o Nowym Yorku, czy Chicago. Zupełnie nieznana mi była ta piękna, zachowana przez mądrych ludzi, przyroda, objęta parkami narodowymi. Nie czuję się na siłach opisywać tego piękna. Wymagałoby to nieco poetyckiej duszy, a z tym u mnie nie najlepiej.

Dalej oczywiście Las Vegas (przegrałem 5 dolców), Los Angeles i Disneyland, a w drodze powrotnej Grand Canyon rzeki Kolorado. Zatrzymujemy się jeszcze w Fort Collins w Kolorado, gdzie brałem udział w konferencji. Była ona częściowo finansowana przez uniwersytet. Gene zapytał, jak jadę na urlop i po tej informacji ustalił, jaka część mojej podróży może być uznana za podróż na konferencję. Oszacował i tyle, ile mu wyszło, dostałem pieniędzy. Żadnej delegacji, zwrotów za bilet, benzynę, czy hotel.

Idąc korytarzem na uniwersytecie w Fort Collins, zauważyłem na drzwiach nazwisko Jerzego Ostrowskiego, który był tu na sabaticalu z Politechniki Warszawskiej. Chciałem się z nim spotkać i zacząłem pytać, gdzie go mogę znaleźć. Dostałem konfidencką wiadomość, że Jurek został wysłany na parę dni z miasta. Chodziło o to, że nielegalnie wciągnięto go w jakieś badania dla armii, a właśnie w tych dniach przedstawiciele armii mieli przyjechać odbierać prace. Na wszelki wypadek lepiej, żeby Jurka tu nie było.

Na koniec najmniej ciekawa część podróży. Jazda przez płaskie, rolnicze krainy. Przez Kansas decyduję się jechać nawet nocą. Poza polami kukurydzy czy pszenicy, ciągnącymi się dziesiątkami mil, nic nie było do oglądania. Gdzieś po północy łapię gumę. Zatrzymuję się, a przede mną staje ciężarówka. Kierowca pyta, czy nie potrzebuję pomocy. Odpowiadam, że sam sobie dam radę. Jeszcze nie zabrałem się do wymiany koła, gdy zatrzymuje się samochód z grupą studentów. Oni nawet nie pytali, czy potrzebuję pomocy.

Po prostu wymienili mi koło, życzyli dalszej miłej jazdy i odjechali. Ledwie zdążyłem im podziękować.

Po bez mała sześciu tygodniach jesteśmy na powrót w Newark po wyprawie „coast to coast” i z powrotem. Wszystko odbyło się szczęśliwie. Nawet mój podstarzały Ford jakoś się trzymał, tylko palił coraz więcej oleju.

Halloween

Halloween to oczywiście przebieranie się i zabawa. Jedziemy na imprezę zorganizowaną w szkole Eileen. Ja jestem przebrany, jeżeli można tak powiedzieć, za kowboja. Zapamiętałem, a dlaczego, to za chwilę. Jak inni byli przebrani, nie pamiętam, może z wyjątkiem Jurka Moszyńskiego, przebranego za człowieka pierwotnego, mającego na sobie właściwie tylko jakąś skórę „dzikiego” zwierzęcia.

But free

Ponieważ zabawa miała miejsce w szkole, należało zaopatrzyć się trochę w jakiś rozweselający napój. Zatrzymujemy się na rozstajnych drogach, gdzie znajdował się „liquor store”. Jestem kierowcą, więc wchodzę do sklepu kilka sekund po Jadzi i Boyerach. Wchodzę akurat, gdy Don mówi, co chce kupić. Ja, słysząc to, mówię głośno, kładąc ręce na rękojeściach pistoletów-zabawek: „But free”. W ułamku sekundy zorientowałem się, że coś jest nie tak. Don zbladł, a sprzedawca zamarł. Mój żart okazał się być w Stanach nie tylko głupim, ale i niebezpiecznym żartem. Sprzedający miał prawo uwierzyć w złe intencje i bez ostrzeżenia walnąć z giwera, który na pewno był pod ladą. Gdy zorientowałem się, że coś jest nie tak, uniosłem rękę i machając nią powiedziałem: „Halo”. Atmosfera rozładowała się. W każdym razie mój „żart” zapadł Donowi dobrze w pamięć. Od tamtego czasu spotkaliśmy się wielokrotnie i jeszcze bez mała po czterdziestu lata przypominał mi moje „but free”. Tak mi ten incydent utkwiał w pamięci, szczególnie gdy Don powiedział, co mogło się stać, że nie zapamiętałem szczegółów zabawy. Może poza jednym. W szkole, na stołach, znaleźliśmy karteczki z wydrukowaną informacją, że zgodnie z prawem stanowym zakupiony alkohol można pić tylko do 11 pm. Jeżeli ktoś był jeszcze spragniony, to mógł pojechać kilkadziesiąt mil do sąsiedniej Pensylwanii, gdzie pić można było do 01 am.

Przedłużam pobyt i Marzec 68

W styczniu kończy się mój kontrakt. Mam propozycję o przedłużeniu do czerwca. Co do mnie - nie mam wątpliwości. Muszę jednak dostać zgodę z rodzimego instytutu, czyli z IPPT. Wysłałem podanie i nawet stosunkowo prędko dostałem pozytywną odpowiedź. Jednakże w międzyczasie miały miejsce w Polsce wydarzenia marcowe, a to spowodowało zmianę decyzji zezwalającej na przedłużeniu mojego pobytu. Jeszcze chyba w marcu dostałem krótki list z Instytutu, informujący mnie, że powinienem bezzwłocznie wrócić do kraju. Odpowiedziałem, że podpisałem kontrakt do końca czerwca i że wtedy wrócę. Reakcji nie było. Dopiero przeglądając swoją teczkę w IPN, dowiedziałem się, że moja odpowiedź była tematem tajnej (!) wymiany korespondencji pomiędzy PAN i MSW.

Zigi Gorson

Marcowa fala uderzeniowa, z epicentrum w Warszawie, dotarła szybko do Stanów, szczególnie do Nowego Jorku i okolic, gdzie, jak wiadomo, skupiona jest dość liczna społeczność żydowska. Z tego co mogłem przeczytać, zorientowałem się, że w prasie dominowała antypolska atmosfera. Gdyby ta antypolskość dotyczyła ówczesnych polskich władz, to można by zrozumieć. Ale antypolskość była niestety skierowana przeciw Polakom

w ogóle, oparta na odwiecznych pretensjach o antysemityzm. Były jednak i wyjątki. Wśród Polaków żydowskiego pochodzenia znaleźli się również tacy, którzy darzyli Polaków uważaniem. Jednym z nich był Zigi Gorson, polski Żyd, który cudem uniknął krematorium w jednym z niemieckich obozów zagłady. Po wojnie dostał się do Stanów, gdzie rozpoczął prace w rzeźni. Ponieważ był zdolny i dynamiczny, wkrótce sam stał się właścicielem firmy dostarczającej wysokiej jakości wołowinę. Aby nie było wątpliwości, firma nosiła nazwę *Boneless beef company*. Czasem w żartach mówiłem do niego o jego firmie jako o *beefless bone company*. Zigiego spotkałem w polskim klubie w Wilmington. Miał odczyt na temat Polaków, którzy w czasie okupacji przechowywali Żydów i często ponosili tego tragiczne konsekwencje z utratą życia włącznie. Miał nagromadzony bardzo obszerny materiał. Wymieniał dziesiątki rodzin i osób przechowujących Żydów. Przedstawiał liczne przykłady tych, którzy zostali za to rozstrzelani. Zigiego spotkałem wielokrotnie, byłem u niego gościem w domu, gdzie poznałem Johna Babiarza, burmistrza Wilmingtonu, Amerykanina, którego dziadkowie przybyli do Ameryki.

Go away party

Nadszedł czerwiec i należało myśleć o powrocie. Pewnego dnia Don przekazał mi zaproszenie swego brata Alberta do odwiedzenia go w weekend w niedalekim Aberdeen. Oczywiście zaproszenie przyjąłem z zadowoleniem. W sobotę podjeżdżamy z Jadzią pod dom Alberta i widzimy jakąś dużą liczbę samochodów. Wyszła w tym momencie na jaw niespodzianka, jaką zgotował nam Don i liczni koledzy z wydziału. W tajemnicy przede mną zorganizowano *go away party*, na które przybyli liczni koledzy i znajomi, nie tylko z Civil, ale i Mechanical Engineering Departament. W sumie kilkadziesiąt osób. Niezwykle sympatyczne spotkanie. Nie zdawałem sobie sprawy, z iloma osobami się spotkałem, które zechciały mnie pożegnać. Miałem jedynie do siebie trochę pretensji, że niewystarczająco wszystkim podziękowałem za przybycie i niezapomniany czas, jaki z nimi spędziłem. Przed sobą usprawiedliwiłem się, że nie jestem przecież zbyt mocny w przemawianiu po polsku, a co dopiero po angielsku i na dodatek z zaskoczenia.

Na zakończenie pobytu chciałem Eileen kupić kilka róż, ale okazało się to bardzo trudne. Objeździłem okolice, szukając ciętych kwiatów. Nic z tego, ogrodnicy są, mają spory asortyment roślin, ale cięte kwiaty nie w modzie. Wreszcie w jednym miejscu róże były, ale zrobiły sporo zamieszania do łez Eileen włącznie, bo w tym kraju nie ma takich zwyczajów, aby w dowód wdzięczności wręczać bukiet kwiatów. Prawdę mówiąc, zżyliśmy się z Boyerami bardzo. Nie tylko ja byłem pierwszy raz w Newark, Delaware. Oni przyjechali mniej więcej w tym samym czasie po ukończeniu doktoratu przez Dona w John Hopkins.

Ostatnie śniadanie i odlot do domu

W dniu odlotu Gene Chesson, jako Departament Chairman zaprosił nas na eleganckie śniadanie. Odbędzie się to w „Green Room” du Pont Hotel w Wilmington. Na śniadaniu było jeszcze parę osób, w tym Boyerowie. Du Pontowie są u nas znani głównie z teflonu, w rzeczywistości jest to potężny koncern chemiczny rozmieszczony głównie w stanie Delaware i, prawdę mówiąc, rządzący tym stanem, łącznie z uniwersytetem. W prasie amerykańskiej ukazał się pewnego rodzaju artykuł pod znamienitym tytułem „Uniwersytet Delaware za nylonową kurtyną”. Na dziesięciu członków board of trustee uniwersytetu, ośmiu to albo krewni du Pontów, albo pracownicy koncernu.

Ale wracam do „Green Room”. Duża restauracja, w której co czwartek po południu serwowano moje ulubione owoce morza. Tym razem to było śniadanie urządzone w postaci

szwedzkiego bufetu. Było jakoś dużo ludzi, więc staliśmy w ogonku i rozmawialiśmy. Gene pytał, jakie mam wrażenia ze Stanów. Odpowiedziałem, że jak najlepsze, będę jednak opowiadał po powrocie, co wywołało wesołą reakcję, że Amerykanie stoją w kolejkach po jedzenie.

Pożegnanie, wsiadamy w krążownik szos wynajęty od Hertza i jazda do Nowego Jorku, gdzie zdaliśmy bagaże w porcie. Na następny dzień wsiadamy w samolot, do Kopenhagi. Chyba jedyny raz w życiu podróżowałem przez Atlantyk prawie pustym samolotem. Było w nim miejsc sto kilkadziesiąt, a pasażerów kilkunastu. Stewardesy nie obsługiwały, tylko pokazały na barek i na kuchenkę i powiedziały, że każdy może obsłużyć się sam, w dowolnej ilości.

Łądujemy w Kopenhadze, gdzie odbieram wcześniej opłacone volvo 142 i promem płyniemy do Ystad, a stamtąd do Świnoujścia i potem autem do Warszawy.



Tu mieszkalem w Newark Delaware



Z Jadzią w uniwersyteckim „office”



Ze studentami przy badaniu konstrukcji kompozytowej „honeycomb”



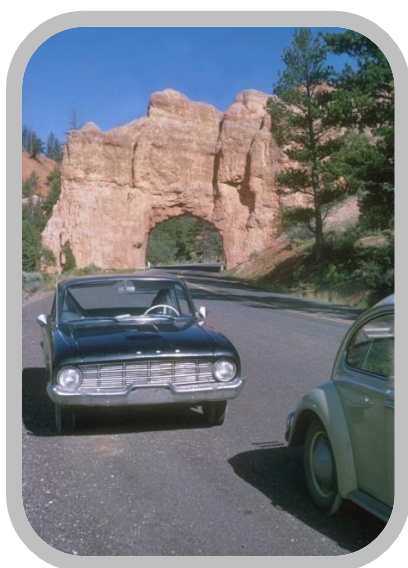
Badanie stateczności obracającej się membrany wypełnionej wodą. Wspólna praca z Donem Boyerem



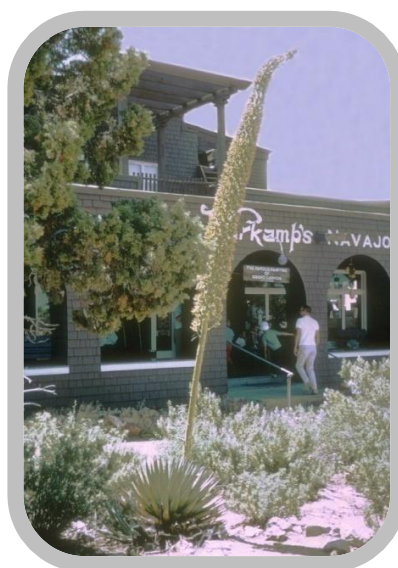
Celina Ugarte z Jadzią w azaliowym ogrodzie



Newark, Delaware, Main Street



Mój pocziwy Ford Falcon w Bryce Canyon



Indiański rezerwat „Four Corners”
(na pograniczu czterech stanów)



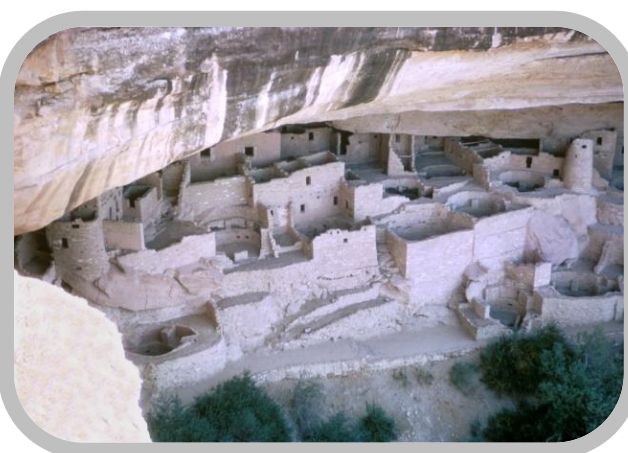
Jadzia z Boyerami podziwiają widoki Dzikiego Zachodu



Spotkanie z żubrami w Parku Yellowstone



Piękno Bryce Canyonu



Park Narodowy Mesa Verde 12
wieczne osiedle Anasazów



Miś z wizytą na campingu w Parku Yellowstone

Gutkowski Added To Faculty; Strengthens Engineering Staff

A scientific investigator at the Institute of Basic Technical Problems of the Polish Academy of Sciences, Witold Gutkowski, has joined the civil engineering faculty as visiting assistant professor for the spring and fall semesters of 1967.

Chairman of the university's Department of Civil Engineering, Eugene Chesson Jr., said Dr. Gutkowski's contribution in the area of discrete field mechanics will strengthen the program in structural mechanics at Delaware.

Registrar...

(Continued from Page 1)

Gutkowski received a master's degree in mechanical engineering at the Technical University of Warsaw in 1954 and a doctor's degree in technical science in 1961. A special degree, required for advanced scientific work, was conferred on him by the Institute of Basic Technical Problems in 1965.

In addition, Gutkowski was awarded a fellowship from the University of Moscow. He taught for 12 years at the Technical university of Warsaw. He has been a scientific adviser to industrial firms for several years and has written many papers for scientific journals.

Notatka w uniwersyteckiej gazecie
o moim przybyciu na Wydział

19. Zamiast na Zachód, na Wschód

Jesteśmy w domu, wszyscy razem, ale byliśmy w dłuższej rozłące. Jeszcze będąc w Stanach, korespondując z Krysią i Grzesiem, obiecaliśmy, że po powrocie wybierzemy się na wspólną wycieczkę do Włoch i do Francji. Niestety, skończyło się na obietnicach. Biuro paszportowe odmówiło nam paszportów do wyjazdu na Zachód. Udałem się do Pałacu Mostowskich, gdzie w owym czasie mieściło się to biuro i zapytałem o przyczynę odmowy. Zapytałem przy tym, jak mam tłumaczyć dzieciom odmowę wyjazdu za własne pieniądze. Naczelnik jakiegoś tam szczebla (szczegółów nie pamiętam) wiał się, gdy powtarzałem pytanie: „Jak mam to tłumaczyć dzieciom?”. W końcu, nie mogąc się odczepić od mojego pytania, powiedział: „No wie pan, jak to jest, takie są zarządzenia”. Dalsza dyskusja po takim dictum, nie miała sensu.

Jedziemy do Bułgarii

A więc zmiana decyzji. Zamiast na Zachód jedziemy kempingowo na trzy tygodnie do Bułgarii, przez Czechosłowację, Węgry i Rumunię. Nie była to wymarzona wycieczka na Zachód, ale miała jedną zasadniczą zaletę. Była wielokrotnie tańsza. Był to czas wyjazdów wielu Polaków żydowskiego pochodzenia, a to w znacznym stopniu podniosło wartość dolara na czarnym rynku. Pamiętam, że sprzedawłem sto dolarów po 150 zł za sztukę (przed Marcem było to 100 zł za dolar) swojemu fryzjerowi. Wystarczyło to nam na całą wycieczkę i jeszcze przywieźliśmy trochę reszty!

W Czechosłowacji widać napiętą sytuację, pomimo że nie spotykaliśmy się z nikim osobiście, będąc przejazdem. Widać było jednak liczne plakaty z podobizną Dubczeka i narodowe flagi. Jak wiadomo, ta euforia radości z większej swobody skończyła się smutnie, wejściem „zaprzyjaźnionych armii” do Czechosłowacji. Miało to konsekwencje i dla nas, bo nie mogliśmy wracać tą samą drogą. Ale o tym za moment.

Jedziemy więc przez Budapeszt i Bukareszt do krańca Bułgarii, tuż nad granicą z Turcją. Piękna pogoda, piękne i ciepłe morze i na kempingu wspaniałe szaszłyki, a do tego dla dorosłych, (głównie dla mnie) rakija i wino.

Wracamy przez Lwów

Było pięknie, ale trzeba wracać, ale jak wracać, nie bardzo jeszcze wiemy. Jedno jest pewne, przez Czechosłowację wracać chwilowo nie możemy, ale ile ta „chwila” będzie trwała, nikt nie wie. Kierujemy się więc na Rumunię, przez Konstancę, do Lwowa.

W Rumunii sytuacja napięta, niemal przedwojenna. Samochody wojskowe jeżdżą z przysłoniętymi reflektorami, a ludzie stoją w ogonkach po wszystko. Takiego ogonka, jak przy jednej ze stacji benzynowych, gdzie sprzedawali naftę do lamp, nigdy nie widziałem. Osoby w ogonku obejmowały w pasie osoby je poprzedzające, tak aby nikt nie próbował wepchnąć się bez kolejki. Na granicy, czekając na odprawę, słuchamy przez radio jakiegoś bojowego przemówienia Ceausescu, rugającego sąsiada, czyli ZSRR. Nie trzeba było rozumieć pojedynczych słów, aby zrozumieć w całości, o co chodzi.

Bez większych kłopotów przekraczamy granicę rumuńsko-radziecką. Jedziemy drogą obsadzoną gęsto drzewami. Tylko przy nielicznych przerwach w zadrzewieniu widać ubogie pola. Chyba właśnie z takiej obserwacji powstało jedno z pytań do Radia Erywań. Zapytanie brzmiało: „Czy to prawda, że na Ukrainie pszenica jest jak słupy telegraficzne?” Odpowiedź:

„Pszenica jest normalnej wysokości, tylko jej gęstość jest jak gęstość słupów telegraficznych”.

Niepokojąco ubywa paliwa w baku, a tu nie widać stacji benzynowej. Ktoś nas poinformował, że najbliższa stacja jest ileś tam kilometrów w prawo od drogi. Dojeżdżamy do wskazanej przecznicy i usiłuję skręcić. Niestety, na skrzyżowaniu stoi milicjant, twierdząc, że wjechać tam nie można, bo jest tam remont drogi. Milicjant pilnujący remontu drogi, to dziwna sprawa. Jakoś kojarzy się to z napiętą sytuacją na granicy radziecko-rumuńskiej .

Powiadam milicjantowi, że kończy mi się paliwo i mogę nie dojechać do kolejnej stacji. Znalazł na to proste rozwiązanie. Machnął lizakiem przed jakąś ciężarówką, a następnie kazał kierowcy przepompować z ciężarówki do mojego volva benzynę. W tym celu wyjął z kosza swego motocykla stosowne urządzenie w postaci gumowej rurki z gruszką w środku. W ten sposób można było unikać zasysania benzyny ustami. Milicjant nie pozwolił płacić kierowcy, a ten nie protestował. Widać nie musiał się z benzyny rozliczać. I tak szczęśliwie dojechaliśmy do Lwowa.

Zmęczeni podróżą, ograniczyliśmy zwiedzanie miasta do centrum. Przy okazji zrobiłem zdjęcie domu, w którym urodził się Jurek Moszyński. Prosił mnie o to jeszcze w Stanach. Jurek podał mi adres domu przy ulicy Mickiewicza, ale takiej ulicy nie mogliśmy znaleźć. Wymagało to pytania miejscowych mieszkańców. Nie było to trudne, bo prawie wszyscy, których zaczepialiśmy, mówili po polsku. Co ciekawe, nie tylko ze starszymi, ale i z młodzieżą można było swobodnie porozumieć się po polsku. Okazało się, że nazwa ulicy została zmieniona. Z Mickiewicza, o ile dobrze pamiętam, na Szewczenkę.

Ze Lwowa do Warszawy dojechaliśmy bez większych przygód, jeżeli nie liczyć złapanej gumy jeszcze przed polską granicą. Zmiana koła nie jest problemem, jeżeli ma się odpowiednie narzędzia. Okazało się jednak, że do samochodu nie włożono mi klucza, właśnie do odkręcania kół. Przyznam, że nie sprawdzałem wyposażenia przy odbiorze samochodu. Zakładałem, że firma jest na tyle solidna, że nie trzeba jej sprawdzać. Zresztą, "trouble free car" jak reklamowało się Volvo, nie było tak bardzo wolne od kłopotów. Jeszcze na Węgrzech stopniowo nie dawał się włączać trzeci bieg. Tak więc większą część podróży jechałem bez trzeciego biegu.

20. Z powrotem w IPPT

Na powrót w Instytucie. Wracam do systematycznej pracy naukowej. Rozpaczynam pracę z pierwszymi doktorantami: Jackiem Bauerem, Barbarą Orłowską, Haliną Karpińską z Politechniki Szczecińskiej i Janem Obrębskim. Szczególnie bliską osobą był mi Jacek Bauer. Piszę „był”, ponieważ Jacek zmarł przedwcześnie trzy lata temu. Opublikowaliśmy razem szereg dobrych prac. Jacek był postacią niezwykle uczynną. Zawsze gotów do pomocy, we wszelkich pracach organizacyjnych i społecznych. Często Go wspominam.

Zastępca dyrektora

W 1970 dostaję propozycję, którą przyjmuję, objęcia stanowiska zastępcy dyrektora Instytutu do spraw naukowych. W tym czasie Instytutem kierował prof. Leszek Filipczyński. Instytut miał dwóch zastępców do spraw naukowych – w pionie mechanicznym i w pionie akustycznym. Moim kolegą, odpowiedzialnym za pion akustyczny, był doc. Jerzy Wehr. Bardzo dobrze się rozumieliśmy i dobrze nam się współpracowało. Rozumieliśmy się niemal bez słów. Niestety, Jurek zginął tragicznie w czasie jednej z wypraw wysokogórskich.

Rola nasza była dość ograniczona merytorycznie. W Instytucie pracowało w tym czasie blisko dziesięciu członków Akademii, każdy był instytucją samą w sobie. Tak więc nam, skromnym docentom, zostawały sprawy bardziej organizacyjne niż naukowe.

Opiekun

Pewnego dnia, chyba niemal na początku pracy na owym stanowisku, odebrałem telefon. Zadzwonił do mnie por. Knysiak, zapraszając mnie na spotkanie do kawiarni na MDM. Dopiero w tym momencie dowiedziałem się, że każda instytucja ma swojego „opiekuna” ze strony władz bezpieczeństwa. Por. Knysiak był takim opiekunem w naszym Instytucie. Piszę „opiekun”, bo tak się to powszechnie nazywało. Jaką naprawdę ta funkcja nosiła nazwę, do dziś nie wiem. W mowie potocznej, mniej sympatycznej dla opiekuńczej instytucji, nazywano ją często „spółdzielnią ucho”. Do dziś nie bardzo wiem, jaki był cel spotkania, jeśli wykluczyć wzajemne poznanie się. Większość czasu zeszła na opowiadaniu przez porucznika o sytuacji w Instytucie. Po kilku, skierowanych do mnie, pytaniach, rozmówca mój doszedł do wniosku, że wiem niedużo, a nawet wcale, w związku z tym to on przekazywał mi swoje informacje, w rodzaju: kto, co, po co itd.

Drugi raz spotkaliśmy się w Instytucie. Porucznik przyszedł z listą dwudziestu kilku osób, które wyjechały z Instytutu na Zachód po 68 roku. Przedstawieniu listy towarzyszyła, z tym związana, ujemna ocena Instytutu. Początkowo nie mogłem pojąć, skąd się wzięło dwadzieścia kilka osób. Wiedziałem o pięciu, czy sześciu. W trakcie rozmowy wyszło na jaw, że „spółdzielnia” do pracowników Instytutu, którzy wyjechali, doliczyła ich rodziny. Dyskusja zaostrzyła się w tonie. W końcu powiedziałem, że nawet tych dwadzieścia kilka osób to nic w porównaniu z ucieczką na Zachód jednego pułkownika Światło (wysokiego rangą urzędnika SB). Więcej w Instytucie nie spotkaliśmy się. Widziałem go po kilku latach na terenie centrali Akademii, gdy pełniłem tam funkcję zastępcy sekretarza Wydziału IV PAN. Był już wtedy chyba majorem i otaczał „opieką” wyższe rejony Akademii.

Konferencja w Berlinie Zachodnim

Pewnego dnia mój znajomy Niemiec, prof. Kurt Jeger, przysłał do mnie list z prośbą, abym zechciał rozesłać do ewentualnie zainteresowanych osób, z tak zwanych KS (krajów

socjalistycznych) powiadomień o konferencji, którą organizował. Konferencja dotyczyła mechaniki osłon reaktorów atomowych. Spełniając jego prośbę, rozesłałem wszystkie foldery do różnych znanych mi osób, w tym do ZSRR.

Bomba wybuchła, gdy w kolejnym zawiadomieniu o konferencji, w spisie instytucji wspierających konferencję, obok siebie znalazły się między innymi NATO i IPPT PAN. Dziś jesteśmy w NATO, ale w owym czasie była to wroga, imperialistyczna, wojennie nastawiona instytucja. Sama myśl o współpracy z nią była bluźnierstwem. Mało tego, że takie towarzystwo na jednej liście, to jeszcze na dodatek konferencję organizował zachodnio - niemiecki profesor w instytucie należącym do RFN, ale umiejscowionym w Berlinie Zachodnim. A to NRD odczytała jako obelgę, dla niej Berlin Zachodni był miastem niezależnym i wszelkie umieszczanie instytucji zachodnio - niemieckich w tym mieście było pogwałceniem umów międzynarodowych. Jednym słowem międzynarodowa awantura. A kto winien? Oczywiście, Gutkowski. W związku z tym wiceminister spraw zagranicznych, który brał pewnie cięgi od NRD, zażądał mojej głowy, czyli zwolnienia mnie ze stanowiska. Nie pozwolił na to ówczesny sekretarz naukowy Akademii, prof. Dionizy Smoleński. Ale to nie była sprawa tylko mojej osoby. Wycofano uczestnictwo wszystkich polskich profesorów, którzy zgłosili prace na konferencję. „Służby” przegapiły jednak jednego z profesorów. Gdy się połapali, ów profesor był już w pociągu do Berlina. Czuje służby zdążyły jeszcze „zdać” go z pociągu w Berlinie Wschodnim. A żeby było ciekawiej, to jeden z głównych referatów na konferencji był autorstwa dwóch profesorów, jednego z RFN, a drugiego ze Związku Radzieckiego.

Profesor Dionizy Smoleński

Jak już wspomniałem, mieliśmy z Jurkiem Wehrem dość ograniczone pole działania merytorycznego. W jednym przypadku postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Chodzi o rozdział stypendiów doktoranckich. Co jakiś czas przychodziła z Akademii pewna liczba miejsc na stypendia. Wziąłem się więc za ich rozdzielanie. Zanim zacząłem to robić, przejrzałem dotychczasową historię doktoratów w Instytucie. Okazało się, że dwóch prominentnych uczonych, członków Akademii, miało po kilkunastu doktorantów, z których pewna liczba była na studiach już po kilka, a nawet kilkanaście lat. Postanowiłem nie przydzielać tym profesorom ani jednego doktoranta, wyjaśniając im przyczyny tej decyzji. Obaj poszli z zażaleniem na moją decyzję do prof. Smoleńskiego, który, jak już wspomniałem, był w tym czasie sekretarzem naukowym PAN. Profesor Smoleński wezwał mnie do siebie. Ponieważ domyślałem się, o co chodzi, więc wziąłem ze sobą stosowną dokumentację. Profesor starannie ją przejrzał, zadał kilka pytań i orzekł: „Miał pan rację”.

Profesor był znany ze swego bardzo racjonalnego myślenia i precyzyjnego wypowiadania swych myśli. Nienawidził gadulstwa. Kiedyś na jakimś zebraniu ktoś gadał długo i od rzeczy. W końcu Profesor westchnął na cały głos: „Jezus, Maria! Czego to ja muszę słuchać”. Poruszenie na sali, ale nudziarz szybko, w kilku słowach, skończył swoje wystąpienie.

Poza spotkaniami w Akademii, widywałem się z Profesorem w Zawoi, w Domu Pracy Twórczej. Profesor lubił dłuższe spacerować po miejscowych, niezbyt wymagających górkach. Zwykle zapraszał kogoś do towarzystwa. Pewnego razu zaprosił i mnie. Od tej pory stałem się jego stałym towarzyszem spacerów. W czasie śniadania podchodził i pytał: „Panie Witoldzie, idziemy?”. Byłem ciekaw, dlaczego na stałe wybrał mnie do wspólnych spacerów. Pewnego razu sam Profesor to wyjaśnił. Zapytał, czy wiem, dlaczego lubi chodzić ze mną. Nie czekając na moją odpowiedź, powiedział: „Bo pan nie próbuje ze mną niczego

załatwiać”. Widać, że jego stanowisko sekretarza naukowego prowokowało spacerowiczów do kierowania rozmowy na interesujące ich tematy zawodowe. Tymczasem my, spacerując, mówiliśmy o różnych sprawach, ale nigdy o pracy. Obaj mieliśmy dość bogate przeżycia, więc było o czym rozmawiać. Profesor przeżył oblężenie Festung Breslau, ja z kolei miałem swoje przeżycia powstańcze.

Kijów

Jak już wspomniałem, moje zainteresowania naukowe pokrywały się z pracami wielu profesorów na Ukrainie. Postanowiłem więc udać się tam. Nie było to takie proste. Wnioski o wyjazdy pomiędzy akademiami polską i radziecką były załatwiane w Moskwie. Wyjazd do innych republik niż rosyjska był zwykle załatwiany dłużej i nie zawsze pozytywnie. Dwa razy „podchodziłem” do wizyty w Ukraińskiej Akademii Nauk. I nic. Strona radziecka nie informowała o odmowie. Po prostu nie reagowała na wniosek, który z czasem sam się unieważniał ze względu na proponowany termin wyjazdu.

W końcu udało się. Jest zgoda. Jadę do Kijowa w grudniu 1970 roku. Jestem bardzo mile przyjęty. Przedstawiłem na seminarium swoje prace i miałem szereg bardzo interesujących dyskusji. Dopiero poznani koledzy, w niejakej tajemnicy, powiedzieli mi, że coś niedobrego dzieje się u nas na Wybrzeżu. Dowiedzieli się tego, jak to określili, z radiostacji „Kijów 4”, co miało oznaczać radiostację zagraniczną.

Wracam z Kijowa przez Moskwę. Na lotnisku w Moskwie idę do kontroli paszportowej, a tam pogranicznik pyta, gdzie byłem w ZSRR. Odpowiadam, że w Kijowie. Pewnie wydawało mu się coś podejrzanego, bo zawołał swego zwierzchnika. Ten ponownie pyta, gdzie byłem. Odpowiadam, że w Kijowie. A czy mam kwit z hotelu? Mówię, że nie, bo byłem gościem Ukraińskiej Akademii Nauk, która płaciła za hotel. Zwierzchnik pogranicznika nieusatisfakcjonowany moją odpowiedzią podchodzi do telefonu, nakręca numer i pyta swego rozmówcę: „Towarzysz pułkownik, zdzies grażdanin z Polszy” i tu mu opowiada moją historię. Na koniec pyta: „Szto zdielać”, a ja przez „trubkę” słyszę: „Zadierżyć!”. Muszę przyznać, że nogi mi się ugięły. Jest chyba 21 czy 22 grudnia i wygląda na to, że Święta mam z głowy. Ale co ze mną? Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że wspomniany pułkownik jest w mieście, a nie na lotnisku. Jednakże za chwilę zjawia się i ponawia już wcześniej zadane mi pytanie. „A gdzie wy byli w Sowieckom Sojuzie”. Jeszcze raz tłumaczę to samo, że byłem w Kijowie i że Ukraińska Akademia płaciła za hotel. A jak mogę to wykazać? I tu przychodzi olśniewająca myśl. W teczce mam książkę, podarowaną mi przez profesora Kononienko. Na pierwszej stronie, pod tytułem, autor napisał: „Uważajemu prof. Gutkowskiemu”, podpisał się i, co najważniejsze w tej sytuacji, pod podpisem napisał Kijów i postawił datę! Towarzysz pułkownik spojrział ze trzy razy na książkę i na mnie i w końcu powiedział, że pozwala mi wyjechać, ale na drugi raz, jeżeli się to zdarzy, to wyśle mnie z powrotem do Kijowa po stempel, którego zapomniała mi wbić w paszporcie dziewczuszka w hotelu. I tak widać, że książka może mieć moc większą niż tylko naukową.

21. Wydział IV Nauk Technicznych PAN

Z początkiem 1972 r. zostałem powołany na stanowisko zastępcy sekretarza Wydziału IV Nauk Technicznych Polskiej Akademii Nauk. Niedługo po tym wstąpiłem do PZPR.

Akademia ma sześć wydziałów (z czasem przybył siódmy), pokrywających cały obszar polskiej nauki. Każdy z wydziałów ma dwa pionys. Jeden związany z korporacją i komitetami naukowymi i drugi z instytutami. Na czele każdego wydziału stał sekretarz wydziału. W wydziale, w którym pracowałem, sekretarzem był profesor Maciej Nałęcz. Pionem korporacyjnym zajmował się profesor Władysław Findeisen. Mnie przypadły instytuty. Było ich w Wydziale, w różnych latach, od 9 do 11.

Nie jest moim zamiarem wyszczególnianie we wspomnieniach merytorycznej, codziennej, pracy w Wydziale. Opisałem to w publikacji („Uczeni i ich badania”, Polska Akademia Nauk 1952-2002) poświęconej 50. rocznicy powstania Akademii. Tu, ze względu na charakter wspomnień, ograniczę się do szeregu zdarzeń, które miały miejsce w mojej, bez mała dziesięcioletniej, pracy na stanowisku zastępcy sekretarza Wydziału.

Władza i obowiązki

Dwie najważniejsze decyzje były związane z pełnioną przeze mnie funkcją. Było to wnioskowanie o powołanie na stanowiska dyrektorów oraz, w większych instytutach, powoływanie członków rad naukowych. Dyrektorzy i ich zastępcy byli w tak zwanej nomenklaturze komitetów wojewódzkich PZPR. Z kolei sam fakt nominacji był w gestii sekretarza naukowego Akademii. Moja rola polegała na tak zwanych uzgodnieniach z władzami partyjnymi i przekazywaniu wniosków o nominacje do sekretarza naukowego. Spośród 9 – 11 dyrektorów tylko jeden lub dwóch było partyjnych. Niemniej ani razu nie miałem problemu z partyjnymi uzgodnieniami. Najprościej było z Komitetem Wojewódzkim w Gdańsku. Z reguły załatwiałem to przez telefon. Rozmawiałem z kierownikiem wydziału nauki, informując, że naszym kandydatem na dyrektora jest profesor X. Często dostawałem odpowiedź bezpośrednio. Dotyczyło to głównie osób, których kadencja była odnawiana. Po takiej rozmowie mogłem przedłożyć pisemny wniosek o nominację, dodając, że dokonałem obowiązków uzgodnień.

Nieco bardziej złożona była sprawa z Komitetem Wojewódzkim w Katowicach. Tam obowiązywał bardziej wschodni protokół. Nawet gdy jechałem do instytutów w Gliwicach, musiałem pokazać się wcześniej w KW PZPR w Katowicach. Gdy pierwszy raz pojechałem na Śląsk, aby zapoznać się tam z naszymi instytutami, jeszcze nie znałem tego zwyczaju. Następnego dnia zostałem zapytany przez Wydział Nauki KC, dlaczego nie byłem w Komitecie Wojewódzkim. No więc od tego czasu zaczynałem od wizytowania kierownika Wydziału Nauki KW. Pogadaliśmy, wypiliśmy kawę. Jednym słowem procedura została spełniona. W Warszawie uzgodnienia dokonywał Komitet Zakładowy PAN.

Liczebność rad naukowych była limitowana. Dziś już nie pamiętam dokładnie zasad. Wiem natomiast, że w mniejszych instytutach wszyscy, tak zwani, samodzielni pracownicy, niemal automatycznie wchodziłi do rady. Jednakże w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki, w radzie mogła się znaleźć tylko część samodzielnych pracowników. Nominacja wymagała, jednym słowem, ustalenia, kogo powołać. Sprawa delikatna i mogąca wywoływać kontrowersje. Rozmawiałem więc z wieloma znaczącymi osobami w Instytucie i po licznych

konsultacjach ustalałem listę członków rady naukowej. Muszę nieskromnie zauważyć, że pierwszy skład rady, już wybieranej przez ogół pracowników, różnił się, w stosunku do poprzedniej, jeszcze mianowanej przeze mnie, tylko o jedną osobę.

Istotnym elementem mojej władzy była władza materialna. Wydział co roku dostawał pewną liczbę etatów, wyjazdów zagranicznych czy wreszcie dewiz. Te ostatnie dzieliły się na KK (kraje kapitalistyczne), czyli dolary i KS (kraje socjalistyczne), czyli, krótko mówiąc, radzieckie ruble. Ale sprawy dewiz to zawsze była niezła łamigłówka. Szczególnie dolary. Miały one inną, oficjalną relację do złotego przy zakupie biletów kolejowych, inną przy biletach lotniczych, a jeszcze inną przy zakupach aparatury. Tylko dzięki pani Barbarze Cornobis, z którą miałem przyjemność współpracować przez cały czas, jakoś mogłem się w tym wszystkim połapać.

Ponieważ wszystkiego było dość kuso, a jak zwykle życzeń instytutów więcej niż możliwości, starałem się być stosunkowo blisko ich spraw. Niemal raz na kwartał byłem w każdym instytucie, więc wiedziałem nie najgorzej, co się tam dzieje. Byłem zdecydowanym przeciwnikiem dzielenia wszystkiego po równo. Starałem się więc wspierać finansowo nie tyle same instytuty, co podejmowane przez nie badania.

Niezależnie od wymienionych elementów obowiązków i władzy do moich kompetencji należało opiniowanie długoterminowych wyjazdów zagranicznych. W tym czasie przeważały wyjazdy do USA i RFN.

Wymiana dyrektora

Nie zawsze sprawy powoływania dyrektorów wyglądały tak prosto jak wcześniej napisałem. Pewnego dnia zgłosił się do mnie ustępujący dyrektor jednego z instytutów. Właśnie przechodził na emeryturę. Przyjechał z pierwszym sekretarzem POP PZPR i razem przedstawili kandydaturę nowego dyrektora, profesora X. Ale według mnie profesor X na to stanowisko się nie nadawał. Zresztą miałem na myśli inną kandydaturę. Sprawa delikatna, trudno wdać się w dyskusję bez argumentów w ręku. Postanowiłem, trzem profesorom, w tym dwóm wspomnianym, zlecić napisanie ekspertyzy pod tytułem „Przyszłość Instytutu”. Dostałem za to reprimendę „z góry”, za organizowanie czegoś w rodzaju konkursu na dyrektora, bez pytania. Ale stało się.

Zaprosiłem wspomnianego, ustępującego dyrektora i sekretarza partyjnego i położyłem przed nimi trzy zamówione opracowania. Po zapoznaniu się z nimi, pierwszą rzeczą, która zrobili, było wycofanie się z poparcia kandydatury profesora X. A to dlatego, że profesor X zaczął swoją ekspertyzę od tego, jak to w instytucie jest źle i co trzeba naprawić. W związku z tym zapytałem, którego z dwóch pozostałych autorów chcieliby za dyrektora. Wskazali na mojego kandydata. I tak profesor Piotr Wilde został dyrektorem Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku. Prowadził wspaniale Instytut przez bez mała ćwierć wieku, inicjując cały szereg nowoczesnych badań.

Polsko – radziecka konferencja w Nowosybirsku

W owym czasie, z inicjatywy prof. Witolda Nowackiego, organizowano szereg bilateralnych konferencji z mechaniki. Odbывały się zarówno we współpracy z krajami zachodnimi jak i z ZSSR. Jedną z konferencji, którą przyszło mi organizować, odbyła się w Akademgorodku, miasteczku akademickim gdzieś około 30 kilometrów od milionowego Nowosybirska. O ile sam Nowosybirsk był miastem ponurym, z silnie zanieczyszczonym powietrzem, o tyle

Akademgorodek był małym, starannie utrzymanym, miasteczkiem nauki. Były tam (zapewne i dalej są) wyłącznie instytuty badawcze Akademii Nauk ZSRR i państwowy uniwersytet.

„Ja was wyzywaju na sud boży”

Całym Akademgorodkiem zawiadywał akademik M. A. Ławrientiew, wiceprezes Radzieckiej Akademii Nauk, zarówno od strony naukowej, jak i administracyjnej. Profesor Ławrientiew był oczywiście znany jako wybitny matematyk. Miał bardzo dobre związki z polskimi matematykami. Z dużą satysfakcją powiedział mi, że jego pierwsza publikacja naukowa ukazała się w polskim periodyku „Fundamenta Mathematicae”, jeszcze w latach dwudziestych XX wieku. Profesor był natomiast mniej znany jako aktywnie zabiegający o ochronę środowiska, co, w tych czasach i na dodatek w ZSRR, było działalnością trudną i można nawet powiedzieć, odważną.

Akademgorodek, miasteczko zaprojektowane przez prof. Ławrientiewa, było niezwykle czyste i przyjemne. Brak wysokiej zabudowy, ulice pełne zieleni, w tym pięknych brzózek. Jedną z pierwszych rzeczy, które zwróciły moją uwagę, były czyste szyby we wszystkich budynkach, tak jakby je przed chwilą umyto. To efekt tego, że w miasteczku nie było żadnych źródeł zanieczyszczających powietrze. Nawet ciepłownia, dostarczająca ciepło do miasteczka, była umiejscowiona od niego o kilkanaście kilometrów.

Do Syberyjskiego Oddziału Akademii należała między innymi stacja badawcza nad jeziorem Bajkał. Dość powszechnie znane jest jego piękne położenie. Mniej znane są takie fakty, jak to, że w jeziorze znajduje się około jednej piątej wody pitnej na świecie. Spływa do niego ponad trzysta rzek, a w jego wodach, wśród bogatej fauny, znajdują się foki, co było dla mnie pełnym zaskoczeniem.

Pewnego dnia, ze stacji nad jeziorem, nadeszła do Profesora niepokojąca wiadomość. Z dopiero co wybudowanej w okolicach jeziora celulozowni wypływa do niego zanieczyszczona woda. Mogło to oczywiście być w przyszłości przyczyną nieodwracalnych skutków degeneracyjnych. Profesor Ławrientiew spowodował jednak, iż sprawa zanieczyszczającej jezioro Bajkał celulozowni stanęła na posiedzeniu rządu Rosyjskiej Federacji. Profesor przedstawił wyniki badań stacji wykazujące zanieczyszczenie, a odpowiedzialny za fabrykę minister przytaczał dane o czystej wodzie z niej wychodzącej. Po dłuższej dyskusji Profesor sięgnął po ostateczny argument i zawołał do ministra: „Ja was wyzywaju na sud boży! Ja budu pić stakańczykami koniak, a wy tę czystą wodę, która wychodzi z celulozowni. Zobaczymy, kto pierwszy padnie!” Do sądu bożego nie doszło, ale ministra odpowiedzialnego za zanieczyszczenie Bajkału „zdjęto”. Merytoryczne przygotowania do konferencji i następnie opracowanie materiałów konferencyjnych robiliśmy razem z prof. Jurijem Niemirowskim. Zaprzyjaźniliśmy się i często spotykaliśmy się prywatnie.

Pies dysydenta

Podobnie jak dziś, tak i za PRL, istniały studia doktoranckie. Była jednak „pewna różnica” między przyjmowaniem na nie teraz i wówczas. Otóż wtedy, po zdanym egzaminie, papiery kandydata szły do biura kadr Akademii. Tam były sprawdzane przez „odpowiednie służby”. Rzadko się zdarzało, a w każdym razie w czasie mojej pracy tylko raz, aby kandydat został odrzucony ze względów „innych” niż merytoryczne. Tak się właśnie stało z jednym z kandydatów na studia doktoranckie w IPPT. Zdał egzamin bardzo dobrze, ale nie został dopuszczony do studiów. Dla młodego człowieka, który pragnie dalej studiować i poświęcić się pracy naukowej, to oczywisty dramat. Ktoś w Instytucie poradził mu, aby zgłosił się do

mnie. Oczywiście, przyjąłem go i domyślałem się, o co chodzi. Myślałem, że prowadzi jakąś działalność opozycyjną i stąd odmowa przyjęcia na studiu. Ale myliłem się.

Rozmawiałem z młodym człowiekiem i nie miałem wątpliwości, że mówi prawdę, iż w żadnej takiej działalności nie bierze udziału. A więc co? Od słowa do słowa okazało się, że kandydat na studia mieszka w bloku, w którym mieszka również znany dysydent. Obaj mieli psy i obaj wyprowadzali je wieczorami. Pieski sobie biegały, a oni, właściciele, rozmawiali. Ponieważ dysydent był zapewne obserwowany, to „rzuciło się to” i na kandydata na studia. Ponieważ w mojej kompetencji leżała decyzja cofnięcia zakazu studiowania młodemu człowiekowi, zaprosiłem dyrektora biura kadr, powiadamiając go, że wyrażam zgodę na dopuszczenie kandydata na studium doktoranckie. Były jakieś pomruki o niestosowności tej decyzji, ale nie spowodowała ona jakichkolwiek sprzeciwów. Czasem odnosiłem wrażenie, że niektórzy pracownicy centrali PAN byli bardziej „święci” niż przedstawiciele „spółdzielni ucho”. Chodziły słuchy, że część pracowników związanych z kadrami i wyjazdami zagranicznymi była na „pół etatu” w tejże „spółdzielni”.

Misja w MSW

Pewnego razu zaprosił mnie do siebie ówczesny Prezes Akademii, profesor Włodzimierz Trzebiatowski. Chodziło o jakieś napięcie pomiędzy PAN i MSW. W tym czasie tworzone systemy typu MAGISTER, czy PESEL. Za całość było odpowiedzialne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a Akademia, konkretnie jeden z instytutów, współpracowała przy rozwiązywaniu prawidłowego działania systemu. W zasadzie napięcie było nie tyle pomiędzy instytucjami, ale osobami. Zderzyły się ze sobą dwie osoby – generał i dobrze ustawiony, zadziorny profesor z Akademii.

Moje zadanie miało polegać na załagodzeniu sporu. Dlaczego wybór do tak delikatnej misji padł na moją, niezbyt dyplomatyczną osobę, prezesa nie pytałem.

Zostałem więc umówiony z panem (tow.) generałem, którego nazwiska nie pamiętam, w siedzibie MSW na Pawińskiego. Ustalonego dnia o określonej godzinie wjechałem na parking i udałem się w kierunku budki strażnika, gdzie wydają przepustki. Gdy byłem już bliżej wartowni, wyszedł z niej milicjant, zatrzymał się przede mną, strzelił obcasami, zasalutował i powiedział: „Dzień dobry towarzyszu profesorze Gutkowski”. Przyznam szczerze, że trochę mnie zamurowało. W trakcie wypisywania przepustki, a to trwało, próbowałem sobie ustalić moją aktualną sytuację. To, że wartownik mnie poznał, to znaczy, że dostał moją fotografię. To z kolei znaczy, że sięgnięto do moich danych, aby się dowiedzieć, z kim przychodzi generałowi rozmawiać. Ponadto demonstracyjne przywitanie mnie przez wartownika miało chyba dać mi do zrozumienia, że „wiemy o tobie wszystko”.

Po latach moje nazwisko pokazało się na wykradzionej z Instytutu Pamięci Narodowej liście. W pierwszej chwili skojarzyłem to z ówczesną wizytą w MSW. O mojej „przygodzie” z IPN piszę dalej.

Towarzysz generał był uprzejmy przywitać mnie na dole, niemal przy wejściu. Razem pojechaliśmy do jego biura windą. Do windy były potrzebne dwa kluczyki. Jeden do drzwi i drugi do naciśnięcia odpowiedniego piętra. Usiedliśmy na dużej, wyłożonej czarną skórą kanapie, generał położył koło siebie bezprzewodowy telefon, co dla mnie było czymś nowym. Przez telefon poprosił, aby nam przyniesiono kawę i rozpoczęliśmy rozmowę. Była łatwiejsza niż się spodziewałem. On mówił o trudnościach współpracy z jednym z profesorów z PAN, ja, że Prezes zapewnia... itd. Jednym słowem moja misja skończyła się, bez większego

z mojej strony wysiłku dyplomatycznego, pozytywnie. Odniosłem wrażenie, że sam fakt mojej wizyty, jako wysłannika Prezesa, satysfakcjonował przedstawiciela MSW.

Oni nam Lwowa nie oddadzą

Przez całe lata miała miejsce współpraca naukowa pomiędzy akademiami nauk krajów socjalistycznych. Dla nas najistotniejsza była współpraca z Akademią Nauk ZSRR. Miała ona niejako dwie warstwy. Jedną merytoryczną i jedną biurokratyczną. Merytoryczna polegała na spotkaniach w instytutach i na konferencjach poszczególnych uczonych. Ot tak, jak to jest w naukowym świecie. Druga, biurokratyczna, polegała na spotkaniach organizacyjnych, gdzie omawiano programy współpracy. Było to zwykle gadanie na okrągło, bez większych skutków. Dosadnie nazwał to prof. Łurie, gdy spotkaliśmy się w kilka osób na przyjęciu u jednego z naszych rosyjskich przyjaciół. Już po kilku „kolejkach” prof. Łurie zadał nam zagadkę: „Jak nazwać to, co robiliśmy dziś rano, jeżeli ze słownika wykluczyć słowo *chujni*am?”

Ostatni raz w takim spotkaniu brałem udział na jesieni 1980 r., a więc już po powstaniu Solidarności. Spotkanie dotyczyło współpracy dwóch naszych wydziałów, a mianowicie nauk ścisłych i nauk technicznych, z odpowiednikami radzieckimi. Mnie tym razem przypało przewodnictwo delegacji PAN. Było więc takie gadu, gadu określone dosadnie przez profesora Łurie.

Do najciekawszych elementów tych spotkań należał *prijom*, czyli przyjęcie mocno zakrapiane alkoholem. Siedzimy więc przy długim stole w hotelu AN ZSRR. Polska delegacja ze mną, jako przewodniczącym pośrodku i radziecka delegacja po drugiej stronie ze swym przewodniczącym, fizykiem, którego nazwiska nie pamiętam. Już trochę wszyscy pojedli i popili, więc był czas na anegdoty. Przypomniało mi się pytanie do Radia Erywań, więc je przypomniałem głośno. Pytanie brzmiało: czy to prawda, że w Polsce ma miejsce walka z alkoholizmem? Odpowiedź brzmiała: o walce z alkoholizmem nie słyszeliśmy, słyszeliśmy tylko o walce z zakąską.

Ponieważ ktoś poprosił jeszcze o jakieś anegdoty, zdecydowałem się na coś bardziej przewrotnego i ryzykownego. Przyznam, że gdybym nie był w „stanie wskazującym na”, to pewnie tej anegdoty bym nie opowiedział, a dotyczyła ona przyjmowania górala do partii. Komisja partyjna wypytywała potencjalnego kandydata o różne sprawy krajowe, ale na zakończenie zahaczyła o sprawy międzynarodowe. Zapytano go mianowicie, co myśli o sytuacji na Bliskim Wschodzie. Góral myślał, myślał i w końcu odpowiedział: „Mnie się wydaje, że nam Lwowa nie oddadzą”. Oczywiście anegdotę opowiadałem po rosyjsku. Po ostatnich słowach, że nam Lwowa nie oddadzą całe bractwo ryknęło potężnym śmiechem. Z wyjątkiem dwóch osób. Mojego vis-a-vis, czyli przewodniczącego delegacji radzieckiej i przedstawiciela Biura Zagranicznego Radzieckiej Akademii, który siedział na końcu stołu. Obaj mieli kamienne twarze, bez cienia uśmiechu. Ale to nie koniec. Ponieważ stół był długi, więc nie wszyscy usłyszeli moją opowieść. Rozległo się: *pawtaritie pożałujsta*. No więc powtarzam anegdotę. I tym razem towarzyszy jej salwa śmiechu, przy dwóch kamiennych twarzach.

Przebrane wybory (szczęśliwie)

Z końcem roku kończyła się kadencja władz PAN. W wydziałach odbywały się wybory sekretarzy (dziś nazywają się przewodniczącymi). W Wydziale IV do wyborów stanęli - prof. Bohdan Ciszewski i ja. Wybory wygrał stosunkiem 2 : 1 Bohdan. Po głosowaniu

zapropował mi pozostanie na stanowisku zastępcy, ale odmówiłem. Dochodziły do mnie głosy zaprzyjaźnionych kolegów, że prowadzono przeciw mnie kampanię telefoniczną. Sama praca odpowiadała mi, ale narastające animozje, wynikające z sytuacji roku 80. i cicha akcja ze strony partyjnego betonu przeciw mnie spowodowały, że już nie chciałem mieć z tym więcej nic wspólnego. Tak rozstałem się z Wydziałem IV. Oczywiście pozostałem, jako członek Akademii, członkiem korporacji wydziałowej. Pewnie wcześniej o tym nie pisałem, że członkiem korespondentem zostałem w 1976, a członkiem rzeczywistym w 1991.

Następnego dnia siedzę w swoim instytutowym pokoju, nieco skacowany wyborczym niepowodzeniem, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił Don Boyer, mój amerykański przyjaciel, jeszcze z Uniwersytetu Delaware, obecnie szef departamentu „Mechanical Engineering”, Uniwersytetu Wyoming. Pytał mnie, czy nie zechciałbym przyjechać do nich na sabatical, w następnym roku, począwszy od sierpnia. Też pytanie! Jednak tego niedowiarka, jakim jestem, Bozia uchroniła przed wygraniem wyborów. Nietrudno sobie wyobrazić moją sytuację, gdyby propozycja Dona przyszła po wygranych wyborach.



Z profesorami Ignacym Maleckim (z lewej)
i Maciejem Nałęczem



Profesor Witold Nowacki, Prezes PAN
wręcza mi odznaczenie KKOP



Gratuluje profesorowi Piotrowi Wilde nominacji
na dyrektora instytutu Budownictwa Wodnego PAN



Członkowie Wydziału IV PAN z wizytą
w Marynarce Wojennej



Zebranie w Moskwie poświęcone współpracy Akademii Nauk KS w dziedzinie mechaniki.
Polska delegacja z prawej strony



Profesor Wacław Olszak wieloletni dyrektor IPPT PAN z profesorem Markiem Sokołowskim



Konferencja w Jabłonie.
Od lewej prof. prof. Stanisław Kocańda,
Bogdan Ciszewski, Wiesław Trąmpczyński,
Edward Włodarczyk, Dominik Rogula, Witold Nowacki,
Piotr Wilde, ja i Wojciech Szczepiński



Uroczystości związane z Rokiem Nauki Polskiej
(1973)

22. Gdańsk 80, negocjacje z Solidarnością

Jest lipiec, jesteśmy z Marylką i Agnieszka na urlopie w Urlach pod Warszawą. Ja siedzę przy stole i wykorzystuję czas na pracę naukową, na którą przeważnie czasu mi brakuje.

Przy mnie małe radyjko, z którego zaczynają dochodzić niepokojące wieści. Słyszę o „przerwach w pracy” w Lublinie, a potem jeszcze w innych miastach, w tym w Gdańsku. Uważam, że chyba powinienem wrócić do Wydziału. Zostawiam Marylkę z Agnieszka w Urlach i wracam do Warszawy.

Sytuacja jest coraz bardziej napięta, wreszcie urywa się całkowicie komunikacja z Gdańskiem. Jeszcze tuż przed wyłączeniem telefonów dyrektor jednego z instytutów dzwoni do mnie, że ma jakieś kłopoty, ale nie podał pani odbierającej telefon jakichś szczegółów. Zwracam się więc do ówczesnego sekretarza naukowego, profesora Jana Kaczmarka, o zgodę na wyjazd do Gdańska. Dostaję zgodę, wraz z wołgą i kierowcą. Jest tylko jeden zakaz. Nie mogę, pod żadnym pozorem, występować publicznie. Ponieważ tego nie planowałem, nie było to dla mnie specjalnym ograniczeniem.

Kierowca ładuje kilka kanistrów z benzyną, tak by wystarczyło nam na powrót, i w drogę. Pierwsze objawy atmosfery na Wybrzeżu są już widoczne w Elblągu. Pełne oflagowanie. Podobnie już w Gdańsku, aczkolwiek widoczny jest brak komunikacji i ruchu na ulicach. W oczy rzuciła mi się rdza na wierzchu szyn tramwajowych. Oznaka unieruchomionych tramwajów.

Dojeżdżam do Instytutu Maszyn Przepływowych. W portierni pytam, gdzie mogę zastać dyrektora, prof. Jerzego Krzyżanowskiego. Dowiaduję się, że wszyscy są w auli. W czasie negocjacji w Stoczni delegaci poszczególnych instytucji słuchali i nagrywali, co tam się działo. Potem szli do swych zakładów pracy i przekazywali, co usłyszeli.

Ja wszedłem do auli właśnie w takim momencie gorącej dyskusji. Po tym wydarzeniu potoczyły się błyskawicznie. Ktoś mnie zauważył i zawołał: „Och! Profesor Gutkowski przyjechał!” Odwołano właśnie przemawiającego i buch mnie na mównicę! Nie potrafię dziś powiedzieć, czy mówiłem minutę, dwie czy dziesięć. Pełna improwizacja, nikt tego nie nagrywał. Wiem jedno, że prosiłem kolegów, aby pilnowali bezpieczeństwa Instytutu. Właśnie zainstalowano tam nowy komputer ODRA i cały szereg innej aparatury. Byłem uczulony, być może przesadnie, albo nie, na wszelkiego rodzaju prowokacje. Wystarczyło wrzucić niedopałek do kosza z papierami i pożar gotowy. A potem zwalić wszystko na załogę.

Mówiłem pewnie względnie do rzeczy, albowiem po zakończeniu dostałem brawa. Dopiero później przypomniałem sobie o zakazie występowania. Ale i tak bym się nie wygłupił, mówiąc, że zakazano mi występować.

Odwiedziłem i drugi instytut, Instytut Budownictwa Wodnego. Tam była „faza” spokojniejsza i nie trafiłem akurat na zebranie załogi. Zaszedłem jeszcze do Wydziału Nauki Komitetu Wojewódzkiego. Nastrój wisielczy. Ktoś w ramach czarnego humoru nadmienia o konieczności przejścia PZPR do podziemia.

Po powrocie zostaję zaproszony przez tow. Alfreda Strokę do przybycia do Wydziału Nauki KC. Jest tam razem z prof. Zbigniewem Grabowskim, jednym z pracowników Wydziału. Zaproszony zostałem, aby powiedzieć, co widziałem i słyszałem w Gdańsku. Z rozmowy

wnioskuję, że „szlaban” na informacje o sytuacji w Gdańsku umieszczono dość wysoko. Moi rozmówcy nie wiedzą nic poza oficjalnymi informacjami w mediach.

Rozmowa przemieniła się w ostrą dyskusję, prawie kłótnię. Tow. Stroka coraz głośniejsze ustawiał radio. Starły się jego „betonowe” poglądy, z moim krytycznym spojrzeniem na to, co robi PZPR.

Jerzy Milewski w Brukseli

Plany wyjazdów zagranicznych były z reguły przygotowywane rok wcześniej. Jedną z konferencji, która miała się odbyć w 1981 roku w USA, była konferencja laserowa. Udział w niej zgłosiło kilka osób z Instytutu Maszyn Przepływowych w Gdańsku. Wśród tych osób byli doc. Jerzy Milewski i doc. Marek Brunne. Obaj mieli wspólny referat, przyjęty na wspomnianą konferencję. Ja wnioski obu poparłem. Jednakże wkrótce od profesora Tadeusza Orłowskiego, w owym czasie zastępcy sekretarza naukowego PAN, przyszła odmowa w sprawie wniosku doc. Milewskiego. Argumentacja była rzeczowa i opierała się na tym, że ze względu na kuse środki finansowe wystarczy, że tylko jeden z autorów będzie prezentował wspólną pracę. Jednakże zadzwoniłem do profesora Orłowskiego, zwracając uwagę, że doc. Milewski jest przewodniczącym Solidarności w Akademii i odmowa wyjazdu może być potraktowana jako odmowa pozamerytoryczna. Prof. Orłowski zgodził się ze mną i wyraził zgodę na wyjazd doc. Milewskiego do USA w grudniu 1981. Co stało się potem, powszechnie wiadomo. Doc. Jerzy Milewski, po ogłoszeniu stanu wojennego, został za granicą i utworzył zagraniczne biuro Solidarności w Brukseli.

Negocjacje z Solidarnością

Jesienią 1980 roku, podobnie jak w innych instytucjach, rozpoczęły się negocjacje władz Akademii z NSZ. Negocjacje toczyły się w kilku komisjach. Jedną z nich była komisja do spraw społecznych. Mnie przypadło współprzewodniczyć z profesorem z Solidarności. Niestety, jego nazwiska nie pamiętam. Jak wiadomo, sprawy społeczne to jedne z najważniejszych i najtrudniejszych. Zebraliśmy się w Pałacu Kultury, przy długim stole. Z jednej strony przedstawiciele Solidarności, robiący wrażenie, że będą negocjować twardo. Z drugiej strony przedstawiciele Akademii, w osobach urzędników uzbrojonych we wszelkiego rodzaju rozporządzenia, ustawy i inne dokumenty. Ja, na czele tego teamu, mający najłabsze pojęcie o sprawach prawnych.

Przed nami była niewesoła perspektywa. Delegaci Solidarności odczytują swój postulat, a urzędnicy Akademii, szperając w dokumentach, będą udowadniać, że spełnienie postulatu jest niemożliwe. Jednym słowem beznadzieja na trzy dni, bez jakiegokolwiek pozytywnego skutku. Ta beznadzieja zmusiła mnie do intensywnego myślenia, jak z tego wybrnąć ku zadowoleniu obu stron. Pomysł przyszedł mi do głowy już jak siadaliśmy za stołem. Zgłaszam następującą propozycję negocjacji. Czytamy każdy z postulatów i dzielimy je na dwie grupy. Pierwsza to ta, której postulaty dotyczą interesów samej Akademii (finanse, organizacja itp.). Te postulaty podlegają naszej dyskusji. W drugiej grupie znalazłyby się postulaty, które odnoszą się do istniejącego prawa wyższego rzędu, niezależnego od Akademii. W takim wypadku zapisujemy, że komisja przekazuje stosownym władzom propozycje rozpatrzenia kwestionowanych w postulatach rozwiązań prawnych.

Moja propozycja została przyjęta. W grupie postulatów zależnych od decyzji Akademii było ich kilka, a w drugiej grupie, tych zależnych od władz poza Akademią było około sześćdziesięciu. Negocjacje poszły więc względnie sprawnie. Nie pamiętam dokładnie postulatów pierwszej grupy. W pamięci utrwaliły mi się tylko dwa. Pierwszy dotyczył lokali

i telefonów dla organizacji związkowych. Postulat stosunkowo prosty do spełnienia wobec tego, że dotychczas istniejący związek korzystał z takich dogodności. Drugi z zapamiętanych postulatów dotyczył stadniny koni, którą Akademia powinna prowadzić dla swoich pracowników. Postulat zapewne wprowadzony przez amatora końskiej jazdy, bo tylko przez niego mocno broniony. Po moich argumentach przeciwnych temu postulatowi, zrezygnowano z niego. W sumie obradowaliśmy około trzech godzin, a więc najkrócej ze wszystkich komisji. Ze strony niektórych „twardogłowych” dochodziły do mnie odgłosy, że się „sprzedałem” Solidarności.

Przygotowania do strajku w IPPT

W marcu dochodzi do zaostrzenia konfliktu pomiędzy Solidarnością i władzami. Doszło do spięcia na terenie Wojewódzkiej Rady Narodowej, w wyniku którego został pobity przez służby bezpieczeństwa Jan Rulewski, jeden z czołowych działaczy Solidarności. Związek odpowiada na to zapowiedzią strajku generalnego w całej Polsce.

Przygotowania do strajku rozpoczęły się i w Instytucie. Kierował nimi ówczesny przewodniczący instytutowego związku, doc. Marek Janas. Niemal nie było miejsca na ścianach i słupach w korytarzach Instytutu, na których nie byłoby ogłoszenia o strajku i jego warunków. Organizatorzy przewidywali między innymi niewpuszczanie nikogo na teren instytutu, niezależnie od tego, czy był gotów strajkować, czy nie. Spowodowało to, że z Markiem wymieniliśmy poglądy na ten temat na tablicach ogłoszeniowych. Teksty były rzeczowe i zrównoważone. Żadnych uszczypliwości. Ponadto uważałem, że strajk uczonych nie ma sensu. Jak wiadomo, strajk pochodzi od angielskiego *strike*, czyli uderzyć. O ile uderzeniem jest, gdy pracę przerywają robotnicy, o tyle przerwanie pracy przez naukowców w nic nie uderza.

Całe szczęście, że strajk krajowy został odwołany i wróciliśmy wszyscy do pracy.

23. Japonia przez ZSRR

Japonię odwiedziłem cztery razy. Trzy wizyty były związane z udziałem w konferencjach, w których występowałem jako członek komitetu naukowego. Czwarta wizyta odbyła się na zaproszenie moich japońskich kolegów. Była poświęcona seminariom i zwiedzaniu tego pięknego i interesującego kraju. Właśnie o niej tych kilka poniższych słów.

Przystanek Moskwa

Ze względu na wysokie koszty biletów lotniczych podróż odbywamy z Marylką przez ZSRR. Pierwszy przystanek w Moskwie. Mamy cały dzień oczekiwania na samolot do Chabarowska, więc korzystam z okazji, aby odwiedzić znajomy Instytut Problemów Mechaniki AN ZSRR. Jest maj 1981 roku. W Polsce sytuacja napięta, mają miejsce liczne strajki. Wiadomo o nich oczywiście w Moskwie i nie trudno się domyśleć oficjalnych komentarzy na ten temat. Wyrazem tego była nasza rozmowa z dyrektorem instytutu prof. Iszlińskim, akademikiem, działaczem państwowym. Treść tej rozmowy można skrócić do słów profesora: „Pan Gutkowski, nada rabotat”.

Moskwa – Chabarowsk - Nachodka

Z Moskwy lecimy do Chabarowska. Coś około dziewięciu godzin lotu. Po drodze nad ranem w Aeroflocie śniadanie. Nieśmiertelny kurczak z marchewką i groszkiem. Piszę nieśmiertelny, bo nie pamiętam, aby na tych liniach serwowano coś innego. Ponieważ kurczaka nawet nie tknęliśmy, dał o sobie znać głód po wylądowaniu w Chabarowsku.

Piękna pogoda, słońce razi w oczy, do tego szum w głowie po wielogodzinnym locie i zmianie czasu. Znajdujemy na lotnisku bufet. Koło wagi stoi aluminiowa miska, średnicy gdzieś 30 – 40 cm, pełna czerwonego kawioru! W misce aluminiowa chochla jak do nalewania zupy. Barmanka pyta: „Skolko wam, 100 gram, 200 gram?”. Kładzie talerz na wadze i zamaszystym ruchem strząsa ze wspomnianej chochli przyklejający się do niej kawior. Nakładanie kawioru odbywa się właśnie tą wspomnianą chochlą. Do kawioru kanapki. Plastry chleba, takie grube na palec, a na tym takiej samej grubości plastry łososia. Nie tam jakieś dzisiejsze plasterki, przez które można świat oglądać. Ponieważ tak wspaniałego jedzenia nie da się jeść „na sucho”, zamawiam sobie setkę koniaku. Nie pamiętam, ormiańskiego, czy gruzińskiego. Przypomniała mi się tylko anegdota jak Ormianin spierał się z Gruzinem czyj koniak lepszy. Obaj byli zgodni, że najlepsze są koniaki francuskie. Poza tym Ormianin mówił, że na drugim miejscu ormiański, a Gruzin, że na drugim miejscu gruziński. Po dłuższej sprzeczce Ormianin powiada: No zgoda, pierwszy jest koniak francuski, drugi gruziński, a ormiański między nimi.

Z Chabarowska jedziemy do Nachodki specjalnym sypialnym pociągiem. Rzecz polega na tym, że wprawdzie Nachodka znajduje się kilkadziesiąt kilometrów od Władywostoku, ale cudzoziemcy nie mogą lecieć do tego miasta, gdyż jest ono dla nich zamknięte. W związku z tym latają do Chabarowska i stamtąd specjalnym pociągiem jadą do Nachodki.

Widok z okien pociągu ponury. Od Chabarowska jakiś czas jedziemy wzdłuż rozjeżdżonej, zabłoconej drogi. Do niej przylegają stare, chyba pamiętające cara, drewniane domy, pokryte zardzewiałą blachą.

Po kilkunastu godzinach podróży jesteśmy w Nachodce i wchodzimy na prom do Jokohamy. Przed wejściem muszę zdeponować posiadane ruble. Mam ich kilkadziesiąt i odbiorę je w drodze powrotnej. Prom wprawdzie radziecki, ale już w strefie dolarowej, więc wszystko na

nim w dolarach. Właśnie na tym polegała podróż przez Rosję. W ZSRR ceny biletów zależały od tego, gdzie samolot (statek, pociąg) lądował. Jeżeli w strefie rublowej, to bilety były dla nas względnie tanie. Jeżeli w strefie dolarowej, były liczone w dolarach. Stąd nasza podróż przez Nachodkę, a nie bezpośrednio samolotem. Trasa Warszawa – Nachodka kosztowała nas taniej niż prom z Nachodki do Jokohamy! Na radzieckim, więc promie wszystko już w dolarach. Najważniejsze, że jest piękna pogoda i można posiedzieć na pokładzie, niwelując w ciągu dwudniowej podróży różnice czasowe.

Jokohama

Dopływamy do Japonii. Na prom wchodzi japońscy celnicy. Mają urzędnicze zaręczawki i raczej srogie miny. Przechodzimy jednak przez kontrolę bez przeszkód. Najważniejsze, że, wychodząc na ląd, wpadamy w ramiona Mamoru i Fumiko Kawaguchi, a więc można powiedzieć – jesteśmy w domu.

Jedziemy samochodem do Tokio, gdzie zostaliśmy ulokowani w Palace Hotel, niedaleko pałacu cesarskiego. Składam podpis, który upoważnia nas do korzystania, na koszt gospodarzy, ze wszystkiego na terenie hotelu, a więc barów i sklepików. Oczywiście, nie nadużywamy tego przywileju. Na „drobne” wydatki dostajemy sumę odpowiadającą 1500 USD. Wtedy, przy relacji złotówki do dolara sięgającej tysiący, to suma porażająca.

Tokio

Wieczorem jesteśmy zaproszeni, przez prof. Tsuboi, do restauracji w jednym z wieżowców centrum miasta. Restauracja jest francuska, w każdym razie z francuskim menu. Ceny zaporowe, chateaubriand w cenie pięciu zegarków (jeden zegarek kupiłem nazajutrz).

Atmosfera przyjęcia bardzo miła, nie mówiąc o wspaniałym jedzeniu, które, szczególnie po naszej polskiej diecie „octowej”, smakuje znakomicie. Jest późny wieczór i widzę w sąsiednim wieżowcu pracujących w biurach ludzi. Pytam więc, czy to druga zmiana. Moje pytanie chyba wzbudziło zdziwienie, bo odpowiedź była szybka. Oni tam pracują od rana.

Na drugi dzień mam wykład. Jeszcze przed nim nauczyłem się „dzień dobry państwu” po japońsku. Rozpaczam więc wykład, kłaniając się głęboko, jak to zauważyłem u Japończyków i wypowiedziałem „Konnichiwa minna san”. Wielkie brawa. Wykład oczywiście wygłosiłem po angielsku. Miałem wątpliwości, ile osób, a wśród nich studentów, go zrozumiało. Było to trzydzieści lat temu, wtedy znajomość angielskiego u Japończyków była raczej skromna.

Na lunch jestem zaproszony do restauracji, tym razem japońskiej. Siedzimy więc na podłodze i jemy pałeczkami. Ani jedno, ani drugie mnie nie zachwyca. Ukułem nawet „teorię”, dlaczego Japończycy są szczupli. Po pierwsze pałeczkami nie można się najeść, a po drugie, przy siedzeniu na ziemi nacisk na żołądek nie daje takich możliwości. Ale jedzenie jest wspaniałe. Lubię wszelkie nowości kulinarne, dobrze przyrządzone i ładnie podane.

W tym czasie, gdy ja byłem na uniwersytecie, Marylka była zaproszona do teatru i na ceremonię parzenia herbaty.

Wędrujemy po Tokio

Początkowo poruszaliśmy się metrem. Jeżeli byliśmy w obszarze, w którym odbywała się przed laty międzynarodowa wystawa, nie było to specjalnie trudne, gdyż nazwy stacji były pisane również po angielsku. Gorzej było poza tą strefą. Człowiek nie wiedział gdzie jest i jaki kupić bilet, by trafić do hotelu. W końcu, przy powrotach do hotelu, daliśmy spokój

metru i przesiedliśmy się na taksówki. Przy dwóch osobach nie było to wiele droższe od metra. Kłopot jedynie polegał na komunikowaniu się z kierowcą, tym bardziej, że w Japonii ulice, z nielicznymi wyjątkami, nie mają nazwy. Ale i na to znalazł się sposób. Wziąłem z hotelu papier listowy, który miał nagłówek z nazwą hotelu. Pokazywałem go kierowcy, który bez słowa kiwał głową, że wie, dokąd jechać.

Nie ukrywam, że przy samodzielnych wyprawach do Tokio sporo czasu spędziliśmy na odwiedzaniu supermarketów i różnych sklepów. Po naszych pustych półkach wszystko było ciekawe i godne pożądania. Do dużego marketu weszliśmy akurat w momencie jego otwarcia. Po bokach stoją dwa rzędy pracowników, nisko się kłaniających, a z głośników słychać spokojną, japońską muzykę. Odwiedziliśmy też, oczywiście, sklep z materiałami. Mnie sam towar nie bardzo interesował. Natomiast z zaciekawieniem przyglądałem się młodym sprzedawczyniom jak liczą na japońskich liczydłach soroban, błyskawicznie przebierając palcami. Było to dużym zaskoczeniem, gdyż co kilka metrów na ulicy można było kupić za grosze kalkulator.

Odwiedzamy oczywiście Ahikabara, dzielnicę sklepów, którą Japończycy reklamują jako „paradise of electronic goods”. Sklep przy sklepie, a każdy upakowany od podziemia aż po drugie piętro telewizorami, aparatami fotograficznymi, sprzętem audio itp. Prawdziwy zawrót głowy!

Z wizytą u Tsuboich i Kawaguchich

Dwa wieczory mamy wypełnione wizytami w domach naszych japońskich przyjaciół. U Tsuboich wystrój, można powiedzieć, japońsko-europejski. Podstawowe meble jak krzesła i kanapy typowo europejskie. Towarzyszą im liczne ozdoby pochodzące bezpośrednio z kultury japońskiej. Chyba i atmosferę przyjęcia można by uznać za japońską. Ciepła, spokojna i stonowana rozmowa o różnych aspektach japońskiego życia. Profesor Tsuboi był nam już znany, a wielką przyjemnością było spotkanie z panią Tsuboi, osobą o wielkiej wiedzy na temat japońskiej kultury, ale i niezwykłym zamiłowaniu do muzyki Chopina. W sumie bardzo ciekawy i pouczający wieczór.

Nie mniej przyjemnie przypominam sobie wizytę u Mamoru i Fumiko Kawaguchich. Może nieco mniej oficjalna, bo z Mamoru znamy się od lat. Prof. Kawaguchi jest inżynierem projektującym budowle, chyba przeważnie sportowe. Wykształcony w Niemczech i Stanach zna biegle angielski i niemiecki. Poza wymogami funkcjonalnymi jego konstrukcje muszą spełniać ostre wymagania związane z trzęsieniami ziemi. Mieliśmy okazję oglądać jego wspaniałą halę sportową w Kobe. Po znanym tam trzęsieniu ziemi, w 1995 roku Mamoru napisał mi, że jedyną stratą w jego budowli było urwanie się reflektora spod sufitu. Trudno było w to uwierzyć, oglądając telewizyjne obrazy zniszczeń, które miały tam miejsce.

Na kolacji, poza mną i Marylką, byli synowie Kawaguchich i dobry mój znajomy, prof. Yasuhiko Hangai z żoną. Był to rok 1981, Japonia tuż po wizycie Jana Pawła II. Do tego głośnie na cały świat sytuacja w Polsce. Nie dało się więc uniknąć rozmowy o sprawach polskich.

Mieszkanie Kawaguchich, jak na warunki japońskie, niemałe. Tylko mimochodem dowiedziałem się od Fumiko, że obarczone bardzo dużym podatkiem. Ponieważ zwykle zwracam uwagę na różne nowości techniczne, spostrzegłem w toalecie, że woda z umywalki po umyciu rąk nie spływała bezpośrednio do kanalizacji, ale była odprowadzana do spłuczki toalety.

Kioto

Gospodarze fundują nam niezapomnianą wycieczkę do Kioto. Z Tokio pędzimy słynnym Shinkansenem z prędkością 250 km na godzinę. Prędkość była ukazywana na wyświetlaczu cyfrowym. Dziś to nic specjalnie wielkiego, z taką szybkością jeżdżą pociągi francuskie, a wyświetlacze mają niektóre polskie wagony. Ale do Kioto jechaliśmy 30 lat temu.

Na dworcu wsiadamy do taksówki, oczywiście nie sami, ale z Kawaguchimi, i zaczynamy szukać hotelu. Ponieważ z reguły japońskie ulice nie mają nazw, nie jest to łatwe. Nawet taksówkarz miał kłopot. Nic nie rozumiemy z ich rozmów, ale jest widoczne, że błądzimy. Wreszcie po dobrej półgodzinie jesteśmy na miejscu. Wąska uliczka w starym Tokio i stary hotel. To właśnie on był atrakcją, trudną do znalezienia.

U wejścia do hotelu zdejmujemy buty, które założymy dopiero przy wyjściu. Stosunkowo nieduży pokój. Spanie na podłodze na macie, a pod głową wałek. W łazience dwie wanny, jedna płytsza do mycia wstępnego, a druga głębsza. Kiedyś z jednego nabrańa wody korzystała cała rodzina. Zaczynał mąż, potem dzieci i żona. Śniadanie jemy w naszym pokoju z Kawaguchimi. Siedzimy na podłodze, delektując się japońskimi specjałami. Ściślej, to specjały dla mnie, Marylka na wszelki wypadek zamówiła jajka na twardo, ale to podobno częsty przypadek wśród zagranicznych turystów.

Po śniadaniu jedziemy zwiedzać Kioto. Trudno to wszystko wchłonąć i zapamiętać. Utrwaliły mi się w pamięci stare rezydencje szogunów i Złoty Pawilon z niesamowitym, otaczającym go parkiem. Wszystko zadbane, wypieszczone, a całość wygląda jak ilustracja do japońskiej bajki. Niezapomniana jest również świątynia bogini łaski i miłosierdzia z 1001 wyrzeźbionymi postaciami o ludzkich wymiarach.

Jezioro Yamanaka i Kamakura

Jedziemy na jednodniowy odpoczynek, po szaleństwach zwiedzania, nad Jezioro Yamanaka, kilkadziesiąt kilometrów od Tokio. Naszym przewodnikiem jest syn prof. Tsuboi. Mieszkamy w pięknym hotelu, nad brzegiem jeziora. Wspaniałe widoki, przy pięknej pogodzie, pomieszkałby tu człowiek dłużej. Pokój hotelowy o rozmiarach przeze mnie dotychczas niespotykanych. Jakoś przyszło mi na myśl, że przydałyby się wrotki, żeby się po nim poruszać. Do tego wyposażenie „ekstra lux wyborowe” Różne gadżety w ciekawych oprawach. Nie odważyłem się zapytać gospodarzy, ile pokój kosztuje.

Nie wracamy prosto do Tokio, ale jedziemy jeszcze do Kamakury, aby obejrzeć słynny pomnik Buddy. Kamakura to jedno z najstarszych miast japońskich, powstałe bodajże w 12. wieku, trochę jakby nasze Gniezno. Największą atrakcją miasta jest powstały w 13. wieku posąg Buddy. Mierzy on kilkanaście metrów i cały jest wykonany z brązu. Robi wrażenie.

Pożegnanie i powrót do socjalistycznej rzeczywistości Kończy się ta niezwykle ciekawa podróż. Na zakończenie nasi japońscy gospodarze zorganizowali eleganckie przyjęcie w centrum Tokio. Przybyło chyba z pół setki osób, starych i nowych znajomych. Nasza podróż wypadła po wizycie naszego Papieża, w czasie której nabrała popularności piosenka „Szła dziewczeczka do laseczka”. Japończycy proszą nas o zaśpiewanie jej po polsku. Ja nie ryzykuję, ze swymi „zdolnościami”, ale honoru broni Marylka. Jej wykonanie wzbudza oklaski. Przy wyjściu z przyjęcia dostajemy szereg kolorowych czasopism omawiających wizytę Jana Pawła II. Treść oczywiście nieczytelna, ale w tym wypadku ważne były piękne kolorowe zdjęcia.

Tak się skończyła oficjalna nasza wizyta w Japonii. Mamoru i Fumiko odwożą nas samochodem do Jokahamy, gdzie wsiadamy na statek. Serdeczne pożegnanie, a będąc już na pokładzie, rzucamy do siebie liczne kolorowe serpentyny, zgodnie ze zwyczajem żegnania gości.

Mamy prawie dwa dni na pokładzie radzieckiego promu, płynącego z powrotem do Nachodki. Zamieniamy lekkie japońskie jedzenie na cięższe rosyjskie. Na promie czas umilają występy artystek, które na promie pełnią rolę zwykłej służby. Są to rzeczywiste artystki, które na promie mogą zarobić znacznie więcej niż na lądzie.

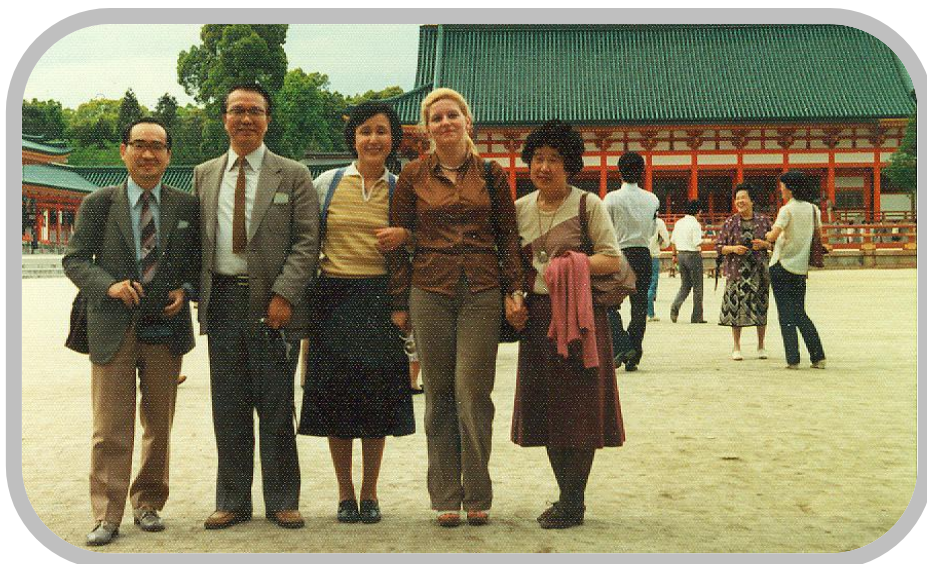
Ładujemy ostatecznie w Nachodce, gdzie odbieram swoje, zdeponowane przy wyjeździe, ruble. Jest i kontrola celna. Celnik nie zagląda do walizek, tylko do bagażu podręcznego. Wyciąga czasopisma z papieżem, przegląda je i mówi „Wot towarzyszc Pop”.

Na promie poznaliśmy parę australijskich emerytów, którzy postanowili w swej podróży życia spełnić dwa marzenia. Jej marzenie to stanąć na chińskim murze i to już się spełniło. Jego marzenie to przejechać pociągiem przez Syberię. Właśnie się przymierzali do spełnienia go. Wsiadamy razem do specjalnego pociągu jadącego z Nachodki do Chabarowska. Jest to pociąg sypialny, w którego cenę wliczono posiłki. Z tym już trochę gorzej. Na kolację dostaliśmy coś w rodzaju salcesonu, ciemnego, kolorem zbliżonego do naszej kaszanki. W salcesonie znajdowały się kawałki słoniny. Nasi australijscy znajomi chcieli uczcić początek syberyjskiej podróży, więc zamówili u kelnera butelkę szampana. Ponieważ szampan nie był schłodzony, więc przy otwieraniu wybuchnął i opryskał zamawiającego. Wyglądał jak kierowca formuły jeden po zwycięskim wyścigu.

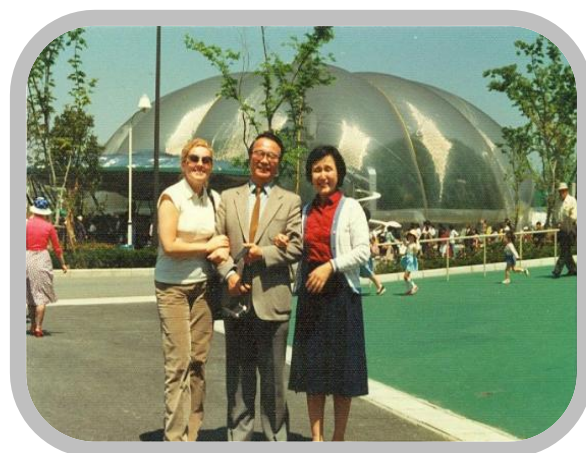
Reszta podróży, jak by to powiedzieli Rosjanie, przebiegła „normalno”. W końcu jesteśmy w Warszawie, a wspomnienia pięknej podróży do Japonii zderzyły się z naszą trudną rzeczywistością roku 1981.



Na kolacji u Kawaguchich



Z państwem Hangai i Kawaguchi



W Kobe oglądamy wspaniałe konstrukcje Mamoru Kawaguchi



W miłym towarzystwie



Na pożegnanie dostajemy w prezencie Minoltę.
Próbne zdjęcie, zrobione jeszcze w sklepie przez sprzedającego



Po wykładzie na piwie



Z Profesorem Tsuboi



I po ćwierć wieku z Kawaguchimi przed
Fukierem na Rynku Starego Miasta



Lunch na Rynku Starego Miasta



Fumiko i Marylka

24. Instytut Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego oraz zagadka upadku masztu radiowego w Gąbinie

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych otrzymałem od dyrektora Instytutu Mechanizacji Budownictwa, dr. Eugeniusza Budnego, propozycję pracy. W owym czasie Instytut nie obejmował jeszcze górnictwa skalnego, co nastąpiło dopiero po kilku latach. Instytut był wówczas ukierunkowany głównie na wszelkiego rodzaju maszyny budowlane, począwszy od koparek aż po sprzęt do prac wykończeniowych.

Problemy badane w Instytucie są pełne zagadnień ogólnie pojętej mechaniki, a więc jak najbardziej w polu moich zainteresowań. Przez wiele lat brałem udział w badaniach objętych programami rządowymi, ukierunkowanymi na budownictwo. Ostatnio koncentruję się na pozyskiwaniu środków na projekty badawcze. Przez kilka kadencji byłem przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu. Było mi również dane przewodniczyć międzynarodowej konferencji poświęconej normalizacji, zorganizowanej przez Instytut. Byłem promotorem pracy doktorskiej pana dr. Andrzeja Miszteli, wieloletniego pracownika Instytutu.

Upadek masztu radiowego w Gąbinie

Najciekawszy problem, jaki stanął przede mną do rozwiązania w IMBiGS, to wyjaśnienie przyczyn i przebiegu upadku masztu radiowego w Gąbinie.

Pewnego rana, po ukazaniu się informacji o katastrofie, zadzwonił do mnie dyr. Budny. Poinformował mnie, że Telekomunikacja Polska, właściciel stacji radiowej w Gąbinie, zwróciła się do Instytutu z propozycją zbadania przyczyn i przebiegu katastrofy. Dyrektor pytał mnie, czy podjąłbym się tego zadania. Odpowiedziałem, że tak. Miałem już skromne, ale jednak doświadczenie w wyjaśnianiu przyczyn kilku katastrof. Między innymi wyjaśniałem sprawę eksplozji w elektrowni Powiśle, gdzie były ofiary śmiertelne.

Jedziemy więc do Gąbina, zabierając ze sobą dobry aparat fotograficzny, podstawowe narzędzie niezbędne w pierwszej fazie dochodzenia.

Nasze zdjęcia, wykonane stosunkowo prędko po wypadku, pokazały, że były osoby zainteresowane usuwaniem niektórych śladów, mogących wskazać na winnych. Na zdjęciach wykonanych później, przez inne zespoły dochodzeniowe, brak było niektórych elementów zamocowań, które były jeszcze na naszych zdjęciach.

Widok niesamowity. Na przestrzeni około kilometra kwadratowego porzucane, połamane elementy konstrukcji i porwane liny odciągowe. Warto przypomnieć, że maszt był konstrukcją kratową o wysokości ponad 600 metrów. Miała ona przekrój trójkąta równobocznego o boku około 5 metrów. Maszt był wzmocniony układem lin odciągowych na kilku poziomach. Właśnie proces wymiany zużytych lin był bezpośrednią przyczyną katastrofy. Wymiany potrzebowały w pierwszej kolejności liny zamocowane najwyżej pół kilometra nad powierzchnią ziemi. Są one poddane największemu szarpaniu przez wiatr i najbardziej podatne na oblodzenia.

Kilkuosobowa załoga, jak się później okazało, bez doświadczenia, wzięła się za wymiany lin na najwyższym poziomie. Wymianę przeprowadza się, zakładając i naciągając liny montażowe, co pozwala zwolnić z napięcia zużyte liny i zamocować nowe. Dwie liny zostały już wymienione, przy wymianie trzeciej nastąpiła katastrofa.

Stosunkowo łatwo doszliśmy do tego, że załoga, idąc „na skróty”, naruszyła co najmniej trzy podstawowe zalecenia zawarte w instrukcji technologii wymiany lin. Po pierwsze, zamiast użycia dwóch lin odciągowych i dwóch wciągarek, użyto jednej liny i jednej wciągarki. Po drugie, linę odciągową zamocowano do masztu w niedozwolonym miejscu. I po trzecie, linę odciągową zamocowano nieprawidłowo do trawersy montażowej, przy betonowej podstawie.

O ile stwierdzenie nieprawidłowości w procesie montażu były stosunkowo proste, o tyle ustalenie przebiegu katastrofy nie było łatwe. A to właśnie znalazło się w polu zainteresowań sądu, który miał orzec o winie.

Jak wiadomo, w procesie sądowym prokurator i obrona, zwracając uwagę często na mało znaczące szczegóły, starają się przeważać szalę procesu na swoją stronę. W tym procesie brały udział trzy zespoły ekspertów: nasz z ramienia TP, z Politechniki Śląskiej reprezentujący Mostostal, firmę przeprowadzającą remont i zespół z Politechniki Warszawskiej, zaangażowany przez prokuraturę. Wszystkie zespoły zauważyły wyżej wymienione odstępstwa od technologii. Różniliśmy się co do tego, które z tych naruszeń miało decydujący wpływ na katastrofę. Jest oczywiste, że nikt nie mógł mieć dowodu na obronę swojej tezy, choć myśmy mieli naszą hipotezę wspartą nowoczesną, jak na te czasy, analizą nieliniową. Dlatego zaczął się ciąg pytań zadawanych przez strony procesowe. Jedno z trudniejszych pytań, na które należało odpowiedzieć, polegało na wyjaśnieniu, dlaczego maszt nie zawalił się przy wymianie dwóch pierwszych lin, choć zostało to wykonane z takim samym naruszeniem technologii jak przy maszcie trzecim. Ponadto, dlaczego maszt zawalił się kilka godzin po pozostawieniu go przez pracujących, z napiętą trzecią liną odciągową. Z naszej hipotezy wynikało, że przy wymianie pierwszych dwóch lin wprowadzono do niektórych elementów konstrukcji dodatkowe naprężenia. Naciąg trzeciej liny sprawił, że w tych elementach powstało uplastycznienie materiału. Jednym słowem, pracownicy odeszli w momencie, gdy maszt był już w stanie „podciętego drzewa”. Około godziny po ich odejściu, jak wynikało z danych meteorologicznych, wzmógł się wiatr, głównie 500 metrów nad ziemią. To ostatecznie „dobiło” osłabioną konstrukcję.

Dyskusja w sądzie weszła w szczegóły, z których tylko nieliczne można było jednoznacznie wyjaśnić. Widząc beznadziejność tej dyskusji, poprosiłem o głos i zaproponowałem następujący punkt widzenia. Wszyscy eksperci wymienili te same trzy naruszenia technologii wymiany lin. Nie jest ważne, który z nich był bezpośrednio odpowiedzialny za katastrofę. Można jednak przyjąć ze stuprocentową pewnością, że jedno z tych trzech naruszeń spowodowało upadek masztu. Taka wersja została przyjęta przez strony i na jej podstawie sąd skazał, z zawieszeniem, kierownika ekipy remontowej.

W owym czasie zainteresowanie katastrofą masztu było tak wielkie, że zostałem zaproszony do Polskiego Radia do „Sygnałów dnia”, aby odpowiedzieć na szereg pytań związanych z wypadkiem.

Na tym sprawa masztu nie zakończyła się. Telekomunikacja Polska, a ściślej Polskie Radio, przystąpiło do działań mających na celu budowę nowego masztu. W tym celu rozpisano przetarg. Ja miałem kierować częścią konstrukcyjną przetargu, a prof. Daniel Bem, z Politechniki Wrocławskiej, częścią radiową. Na budowę konstrukcji wpłynęło blisko dziesięć ofert. Niektóre bardzo „oryginalne”. Jak wiadomo, maszt jest potrzebny do tego, aby utrzymać w pionie antenę radiową. Jedna z propozycji wychodziła więc z założenia, że

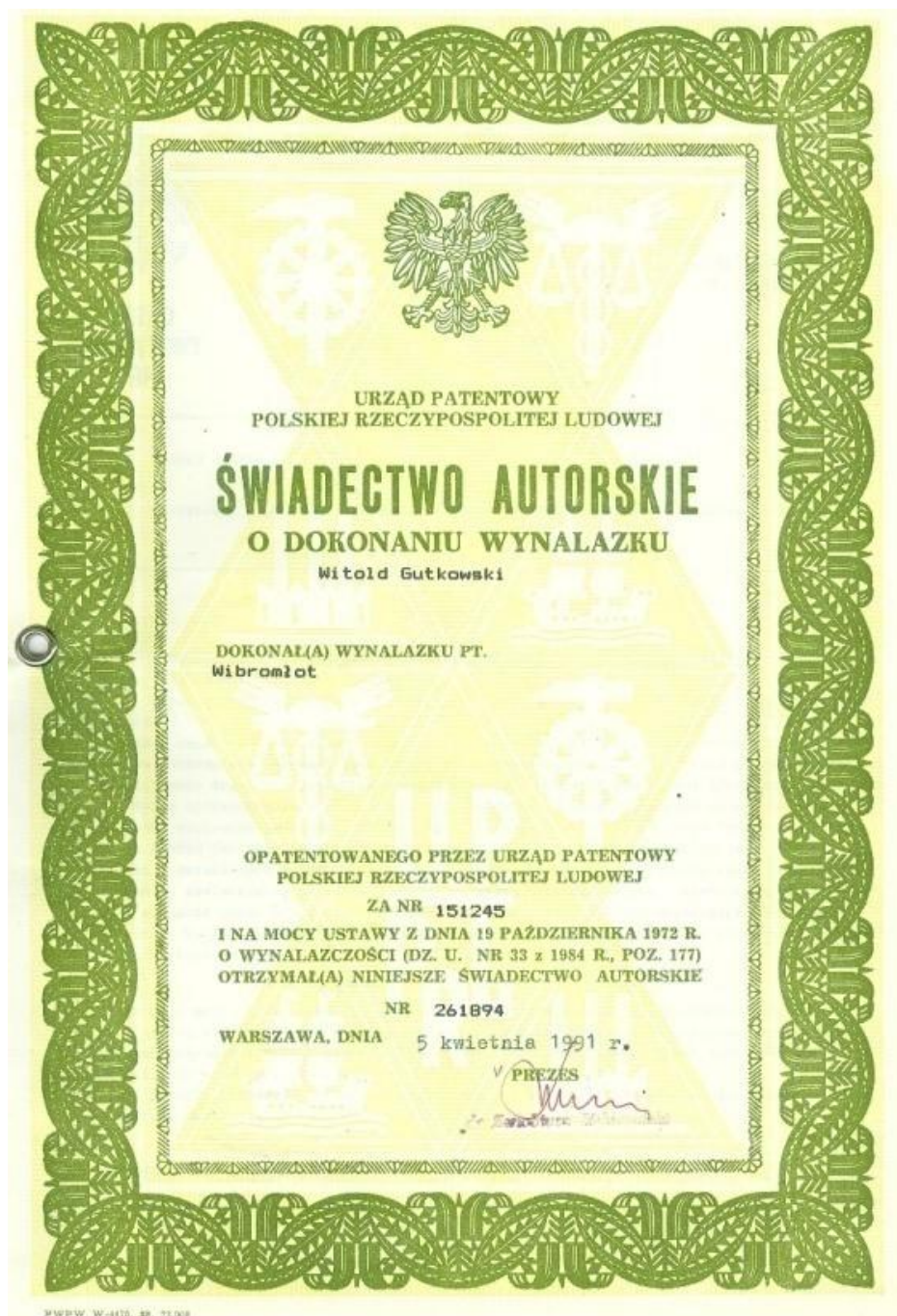
masztu można nie budować i że wystarczy do końca półkilometrowej anteny przyczepić balon! Po zapoznaniu się ze wszystkimi ofertami zaproponowałem komisji, aby brać pod uwagę propozycje tylko tych firm, które w ostatnich latach zbudowały konstrukcje co najmniej 200 - metrowej wysokości. Moja propozycja została przyjęta i na „polu bitwy” pozostały dwie firmy polskie i jedna duńska. Na tym skończyła się historia budowy nowego masztu w Gąbinie, jako że miejscowa ludność nie chciała go tam mieć, twierdząc, że szkodzą im emitowane przez maszt fale elektromagnetyczne. Nowe, niższe, maszty zbudowano w okolicach Solca Kujawskiego, ale już bez mojego udziału.



Prezydium Rady Naukowej
Od lewej prof. prof. Stanisław Oziemski, Gustaw Tyro
i Krzysztof Szymański



Rada Naukowa i Dyrekcja, maj 1979



Jedyny mój patent. Udoskonalony młot hydrauliczny.

25. Życie rodzinne

Jesteśmy z Marylką już jakiś czas razem. Rezygnuję z mieszkania na Żoliborzu, co mi umożliwiło staranie się o mieszkanie z puli Urzędu Rady Ministrów. Ostatecznie zamieszkujemy na Służewcu nad Dolinką, na ulicy Noskowskiego. Dotykają nas znane z wielu opisów PRL-owskie kłopoty z zaopatrzeniem, w tym w wyposażenie mieszkania. Wszystko „się załatwia”.

Ja pracuję, bez zmian, w obu instytutach. Marylka początkowo jeszcze pracuje w centrali PAN, ale potem przechodzi do Instytutu Geografii PAN. Agnieszkę odwozimy co rano do przedszkola na Ursynowie. Część dnia spędza u babci Jadzi, mamy Marylki.

W międzyczasie przyszły dwie propozycje. Prof. Budny, dyrektor IMBiGS, proponuje mi, abym się zapisał na listę chętnych do nabycia jednorodzinnej segmentu w osiedlu mającym budować się na Saskiej Kępie. W pierwszej chwili zdecydowanie odmawiam. Ledwie tu człowiek zipie finansowo z tym mieszkaniem, które dostałem. Po namowie decyduję się złożyć podanie. Oczywiście, jak przyjdzie do realizacji, a ona w czasie odległa, to zawsze mogę zrezygnować.

Druga propozycja pochodziła od Dona Boyera. Nazajutrz po przegranych wyborach na sekretarza Wydziału, siedzę jeszcze skacowany w swoim instytutowym pokoju, a tu telefon. Dzwoni Don Boyer i pyta, czy nie zechciałbym przyjechać do niego na rok, ale o tym już przed chwilą pisałem.

Dwie te propozycje jakby się spotkały. Po jakimś czasie po powrocie ze Stanów sprawa segmentu stała się aktualna, choćby dlatego, że przywożłem trochę „zielonych”.

Mam zgodę na wyjazd i wizę amerykańską. Niestety, Amerykanie odmawiają wizy Marylce. Decydujemy, że jadę sam. Planuję przyjazd na Święta Bożego Narodzenia i chcę jeszcze powalczyć o jej wizę. Nic jednak z tego nie wyszło, bo w międzyczasie wybuchł stan wojenny. Trudne rozstanie na kilkanaście miesięcy. Do stanu wojennego rozmawialiśmy przez telefon, potem pozostały listy kursujące ze znacznym opóźnieniem.

Po powrocie wracam do normalnej pracy. Natomiast Marylka zdecydowała się na studiowanie geografii na Uniwersytecie Warszawskim. Nie mały wysiłek, ale się opłacało, pozwoliło to jej bowiem z czasem wyzwolić się z zajęć administracyjnych i zająć się nauczaniem geografii w liceum. W tym czasie Agnieszka chodziła już do szkoły. Uczyła się bardzo dobrze i nie miała z nauką żadnych kłopotów.

Zaopatrzenie, szczególnie żywnościowe, w dalszym ciągu marne, chyba nawet gorsze niż w latach siedemdziesiątych. Mięso na kartki i wymagające stania w ogonkach, wódka na kartki, słodczy dla dzieci na karki, kłopoty z nabiałem, głównie z serem itp. Całe szczęście, że nie jesteśmy bardzo mięsożerni, a jarzyny można dostać w warzywniaku lub na bazarze. Pamiętam swoją wizytę w Rumunii, gdzie poznałem prof. Teodosiu. Oni to dopiero mieli kłopot. Musieli jeździć gdzieś daleko na prowincję, aby na lewo kupić worek kartofli wielkości orzechów włoskich.

W zaopatrzeniu wspomagał nas nieraz wujek Stacho, brat mamy Marylki. Mieszkał pod Ciechanowem i czasem nas wspierał kawałem świni czy jajkami. Było to szczególnie ważne w okolicach Świąt Bożego Narodzenia, które od wielu lat obchodzimy razem z rodziną siostry Marylki, Basią, Jarkiem, Martą, Filipem i oczywiście z babcią Jadzią. Nieodłączną częścią Wigilii, oczywiście poza jedzeniem, było śpiewanie kolęd. Po latach do rodziny dołączył Shean, przyjaciel Agnieszki. Pełni on „poważną” rolę rozdającego prezenty.

Budujemy nowy dom....

W 1985 r. uaktualnia się sprawa segmentu. Zdajemy sobie sprawę (ale jak się okazało - nie w pełni), za co się bierzemy, ale jednak decydujemy się na kupno segmentu. Z USA przywiozłem trochę dolarów, więc możemy się na to porwać.

Dom otrzymaliśmy w stanie, powiedzmy, półsurowym. Trzeba malować ściany, kłaść klepkę na podłodze, pokrywać ściany glazurą i wymieniać tak zwaną białą armaturę. Segmenty były budowane przez więźniów, więc wykonane prace były dalekie od norm, nawet tych słabych na ówczesne czasy. Ze względu na powszechne braki we wszystkim niektóre spółdzielnie mieszkaniowe prowadziły barterową wymianę. Wy nam dacie transport, maszyny, czy pracowników – w naszym wypadku więźniów, a my wam sprzedamy, dla waszych pracowników kilka mieszkań. Stąd chyba, złośliwa, nazwa osiedla „Czerwone Wierchy”.

Wszystko trzeba było „zdobywać” albo kupować w Peweksie. Ze względu jednak na bardzo drogiego dolara było to nie do osiągnięcia. Jednym słowem, każdy worek cementu, czy kilka cegieł urastało do rangi problemu. Jeżeli dodam kłopoty z benzyną, to obraz sytuacji będzie pełny.

Oficjalnie materiały budowlane można było (za złotówki) kupić w centralach, jak choćby BESAR na Radzymińskiej. Istniało jednak „drobne” ograniczenie. Trzeba było stanąć w ogonku już o czwartej rano, aby coś dostać, oczywiście, jeżeli to coś „rzucili”. Ogonek można było zamówić za parę złotych u nocnego stróża. Wszystko to jednak nie kończyło się sukcesem zakupu choćby glazury. Postanowiliśmy więc wybrać się na Radzymińską w Sylwestra, zakładając, że większość ludzi będzie zajęta przygotowywaniem się do obchodzenia Nowego Roku. Tak też było, udało się nam kupić trochę glazury, nie naszych marzeń, ale jednak była. W jej zakładaniu wyszedł jej podstawowy brak. Była twarda jak stal i żadne narzędzia glazurników jej się nie miały. Całe szczęście, że pracowałem w instytucie, w którym były różne maszyny. Przywiozłem więc elektryczną piłę diamentową, która dopiero mogła „ugryźć” zatwardziałą glazurę.

W końcu, po bez mała roku, przeprowadzamy się na Saską Kępę. A z tym pojawia się stary, nowy problem – zdobywanie mebli. Tu trzeba kogoś znać, tam pojechać do Łodzi, Rzeszowa czy Radomska. Jednym słowem polowanie, połączone z umizgiwaniem się do „mogących załatwić”.

Kraksa

Wracamy z Marylką i z Agnieszką z Zakopanego. Jesteśmy już blisko Warszawy, gdy wpada na nas rozpędzone koło ciężarówki, które urwało się z przyczepy. Był to chyba nietypowy wypadek. Uderzenie było tak silne, że pękła obudowa skrzyni biegów, otworzył się bagażnik. A blacha dachu pofalowała się. Oczywiście, przednia szyba poszła w drobniaki. Nam, całe szczęście, praktycznie nic się nie stało, nie licząc mojej rozciętej szkłem brody, która mocno krwawiła. Po wyjściu z samochodu i obejrzeniu uszkodzeń przyszła mi pierwsza myśl. Jak ja

załatwię karoserię, bo było oczywiste, że trzeba ją zmienić. W tym czasie zdobycie karoserii do FSO1500 granoczyło z cudem. Dobrzy ludzie skontaktowali mnie z prezesem jednej ze spółdzielni trudniącej się naprawami samochodów i mającej stosowne „możliwości”. Zostałem umówiony na godzinę siódmą rano. Pan prezes przyjął mnie życzliwie i wyjął pół litra, a sekretarka przyniosła kawę. Nie była to godzina, o której zwykłym pić wódkę, ale co się nie robi, aby dostać upragnioną karoserię. W trakcie rozmowy pan prezes otworzył klaser z licznymi wizytówkami. Pochodziły one od ważnych urzędników, przedstawicieli ambasad, lekarzy, adwokatów itd. Pokazując mi te swoje znajomości pan prezes, bez ogródek zapytał mnie: „Co pan może załatwić?” Co ja, biedny profesor mogę załatwić? Chwilę myślałem i żartując, powiedziałem: A może pan chce zrobić doktorat? Tak to ubawiło prezesa, że wyremontował mi samochód bez jakiegokolwiek barteru, ale oczywiście za pieniądze.



Agnieszka nad umiłowanym morzem



Marylka ze swoją Mamą (po lewej) i z Maniusią Sokołowską, moją Mamą Chrzestną



W Kazimierzu nad Wisłą z Jarkiem (klęczy) i Basią Siesickimi



Pierwsza moja prawnuczka Ashley u ojca na kolanach, w środku Monika, żona Grzegorza



Z Krysią i Grzegorzem na moich 80.
Urodzinach



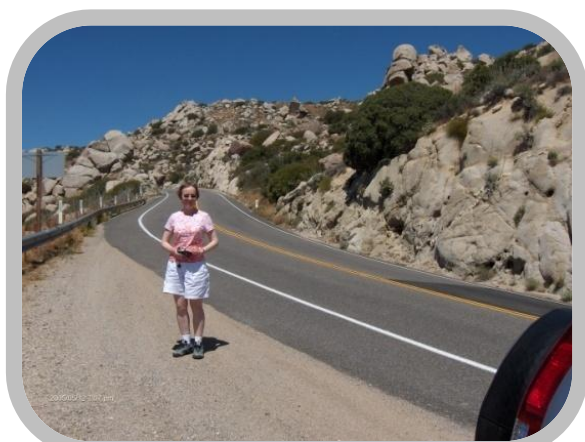
Marylka z siostrą Basią



Wojtek Jankowski (z prawej), kolegą od
piaskownicy do małej matury, z Marianem
Walczakiem kolegą ze studiów
u Wawelberga



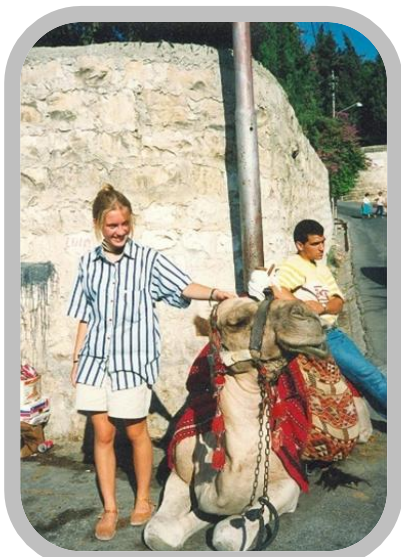
U kapitalisty Grzegorza w jego posiadłości
pod Chicago



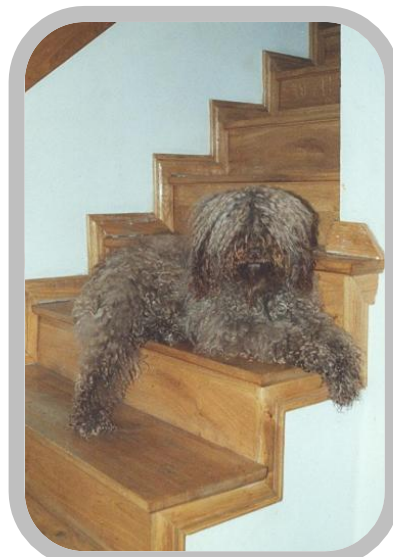
Z wizytą u Krysi w San Diego



Wojtek Leszkiewicz (syn mojej siostry Wandy)
z żoną Jolą



Aga obłaskawia wielbłąda w Jerozolimie



Funia towarzyszyła nam przez 14 lat

26. Ameryka, Ameryka 2

Wyjazd

Już wspomniałem, jak zbawienne było dla mnie przegranie wyborów na sekretarza Wydziału IV. Mogłem bez przeszkód skorzystać z propozycji Dona Boyera i zabrać się za przygotowania do sierpniowego wyjazdu. Najważniejszy element przygotowania, niestety, nie udał się. Ambasada USA odmówiła Marylce wizy. Decyduję się jechać sam, z nadzieją, że, w trakcie mojego pobytu w Stanach, da się wizę załatwić na Święta Bożego Narodzenia.

Na lotnisku w Nowym Jorku czeka na mnie Eileen z synami Erykiem (12) i Dustinem (10). Jedziemy vanem, a przed nami kilkudziesięciogodzinna jazda do Larami. Prowadzimy z Eileen na zmianę, po kilka godzin, zatrzymując się tylko po benzynę i na posiłki.

Zamieszkałem w małym domku wynajętym od Bila Lindberga, jednego z profesorów uniwersytetu. Samo Larami to typowe miasteczko uniwersyteckie, co oznacza, że poza campusem niewiele się w nim znajduje, nie licząc kilku kowbojskich barów. Najbliższe większe miasta to Fort Collins (godzina jazdy) i Denver (ze dwie godziny jazdy).

Uniwersytet liczył w tym czasie kilkanaście tysięcy studentów. W ostatnich latach University of Wyoming dał się dobrze poznać w dwóch dziedzinach: w badaniach związanych z programem Sojuz – Apollo i w badaniach klimatycznych. Te ostatnie były możliwe głównie ze względu na wysokie położenie Larami (ponad 2000 metrów) nad poziomem morza. Sam wydział mechanical engineering był nieco powyżej średniej podobnych wydziałów w USA.

Prowadziłem wykłady i współpracowałem z Donem w ramach jego grantu, a w końcu zaproponowałem utworzenie laboratorium z dynamiki. Jako wykładowca w Polsce zawsze marzyłem o laboratorium, gdzie można by pokazać w rzeczywistości to, co studenci znali tylko z wykładu. Tu moje marzenie spełniło się, dostałem kilkanaście tysięcy dolarów na przygotowanie serii eksperymentów. Bałem się jedynie, czy zdążę to zrobić przed wyjazdem, mając zakodowane w głowie nasze polskie kłopoty zaopatrzeniowe. Tutaj wszystko okazało się proste. Miałem katalog części, dzwoniłem do firmy, podawałem swoje nazwisko i uniwersytet i mogłem za kilka dni mieć każdą rzecz. Decyzja tylko polegała na tym, czy chcę przesyłkę otrzymać natychmiast, co oznaczało drożej, czy taniej za tydzień lub dwa.

Laboratorium bardzo się podobało i studentom, i wykładowcom. Na tym kończę opis mojej merytorycznej działalności i przejdę to obserwacji, mogą być dla czytelnika ciekawsze niż opis nauczania mechaniki.

Kraina Wyoming

Pół miliona mieszkańców na powierzchni mniej więcej trzech czwartych powierzchni Polski, to już daje obraz krainy niezaludnionej. Prerie, lasy, jelenie, bobrowiska, potoki pełne pstrągów to obraz Wyomingu latem. Zimą niekończące się, dziewicze połacie nietkniętego śniegu, raj dla lubiących narty biegowe. Ale zima bywała niebezpieczna i co roku pochłaniała ofiary śmiertelne. Piękna słoneczna pogoda, bez chmurki na całym niebie, potrafiła zamienić się w kilka sekund w burzę śnieżną, w czasie której człowiek tracił orientację.

Wybierając się więc na narty, trzeba było zabrać ze sobą nie tylko termos z kawą i jedzenie, ale i rakiетки. Te ostatnie, odpalone w krytycznych momentach, ułatwiają znaleźć zaginionego.

Byliśmy wielokrotnie z Donem na nartach. Nie były to najbardziej u nas znane biegówki, ale stosunkowo często używane w USA, narty turystyczne, zwane tam *cross country skies*. Urzekał urok bezkresnego śniegu, po którym przed nami nikt nie wędrował. Bardzo polubiłem ten rodzaj sportu.

Prawo popytu i podaży w Ameryce nie działa

Wyszedłem na spacer, aby trochę odetchnąć po wielogodzinnym siedzeniu. Nie uszedłem daleko, gdy zatrzymał się samochód, z którego wychyliła się Mary-Bet, przyjaciółka Eileen i zawołała, że dziś są jej urodziny i mnie zaprasza. Trudno było odmówić, więc wsiałam i jedziemy. Mary-Bet zatrzymała się koło sklepu alkoholowego, czyli tak zwanego tu *liquor store*. Myślałem, że ma zamiar kupić jakiś alkohol, ale Mary mija półki sklepowe i wychodzi na zaplecze. Tam, wśród skrzynek po whisky i innych trunkach, stoi kilku panów i popijając, rozmawiają. Okazało się, że to nie byle jacy panowie. Był wśród nich gubernator stanu Wyoming i prezes lokalnego banku. Stałem koło tego ostatniego, a rozmowa zeszła na temat Polski i naszej ekonomii. Na pytania prezesa tłumaczę mu, że w Polsce jest centralne planowanie, a nie jak w Stanach gospodarka oparta na prawie popytu i podaży. To moje stwierdzenie przyjął niemal z oburzeniem. Jakie tam prawo popytu i podaży, ostatni raz słyszałem o tym 20 lat temu na studiach! Gdyby pan jechał przez Stany 50 lat temu, to zauważyłby pan duże zróżnicowanie oprocentowania, jakie banki oferowały swoim klientom. A dziś? Rząd federalny ustalił dla całego kraju i wszystkich banków takie samo oprocentowanie - 16,75%. Jedyna różnica między bankami, to prezent, jaki pan dostanie, wpłacając, powiedzmy 10 tysięcy dolarów, np. serwis do kawy. I to ma być prawo popytu i podaży?!

Stan wojenny

Szykuję się do wyjazdu do Warszawy, na czas tutejszych ferii i właśnie domykam walizkę, gdy słyszę dzwonek i gwałtowne dobijanie się do drzwi. Otwieram, w drzwiach Davis, jeden z wydziałowych kolegów, który woła: „Witold, Witold! Martial law in Poland!!” Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale rozumiem, że coś złego. Po krótkiej rozmowie rozumiem już, że w Polsce został wprowadzony stan wojenny. Próbuję dodzwonić się do Marylki, ale połączeń już nie ma. Nie ma też lotów z Nowego Jorku. Jednym słowem, tragedia, tym bardziej, że media początkowo rysują sytuację w Warszawie podobną do tej, która miała miejsce w czasie zamachu stanu w Chile. Tysiące ludzi spędzonych na stadiony i stojących bez żadnej osłony na siarczystym mrozie. Powoli jednak dochodzą informacje bardziej zbliżone do rzeczywistości. Niemniej fakt niemożności połączenia się telefonicznego z Marylką i w ogóle z kimkolwiek w Polsce stwarza przygnębiającą atmosferę. Jedyne kontakty, jakie miałem, to był kontakt pośredni, a mianowicie przez Moskwę! W Moskwie w RWPG pracował Andrzej Lenczewski, którego znałem wcześniej z pracy w PAN. Okazało się, że można było zadzwonić z Warszawy do Moskwy, a z niej do Stanów. Był to kontakt pośredni, ale bardzo cenny.

Wizyta w szkole

Oczywiście, wzrosło zainteresowanie Polską. Dziennikarze, jak to dziennikarze, próbowali ze mnie wydusić jakieś informacje, czy komentarze. A ja miałem wiadomości tylko

z amerykańskich mediów. Pewnego dnia była w telewizji informacja o przemówieniu kardynała Glempa, ale przytoczono tylko niepełne jedno zdanie. I tu mnie dopadli, żebym komentował wypowiedź kardynała. W końcu kupiłem jakieś przyzwoite radio, na którym mogłem łapać stacje z wielu państw świata. Niestety, nie było wśród nich Polski.

Pewnego dnia dyrektor oddziału współpracy zagranicznej Uniwersytetu zapytała mnie, czy bym nie zechciał odwiedzić jednej z miejscowych szkół, spotkać się z uczniami i porozmawiać o sytuacji w Polsce. Oczywiście, zgodziłem się. Poprosiłem przy tym o wywieszenie w klasie mapy Europy.

Nie zaczynałem od wstępnej prelekcji. Nie bardzo wiedziałem, czego ode mnie uczniowie oczekują, więc poprosiłem o pytania. Były one bardzo różne. Od błahych, jak „czy w Polsce jest coca cola” po całkiem poważne. Zapytano mnie, czy jestem członkiem partii, na co odpowiedziałem twierdząco. Ale najistotniejsze pytanie, które umożliwiło mi przybliżyć sprawę Polski brzmiało: „Dlaczego Sowieci są tak zainteresowani Polską?” I tu przydała się mapa. Pokazałem, że Polska znajduje się niejako na szlaku wschód – zachód. Tędy szli Napoleon i Hitler na Moskwę. I tędy odbywały się ich odwroty. Stąd w rosyjskim pojęciu Polska jest „bliską zagranicą” i jest dla Rosji strategicznym miejscem w Europie.

Przyjazd prof. Władysława Grodzińskiego

Pewnego razu zaprosił mnie do siebie jeden wiceprezydentów Uniwersytetu. Chciał się mnie poradzić w sprawie polskiego profesora, który miał przyjechać z Uniwersytetu Jagiellońskiego i miał rozpocząć wykłady niedługo, w styczniu. Wiceprezydent zamierzał skierować w tej sprawie list do polskiej ambasady. Treścią jego pytania była forma listu. To, co mi pokazał, było dość ostre w tonie. Odradziłem mu to, mówiąc, że po takim liście polskie władze „staną dęba” i na pewno nic z tego nie będzie. Powiedziałem, że prawdopodobieństwo wypuszczenia prof. Grodzińskiego będzie większe, jeżeli list będzie w tonie spokojniejszy. Powinien napisać, że Uniwersytet czeka na wykłady wybitnego polskiego uczonego i wobec zbliżającego się terminu ich rozpoczęcia chcieliby wiedzieć, kiedy mogą liczyć na jego przyjazd. Taki list wiceprezydent wysłał. Nie wierzyłem w jego skuteczność, gdy ku mojemu zaskoczeniu Władek zjawił się. Dostał szybko polski paszport, a konsul amerykański wbijał mu wizę w milicyjnej suce pod konsulatem! Był to czas zakazu wstępu do amerykańskich placówek dyplomatycznych.

Wizyta w California Institute of Technology (Caltech)

Dziekan Departamentu *Civil Engineering*, Caltechu, zaprosił mnie do przedstawienia swoich prac na tamtejszym seminarium w drugiej połowie maja 1982 roku. Planowałem pojechać samochodem do Denver, a stamtąd do San Francisco samolotem. Niestety, 18 maja spadł w Wyomingu i w północnym Colorado taki śnieg, że szosa do Denver była nieprzejezdna. Musiałem lecieć z małego lotniska w Larami – i dłużej, i dłużej.

W Kalifornii wiosna w pełni i piękna pogoda. Bardzo rozległy i ładny campus, pełen kwiatów i zieleni. Szalony kontrast z campusem w Wyomingu.

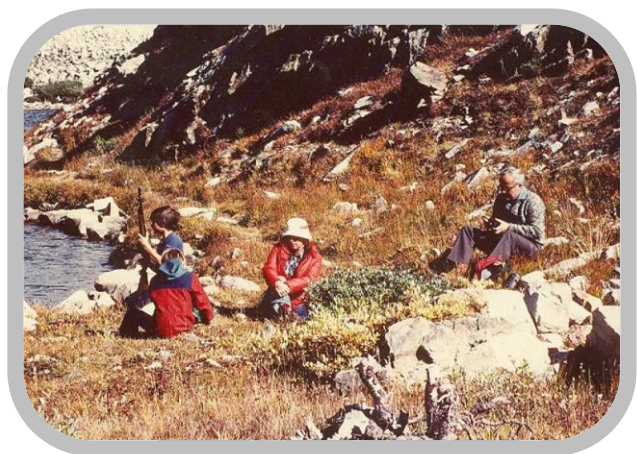
Po seminarium dziekan zaprosił mnie na lunch do uniwersyteckiego *faculty club*. Wyszukane dania, francuskie wino (broń Boże kalifornijskie!). W porównaniu z Larami wszystko robi wrażenie, wydaje się, że przebiega sztywno. Niezależnie od sytuacji profesorowie w garniturach, pod krawatami i w białych koszulach. W Larami chodziło się na wykłady w dżinsach i w swetrze. Ze szczytem swobody ubierania się zetknąłem się w biurze podróży, gdzie obsługiwała mnie bosonoga dziewczyna.

W San Francisco bardzo serdecznie przyjął mnie Stefan Medwadowski. Podobnie jak ja powstaniec Warszawy, ale po wyzwoleniu wyemigrował do Stanów. Jest inżynierem budownictwa i specjalizuje się w konstruowaniu budynków odpornych na trzęsienia ziemi. Współpracuje więc blisko z architektami i wykłada na Uniwersytecie. Cieszy się uznaniem w swoim środowisku, zresztą nie tylko amerykańskim, ale i międzynarodowym. Przez dwie kadencje był prezydentem IASS, międzynarodowej organizacji związanej z budownictwem, w której to byłem przez lata członkiem Rady Wykonawczej.

Wracam do domu

Kończy się mój kontrakt i trzeba decydować, co dalej. Z Kraju napływają coraz mniej niepokojące wieści. Uniwersytet proponuje mi stały kontrakt, tzw. *tenure*. Jednak nie zastanawiam się długo – wracam do domu. Koledzy z Wydziału organizują mi wzruszającą *go away party*. W Larami zostawiam grupę wspinających przyjaciół, z którymi przez lata utrzymywałem kontakt.

Przez Montreal (ze Stanów nasze samoloty jeszcze nie latały) lecę do Warszawy. Samolot pełen rodaków, a więc nareszcie polska mowa i polska atmosfera. Ktoś zamówił u stewardesy piwo, a próbując je, na całe gardło krzyczy: „Rany boskie, już jestem w ojczyźnie – ciepłe piwo podają!



Polowanie
W środku Eileen, ze strzelbą Eric



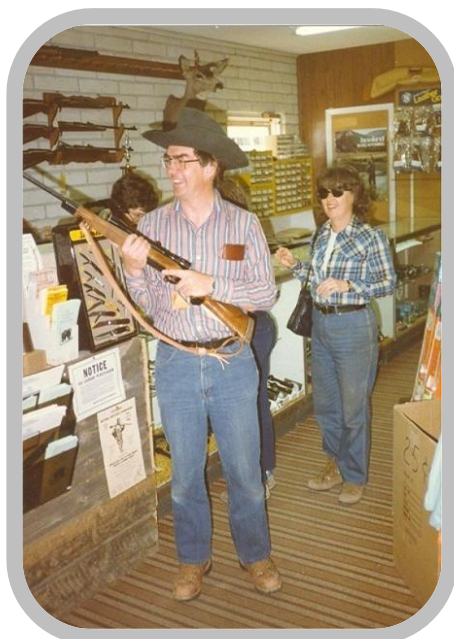
Rzeczywiście „wonderful”



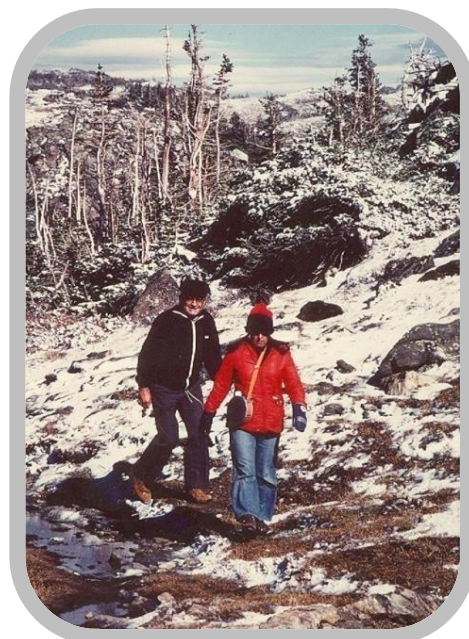
Uniwersytecki piknik



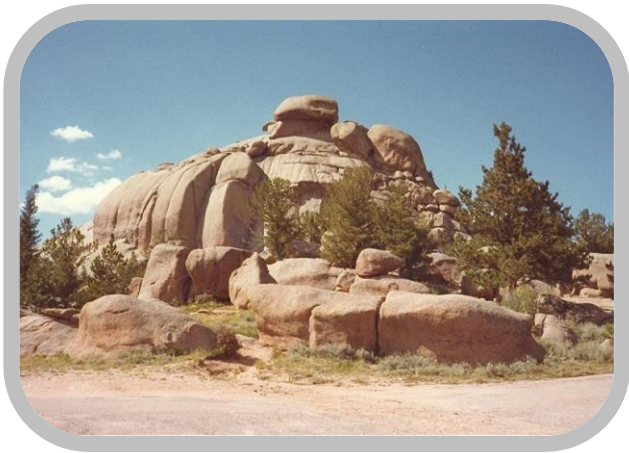
Z Eileen i Donem



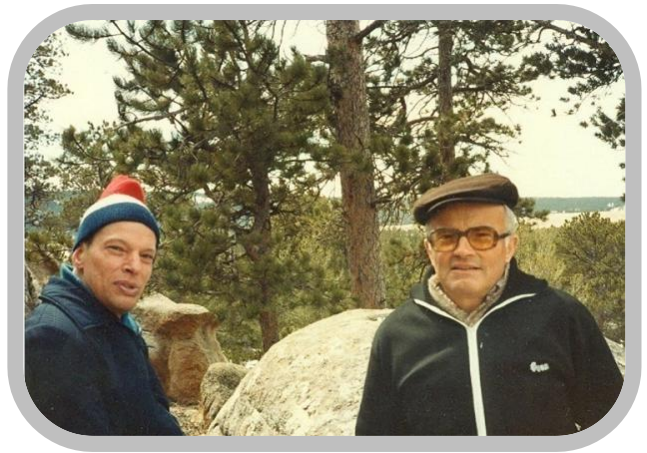
Strzelbę można już kupić w przydrożnym sklepiku



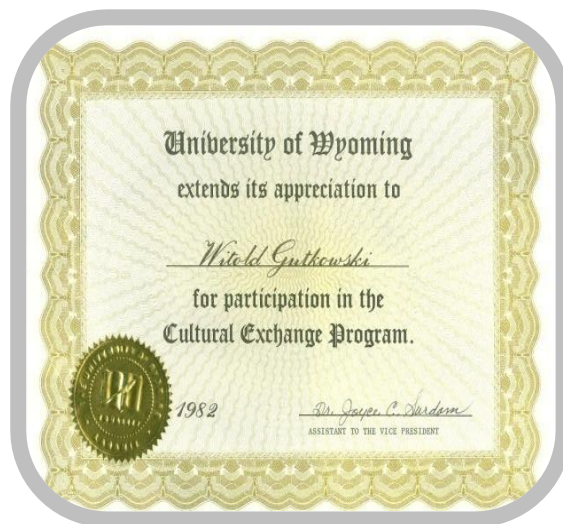
Z Eileen na bezdrożach Wyomingu



Indiańska kraina Vedan Woo



Z Prof. Władysławem Grodzińskim



Podziękowanie za spotkanie z uczniami

27. Trochę o działalności międzynarodowej i o podróżach z tym związanych

Moskwa

W czasach PRL podróże naukowe były głównie związane z wymianą pomiędzy akademiami KS, czyli krajów socjalistycznych. Najczęściej korzystałem z tego, jeżdżąc do Instytutu Problemów Mechaniki AN ZSRR, instytutu najbardziej zbliżonego do mojej działalności. Zwykle w czasie takiej wizyty uczestniczyło się w seminarium i prowadziło indywidualne dyskusje. Ubocznym „produktem” współpracy było zaopatrzenie. Wprawdzie ogólnie zaopatrzenie w żywność było w ZSRR znacznie gorsze niż u nas, ale były tam dostępne towary, których u nas brakowało, jak kawa czy bakalie. Dobre i niedrogo były wszelkiego rodzaju narzędzia.

Moskwa po 1990

Koledzy z jednego z moskiewskich instytutów organizowali konferencję na temat nowoczesnych konstrukcji. Zaprosili mnie na nią i zaproponowali wygłoszenie wykładu. Zjrzałem najpierw do informacji o konferencji, szczególnie na temat wpisowego i kosztów zakwaterowania, i wtedy stwierdziłem, że jest to poza moimi możliwościami finansowymi. Nadmienię, że doba w proponowanym na konferencję hotelu kosztowała 200 USD! Odpisałem grzecznie, że dziękuję za zaproszenie, ale nie mam środków na pokrycie tak kosztownej podróży. W odpowiedzi zaproszono mnie ponownie do wygłoszenia referatu, z tym, że organizatorzy zobowiązali się pokryć koszty wpisowego i hotelu. Mnie pozostało opłacić jedynie bilet lotniczy. Ostatecznie więc decyduję się na wyjazd.

Załatwianie spraw na terenie Moskwy organizatorzy zlecieli prywatnej firmie turystycznej. Był to mój pierwszy kontakt z prywatnym biznesem w Rosji. Działał bardzo dobrze. Komunikowaliśmy się e-mailami. Pewnego razu, gdy mnie nie było w Warszawie kilka dni i nie odpowiedziałem firmie na ich e-mail, informacje wysłano faksem.

Wylatuję z Warszawy pełen ciekawości zmian w Rosji. Ląduję jak zwykle na lotnisku Szeremietewo. Z walizkami bałagan jak zwykle, prawdziwa ruska ruletka. Przyleciałeś z Warszawy, a walizkę znajdujesz na taśmie samolotu z Londynu. To pewna prawidłowość na tym lotnisku.

Odprawa celno-paszportowa trwała chyba z godzinę. Bałem, się czy będzie ktoś tak długo na mnie czekał. Ale jest samochód i to bmw, choć nieco starszego wydania. Miły kierowca wiezie mnie do hotelu. Rozglądam się po drodze, co się zmieniło. Największa zmiana na billboardzie przy wjeździe do Moskwy. Kiedyś był na nim napis *wpierjod w komunizm*, czy coś w tym rodzaju. Teraz zamienione na *Heineken beer!*

W hotelu pierwszy kontakt z przedstawicielami biura podróży. Może biuro to przesada, bo tworzy je tylko kilka bardzo sympatycznych, elegancko ubranych pań, dobrze mówiących po angielsku. Są bardzo aktywne i chętne do udzielenia wszelkiej pomocy. Jednym słowem prawdziwa inicjatywa prywatna. Prawdziwy szok dla osoby nawykłej do opryskliwych bab z Inturistu.

Jest pora obiadowa, więc idę na miasto z zamiarem zjedzenia czegoś. Mam w pamięci z dawnych lat taką sytuację. Zobaczyłem z dala napis *restoran*, więc podszedłem, ale drzwi zastałem zamknięte, a na nich informacja: *piereryw na obied!* Tym razem jest znacznie

lepiej. Trafiam na nieduży samoobsługowy bar, a w nim wspaniały barszcz ukraiński, jeszcze lepszy kulebiak, no i oczywiście kwas chlebowy do popicia. Aż dziw bierze, że niedaleko od tego baru zauważyłem tłumy ludzi przy McDonaldzie.

Stare dało o sobie znać na konferencji, która odbywała się w siedzibie mera Moskwy. Duża sala w amfiteatralnym układzie, długi stół prezydialny, a na jego końcach dwa duże monitory SONY. Chyba jednak nie działały, bo organizatorzy ustawili na stole prezydialnym krzesło, na krzesle kilka książek, a na tej piramidzie rzutnik tej klasy co do wyświetlania bajek. Efekt był taki, że nawet z pierwszego rzędu było ledwo co widać. Trzeba było widzieć minę pierwszego wykładowcy, znanego architekta ze Szwajcarii.

Otwarcie konferencji opóźnia się, ponieważ czekamy na mera Moskwy, Łyżkowa, który ma uświetnić swoją osobą jej otwarcie. Wreszcie, z dwudziestominutowym opóźnieniem, mer się zjawia. Idzie sprężystym krokiem, za nim krótka przerwa i grupa współpracowników, czy ochroniarzy. Mer wypowiedział kilka okrągłych słówek, jaki to dla Moskwy zaszczyt gościć tak znakomitych uczonych i wyszedł.

Poruszanie się w samym budynku merostwa było ograniczone. Przed każdymi drzwiami, do kolejnych części merostwa, stał milicjant, sprawdzając, czy ma się stosowną plakietkę z nazwiskiem. Nie masz plakietki, to nie zjesz obiadu, bo do restauracji w merostwie wchodzić byle komu nie można.

Na zakończenie jeszcze coś starego, ale milszego. Tradycyjne przyjęcie z dużą ilością jedzenia i jeszcze większą ilością wódki i koniaku. Przyjęcie odbyło się na specjalnym statku płynącym po rzece Moskwie.

Jedno się tylko zmieniło. Dawniej nasi koledzy podnosili toast za polsko-sowiecką przyjaźń, a teraz za polsko-rosyjską.

Pisząc o przyjęciu, przypomniła mi się jedna z IASS-owskich konferencji w Moskwie, za Gorbaczowa. Jest więc przyjęcie, ale tym razem bez alkoholu. Stół ugina się pod zakąskami, a to faszerowane ryby, a to najróżniejsze wędliny. Do popicia oranżada! Kiwnąłem na obsługującego kelnera i zapytałem, czy nie mógłby w takiej butelce od oranżady przynieść trochę wódki. Nachylił się do mnie i z wielkim alkoholowym chuchem, orzekł – *nie!z!ja*.

Zaprosiłem moich rosyjskich kolegów po przyjęciu do mojego pokoju. Jak to było w zwyczaju, do Sojuza leciało się z buteleczką. Ale Gorbaczowa *nie!z!ja* spowodowało, iż tylko jeden z rosyjskich kolegów zjawił się na moje zaproszenie.

Moje podróże po świecie wynikały głównie z mojej działalności w International Association for Shell and Spatial Structures, w skrócie nazwanym IASS. W 1973 roku zorganizowałem konferencje IASS w Kielcach, przy współudziale prof. Henryka Frąckiewicza, wówczas rektora tamtejszej Szkoły Inżynierskiej. Pewnie organizacja konferencji spodobała się w IASS, albowiem zostałem wybrany do Rady Wykonawczej, gdzie wielokrotnie uczestniczyłem w organizowaniu konferencji w licznych krajach świata.



Witam uczestników konferencji IASS w
Kielcach
na Get Together Party 1973
Z prawej Rektor Szkoły Inżynierskiej w
Kielcach
prof. Henryk Frąckiewicz,
z lewej Prezydent IASS prof. André Paduart



Bankiet w opuszczonym kościele.
W środku prof. prof. Paduart i Frackiewicz.
W lewym górnym rogu prof. Donald Dean

Indie

Podróż samolotostopem

Akurat ta podróż nie była związana z działalnością w IASS. Zostałem zaproszony przez Hinduski Komitet Mechaniki do wzięcia udziału w ich kongresie w Madrasie, w 1973 roku. Na tę interesującą wyprawę pojechał ze mną prof. Henryk Frąckiewicz.

W tym czasie podróż zaczynała się LOT-em do Bejrutu, a stamtąd Air India do Bombaju. W Warszawie, w Air India, powiedziano nam, że mają kłopoty z połączeniem z ich przedstawicielem Bejrucie i nie mogą nam zrobić rezerwacji. Pocieszono nas jednak, że lecimy w okresie Świąt Bożego Narodzenia, a więc nie powinno być kłopotów z uzyskaniem miejsca na lot do Bombaju. Rzeczywistość okazała się mniej dla nas przyjazna.

W Bejrucie, ani w Air India, ani w żadnej innej linii, nie było miejsc na loty w najbliższych dniach. Na Święta wielu Europejczyków leciało do Indii, Sri Lanki i innych azjatyckich państw. Ktoś mądry doradził nam, abyśmy pojechali na lotnisko i sprawdzali kolejne samoloty, czy nie ma w nich przypadkiem wolnych miejsc. Chyba w trzecim, czy czwartym samolocie były dwa wolne miejsca. A więc lecimy!

Aby było weselej, po przylocie do Bombaju dowiedzieliśmy się, że na wewnętrznych liniach w Indiach trwa strajk i że większość lotów została skasowana. O to, aby się dostać do samolotu, który miał odlecieć do Madrasu, trzeba było stoczyć niemal bój. Ale z zaprawą socjalistyczną, w uzyskiwaniu rzeczy niemożliwych do uzyskania, plus rozpychanie się łokciami dostaliśmy się na lot do Madrasu.

Po wylądowaniu i wyjściu z lotniska rzuca się na nas tłum taksówkarzy. Każdy chce nas wieźć do Indian Institute of Technology. Wreszcie jeden zwycięża i jedziemy, ale mamy stracha na serio. W samochodzie nie działają biegi, nie mówiąc o migaczach, a kierowca jedzie z niemałą fantazją.

Indian Institute of Technology

Mamy zamieszkać na terenie uniwersyteckim, więc zgłaszamy się do administracji domu gościnnego. Do pokoju prowadzi nas bosy pracownik i kluczem otwiera kłódkę do pokoju, w którym mamy mieszkać. Trochę głupio mieszkać w pokoju zamykanym na kłódkę, ale później przekonaliśmy się, że większość pomieszczeń na uniwersytecie tak była zamykana.

Wychodzimy na zewnątrz, aby zapoznać się terenem. Instytut mieści się w pięknym parku, należącym niegdyś do brytyjskiego gubernatora. W parku niezwykle bogata flora i fauna. Niezwykłe drzewa i kwiaty, a wśród nich wolno żyjące białe jelenie, małpy skaczące po drzewach, a do tego oryginalne ptaki.

Jedzenie mamy zapewnione w uniwersyteckiej kantynie, specjalnej dla gości. Poszliśmy tam, ale niedługo tam zabawiliśmy. Dostaliśmy typowe hinduskie jedzenie, w miseczkach różne, jak to nazwaliśmy pački, a do tego ryż i coś w rodzaju naleśników.

W pewnym momencie chciałem poprosić o widelec, ale nikogo nie było na sali, więc sam wybrałem się do kuchni. I oto, co zobaczyłem. Brudne naczynia leżały na podłodze, a po nich chodziły małpy, wylizując je. Wróciłem do Henia i zapytałem, czy chce zobaczyć „Indian dishwasher”, opowiadając mu o tym, co zobaczyłem. Nasza reakcja była natychmiastowa: uciekamy jak najdalej od tej stołówki. Jeździliśmy więc po obradach do centrum taksówką, aby coś zjeść w, powiedzmy, europejskim hotelu.

Jedząc, przyglądaliśmy się trwającej niemal pod oknami hotelu budowie. Beton nosiły Hinduski w miskach na głowie. Jak się dowiedzieliśmy, zarabiały w ten sposób około 30 rupii miesięcznie. Dla porównania - nasza socjalistyczna, jednodniowa dieta wynosiła 60 rupii.

Pewnego dnia bezpośrednia droga pomiędzy centrum i uniwersytetem była zamknięta i taksówkarz musiał jechać inną drogą. To, co przy niej zobaczyliśmy, to po prostu makabra. Ciągące się budy, a właściwie kartonowe pudła, a przy nich wynędziali ludzie. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy na ten widok – oby tylko taksówka tu się nie popsuła!

Kongres kończy się bankietem. Przyjęcie odbywa się na świeżym powietrzu, a stoły są ustawione na trawniku. Mam zaszczyt siedzieć koło rektora instytutu. Czarny garnitur, bielsza od bieli koszula i sygnet, czy nawet kilka, na palcu. Zgodnie z hinduskim zwyczajem pan rektor je rękoma. Po jedzeniu bierze butelkę z wodą mineralną i pod stołem omywa sobie ręce.

Bangalore

Drugi etap naszej podróży po Indiach to Uniwersytet w Bangalore. Zaprosił mnie tam prof. N. Rudraiah, matematyk, pracujący głównie w obszarach mechaniki płynów. Mieszkamy u niego w obszernym domu. Na dole, koło jadalni, mały ołtarzyk z palącym się kagankiem. Żona profesora, doktor biologii, pełni rolę gospodyni domowej. W pamięci utkwiała mi czarna lamperia w kuchni, od połowy ściany w dół, podobnie jak w kuchni w Madras, skąd uciekliśmy.

Jest Nowy Rok. Profesor chce nas ugościć, zapraszając do restauracji. Jednak trochę przedobrzył. Zamówił dla nas indyka i whisky. Indyk w wykonaniu wegetariańskim jest ledwo jadalny. Normalnie bym odmówił, ale trudno to było zrobić, nie urażając gospodarza. A więc męczymy z Heniem hinduskiego indyka, a do tego popijając hinduską whisky, płynem, równie jak indyk, trudnym do przełknięcia.

W restauracji mamy małą ilustrację problemów kastowych. Nasz stół zappełnił się pustymi naczyniami, więc profesor zwrócił się do kelnera, aby je sprzątnął. Wywiązała się ostra dyskusja, z której niewiele zrozumieliśmy, z wyjątkiem tego, że kelner naczyń zabrać nie chce. Wreszcie, naciśnięty, wziął tacę i powoli zaczął zbierać naczynia, biorąc je do ręki tak jakby mu kazali zebrać wielkie g. Po zappełnieniu tacy podszedł do sąsiedniego stolika i rzucił ją nań z wielkim hałasem.

Profesor Rudraiah wytłumaczył nam, co się stało. Otóż obowiązywały zależności kastowe. Ten człowiek, który przyjmuje zamówienia i pobiera zapłaty, to kasta, w tej kategorii, najwyższa. Niżej plasuje się ten, co podaje jedzenia, a najniżej ten, co sprząta ze stołu. Profesor zażądał sprzątnięcia ze stołu temu, który należał do „kasty” podających, stąd jego sprzeciw.

Najgorsze było to, że po tym jedzeniu, a w każdym razie tak nam się wydawało, mocno nas pogoniło. Wybierając się do Indii, wzięliśmy ze sobą po kilka piersiówek. Raz, że Święta i Nowy Rok, a dwa - dla celów dezynfekcyjnych. Naczytał się bowiem człowiek, jak to Anglicy bronili się przed chorobami tropikalnymi, pijąc whisky. Niestety, wszystko wypiliśmy jeszcze w Madrasie. Szczęśliwie po dwóch dniach wszystko wróciło do normy.

Po pewnym czasie opowiedziałem naszą żołądkową historię pewnemu Hindusowi z Kalkuty. Powiedział, że za każdym razem, gdy przylatuje do Bangalore, też ma takie sensacje żołądkowe. Podejrzewał, że to sprawa miejscowej wody.

Po moim wystąpieniu na seminarium zorganizowano nam wycieczki do okolicznych świątyń. Przyznaję, że ich nazwy umknęły mi z pamięci. Pamiętam jednak ich różnorodność i liczne ozdoby w postaci precyzyjnych rzeźb o bardzo różnym charakterze. Przy niektórych świątyniach byli specjaliści przewodnicy, którzy zachęcali do oglądania różnych sprośnych rzeźb o charakterze seksualnym.

Ostatni etap podróży to New Delhi i oczywiście Tadź Mahal, jeden z siedmiu cudów świata. Rzeczywiście piękne mauzoleum wybudowane w dowód pomieci po zmarłej żonie przez jednego z indyjskich cesarzy w 17. wieku. Aby opisać piękno, trzeba mieć do tego talent, który nie jest mi dany, więc lepiej odeślę ewentualnie zainteresowanego czytelnika do licznych przewodników i opisów, które można znaleźć choćby w Internecie.

Ałma – Ata, ZSRR

W 1977 odbyła się konferencja IASS na temat lekkich konstrukcji powłokowych właśnie w Ałma-Acie, w tym czasie stolicy Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przed wyjazdem z Warszawy przyleciał do mnie Donald Dean. Wolał podróżować do zupełnie nieznanego mu świata w towarzystwie.

W Moskwie przejeżdżamy z lotniska Szeremietiewo na lotnisko Domadiewo. Mamy chyba około dwóch, trzech godzin do odlotu do Ałma-Aty. Kierujemy się więc do restauracji. Wprawdzie jest noc, ale można by się czegoś napić i kulturalniej posiedzieć. Ale nic z tego. Przed wejściem do restauracji stoi w liberii facet i nie wpuszcza, twierdząc, że *miest niet*. Widzę przez oszkloną ścianę szereg wolnych stolików, które pokazują portierowi, a on na to, że to miejsca dla matek z dziećmi. I co mu zrobisz. Ograniczamy się więc do bufetu, gdzie dostaliśmy zimną, mocno osłodzoną kawę z mlekiem. Brr.

Po kilku godzinach lotu lądujemy w Alma-Acie. Radzieckie bractwo ma siedzieć i czekać. Najpierw wysiadają zagranicznicy, czyli *inostrańcy*. Przy schodkach stoi sznur samochodów. Pierwszy to wielka czajka bez numerów rejestracyjnych. To dla prezydenta IASS, prof. Paduara. Za nią sznur kilkunastu czarnych wołów. Jedna dla jednego członka Rady Wykonawczej IASS. Reszta bractwa, zwykli uczestnicy konferencji, musiała się zadowolić autobusem. Na czele kolumny, samochód GAI (Gosudarstwiennaja Awtomobilnaja Inspekcja) z kogutem. Kawalkada rusza, kogut i syrena włączone. Dodatkowo GAIczyk ruga przez megafon tych, którzy ociągają się ze zrobieniem miejsca dla naszej kolumny. Zwykli uczestnicy pojechali do hotelu. My, władza stowarzyszenia, jesteśmy goszczeni w rezydencji premiera Kazachstanu. Kameralna atmosfera, dobre jedzenie, a do popijania kumys.

Będąc w nowym, szczególnie egzotycznym dla mnie miejscu, lubię odwiedzić lokalny bazar. Postanowiłem to zrobić i tym razem. Wychodzę z budynku, gdzie sznurem stoją nasze woły. „Mój” kierowca mnie zauważył i uruchomił silnik. Ponieważ nie chciałem mieć w mojej wyprawie towarzystwa, wycofałem się i jakimś tylnym wyjściem wyszedłem na samodzielną eskapadę.

Bazar był dla mnie pełnym zaskoczeniem. Po nędzy bazarów moskiewskich tu aż kipiało od towarów, szczególnie owoców. Stosy jabłek, winogron i innych owoców w najrozmaitszych odmianach. Szczególnie moją uwagę zwróciło mięso, a ściślej jego ceny. Najdroższa była baranina, następnie konina i wołowina, a na końcu wieprzowina. Niska cena wieprzowina wynikała pewnie z jeszcze zachowanych muzułmańskich zwyczajów.

W jedno z popołudni dla uczestników konferencji zorganizowano wycieczkę do miejscowego kołchozu, w którym pracowały dwadzieścia dwie nacje, w tym Polacy. Nie były to jednak odwiedziny samego kołchozu, a jedynie miejscowego sklepu i domu kultury, gdzie zorganizowano nam przyjęcie.

Przed sklepem stała grupa ludzi pilnowana przez milicjanta. Po wejściu do sklepu kierowniczką coś tam zachwalała i wszystkich poczęstowała kieliszkiem koniaku.

Gdy wyszliśmy ze sklepu i wsiedliśmy do autobusu, powiedziałem Donaldowi, aby się obejrzał, jak tylko ruszymy. Gdy tylko autobus ruszył, tłumek ludzi stojący przed sklepem zaatakował go. Wszyscy wpadli do środka. Nietrudno było się domyślić, że z okazji naszej wizyty sklep został specjalnie zaopatrzony. Była to więc okazja dla kołchoźników do zaopatrzenia się w coś ekstra.

Przyjęcie odbyło się w sali przypominającej obszerną stodołę. Wzdłuż stołów usytuowano podłużne piramidy z owoców, głównie jabłek. Gdzieś tam z tego stosu wystawały szyjki butelek. Głównym daniem był szaszłyk. Wspaniały, czegoś takiego wcześniej nie jadłem. Do tego oczywiście wódka, a dla ducha miejscowa kapela.



Rada Wykonawcza IASS
przed domem premiera Kazachstanu w Ałma-Acie
w 1972 roku

Chiny

Jedna z konferencji IASS odbyła się w 1987 w Pekinie. Zamierzaliśmy się udać tam razem z Marylką, ale biuro paszportowe odmówiło jej paszportu. Na pytanie dlaczego, odpowiedziano, że to konferencja naukowa i że ona nie ma tam co robić. Informacje o udziale osób towarzyszących nie odniosły skutku. Marylka przypomniała sobie, że ma koleżankę, Elę Chrustowiecką, w Phenianie, w Północnej Korei. Wysłała do niej telegram i kurierem dyplomatycznym z powrotem dostała od Eli zaproszenie do odwiedzenia jej. Otrzymanie wiz koreańskiej i chińskiej odbyło się bez większych kłopotów.

Phenian, Korea Północna

I tak, zamiast lecieć prosto do Pekinu, rozpoczęliśmy podróż od Phenianu. Miało to i tę zaletę, że lot w takiej kombinacji kosztował znacznie taniej. Ceny lotów w Aerflocie zależały bowiem od tego, czy samolot lądował w strefie rublowej, czy poza nią. Phenian był w tej strefie, a Pekin poza. Lot do Phenianu kosztował wtedy 56 tysięcy zł, a do Pekinu 300 tysięcy!

Do Phenianu lecimy z przesiadką w Moskwie. W samolocie z Moskwy większość to chyba Rosjanie. Zbliżamy się do lądowania, ale nic nie zapowiada lotniska, gdzie najczęściej widać liczne samoloty i budynki lotniska. Po wyjściu z samolotu i wejściu do budynku lotniska rozglądamy się nerwowo za naszymi gospodarzami, bo bez nich bylibyśmy w kłopotcie. Patrzymy - Ela jest! A więc można powiedzieć: jesteśmy domu. Musimy wypełnić formularze celne, ale jak to zrobić, skoro są one po koreańska. Ela mówi, żeby się nie przejmować i pisać po polsku.

Wsiadamy do czarnej wołgi i ruszamy do miasta. Na ulicach pustki, tylko od czasu do czasu miga jakaś limuzyna lub ciężarówka. Ela daje znać, pokazując na kierowcę, żeby ostrożnie rozmawiać. Dojeżdżamy do strzeżonej części miasta, gdzie mieszczą się ambasady. Ściślej rzecz biorąc, głównie ambasady KS. W tym czasie Korea Północna była jeszcze w stanie wojny z ONZ od 1950 roku. Bodaj jedyną zachodnią ambasadą była ambasada Szwajcarii, która do ONZ nie należała.

Phenian upamiętnił mi się głównie liczbą Kim Ir Senów. Wszędzie rzeźby, malowidła, mozaiki, a na nich w różnych postaciach uśmiechnięty wódz. Miasto niemal wymarłe. Na ulicach ludzi prawie nie ma, a ci, których spotykamy, starają się na nas nie patrzeć. Podobno większość mieszkańców miasta wywożono z rana na różne roboty. Jedno jest pewne, że o szóstej rano odzywały się głośno uliczne megafony. Padały jakieś niezrozumiałe słowa, a po nich „podnosząca na duchu” orkiestra.

Dwie główne „atrakcje” w mieście związane są oczywiście z wodzem. Kilka kilometrów od śródmieścia mieści się olbrzymi park, a w nim chatka, w, której urodził się Kim Ir Sen. Całość utrzymana w wielkim porządku, Koreanki z obsługi zamykały niewidoczne śmieci.

Do dyspozycji zagranicznych turystów były luksusowe hotele, piękna restauracja i sklep dolarowy. Ela z Januszem zaprosili nas na kolację do restauracji. Piękna sala, bogato zdobiona, ale poza nami nikogo nie było. Koreańskie jedzenie, w każdym razie na podstawie tego jednego przypadku, przypadło mi do gustu.

Dalian i Port Arthur

Przed konferencją w Pekinie mamy odwiedzić Dalian, dokąd rektor miejscowego uniwersytetu, prof. Gengdon Cheng, zaprosił mnie na kilkudniową wizytę. Ruszamy więc pociągiem łączącym Phenian z Pekinem. Przed dworcem liczna obstawa uzbrojonych mundurowych. Już kilkadziesiąt metrów przed budynkiem dworcowym sprawdzono nam dokumenty. O jakimkolwiek odprowadzaniu na peron nie ma mowy. Pociąg do Pekinu składa się z dwóch wagonów, a w nim trzech pasażerów, my z Marylką i jakiś dyplomata.

Po drodze mamy się przesiąść w Shenyang na pociąg do Dalian. Jeszcze z Phenianu wysłałam telegram do Chenga z informacją, że tego i tego dnia będziemy w Shenyang. Mała nadzieja, że telegram dotrze, ale nie szkodzi spróbować.

Chciałem się zorientować, kiedy będziemy w Shenyang i jakie mamy połączenie stamtąd do Dalian. Idę więc do konduktora z nadzieją, że czegoś się od niego dowiem. Niestety, zero kontaktu, nie mogę się porozumieć ani po rosyjsku, ani po angielsku. Na dodatek rozkład jazdy, który ma konduktor, jest po chińsku. Zrozumieć można tylko liczbowe oznaczenia godzin, ale to za mało.

Po kilku godzinach dojeżdżamy do granicy koreańsko-chińskiej. Dłuższy postój. Ponowne sprawdzanie wszystkiego i wszędzie. Wreszcie przekraczamy granicę i widzimy, że jesteśmy w innym świecie. W naszym pojęciu Chiny w tym czasie to kraj o bardzo ortodoksyjnym podejściu do wszystkiego. Tymczasem spotykamy ludzi śmiejących się i jakby swobodnie rozmawiających. Są nawet długowłosi młodzieńcy, nie do pomyślenia w Korei, gdzie wszyscy są strzyżeni według tego samego wzoru. To porównanie z Chinami jeszcze bardziej utwierdziło w nas przekonanie o ponurym, niewolniczym życiu w Północnej Korei.

W końcu, gdzieś już po północy, wysiadamy w Shenyang. Na peronie tłumy ludzi o czarnych włosach. Zastanawiam się, w którą stronę iść i nagle słyszę: professor Gutkowski, professor Gutkowski! Co za ulga! To Cheng powiadomił swoich kolegów z uniwersytetu w Shenyang o naszym przybyciu. Byli tak uprzejmi, aby w nocy odebrać nas z dworca i przewieźć do hotelu. Jak nas poznali w tym tłumie na peronie nie wiem, chyba po blond włosach Marylki.

Rano odprowadzili nas na odpowiedni pociąg do Dalian. Jadąc na dworzec z hotelu, zwróciliśmy z Marylką uwagę na olbrzymi pomnik Mao Tse-tunga.

W Dalian bardzo miłe przyjęcie przez Genga. Mieszkamy w hotelu uniwersyteckim. Stołujemy się w uniwersyteckiej restauracji, ze wspaniałą, oczywiście, chińską restauracją. Cała wizyta, można powiedzieć, standardowa. Spotkania na uczelni, seminarium i zaproszenie na kolację. Nie muszę mówić, że ze wspaniałym chińskim menu.

Zwiedzamy Port Arthur, kilka kilometrów od Dalian. Port znany z wojny rosyjsko-japońskiej na początku dwudziestego wieku. Po tym, już w czasie pierwszej wojny światowej, o wpływy w tym rejonie walczyli Niemcy i Anglicy, a do tego jeszcze dalej Japończycy. Wszystko to ma odzwierciedlenie w Port Arthur. Zwaliste, potężne budynki wybudowane jeszcze za cara i różne budynki koszarowe wydawnictwa angielskiego i niemieckiego. W 1945 Związek Radziecki odbił Port z japońskich rąk, by następnie przekazać go Chinom.

Pekin

Z Dalian do Pekinu lecimy samolotem. Mieszkamy w hotelu uniwersyteckim, poza centrum miasta. Sprawia to trochę kłopotów komunikacyjnych, ponieważ autobusy są przepełnione, a taksówki trudno dostępne. Dodatkowy kłopot polega na trudnościach w porozumiewaniu się z kierowcą.

Na uniwersytecie spotykamy naszego starego kolegę prof. Zhangweia, który studiował w Polsce, doktoryzował się w naszym Instytucie i mówi bardzo dobrze po polsku. Mało tego, tłumaczy polskie książki naukowe na chiński. Wspominał też o przetłumaczeniu „Pana Tadeusza”! Państwo Zhangwei przyjęli nas bardzo serdecznie i zaprosili na kolację. Mieliśmy okazję obejrzeć skromne chińskie mieszkanie. Szczególną uwagę zwracało słabe oświetlenie świetłówkami, a nie normalnymi żarówkami.

Dowiedzieliśmy się od nich sporo o czasach rewolucji kulturalnej, czasach represji i wywożenia ludzi nauki na prowincję. Na tle tych opowiadań bladły nasze PRL-owskie problemy.

Nie wspominam o samej konferencji, która niczym specjalnym nie różniła się od wielu międzynarodowych konferencji, w których uczestniczyłem.

Z turystycznych atrakcji to oczywiście historyczny Pekin. Zakazane Miasto, Plac Tiananmen, liczne świątynie, w tym Świątynia Nieba. Powstrzymam się od bliższego opisywania poszczególnych obiektów wobec licznych, dostępnych informacji na ich temat. Jedno jest pewne: te historyczne pomniki i ich historia wywierają niesamowite wrażenie. Ówczesny Pekin, jako miasto, pozostawiał raczej ponure wrażenie, a socjalistyczna architektura nie przystawała do historycznych, architektonicznych cacek. Nie byłem od tego czasu w Pekinie. Współczesny Pekin, mogę sądzić na podstawie informacji kinowych, telewizyjnych i relacji osób, które tam ostatnio były, to już zupełnie inne miasto. Liczbowo, pomiędzy latami 1987 i 2007, to tylko dwadzieścia lat. W rzeczywistości to cała epoka.



Puste, wymarłe miasto



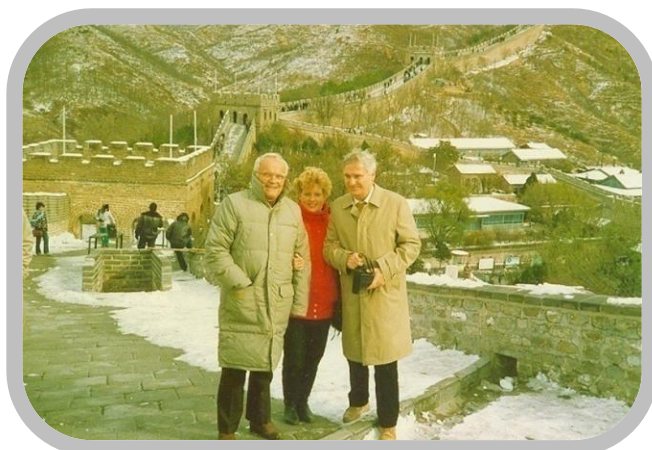
Groby zasłużonych



Z rodziną Chrustowieckich, na wspaniałej koreańskiej kolacji w pustej restauracji



Z Zygmuntem Makowskim, Mamoru Kawaguchi i z małżonkami



Niespodziewane spotkanie z prof. Henrykiem Ratajczakiem na Chińskim Murze



Spotkanie z pekińskimi przedszkolakami



Marylka w towarzystwie prof. prof. Stefana Medwadowskiego i japońskiego profesora

W Tsinghua Uniwersytecie
Program Pobytu Pana Profesora W. Gutkowskiego

	przed południem	po południem	Wieczorem
Poniedziałek	X Wycieczka do zwiedzenia lab.	wielkiego muru wykład	przyjście o 17.30 prof. Zhangwei
Wtorek			
Środa	X wykład	wycieczka do świątyni Budda	
Czwartek	wycieczka do góry pochazej: świąt. Bi-gu	wycieczka do świątyni nieba	
Piątek	wykład	wolny dla zakupu	

Program mojego pobytu na Uniwersytecie Tsinghua,
przygotowany przez prof. Zhangwei,
doktoranta IPPT PAN



Na kolacji u państwa Zhanwei

28. Koniec PRL

Latem 1982 wracam do Polski, jeszcze w czasie trwania stanu wojennego. Instytutowi przydzielono komisarza wojskowego, podobnie wszystkim uczelniom i instytutom. W naszym Instytucie komisarzem jest prof. Stanisław Kocańda, oficer i jednocześnie profesor Wojskowej Akademii Technicznej. Stasia wszyscy znaliśmy wcześniej ze współpracy czysto naukowej. Trzeba przyznać, że pełnił swą niewdzięczną funkcję z dużym taktem i z przekonaniem, że pierwsza rzecz to nie szkodzić.

W Instytucie wszyscy pracują, ale jednocześnie przeżywają bieżące wydarzenia, instytutowy bufet jest miejscem dyskusji i wymiany informacji. W tym czasie byłem członkiem egzekutywy organizacji partyjnej, co wiązało się z ciągłymi konfliktami z betonem partyjnym na poziomie komitetu zakładowego PAN. Sprawa, która najbardziej mi się utrwaliła w pamięci, to

Sprawa dr. Ryszarda Herczyńskiego. Po ogłoszeniu stanu wojennego dr Herczyński spotkał się z attache naukowym ambasady USA. W związku z tym został aresztowany i postawiony przed sądem wojskowym. W pierwszej instancji został uniewinniony, ale władze stanu wojennego nie odpuściły i dokonały „poprawki”, skazując go na rok więzienia.

Właśnie w czasie, gdy wróciłem, kończył się pobyt Herczyńskiego w więzieniu na Rakowieckiej. Jeszcze gdy przebywał w więzieniu, powstał problem przywrócenia go do pracy w Instytucie. Dla nas nie ulegało wątpliwości, że powinien wrócić do nas do pracy. Zdecydowanie przeciwni takiemu rozwiązaniu był twardogłowi sekretarze komitetu zakładowego, zresztą bez wątpienia wspierani przez twardogłowych wyższego szczebla. Na ten temat odbyło się szereg spotkań w Komitecie Zakładowym PAN. My za przyjęciem, sekretarze za zwolnieniem. I tak w koło. W końcu trzeba było podjąć decyzję, za którą formalnie odpowiadał dyrektor Instytutu, czyli w tym wypadku prof. Henryk Frąckiewicz. Uwzględniając wsparcie instytutowej organizacji partyjnej, dyrektor podejmuje decyzję o przywróceniu dr. Herczyńskiego do pracy.

I zaczęło się. Twardogłowi podejmują akcję unieważnienia tej decyzji, ale ich zabiegi przerwało masło. Tak masło! Nie pamiętam, czy w Polsce nastąpiły gwałtownie braki masła, czy podniesiono jego cenę. W każdym razie sprawa masła tak zaabsorbowała najwyższe czynniki partyjne, że nie miały głowy do sprawy Herczyńskiego, a twardogłowi z komitetu zakładowego, pozbawieni odgórnego wsparcia, zamilkli.

Po stanie wojennym

Instytut pracuje w miarę normalnie. Piszemy prace, odbywają się seminaria i konferencje. W 1984 lecę do Chin na kolejną konferencję IASS, a w 1987 zostaję przewodniczącym Komitetu Mechaniki PAN. Niemniej ciągle jest atmosfera wyczekiwania na to, co nam przyniesie jutro. Dziś, gdy próbuję uporządkować w głowie, co się działo w Polsce, to mam jedno kłębowisko myśli. Plączą się daty, zdarzenia i nazwiska. Wałęsa, Solidarność, Jaruzelski, Gorbaczow, pierestrojka i głośność, Michnik, Kuroń, strajki. Mogłbym oczywiście odtworzyć sobie to wszystko, czytając stosowne opracowania historyczne. Nie robię tego, ponieważ założyłem, że piszę tylko to, co naprawdę pamiętam. Zresztą, pisząc o szczegółach, musiałbym spisywać rzeczy powszechnie znane.

Koniec PZPR w Instytucie

Zaistniała sytuacja wpłynęła zasadniczo na obumieranie wszelkiej działalności partyjnej. Chyba gdzieś w końcu 1987 czy na początku 1988 odbyło się ostatnie zebranie, na którym

byłem. Skład cząstkowy, daleki od kworum. Deklaruję koniec działalności w organizacji. Ktoś mnie pyta, czy składam legitymację. Odpowiadam, że to nie ma znaczenia, bo oddanie legitymacji musi przyjąć większość organizacji, a taka większość od dłuższego czasu nie istnieje. Ponadto i tak Komitet Zakładowy PAN przestaje funkcjonować i zajmuje się strukturami równoległymi. Było to ostatnie zebranie organizacji partyjnej w Instytucie, a w każdym razie ostatnie, w którym uczestniczyłem. I tak instytutowa organizacja rozplynęła się w nicość.

Okrągły Stół

O ile poprzednie wydarzenia, jak wspomniałem, nieco mi się w pamięci pomieszały, o tyle Okrągły Stół dobrze mi się utrwalił. Nie wiem, czy to za sprawą telewizji, ale obraz samego stołu, jako mebla, a następnie zebrania się przy nim obu stron, solidarnościowej i rządowej, utrwalił mi się dobrze w pamięci. Człowiek całym sobą chłonał wszelkie informacje o stolikach, podstolikach i rozlicznych dyskusjach. Aż wreszcie doszło do najważniejszego, do ustalenia wyborów, to jest ich terminu i co najważniejsze, co do parytetów obsadzenia Sejmu i Senatu

29. Początek III RP

Wybory i pierwszy rząd RP

Jestem od kilku tygodni z wizytą na uniwersytecie w Grenoble, na zaproszenie prof. Philippe'a Trompette. Siedzę w auli i czekam na występy chóru, w którym ma śpiewać Christine, żona Filipa. Tuż przed początkiem występów wpada podniecony Filip i przekazuje mi wiadomość o wynikach wyborów. To rzeczywiście wielka rzecz! To już na pewno koniec PRL i początek RP! Niemniej ciągle człowiek czyta i nasłuchuje, czy nie będzie jakichś akcji ze strony odchodzącej władzy, próbującej ją utrzymać, albo choćby przedłużyć. Czytam więc na okrągło „Le Monde” i „International Herald Tribune”. Ale szczęśliwie nic złego się nie dzieje. Niestety, dobrym wiadomościom z Warszawy towarzyszą makabryczne wiadomości o masakrze studentów na Placu Tiananmen.

Po tym wydarzeniu nabierają tempa. W lipcu Zgromadzenie Narodowe wybiera Wojciecha Jaruzelskiego na Prezydenta RP, a chyba miesiąc później Tadeusza Mazowieckiego na pierwszego premiera IV RP.

W polityce i w rządzie pojawiają się nowe osoby, o których wcześniej nie słyszałem. Do nich należał niewątpliwie Leszek Balcerowicz. Zapewne znany był w kręgu ekonomistów, jednak ja usłyszałem o nim pierwszy raz, gdy został wicepremierem i ministrem finansów. Poza jego wystąpieniami w telewizji usłyszałem o nim kilka słów od prof. Bogdana Ciszewskiego, ówczesnego przedstawiciela PAN w rządzie. Bogdan mówił, że większość członków rządu brała udział w posiedzeniach, mówiąc dość ogólnikowo. Jedynie Balcerowicz był zawsze przygotowany i przynosił liczne wydruki z komputera. Swoje wystąpienia zawsze wspierał stosownymi danymi.

Najlepszy interes w życiu

Obok najważniejszych zmian ustrojowych nastąpiły także zmiany ekonomiczne. Z początkiem 1990 r. zaczęło działać szereg ustaw, zmieniających w zasadniczy sposób funkcjonowanie gospodarki. Powszechnie ten zestaw reform był nazwany reformą Balcerowicza - przejście od gospodarki centralnie planowanej do wolnej gospodarki kapitalistycznej. Dla mnie, podobnie jak dla wielu osób, które jeszcze w PRL zaciągnęły pożyczki, było to przejście od stałego oprocentowania do oprocentowania związanego z poziomem inflacji. Wobec tego, że inflacja w tym czasie wynosiła chyba 600%, musiałem podjąć decyzję, aby nie wpaść w większe zadłużenie. Segment, który mieliśmy w spółdzielni, kosztował siedem milionów złotych. Do 1990 mieliśmy spłacone trzy miliony. Należało się jak najszybciej pozbyć balastu w postaci czteromilionowego zadłużenia. Tu z pomocą przyszła nam bardzo słaba złotówka i oszczędności na koncie dolarowym. Na początku 1990 roku dolar był wart chyba rekordową liczbę złotych, bo dziesięć tysięcy. Tak więc cztery miliony były równoważne czterystu dolarom. Pobiegłem szybko, zaraz chyba drugiego, czy trzeciego stycznia, do Banku Handlowego i biorąc z konta czterysta dolarów, spłaciłem dług w ciągu kilku godzin. Tak więc kupiłem ponad połowę segmentu za czterysta dolarów! Kilka miesięcy później za cały dom proponowano mi 100 tysięcy dolarów! Takiego interesu nigdy w życiu nie zrobiłem.

Szybko zapełniają się półki towarami, zaczyna w pełni działać prawo popytu i podaży. Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się w sklepach maszyny do cięcia wędlin. A jeszcze niedawno mój skromny przydział wędliny, odstany w kolejce, ekspedientka kroїła tępowym nożem na półcentymetrowe plastry.

Ludzi nauki, sztuki i wszyscy lubiący podróżować z wielką ulgą przyjęli możliwość swobodnego poruszania się po świecie. Nie trzeba za każdym wyjazdem prosić o paszport, który teraz mam w biurku, a mój wyjazd, jeżeli mam na niego środki, zależy jedynie od mojej decyzji.

Nie wszyscy jednak odczuli dobrodziejstwo zmian. Wiele państwowych przedsiębiorstw, puszczonech na głęboką wodę kapitalizmu padło, a ich pracownicy stracili pracę. Starsi ludzie, żyjący z emerytury, wprawdzie mają możliwości kupienia wielu rzeczy, jednak nie mają na nie pieniędzy. Stąd, przez lata, w sondażach, duży procent Polaków wyraża swoją nostalgię za PRL-em.

Umacnia się kapitał ludzki. Ludzie studiują, biorą się za interesy, lepiej dbają o zdrowie. Jednym słowem, starają się wykorzystać swoje umiejętności i zdolności do poprawienia sobie warunków życia. Gorzej jest z kapitałem społecznym, opartym na wzajemnych relacjach społecznych i wzajemnym zaufaniu jednostek. Scentralizowana władza brała na siebie odpowiedzialność za wszystko, nie zostawiając wielkiego marginesu na społeczne inicjatywy. Dlatego też wielu z nas oczekuje, że obecna władza, czyli ten czy ów rząd, jest odpowiedzialna za każdy szczegół naszego życia i że my nie mamy na nic wpływu, z wyjątkiem sytuacji osobistej.

Wolność słowa i polityka

Możemy pisać i mówić, co chcemy, niezależnie od tego, czy mamy coś mądrego do powiedzenia, czy wręcz przeciwnie. Wolność słowa jest zagospodarowana głównie przez media, przez dziennikarzy. Polskie dziennikarstwo przekuło PRL-owską propagandę sukcesu (już doganiamy Włochów) na propagandę niepowodzeń (za nami już tylko Albania). Media żyją głównie z *bad news*-ów. A politycy, zgodnie z zasadami demokracji, mówią, jak jest dobrze, gdy są u władzy i jak jest źle, gdy są w opozycji. A ty człowieku, jeśli chcesz się dowiedzieć, jak jest naprawdę, to masz kłopoty.

W obszarze nauki, który mnie najbardziej interesuje, dominuje u polityków PRL-owskie myślenie. W dwadzieścia lat po zmianie ustroju, wprowadzają „nowe” ustawy oparte na ustawach sprzed kilkudziesięciu lat. Tu się coś skreśli, tam coś doda i powstają akty prawne niesprzyjające prawidłowemu rozwojowi badań w Polsce. W ostatnich latach ciągle spadamy w międzynarodowym rankingu określającym konkurencyjność gospodarki.

Spętany elektroniką i informatyką. Jeszcze w 1960 roku, będąc na Uniwersytecie Moskiewskim, korzystałem z komputera analogowego. Ale już w 1968, na Uniwersytecie Delaware w USA zapoznałem się z komputerem cyfrowym IBM. Potężnych kilka szaf, wymagających specjalnej klimatyzacji, ma moc jak dzisiejszy szkolny pecet. W Polsce przy braku dewiz podejmowano próby budowania krajowych komputerów. Jednym z nich była „Odra”. Nie był to cud techniki, ale jednak całe zastępy uczonych i inżynierów mogło zapoznać się dzięki temu z techniką komputerową, stosowaną w różnych dziedzinach. Świat pecetów był dla nas w PRL dość odległy. Poszczególne osoby przywoziły pojedyncze egzemplarze do własnego użytku. Sprowadzanie było ograniczone dwoma przeszkodami. Jedna z nich to brak dewiz, a druga to amerykańskie embargo na sprzedaż ich do państw z bloku wschodniego. Wracając z USA w 1982, chciałem przywieźć komputer, ale władze celne USA uniemożliwiły mi to. Miałem kłopot, bo już komputer kupiłem i musiałem go odsprzedać za pół ceny.

Po 1989 roku złotówki i dalszy rozwój elektroniki i informatyki umożliwił nam zaopatrywanie się w coraz lepszy sprzęt i oprogramowanie. Od kilkunastu lat nasz Instytut, jako jeden

z pierwszych, ma połączenie internetowe ze światem, a ja, mając swój adres, mogę komunikować się z całym światem. Zagłądanie do poczty elektronicznej to codzienny rytuał. Praktycznie już nie chodzę do banku, w każdym razie z płatnościami, wszystko załatwiam przez internetowy bank.

Zmiany zachodzą tak szybko, że człowiek za nimi nie nadąży. Myślałem, że tylko ja, starszy pan, mam kłopoty ze śledzeniem nowości. Okazało się, że taki kłopot mają też znacznie młodszy. Będąc w sklepie komputerowym, rozmawiam, zdaje mi się, z młodym człowiekiem i opowiadam o tym, że nie nadążam ze śledzeniem komputerowych nowości. A on na to, że on też nie nadąży i tylko młodzi śledzą wszystkie zmiany. Zdziwiony zapytałem, ile ma lat, a on powiada, że trzydzieści, a młodzi to ci, którzy mają po lat kilkanaście.

Oczywiście, elektronika i informatyka to nie tylko komputery. Nie mniej ważna jest komunikacja telefoniczna. Wydaje się, że jeszcze nie tak dawno kazano nam czekać kilkanaście lat na założenie telefonu, a dziś komórek jest w Polsce chyba więcej niż Polaków. Mój umysł już chyba nigdy nie ogarnie tego, że naraz na świecie mówi przez komórki miliardy ludzi, a to wszystko się nie popłącze. Będąc na Tajwanie, ze swojej komórki kliknąłem „dom” i po kilku sekundach byłem połączony z domem w Warszawie. I żaden Chińczyk nie włączył się do rozmowy. A za PRL nierzadko było tak, że człowiek podnosi słuchawkę i jeszcze nie wykręciwszy numeru, słyszy jakąś rozmowę.

Do komórki tak przywykłem, że jak zapomnę ją wziąć z domu, to czuję się prawie tak jakbym zapomniał założyć majtek. I tak przywykłem do urządzeń elektronicznych, że bez nich to jak bez wody w kranie. Jak nawali komputer, to czuję się tak, jakby mi odcięli wodę.

30. ZBOWiD, Światowy Związek Żołnierzy AK, Szare Szeregi

Gdzieś na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych spotkałem Toma. Jak wspomniałem wcześniej, razem z Tomem (Roland Parole) rozpoczynaliśmy Powstanie na Towarowej i razem zostaliśmy ranni na Wroniej, szóstego dnia Powstania. Gdy wycofywaliśmy się w kierunku Starego Miasta, na Elektoralnej spotkaliśmy krewnego Toma. Był on fotografem i zrobił nam zdjęcie, dosłownie minuty po tym, gdy zostaliśmy ranni. Tom pokazywał mi je i nawet przymierzałem się, aby zrobić dla siebie kopię dość zniszczonego oryginału. Okazało się, że zbyt się ociągałem, bo w międzyczasie Tom wyemigrował do Szwajcarii i straciłem z nim kontakt na długo. Gdy po latach spotkałem go ponownie, był w zaawansowanym stadium stwardnienia rozsianego. Nie miałem sumienia pytać go o zdjęcie.

Z resztą drużyny spotkałem się znacznie później. W czasie okupacji znaleźmy tylko swoje pseudonimy i kilka adresów, nie tyle zapisanych, co zapamiętanych. Utrudniało to odnajdywanie się, tym bardziej, że w czasie Powstania zostałem w końcu sam, gdyż z Tomem zgubiliśmy się przy Hipotece, w czasie nieudanej przeprawy górą do Śródmieścia. Inna rzecz, że i ja niezbyt aktywnie szukałem swoich druhów. Studia, praca, rodzina sprawiały, że byłem bardziej zapatrzonej w teraźniejszość niż w przeszłość.

Już później, nie pamiętam zbyt dokładnie okoliczności, spotkałem się z Wojtkiem Marcinkiewiczem, który zebrał i zorganizował niedobitki naszej drużyny. Większość kolegów pochodziła z Ochoty, znali się często nie tylko z konspiracji, ale również z czasów szkolnych. Znacznie ułatwiało to odnalezienie się. Ja byłem jednym z nielicznych z dalszej dzielnicy, jakim był Żoliborz. Kolegów, którzy rozpoczęli Powstanie na Ochocie, łączyła ponadto tragedia tej dzielnicy i tragedia pod Pęcicami, gdzie we wspólnej mogile pochowanych jest blisko setka Powstańców. Przez wiele lat poszczególni druhowie w mojej pamięci byli zapisani pod pseudonimami. Potrzebowałem lat, żeby przejść z pseudonimów, że wymienię, choć kilku, jak „Kubuś”, „Tom”, „Kajtek”, „Allan”, „Młot”, „Tex”, „Dobry”, „Kuna”, na prawdziwe imiona.

Od spotkania z Wojtkiem zacząłem uczęszczać na zebrania środowiskowe żołnierzy Ochoty początkowo pod kierownictwem Jerzego Modro, a następnie Wojtka Marcinkiewicza. Wszystko to odbywało się pod auspicjami Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, czyli tak zwanego ZBOWiD-u. Zebrania te odbywają się po dziś dzień, aczkolwiek są coraz mniej liczne. Kolejni nasi koledzy odchodzą na wieczną wartę.

Z czasem, po 1989 roku, zniknął ZBOWiD i powstał Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, w jego ramach Okręg Warszawski, a w nim Środowisko IV Obwodu Ochota. W tym samym czasie powstało Stowarzyszenie Szarych Szeregów, a w nim Krąg „Prochownia”, do którego należę. Nazwa ta pochodzi od bloku organizacyjnego „Prochownia” z czasów wojny. Przez wiele lat nie uczestniczyłem w działalności Kręgu. Kierowała nią osoba, która tę organizację silnie upolityczniła.

Ważnym elementem naszej wzajemnej łączności są coroczne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego. Odbywają się one w niedzielę poprzedzającą 1 sierpnia, w Pęcicach, gdzie jak wspomniałem, miała miejsce krwawa bitwa w nocy z pierwszego na drugiego sierpnia. W parku znajduje się pamiątkowa tablica upamiętniająca śmierć naszych kolegów. Przy kościele odprawia się mszę polową, a następnie apel poległych pod pomnikiem z nazwiskami tam pochowanych. Po południu zbieramy się na ogół już towarzysko,

wspomagając wspomnienia odrobiną alkoholu. Niestety, jest nas coraz mniej i takie liczne spotkania przeszły już do historii.

Kilku z nas okoliczności rozrzuciły po świecie. Jednym z nich był Zbyszek Kałużyński, który po Powstaniu, trafił do niemieckiej niewoli, gdzie pracował w kopalni. Stamtąd wyemigrował do Australii. Zawsze tęsknił za Polską, którą odwiedził 12 razy! Kilka miesięcy przed jego śmiercią odwiedziliśmy z Marylką jego i jego żonę, Basię, w Perth, gdzie mieszkali. Zbyszek wybierał się na uroczystości związane z 65. rocznicą Powstania, miał już zarezerwowany bilet lotniczy. Niestety, w maju zmarł.

Sześćdziesięciolecie Powstania Warszawskiego

Rok 2004, sześćdziesiąta rocznica Powstania Warszawskiego. Można powiedzieć, że jakby od tego momentu świat zaczyna rozróżniać Powstanie w Getcie od Powstania Warszawskiego, a właściwie często dowiadywać się o nim po raz pierwszy. Nastąpił prawdziwy najazd korespondentów zagranicznych. Ponieważ tylko niektórzy z nich mówili po polsku, a liczba Powstańców znających wystarczająco obce języki była niewielka, miałem ręce pełne roboty. Był to dla mnie trudny moment. Były to ostatnie chwile przed kongresem IUTAM, któremu przewodniczyłem, więc miałem czas zajęty od rana do nocy. Musiałem jednakże wygospodarować trochę kilkugodzinnych spotkań z korespondentami zagranicznymi. Bardzo te spotkania przydały się. Relacje z moich przeżyć powstańczych ukazały się w kilku pismach zagranicznych. Między innymi w artykuły Thomasa Rosera w „Stuttgarter Zeitung” i „Frankfurter Rundschau”. O tych artykułach dowiedziałem się pośrednio. Opowiedział mi o nich mój austriacki kolega prof. Mang, przy jednym z naszych spotkań.

Korespondentka BBC Beata Steinhorst, z berlińskiego oddziału tej rozgłośni, przeżywała chyba najgłębiej informacje o Powstaniu. Ciągle nie mogła uwierzyć w to, co się tu działo. Wyrażała nawet, jako Niemka, swoją niejako współodpowiedzialność za to, co Niemcy tu wyczyniali. Jej zadaniem było między innymi nadanie kilkunutowej ze mną rozmowy na placu Krasińskich, przy wlocie do kanału, dla BBC. Niestety, pomimo kilku kolejnych prób technikom nie udało się połączenie.



Pomnik ku pamięci poległych w bitwie pod Pęcicami



Apel poległych



Jedno z sierpniowych spotkanie w Pęcicach. Od lewej : Zdzisław Dobrzyński, Tadeusz Zieliński, Juliusz Szczepański, Kazimierz Badziński, Wojciech Marcinkiewicz, Stefan Pastewka



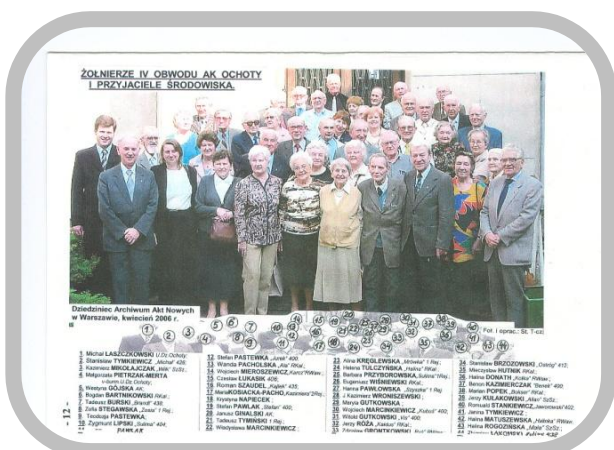
Dziennikarze Thomas Rosner z Frankfurter Rundschau i Adam Easton z warszawskiego oddziału BBC zaproszeni przeze mnie na uroczystości 60 lat Powstania Warszawskiego w Pęcicach



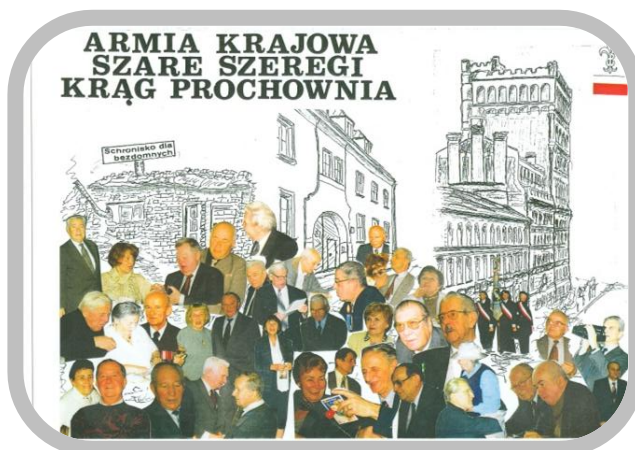
Pochylony sztandar IV Obwodu AK Ochota nad grobem ppłk. Mieczysława Sokołowskiego, Dowódcy Zgrupowania



Odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci naszego Drużynowego „Orlika”, Wiesława Perlikowskiego w miejscu jego tragicznej śmierci na Nowogrodzkiej.



Żołnierze IV Obwodu AK Ochota na dziedzińcu Archiwum Akt Nowych, kwiecień 2006



31. Modelowanie w mechanice, PTMTiS

W latach sześćdziesiątych zaznaczył się znaczny wzrost badań w obszarze ogólnie pojętej mechaniki. Wzrastała liczba młodszych osób zainteresowanych tą dziedziną nauki, płodną w problemy teoretyczne jak i istotną ze względu na liczne ważne zastosowania. Głównym organizatorem życia naukowego społeczności polskich mechaników był prof. Witold Nowacki. Z jego inicjatywy powstało Polskie Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej, mające na celu integrowanie środowiska i krzewienie zainteresowania tą ważną dziedziną nauki. Z czasem w ramach Towarzystwa rozpoczęło działalność czasopismo „Mechanika Teoretyczna i Stosowana”, dziś wydawane w języku angielskim, jako „Journal of Theoretical and Applied Mechanics”.

Towarzystwo miało swoje oddziały niemal we wszystkich ośrodkach akademickich w Polsce. Niektóre z tych oddziałów prowadziły i nadal prowadzą bardzo ożywioną działalność. Do takich bardzo aktywnych oddziałów należy Gliwicki Oddział PTMTiS. Przed bez mała pół wiekiem zorganizowano tam pierwsze ogólnopolskie sympozjum poświęcone mechanice. Sympozjon „Modelowanie w mechanice” na trwałe wpisał się do kalendarza polskich konferencji mechanicznych. Bierze w nim co roku udział ponad półtorej setki uczonych.

Jakieś dwadzieścia lat temu profesorowie Tadeusz Burczyński i Eugeniusz Świtoński z Politechniki Śląskiej, odpowiedzialni w tym czasie za działalność oddziału gliwickiego Towarzystwa, zwrócili się do mnie z propozycją objęcia przewodnictwa komitetu naukowego Sympozjonu. Na miejscu były jakieś kłopoty personalne i Tadeusz z Eugeniuszem poszukiwali kogoś spoza „układu”. Zgodziłem się i tak od lat pełnię obowiązki przewodniczącego komitetu naukowego, proponując między innymi wykłady otwierające obrady. Staram się poszukiwać tematów i autorów z nowych obszarów badawczych. Oczywiście, jak w wypadku wszystkich konferencji, najważniejsze osoby to organizatorzy. Od lat z wielkim powodzeniem Sympozjon prowadzi profesor Świtoński, przekazując obecnie pałeczkę profesorowi Arkadiuszowi Mężykowi, przedstawicielowi młodszego pokolenia profesorów. Trudno nie wspomnieć o pani Ewie Opoce, która od lat redaguje materiały konferencyjne, dbając o ich niezaburzoną slangiem naukowym polszczyznę.

Przez wiele lat prace wygłaszane na Sympozjonie były publikowane w zeszytach naukowych Katedry Mechaniki Stosowanej Politechniki Śląskiej. Ostatnio powstało czasopismo pt. „Modelowanie Inżynierskie”, w którym pełnię zaszczytną funkcję przewodniczącego Rady Programowej.



Otwarcie 44. Sympozjonu



Niestrudzeni organizatorzy
prof. prof.
Eugeniusz Świtoński i Arkadiusz Mężyk



Z nestorem Sympozjonów
prof. Bogdanem Skalmierskim



Panie Ewa Opoka redaktor wydawnictw konferencyjnych
i Zdzisława Skopińska jako pierwsze witają uczestników Sympozjonu



Panowie Damian Gąsiorek i Paweł Jureczko
członkowie Komitetu Organizacyjnego



Wieczorem grill z harmonią

32. ICTAM04, czyli Międzynarodowy Kongres Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej w Warszawie w 2004 roku

Komitety Mechaniki PAN

Już w latach osiemdziesiątych zaangażowałem się w działalność społeczną w Komitecie Mechaniki Polskiej Akademii Nauk. Komitety Akademii tworzy kilkudziesięciu członków, a ich główne zadanie to integracja środowiska związanego z daną dyscypliną. Komitet Mechaniki został powołany w 1960 roku z inicjatywy prof. Witolda Nowackiego, późniejszego prezesa PAN.

W dość powszechnym rozumieniu pojęcie *mechanika* kojarzy się najczęściej z mechaniką samochodową. Tymczasem jest to bardzo obszerny dział nauki zajmujący się badaniem zjawisk zachodzących w wielu dziedzinach - od nanomechaniki, biomechaniki po mechanikę prądów morskich i huraganów. Zajmuje się więc procesami zachodzącymi w materiałach, maszynach, konstrukcjach i procesach technologicznych pod wpływem działających sił i temperatury. Dziś szczególnie mechanika stosowana jest często sprzężona z innymi gałęziami wiedzy jak informatyka, czy elektronika.

W latach 1987-1991, przez dwie kadencje, byłem przewodniczącym Komitetu, a więc w okresie przejścia od PRL do RP. W pierwszej kadencji byłem przewodniczącym mianowanym, ale już w drugiej kadencji na przewodniczącego zostałem wybrany.

Z funkcją przewodniczącego była związana funkcja delegata PAN do Międzynarodowej Unii Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej (IUTAM). Polegała ona na udziale w Zgromadzeniach Ogólnych Unii (General Assembly). Liczba przedstawicieli w Zgromadzeniu jest zależna od wysokości składki, jakie dane państwo wnosi do Unii. Polska ma dwóch delegatów, a USA sześciu.

Polscy mechanicy wkrótce zyskali w Unii uznanie. Silna pozycja mechaniki w Polsce, która rozwinęła się po wojnie, sprawiła, że znaleźliśmy się w pierwszej dziewiątce najsilniejszych państw w tej dziedzinie. Wyraża się to tym, że kraje „dziewiątki” mają uprawnienie do samooceny referatów na kongresy.

W chwili obecnej IUTAM jest jedną z 22 unii zorganizowanych w Międzynarodowej Radzie Unii Naukowych (ICSU).

IUTAM i jej kongresy ICTAM

W pierwszej wojnie światowej istotną rolę odegrały samoloty i okręty. Zapewne nietrudno było przewidzieć ich dalszy rozwój i dlatego słynny mechanik, prof. Theodore von Kármán, zaproponował spotkanie uczonych w celu przedyskutowania problemów związanych z tą dziedziną techniki, a mianowicie aerodynamiką i hydrodynamiką.

Zwołanie takiej konferencji nie było łatwe, bo pamięć po wojnie, która skończyła się cztery lata wcześniej, była tak silna, że nie wszyscy chcieli zasiadać do konferencyjnego stołu z Niemcami. Niemniej von Kármánowi udało się zebrać około trzydziestu uczonych z Europy w Innsbrucku w 1922 roku. Sukces tego spotkania spowodował, iż już w 1924 roku zwołano w Delft pierwszy Międzynarodowy Kongres Mechaniki Stosowanej. Słowo „teoretycznej” pojawiło się później. W kongresie wzięło udział około dwustu uczonych, ale bez Francuzów, którzy dalej nie chcieli współpracować z Niemcami.

Pominę dalszy rozwój kongresów i utworzenie unii, odsyłając zainteresowanych do strony internetowej IUTAM.

Rozpoczynamy zabiegi o zorganizowanie kongresu w Polsce

Kongresy odbywają się co cztery lata. Miejsce danego kongresu jest ustalane cztery lata wcześniej w trakcie trwania kongresu poprzedniego.

Przyglądając się organizacji kongresów we Francji i w Izraelu, doszedłem do wniosku, że jesteśmy w stanie zrobić to równie dobrze, a nawet lepiej. Zaproponowałem więc kolegom z Komitetu Mechaniki, któremu w tym czasie przewodniczył prof. Gwidon Szefer, podjęcie próby uzyskania decyzji Komitetu Kongresowego Unii w sprawie zorganizowania kongresu w Polsce.

Nie było to łatwe z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że organizacja kongresu była uważana za coś prestiżowego w międzynarodowej społeczności mechaników i było sporo chętnych do goszczenia go. Po drugie, wprawdzie w kraju uważaliśmy, że Unia powinna podjąć decyzję organizacji kongresu u nas, ale wielu kolegów nie dawało wiary, że jest to możliwe. Istniało przeświadczenie, że Unia jest zdominowana przez kilka krajów, a my nie mamy odpowiedniego przebiccia. Niemniej jednak podjąłem próbę uzyskania przychylnej decyzji Unii.

KIOTO1996

Zgłaszam więc gotowość organizacji ICTAM2000 w Warszawie. Taką gotowość zgłaszają również USA i dwa inne państwa, których nie pamiętam. Wypadliśmy całkiem nieźle, bo na drugim miejscu po Stanach. Amerykanie bardzo dynamicznie przeprowadzili swoją akcję na zebraniu Congress Committee. Szczególnie wykorzystali, nie dość formalnie, sprawę proxy. Chodziło o to, że na posiedzeniach Zgromadzenia Ogólnego można było głosować w zastępstwie innego członka Zgromadzenia, pod warunkiem posiadania stosownego upoważnienia na piśmie. Amerykanie podnieśli sprawę proxy, twierdząc, że pisali listy, pytali i otrzymywali zapewnienia, że będą mogli skorzystać z upoważnień na zebraniu Komitetu Kongresowego. Prezydent IUTAM-u, Holender, prof. Leen van Wijngarden, oponował, ale Amerykanie silnie napierali. Widać byli bardzo dobrze przygotowani. Nie siedzieli razem, ale zajęli miejsca w różnych miejscach dużego stołu i wszyscy zabierali głos. W końcu Leen się złamał i wyraził zgodę na zastosowanie proxy. W ten sposób propozycja amerykańska uzyskała największą liczbę głosów, przekraczającą o jeden głos niezbędny, aby wygrać w pierwszej turze. Decyzja więc zapadła - kongres w 2000 roku odbędzie się w Chicago. Nasza propozycja znalazła się w głosowaniu na drugim miejscu. Bardzo silnie popierał nas prof. Paul Germain, sekretarz Francuskiej Akademii Nauk.

Drugie miejsce uzyskane w Kioto napawało optymizmem i zachęcało do dalszej działalności na rzecz kongresu w Polsce. Wybory w Kioto dały mi jednocześnie do zrozumienia, że co najmniej dwa warunki są konieczne do odniesienia sukcesu. Pierwszy to udział polskiego delegata w Congress Committee i po drugie - bardzo staranie przygotowany *proposal*.

O ile drugi warunek zależał wyłącznie od nas, o tyle pierwszy zależał od wyborów dokonanych przez Zgromadzenie Ogólne IUTAM. Zaproponowaliśmy kandydaturę prof. Kazimierza Sobczyka. Wspólnie z prof. Henrykiem Zorskim wysłaliśmy do około trzydziestu członków Zgromadzenia CV Kazia, oczywiście z odpowiednimi komentarzami i rekomendacjami. Chwyciło! Kandydatów było kilkunastu, a miejsc bodaj cztery czy pięć.

W organizacji kongresu, zresztą chyba jak i każdej innej konferencji, są dwie najważniejsze osoby biorące na siebie główny trud organizacyjny. Są nimi przewodniczący, w tym wypadku ja, jako proponowany prezydent kongresu, i sekretarz generalny. Do tej drugiej funkcji zaprosiłem prof. Tomasza Kowalewskiego, poznaliśmy się bliżej w Stanach w 1982 roku. Tomek przyjął moją propozycję. Już w trakcie przygotowań naszej propozycji, a szczególnie później w pracach nad jego organizacją, okazało się, że zaproszenie Tomka to był strzał w dziesiątkę, a chciałoby się powiedzieć - nawet w dwudziestkę. Wspaniały organizator i tytan pracy.

Teraz należało zająć się miejscem kongresu i starannym przygotowaniem. W Kioto zaproponowaliśmy zorganizowanie kongresu w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Jednakże kłopoty z uzyskaniem odpowiednich sal spowodowały, że zaczęliśmy myśleć o innej lokalizacji. Prof. Michał Kleiber, wówczas dyrektor Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN, zaproponował zorganizowanie kongresu we współpracy z Politechniką Warszawską, w jej gmachu głównym. Władze Politechniki przyjęły propozycję. Współpracę realizował z jej ramienia ówczesny prorektor, prof. Włodzimierz Kurnik.

Chicago 2000

Tu ma zostać podjęta decyzja o miejscu kongresu w 2004 roku. Są cztery propozycje pochodzące z Belgii, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Polski. Proces wyłaniania zwycięzcy rozpoczął się, jak zwykle, w niedzielę wieczorem, przed rozpoczęciem kongresu. Każdy z kandydatów przedstawia swoją propozycję, a następnie są pytania ze strony członków komitetu kongresowego i oczywiście odpowiedzi osób prezentujących poszczególne miejsca. Alfabetycznie zaczął Belg. Kilka przezroczy na folii, w sumie robiło to wrażenie jakby sam prezentujący miał wątpliwości co do wartości wniosku.

Na ring wychodzi Niemiec, prof. Friedrich Pfeiffer z Monachium. Proponuje odbyć kongres w centrum Drezna. Sale konferencyjne rozrzucone, co wymaga czasu na ewentualne przejścia z jednego wykładu na drugi. Całość projektu pokazana na niezbyt wyraźnych foliach. Przy pytaniach, Kazio celnie punktuje. Pyta, dlaczego proponuje się na prezydenta profesora z Monachium, czyżby w Dreźnie nie było uznanych uczonych w mechanice? Trzeba tu zaznaczyć, że w IUTAM zwraca się uwagę na środowisko, które zamierza organizować kongres. Chodzi o to, by składało się ze osób znanych międzynarodowej społeczności. Friedrich coś tłumaczy, ale nie bardzo przekonująco.

Kolejnym prezentującym jest Brytyjczyk. Proponuje zorganizować kongres w Manchesterze, w tamtejszym centrum kongresowym. Propozycja starannie przygotowana, oparta w znacznym stopniu na materiałach informacyjnych centrum. Pomyślałem sobie, że to może być konkurencja dla nas.

Kolej na mnie. Dzięki Tomkowi mamy bardzo starannie przygotowaną prezentację z rzutnika multimedialnego. Zaczynam od mapy pokazującej, gdzie dotychczas odbywały się kongresy. Kongresów było dwadzieścia, z tego piętnaście w Europie. Z tych piętnastu tylko jeden poza Europą Zachodnią, a mianowicie w Moskwie w 1972 roku. Na mapie są chorągiewki państw, gdzie odbywały się kongresy. Tomek tak przemyślnie upakował chorągiewki, że zasłaniały one całą Europę Zachodnią, pozostawiając pustkę poza granicą wyznaczoną przez Odrę. Powiedziałem więc, że, organizując kongres w Warszawie, Unia skończyłaby ostatecznie w swej działalności z „żelazną kurtyną”.

Na początku wystąpienia byłem dość spięty, ale zwróciłem uwagę, że to zrobiło wrażenie. Potem szły piękne zdjęcia z dużej auli Politechniki Warszawskiej i mapki wnętrza gmachu,

pokazujące, że kongres może się odbyć pod jednym dachem – cecha szczególnie doceniana. Potem przedstawiłem informacje o kosztach uczestnictwa, możliwościach zakwaterowania studentów w pobliskiej „Riwierze” itp. itd. Pamiętam dwa pytania. Jedno dotyczyło sponsorów. Czy damy sobie radę z budżetem i czy przewidujemy chętnych do wspomagania nas finansowo? Odpowiedziałem, że w Polsce działa, podobnie jak w innych krajach, sporo ważnych korporacji przemysłowych jak Fiat czy Opel i nie widzimy z tym specjalnego kłopotu. Z czasem to stwierdzenie okazało się nieprawdziwe. Nie było chętnych do finansowego wspierania kongresu. Drugie pytanie pochodziło od prof. Wantanabe i dotyczyło możliwości porozumiewania się po angielsku w Polsce.

Następnego dnia rano spotykam Wernera Schiehlena, prezydenta IUTAM, który pogratulował mi wczorajszego wystąpienia i powiedział, że jak przyleciał do Chicago, to był przeświadczony, że konkurs o organizację kongresu rozegra się pomiędzy Niemcami i Brytyjczykami. Ale po naszej wczorajszej prezentacji nie jest już tego tak pewien.

Wygraliśmy! ICTAM04 odbędzie się w Warszawie

Ostateczna decyzja Congress Committee zapada na drugim jego spotkaniu w przedostatnim dniu kongresu, w czwartek. Komitet Kongresowy spotyka się po lunchu, zadaje jeszcze proponującym dodatkowe pytania, wyprasza ich, dyskutuje i podejmuje decyzje.

Czas od niedzieli do czwartku w całości pochłonęło zarówno mnie, jak i wielu naszym kolegom, przekonywanie różnych członków komitetu kongresowego do głosowania za naszą propozycją. Najwięcej uwagi poświęciłem Amerykanom. Zwróciłem uwagę, że są bardzo solidarni, ustalają między sobą decyzje i tak postępują w głosowaniu. No i jest ich w Congress Committee najwięcej. Przed wejściem na salę obrad prof. Andrew Acrivos, przechodząc koło mnie, pokazał mi wniesiony do góry kciuk. Domyśliłem się, że Amerykanie nas poprą.

A więc wychodzimy z sali i aby nie siedzieć pod drzwiami, idziemy do baru na piwo. Friedrich zaprasza, ale ja mówię, że lepiej niech piwo postawi ten, kto wygra.

Wracamy pod salę obrad i siedząc przy stoliku, czekamy. Za jakiś czas słyszymy zza drzwi oklaski – a więc wygląda na to, że policzono głosy i decyzja zapadła. Rzeczywiście, za chwilę drzwi się otwierają i jesteśmy zaproszeni do środka. Rzucam okiem na Kazia. Kazio ma na twarzy uśmiech od ucha do ucha, a więc wiem, żeśmy wygrali. Za chwilę potwierdza to Werner Schiehlen, prezydent IUTAM i jednocześnie przewodniczący Komitetu Kongresowego. W kilku zdaniach dziękuję wszystkim tym, którzy nam zawierzili. Zapewniłem ich, jak i tych, którzy dokonali innego wyboru, że będą z kongresu w Warszawie zadowoleni. Powinienem tu dodać, że do drugiej tury głosowania przeszliśmy my i Niemcy. Wynik głosowania 14: 13 dla nas. A więc można powiedzieć, że nasze zabiegi o członkostwo Kazia Sobczyk w Komitecie Kongresowym zdecydowały o naszym zwycięstwie. To właśnie ten jeden głos przewagi.

Na początek kłopoty finansowe

A więc ruszamy z organizacją. Zaraz po powrocie z Chicago Tomek założył stronę internetową kongresu, na której na bieżąco podawał wszelkie informacje dla przyszłych uczestników. Trzeba było przeprowadzić przetarg na organizację turystyczną. Wygrał go „Mazurkas Travel”. Trochę trwały negocjacje na temat umowy IPPT PAN z Politechniką Warszawską w sprawie udziałów i odpowiedzialności w pracach organizacyjnych. Ale to wszystko nic w porównaniu z początkowymi kłopotami finansowymi. Wpłaty od uczestników

wpłyną dopiero na kilka miesięcy przed kongresem, a tu potrzebne pieniądze na druki zawiadamiające o kongresie, znaczki pocztowe itp. Częściowo poratowali nas koledzy, organizatorzy kongresu w Chicago. Jego prezydent, Hassan Aref, przekazał nam bezzwrotnie kilkanaście tysięcy dolarów.

Napisałem kilkadziesiąt listów do najróżniejszych instytucji z prośbą o wsparcie finansowe. Zapewniałem o ważności kongresu i nauk mechanicznych dla gospodarki, ale bez skutku. Większość nie odpowiedziała, a ci, co odpowiedzieli, to z takich czy innych względów odmówili. Jedynie SIEMENS przekazał nam symboliczne wsparcie w wysokości 5 tysięcy złotych. Okazało się, że od jakiegoś czasu firmy nie mogły odpisywać od podatków takich darowizn i to tłumaczyło odmowne decyzje.

Kłopoty finansowe zwykle pobudzają do myślenia. Jednym ze źródeł pieniędzy mogły być uczelnie zainteresowane w kongresie, ale uczelnie nie mogą nic darować, natomiast mogą kupić. Zaproponowałem więc zorganizowanie w czasie trwania kongresu wystawy pt. „Mechanics in Poland”, wystawy promującej polską naukę wśród zagranicznych uczestników kongresu. Uczelnie pragnące wziąć udział w wystawie powinny wpłacić 20 tys. złotych za prawo wywieszenia czterech plasz z informacjami o osiągnięciach naukowych. Pomysł chwycił, może nie w zakresie, którego się spodziewałem, ale dał nam około 100 tys. złotych niezbędnych na początkowe wydatki.

Później uzyskaliśmy jeszcze środki z Unii Europejskiej. Przekazano nam około 80 tys. euro na wsparcie dla osób mających trudności z uzyskaniem środków na udział w kongresie. Chodziło głównie o studentów i młodszych pracowników naukowych.

W końcowej fazie organizacji znaleźliśmy jeszcze jedną formę zdobywania środków, ale nie pieniędzy. Był to swego rodzaju barter. Reklamowaliśmy różnego rodzaju usługi wykonywane przez wspierające nas firmy. I tak bezgotówkowo *HP* wypożyczył nam niezbędne komputery, *Era* hotspoty na terenie głównej auli, *Eden* wodę do picia itp. Właśnie otwarty hotel *Intercontinental* zorganizował kongresowy bankiet, obciążając nas finansowo jedynie za jedzenie. Sala promocyjnie była za darmo.

Kilka miesięcy poprzedzające rozpoczęcie kongresu

Od jesieni 2003 zaczynają napływać prace. Ostateczny termin upływa 9 stycznia 2004 o północy. Do poniedziałku 6 stycznia, do rana, zarejestrowało się 620 uczestników. Wyglądało to niewesoło. Nasz budżet był przewidziany dla 900 uczestników. Cała nadzieja polega na tym, że świat nauki, jeżeli chodzi o konferencje, funkcjonuje na zasadzie „last minute”. I rzeczywiście, liczba zgłoszeń zaczyna wzrastać ekspotencjalnie w czasie. 7 stycznia rano - 859 zgłoszeń, a wieczorem tego samego dnia o sto więcej. W piątek po południu nadszedł e-mail z zapytaniem, czy termin 9 stycznia o północy to według czasu Greenwich, czy czasu lokalnego!

Ostatecznie nadchodzi blisko 2200 zgłoszeń zawierających niezbędne rozszerzone streszczenia proponowanych referatów. Z tego Paper Committee, zespół powołany przez Komitet Kongresowy, zakwalifikował do wygłoszenia blisko 1600 referatów, a więc więcej niż na poprzednim kongresie w Chicago w 2000 roku!

Powoli zagęszcza się proces organizacyjny. Trzeba przyjmować nadchodzące prace, porządkować je i wysyłać oraz odpowiadać na setki e-maili. Nad tym wszystkim panuje Tomek, wykonując gigantyczną pracę. Z czasem organizuje zespół wolontariuszy, którzy pomogą szczególnie w ostatniej fazie przygotowań i w czasie trwania kongresu.

Dyscyplinowanie wykładowców

Tomek wprowadził zaostrome rygory, jeżeli chodzi o czas wygłaszania prac. Zwykle na konferencjach bywało, szczególnie w pierwszej fazie stosowania środków multimedialnych, że poszczególni wykładowcy przychodzili z własnymi CD lub laptopami, próbując je podłączyć często w ostatniej chwili. Ponadto przewodniczący obrad nie zawsze przestrzegali czasu przeznaczonego na wykład, co ograniczało dyskusję, tak ważną w nauce. Dodać należy, że słuchacze często są zainteresowani zmianą sesji i chęcią wysłuchania referatu w innej sali. Brak rygorów czasowych nie pozwala na to.

Tomkowi udało się opanować ten chaos. Po pierwsze, wszyscy potencjalni wykładowcy musieli przysłać odpowiednio wcześniej swoje prezentacje. Następnie były one ładowane w 14 komputerów (tyle było równoległych sesji), w kolejności zgodnej z przewidzianym programem obrad. Nietrudno sobie wyobrazić tę gigantyczną pracę wykonaną przez wolontariuszy.

Na ekranie, pod koniec wygłaszania referatu, ukazywała się informacja: jeszcze trzy minuty, jeszcze dwie, jeszcze jedna i wreszcie dokładnie po piętnastu minutach komputer gasł. Nie było siły, żeby wykład przedłużyć. Niektórzy na początku, byli zaskoczeni. Jeżeli ktoś nie przygotował sobie prawidłowego rozłożenia wykładu w czasie, musiał kończyć nawet w połowie jego treści. W sumie jednak ten system został przyjęty z aprobatą. Nawet organizatorzy innych międzynarodowych konferencji zwracali się do Tomka z prośbą o szczegóły systemu.

Prezydent RP i Prezydent Warszawy

Ze względu na międzynarodowy charakter kongresu i jego wagę, zwróciłem się do Prezydenta RP, pana Aleksandra Kwaśniewskiego, z prośbą o objęcie patronatu nad kongresem. Dostaliśmy dość szybką odpowiedź ze stosownym formularzem, w którym należało podać bliższe informacje o kongresie. W sumie, w stosunkowo krótkim czasie, otrzymaliśmy odpowiedź pozytywną.

Mniej szczęścia mieliśmy z Prezydentem Warszawy. W otwarciu poprzednich kongresów, zwykle brali udział burmistrzowie (prezydenci) miast będących gospodarzami spotkania. Chcąc powtórzyć to w Warszawie, zwróciłem się do Prezydenta Warszawy, pana Lecha Kaczyńskiego, z prośbą o wzięcie udziału w ceremonii otwarcia kongresu. Wielokrotne listy pozostawały bez odpowiedzi. Wreszcie zdecydowałem się na bezpośredni kontakt z wiceprezydentem, panem Andrzejem Urbańskim. Z rozmowy wynikało, że władze miasta nic nie wiedzą o mającym się odbyć kongresie. Pan Urbański zobowiązał się porozumieć z Prezydentem i oddzwonić mi. Ponieważ nie miałem żadnej odpowiedzi, prosiłem sekretarkę o systematyczną próbę połączenia mnie z panem Urbańskim. Bez skutku. Wreszcie za którymś razem sekretarka wiceprezydenta odpowiedziała, że pan Urbański ma mój telefon i sam się odezwie. Nigdy to nie nastąpiło. Faktem jest, że ostatecznie ktoś z Ratusza przyszedł. Trzeciorzędny urzędnik z wydziału komunikacji.

Godzina „0” A więc czas ICTAM04 zacząć. Poprzedniego dnia spotkałem się z prof. Keith Moffattem, z Cambridge, prezydentem IUTAM, aby omówić szczegóły otwarcia kongresu. Uzgodniliśmy, że to ja dokonam oficjalnego otwarcia obrad 21. Międzynarodowego Kongresu Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej.

Tak więc 15 sierpnia 2004 roku stoję na mównicy w głównej auli Politechniki Warszawskiej, pełnej uczestników. Witam wszystkich serdecznie, i korzystając z 60. rocznicy Powstania

Warszawskiego, przypominam, że właśnie tutaj, w tym pięknym budynku i jego okolicach, trwały ciężkie walki powstańcze.

Po powitaniu ogłaszam otwarcie ICTAM04, mówiąc: *Ladies and Gentlemen! It is my great honor and privilege to announce the opening of the 21st International Congress of Theoretical and Applied Mechanics.*

Po moim wystąpieniu uczestników kongresu witają kolejno: prof. Moffat, prezydent IUTAM, prof. Kleiber, minister nauki i informatyzacji, prof. Lipkowski, wiceprezes PAN, prof. Mańkowski, rektor Politechniki Warszawskiej i prof. Tomasz Kowalewski, sekretarz generalny Kongresu.

Po przemówieniach chwila muzyki chopinowskiej w wykonaniu Marcina Rudzińskiego, studenta Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina.

Od strony naukowej kongres rozpoczął się od plenarnego wykładu prof. Van Wijngaardena i zakończył wykładem prof. Sobczyka.

A więc maszyna kongresowa ruszyła. Maszyna kierowana przez Tomka Kowalewskiego, wspierana przez kilkudziesięcioosobową grupę niezwykle aktywnych i zaangażowanych wolontariuszy.

Już po oficjalnym zakończeniu kongresu prof. Lipkowski, wiceprezes PAN, zaprosił czołowych profesorów zaangażowanych w IUTAM w organizację kongresu do pałacyku w Jabłonie na przyjęcie. Był to ostatni moment, gdzie czuliśmy jeszcze jakąś odpowiedzialność za to, co się dzieje.

Już po wszystkim, w parę osób, zajechaliśmy późnym wieczorem do restauracji. Tutaj wypiliśmy z Tomkiem całą, bez mała butelkę „Chopina”. Pełne odprężenie!

Na odpoczynek wyjechaliśmy z Marylką do Białowieży. Zupełne zaskoczenie. Białowieżę pamiętałem jako zapyziałą dziurę. Tymczasem zobaczyłem bardzo przyjemne, dobrze zorganizowane miasto, z porządnymi hotelami i restauracjami. Niezapomniane wrażenie zrobiło na nas niezwykle ciekawe muzeum przyrodniczo-leśne. W sumie wspaniały odpoczynek po kongresowych trudach.



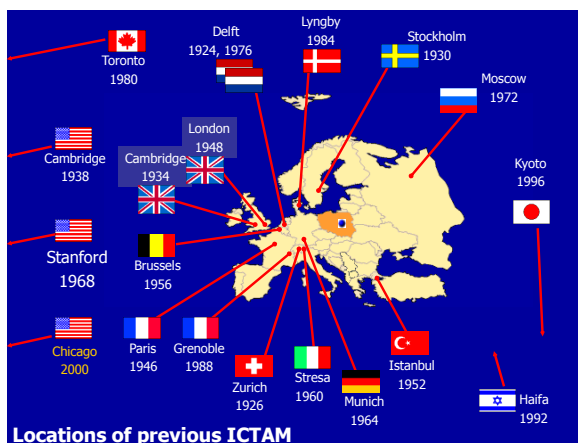
Propozycja organizacji ICTAM w Warszawie w 2004



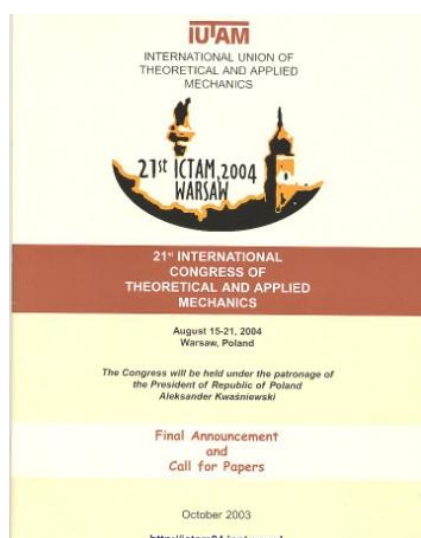
Zapraszamy do Warszawy!



Zaproszenie trzech proponujących instytucji



Mapa z miejscami poprzednich kongresów .
Na wschód od Odry pusto.



Zawiadomienie o kongresie z zaproszeniem zgłaszania Prac



Prezydium kongresu na tle banerów wspierających instytucji



Aula Politechniki Warszawskiej w chwili otwarcia kongresu



Witam uczestników i otwieram ICTAM 2004



Prof. Tomasz Kowalewski Sekretarz Generalny
kongresu wita uczestników



Rektor Politechniki Warszawskiej
prof. Stanisław Mańkowski wita uczestników kongresu



Lunch w patio na zewnątrz auli



Prof. Keith Moffatt Prezydent IUTAM
przemawia do uczestników kongresu
w czasie bankietu pożegnającego

33. Moja przygoda z IPN

Pewnego pięknego dnia 2005 roku w mediach ukazał się, wykradziony z Instytutu Pamięci Narodowej, spis imion, nazwisk i odpowiednich sygnatur, będący indeksem katalogowym archiwalnych zasobów akt IPN. Spis ten media nazwały „listą Wildsteina”. W powszechnym odczuciu osoba, której nazwisko tam się znalazło, mogła być tajnym współpracownikiem, czyli - krótko mówiąc - kapusiem. Nietrudno się domyśleć, że nieco się zdenerwowałem, gdy znalazłem tam swoje nazwisko.

Udałem się więc do IPN-u na ulicę Towarową z prośbą o pokazanie mi mojej teczki. Niezbyt sympatyczna młoda osoba, wypytując mnie o moją przeszłość w PRL, wypełniła jakiś formularz. Moja przeszłość z czasów okupacji niemieckiej jej nie interesowała. Na koniec orzekła, że odpowiedź na moją prośbę dostanę do domu. I rzeczywiście dostałem, ale odmowę pokazania mi mojej IPN-owskiej dokumentacji, ponieważ w zrozumieniu prawa nie jestem osobą pokrzywdzoną.

Wychodząc z budynku na Towarowej, przypomniałem sobie, że kilka kroków dalej, na Wroniej, trafił mnie odłamek pocisku wystrzelonego z niemieckiego „Tygrysa”. Potem była gehenna Starówki, przejście kanałami do Śródmieścia i koszmar Czerniakowa. Wszystko to zakończone obozem jenieckim w Niemczech. A w ciągu całej wojny ginęli najbliżsi. W kategoriach Instytutu Pamięci Narodowej takie przeżycia nie kwalifikują do statusu „pokrzywdzonego”.

Ale gdyby w PRL odmówiono mi paszportu na wyjazd za granicę, a, to co innego. Jak mi tłumaczyła młoda niewiasta, w takiej sytuacji mógłbym ewentualnie o status pokrzywdzonego zabiegać. W 1968 odmówiono mi paszportu. Nawet gorzej, trójka łobuzów z partyjnymi legitymacjami próbowała mnie wyrzucić z Politechniki, ale wygłupiłem się przed samym sobą, gdybym starał się to wykorzystać, aby zostać pokrzywdzonym.

Na jesieni tegoż roku Trybunał Konstytucyjny orzekł, że takie odmowy są niezgodne z Konstytucją. A więc piszę list, ponownie prosząc o pokazanie mi mojej teczki, powołując się tym razem na orzeczenie Trybunału.

Po pięciu miesiącach, w marcu 2006, otrzymałem odpowiedź, że jeszcze kwerenda i inne przeszkody, ale postarają się udostępnić mi moją teczkę w „najbliższym czasie”. Pomyślałem sobie, że jeżeli napisanie prostego listu zajęło IPN-owi bez mała pół roku, to co to znaczy „w najbliższym czasie”? A więc piszę jeszcze raz, że mam swoje lata i nie mam zamiaru schodzić z tego świata z etykietką kapusia. Jeżeli w ciągu najbliższych miesięcy nie będę mógł zapoznać się z moją teczką, to mi bardzo przykro, ale zwrócę się do sądu RP z prośbą o pomoc w umożliwieniu mi skorzystania z moich konstytucyjnych praw.

W końcu, w styczniu 2007, a więc po kolejnych dziesięciu miesiącach, dostaję list uprzejmie informujący „o możliwości zapoznania się z przygotowanym materiałem archiwalnym”.

Pełen ciekawości jadę na ul. Towarową. Po przejściu przez bramkę jestem odprowadzony przez ochroniarza, na któreś tam piętro, do czytelni akt niejawnych. Przede mną położono dwie teczki, zawierające kopie moich formularzy paszportowych związanych z wyjazdami za granicę. Ponieważ nigdy przed wyjazdem, ani po, nikt mnie nie nagabywał i nie proponował współpracy, nie bardzo wiedziałem, po co to gromadzono.

Jedyny dokument z napisem „tajne” dotyczył korespondencji pomiędzy MSW i PAN na temat mojej odmowy natychmiastowego powrotu do kraju w marcu 1968 roku.

W 1967 przyjechałem do USA na wykłady, mój kontrakt kończył się w czerwcu 68. W marcu 68 otrzymałem z Instytutu nakaz natychmiastowego powrotu do kraju. Odpowiedziałem, że podpisałem kontrakt do czerwca, jestem poważnym człowiekiem i zamierzam umowy dotrzymać. Jednocześnie stwierdziłem, że wracam do pracy w czerwcu, zgodnie z uzyskanym wcześniej pozwoleniem.

Po zapoznaniu się z teczkami zacząłem się zastanawiać, z jakiego powodu znalazłem się na liście Wildsteina. Zadałem to pytanie bardzo uprzejmemu młodemu człowiekowi, będącemu w czytelnicy. Nie potrafił mi na to odpowiedzieć, ale poradził, abym napisał stosowne podanie, którego zawiłą treść mi podyktował. W końcu to poskutkowało, jeszcze miesiąc i dostaję z IPN list, w którym po wymienieniu rozlicznych paragrafów, napisano:

...zaświadcza się, że

dane osobowe Pana Witolda Gutkowskiego, syna Tadeusza, ur. 13.09.1928 w Warszawie, nie są tożsame z danymi osobowymi, które znajdują się w katalogu funkcjonariuszy, współpracowników, kandydatów na współpracowników organów bezpieczeństwa państwa oraz innych osób, udostępnionym w Instytucie Pamięci (tu w oryginale brak słowa Narodowej) od dnia 26 listopada 2004r.

A więc mam czarno na białym dokument z szacownego IPN, że kapusiem, ani kandydatem na kapusia nie byłem. Żeby się o tym dowiedzieć, musiałem zabiegać o to pełne dwa lata.

Ale dlaczego znalazłem się na liście Wildsteina? Tego do dziś nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem.

34. Zakończenie i krótkie CV

Pisanie rozpocząłem na początku 2005 roku, a więc ponad pięć lat temu. Było dla mnie niemałym wyzwaniem pisanie tekstu bardziej literackiego niż suchego naukowego, do którego przez lata nawykłem. Nowym doświadczeniem było dla mnie uwalnianie pamięci. Przypominanie wymagało czasu i spokoju, dlatego stosunkowo najwięcej napisałem w czasie pobytu w sanatorium, w Busku. Powinienem dodać, że pisanie wspomnień nie było moim jedynym zajęciem, albowiem miałem cały szereg innych zajęć i zawodowych, i społecznych. Te lata sprawiły, że niektóre, bliskie mi, osoby od jakiegoś czasu przestały mnie pytać, kiedy skończę swoje dzieło.

Czasowo wspomnienia kończę jakby na 2004 roku, wydarzeniami związanymi z organizacją kongresu IUTAM w Warszawie. Niemniej jednak znalazło się w nich kilka wątków i zdjęć późniejszych, jak na przykład podróż do Australii, gdzie odwiedziliśmy państwa Zbyszka i Basię Kałużyńskich. Zbyszek był jednym z moich druhów z Szarych Szeregów.

Po 2004 roku nie działo się nic na tyle ciekawego, co usprawiedliwiałoby dalsze pisanie o „ciekawych czasach”. Po prostu życie potoczyło się normalnie, a „normalność” jest bardzo ważna, ale mniej ciekawa. Nawet podróże, które odbyliśmy po Europie, USA, czy Brazylii były ciekawe, ale niosły ze sobą powszechne znane doznania podróżnicze.

Kończąc, podaję swoje, bardzo skrócone, CV. Szereg zawartych w nim informacji jest gdzieś w tekście. Uznałem jednak, że zebranie ich bardziej przybliży Czytelnikowi moją osobę, autora niniejszej książki. A więc:

Urodziłem się w 1928 roku w Warszawie.

Od przedszkola, do małej matury w 1944 roku, ukończonej na tajnych kompletach, byłem uczniem szkoły Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, na warszawskim Żoliborzu.

Maturę uzyskałem w 1947 roku, w Liceum przy II Korpusie Andersa, organizowanym przez Komitet dla Sprawy Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii.

Inżynierem zostałem po ukończeniu studiów w Szkole Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda.

Magistrem inżynierem (1954) i doktorem nauk technicznych (1961) zostałem na Politechnice Warszawskiej.

Doktorem habilitowanym (1965), profesorem nadzwyczajnym (1972), profesorem zwyczajnym (1976) zostałem, pracując w Instytucie Podstawowych Problemów PAN.

W 1974 roku zostałem laureatem zespołowej Nagrody Państwowej II stopnia w dziedzinie nauki.

Członkiem korespondentem PAN zostałem w 1976 roku, a członkiem rzeczywistym w 1991 roku.

W 2000 roku zostałem powołany na Prezydenta International Congress of Theoretical and Applied Mechanics, który odbył się w 2004 w Warszawie.

Byłem przewodniczącym lub członkiem komitetów organizacyjnych szeregu konferencji międzynarodowych.

Jestem autorem i współautorem około 180 publikacji, w tym czterech książek.

Wychowałem dziesięciu doktorów.

Jestem lub byłem w różnych okresach członkiem *editorial boards* czterech międzynarodowych czasopism naukowych.

Jestem przewodniczącym rad programowych, dwóch krajowych czasopism naukowych z dziedziny mechaniki.

Z szeregu odznaczeń i „zasłużony dla...”, najbardziej sobie cenię Warszawski Krzyż Powstańczy i Rozetę z Mieczami do Krzyża za zasługi dla ZHP.

W grudniu 2010 roku z inicjatywy Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego Prezydent RP odznaczył mnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Po więcej informacji o mojej działalności naukowej zapraszam na stronę <http://www.ippt.gov.pl/~wgutkow/>, lub na adres wgutkow@ippt.gov.pl.

